

emma garcia

**złamane
serca w sieci**

Z języka angielskiego przełożyła
Monika Wiśniewska



Dla moich trzech Lwów z miłością i wdzięcznością.

Spójrz, tam widać skrawek błękitnego nieba.

Maureen Tucker

Illegitimi non carborundum.

Nie daj się gnębić tym draniom.

John Tucker

PROLOG – CZĘŚĆ I

Rob Waters oświadczył mi się trzy miesiące po tym, jak się z nim przespałam. Sądziłam, że to jeden z tych szalonych romansów, o których się czyta w magazynach powykładanych u fryzjera. Pięć lat i dwa przełożone śluby później pogodziłam się z myślą, że to raczej romans wolnopalny.

Za dwa miesiące jednak w końcu naprawdę staniemy przed ołtarzem. Tym razem wszystko jest już zarezerwowane: Błękitna Sala w zamku Burnby niedaleko jego rodziców, fotograf ślubny i rolls royce. Rob bierze czynny udział w przygotowaniach, co niesamowicie mnie cieszy; chrupiące koszyczki z mussem truskawkowym to jego wybór.

Naszyc strojów nie będzie cechować przesadna elegancja. Rob wystąpi w granatowym garniturze Hugo Bossa i jasnoróżowej koszuli, komponującej się idealnie z różami w moim bukietcie. Mam sukienkę o prostym kroju, a i koronki chantilly jest w niej w sam raz. Dwie poprzednie bezy sprzedałam na eBayu.

Musimy jeszcze odebrać obrączki. Platynowe, aby pasowały do pierścionka zaręczynowego. To zabawne, ale odkąd Rob wsunął mi go na palec, ani razu go nie zdjęłam, nawet wtedy, gdy chciał przełożyć ślub po raz pierwszy (boi się kościołów) czy po raz drugi (dziwnie się czuł, skończywszy trzydzieści pięć lat). Chyba po prostu kocham Roba Watersa. Kocham go i wcale nie z tych wszystkich oczywistych powodów, choćby tego, że jest na czym zawiesić oko i że ma kasy jak lodu. Uwielbiam go za to, jak jest zbudowany, przepadam za jego nadąsanymi ustami i jasnymi lokami. Uwielbiam sposób, w jaki się porusza, i to, że śpi zwinięty w kulkę. sposób, w jaki marszczy nos, kiedy jest skupiony. Nauczyłam się kochać to, że nazywa mnie Króliczkiem. Nie przeszkadza mi nawet, gdy podczas seksu woła: „Kto jest sprośnym króliczkiem?”. Odpowiadam po prostu: „Ja”.

Niedługo wróci z siłowni, więc szykuję na kolację jego ulubioną sałatkę z łososia z ryżem i cykorią. Krzątam się po kuchni i łapię się na tym, że nucę pod nosem. Ależ mam szczęście, że mieszkam w tym bajecznym apartamencie w samym sercu Londynu, najwspanialszego miasta świata. Jestem młoda (w miarę), zakochana i niedługo wychodzę za mąż. Mam wszystko, o czym zawsze marzyłam.

Słyszę trzaśnięcie drzwi. Szybko wrócił. Staję u szczytu schodów. Rob unosi głowę, a jego uroda budzi w mojej duszy srebrzyste dzwoneczki.

– Cześć. – Uśmiecham się. – Kolacja prawie gotowa.

– Hej, Viv – mówi i po jego głosie wyczuwam, że coś jest nie tak. Wchodzę do salonu i czekam. Pewnie miał kiepski dzień w pracy. Staję w progu i wyraz jego oczu mrozi mi krew w żyłach. To wzrok, który miałam już okazję widzieć. I to dwa razy. Jego spojrzenie napotyka moje i Rob powoli i ze smutkiem kręci głową.

– O nie – szepczę i zapadam się w designerską sofę.

– Nie mogę tego zrobić, Viv – mówi, a ja czuję, jak moje serce pęka niczym tafla lodu.

PROLOG – CZĘŚĆ II

Nevergoogleheartbreak.com – Internetowy poradnik dla kochanków

Rob Waters i ja mamy „przerwę”. Pobędziemy osobno, ażeby się przekonać, czego pragniemy. A raczej, żeby on mógł się przekonać, że beze mnie zupełnie sobie nie radzi.

To ja podjęłam decyzję o wyprowadzce. Było to koszmarnie trudne, ale konieczne, coś jak przycięcie ślicznego, ale zbyt wybujałego krzaku róży. Robi się to po to, aby zakwitło coś piękniejszego. I tak się właśnie stanie, kiedy do Roba dotrze, co stracił, i zapragnie mnie odzyskać.

No więc tak, żeby sprawa była jasna... My się nie rozstaliśmy; my robimy sobie przerwę – a to coś innego.

Jasne, że byłam zdruzgotana, kiedy odwołał nasz ślub... po raz kolejny (nie czuje się w pełni dorosły, ujmując to w sposób duchowy). I wcale nie chciałam się wyprowadzać, ale nie mogłam przecież zostać, czekając jak pajęczycza ze swoją pajęczyną w postaci sukni ślubnej, no nie?

Tamtego wieczoru udałam się na górę i cicho zaczęłam się pakować. Rob mówił, że bym tego nie robiła, ale tym razem miałam wrażenie, że coś między nami pękło. Suknię i welon zostawiłam na drzwiach szafy.

Teraz wynajmuję małe mieszkanie w północnej części Londynu. Nie jest takie złe. Można je nawet nazwać eleganckim. Poczulałam ulgę, kiedy panom z firmy transportowej udało się w końcu wtaszczyć sofę (po zdemontowaniu nóżek i godzinnym wpychaniu jej przez drzwi). To zabawne, że w mieszkaniu Roba ta sofa wydawała się niewielka.

Każdego dnia budzę się i powtarzam sobie, że lada chwila on zapuka do mych drzwi i wyzna, że popełnił straszliwy błąd, że chce się ze mną ożenić i że wszystko będzie, jak było.

No ale na razie, odkąd się wyprowadziłam, w zasadzie się ze mną nie kontaktował (z wyjątkiem SMS-a z pytaniem, czy wiem, gdzie są hokejowe ochraniacze). A mnie dopadła dziwna fascynacja: przyłapuję się na tym, że badam przypadki osób, którym złamano serce. Mam na tym punkcie prawdziwą obsesję. Gromadzę informacje na temat rozstań innych ludzi i gугluję frazy w rodzaju „złamane serce”, „stara panna” i „porzucona”, aby się dowiedzieć, jak przeżywają to inni. Nie zostałam porzucona, to oczywiste, po prostu mnie to ciekawi. I wiecie co, w Internecie można znaleźć całe mnóstwo cierpienia. Zaczęłam także kolekcjonować poradniki. Całe wieczory spędzam w księgarniach, przeczesując działy z pozycjami na temat rozwoju osobistego. Istnieje wiele, z których można skorzystać, aby sobie pomóc. Gdyby tylko wiedzieli o tym ci wszyscy cierpiący ludzie na necie!

I zaczęłam się zastanawiać, czyby nie zebrać tego wszystkiego do kupy na stronie internetowej. Tak sobie myślę, że będzie to coś pomocnego i optymistycznego, wręcz zabawnego, coś na kształt internetowego magazynu poświęconego związkom. Miejsce, gdzie udzielanie rad łączy się ze złamanym sercem, o ile coś takiego ma w ogóle sens. Tak sobie myślę, że znajdą się tam studia przypadków, najlepsze wskazówki, forum porad osobistych, a nawet zakładka randkowa. W pracy znam kogoś, kto mógłby mi postawić taką stronę.

Tak, a więc właśnie o tym myślę najczęściej przez te kilka tygodni, odkąd odeszłam od Roba. Można to uznać za projekt, któremu się oddaję, aby nie spędzać każdej wolnej chwili na wzdychaniu i tęsknocie.

Mimo to spędzam każdą wolną chwilę na wzdychnaniu i tęsknocie. Przez cały czas zastanawiam się, co on w danej sekundzie robi. Ale nie mam złamanego serca – jak już mówiłam, mamy tylko małą przerwę. I to właśnie powtarzam sobie co wieczór, kiedy spod poduszki wyciągam jego T-shirt, zanurzam w nim twarz i wdycham ostatnie piżmowe ślady jego zapachu.

1

Studia przypadku

Pamiętam, że tamtego ranka nalegał na seks. Potem jak zwykle poszłam do pracy. Około wpół do dziewiątej dostałam od niego SMS-a: „Wyprowadzam się”. Tylko tyle. Kiedy wróciłam do domu, nie było już po nim śladu. Najbardziej zabolala mnie ta potajemność, fakt, że zaplanował wszystko za moimi plecami.

Zabrał wszystkie sztucce. Po dwóch latach wspólnego mieszkania nie zostawił mi nawet jednej tyżeczki do herbaty.

Debbie, 28 lat, Glamorgan

Poniedziałkowy wieczór, mieszkanie Wytwornej Lucy, Battersea. Z myślą o mojej stronie wyszukujemy w necie więcej historii związanych z rozstaniem.

- Kiedyś pracowałam z pewną dziewczyną – mówię.
- Hmm? – odpowiada Lucy, nie podnosząc głowy.
- Nakryła narzeczonego w łóżku z ich osiemnastoletnią sąsiadką.
- Paskudnie.
- Potem miała w zwyczaju kręcić się pod jego domem. Każdego wieczoru.
- Czemu?
- Żeby go zobaczyć.
- A to nie *stalking*?

– I zostawiała anonimowe liściki... Całe mnóstwo, przyklejone taśmą do drzwi.

– Biedna, smutna kobieta.

– To dopiero oddanie. Wyobraź sobie tylko: każdego wieczoru. – Zastanawiam się, czy nie robić czegoś podobnego, ale po pierwsze Rob mieszka przy bardzo ruchliwej ulicy, a po drugie znam wszystkich sąsiadów, no bo mieszkałam tam przecież pięć lat.

Biorę do ręki telefon, aby sprawdzić, czy nie przyszedł SMS.

– Zadzwoń do niego – mówi Lucy.

– Nie mogę. Już ci tłumaczyłam, że czekam, aby to on zadzwonił do mnie.

– Więc lada dzień mieliście się hajtnąć, a teraz nie możesz z nim nawet porozmawiać?

– Nie mogę do niego dzwonić, skoro się wyprowadziłam. No bo co miałabym powiedzieć? Hej, tęsknisz już za mną? Mam wracać? Chcesz wziąć ślub?

– A jeśli do ciebie nie zadzwoni?

– Zadzwoń. Najwyższy czas na to. Przez pierwszy tydzień to wszystko dopiero do niego docierało, w drugim cieszył się wolnością, chodził na siłownię, oglądał mecze rugby i tym podobne, natomiast w trzecim zdał sobie sprawę z tego, że beze mnie jest zagubiony. Zadzwoń lada chwila. To prawda podręcznikowa. – Rzucam jej gniewne spojrzenie. To niesamowicie ważne, aby zgodziła się z tą teorią.

– W porządku. – Lucy wzrusza ramionami i dopija zawartość kieliszka. Mój jest pusty już od dziesięciu minut. Nagle strasznie zachciewa mi się papierosa; wieczór stał się całkiem poważny z powodu tych wszystkich historii o porzuceniach. Tym bardziej się cieszę, że nie zostałam porzucona.

Lucy zbiera kieliszki.

– Dolewka? – pyta.

Idealnie wyprostowana udaje się do kuchni. Omiatam spojrzeniem błyszczące powierzchnie i nieskazitelnie biały dywan w mieszkaniu Lucy. Gdzieś kiedyś czytałam, że stan mieszkania kobiety odzwierciedla stan jej umysłu. Jeśli to prawda, Lucy musi mieć niezwykle zdrową psychikę. No ale ona zawsze była poukładana. Jej pokój w akademiku wyglądał jak żywcem przeniesiony ze stron magazynu poświęconego wystrojowi wnętrz. Miała kolor przewodni, nowy telewizor, zasłony z tafty i świeczki zapachowe. Ja, w pokoju po sąsiedzku, miałam nowy kosz na pranie i uważałam się za szykowną. Mało nie umarłam, kiedy zapukała, przedstawiła mi się i zapytała z tym swoim perfekcyjnym akcentem: „Co powiesz na G & T?”. Zdumiewał mnie fakt, że nic jej nigdy nie peszy. Nazwałam ją „Wytworną Lucy”, a ona zaczęła się tak przedstawiać podczas balu dla studentów pierwszego roku, jakby to był jakiś tytuł. „Cześć, jestem Wytworna Lucy, a to moja przyjaciółka Vivienne”.

W każdym razie świetnie jej się powodzi. Zasluguje na to. Ciężko pracuje. Przed oczami staje mi moje mieszkanie. Prawdę powiedziawszy, jeszcze się nie skończyłam rozpakowywać, ale wiem, że nawet gdy to zrobię, i tak będzie tam przygnębiająco. Wiecie dlaczego? Bo to mieszkanie singielki. Nie mam nic przeciwko singielkom, w żadnym razie; chodzi po prostu o to, że ja nią nie jestem. Może i się wyprowadziłam, ale nadal mam

narzeczonego. Jestem „w związku”. Pocieram serdeczny palec. Bez pierścionka zaręczynowego jest jakby nie mój.

Boże, ależ mi źle.

Całutki miesiąc bez Roba. Okej, wiem, że zrobiliśmy sobie przerwę, ale nie sądziłam, że tak to będzie wyglądać. To całkowite odcięcie od siebie... Jak śmierć.

Kładę nogi na ławie obok starannie poukładanego stosiku kolorowych magazynów. Mój wzrok pada na okładkę, na której widnieje dziewczyna z rozwianymi włosami i karmelowymi ustami. „Kobiety, które mają wszystko” – głosi napis na jej koszulce. Kartkuję magazyn, aż natrafiam na artykuł o takim samym tytule. Kobieta, która ma wszystko, jest w szpilkach i ma fryzurę wyglądającą na kosztowną; oto siedzi w swoim gabinecie, w ręku trzyma pióro i otacza ją aura władzy. Następnie w satynowej piżamie oddaje się przyjemnemu lenistwu; stoi przed tacą z croissantami, choć ostatniego zjadła pewnie jeszcze w latach osiemdziesiątych. Aż w końcu kuca na swojej prywatnej plaży, tuląc do siebie troje ślicznych dzieci (choć, chwilczkę, czy jedno z nich nie ma przypadkiem zeza?).

Rzeczywiście ma wszystko: piękny dom, kierownicze stanowisko w stabilnej firmie, jest szczęśliwą mężatką i na dodatek potrafi znaleźć czas na pieczenie. To nie typ kobiety, która siedzi i czeka na telefon od byłego narzeczonego. Zabieram się za znajdującą się na końcu artykułu psychozabawę.

Czy jesteś dziewczyną, która „ma wszystko”?

Wiek: Trzydzieści dwa – ale wiek to przecież tylko cyfra, tak samo jak rozmiar ubrania.

Związek: Mamy przerwę.

Jakbyś oceniła swój związek w skali od jednego do pięciu, przy czym pięć oznacza „idealny”? Nie dotyczy.

Jakbyś oceniła swoją karierę zawodową w skali od jednego do pięciu, przy czym pięć oznacza „w pełni satysfakcjonująca”? Także nie dotyczy – sposobu, w jaki zarabiam na życie, raczej nie nazwałabym „karierą”.

Jakbyś oceniła swoje relacje z przyjaciółmi? Hmm, przyjaciele... Chyba Lucy i Max. To z nimi znam się najdłużej. Zakreślałam „dobre”, po czym zmieniam na „doskonałe”, bo przecież Lucy może to zobaczyć.

Potem trzeba dodać uzyskane punkty i przeczytać odpowiedni opis. Dowiaduję się zatem, że powinnam popracować nad swoimi priorytetami i ustalić „życiowe cele”. Oczywiście! To właśnie życiowych celów mi trzeba.

Cóż, to oczywiste, że nie postrzegam siebie przez pryzmat tego, czy jestem w związku, czy nie, ale muszę być ze sobą szczerą i przyznać, że cel to Rob: ślub z Robem, urodzenie Robowi dzieci... Tak sobie jednak myślę, że kariera zawodowa także powinna być moim celem. Nie jestem w końcu totalnym nieudacznikiem i zawsze byłam zdania, że fajnie by było zdobyć posesję nabywcy w Barnes and Worth, sieci domów towarowych, gdzie pracuję, a dopiero potem pójść na urlop macierzyński.

Jestem product managerem w dziale prezentów dla pań i moja praca polega na zestawianiu ze sobą „pakietów prezentowych”, tak by klienci mogli łatwo i przyjemnie nabyć upominki dla niezamężnych ciotek i teściowych.

Żel pod prysznic o zapachu letniego deszczu w zestawie z balsamem do ciała (gratis otrzymuje się kosmetyczkę, która

wygląda jak opryskana kroplami deszczu), składane parasolki, zestawy do manikiuru, rękawice do masażu, rękawiczki z mięciutkiej skóry, pikowane kosmetyczki, breloczki do kluczy w kształcie zwierząt z wbudowanymi latarkami, świąteczne nakrycia głowy, zestawy do doniczkowej uprawy ziół. No wiecie, tego rodzaju rzeczy.

Zerkam na milczący telefon. W tym miesiącu Rob ma urodziny. Powinnam zadzwonić z życzeniami? Kiedy przestaje się pamiętać o urodzinach swego chłopaka? Muszę się tego wywiedzieć, bo właśnie takie informacje powinny znajdować się na mojej stronie.

W zeszłym roku w ramach prezentu urodzinowego zabrałam go na wycieczkę-niespodziankę do Rzymu. Było bardzo romantycznie, tyle że powiedział, abym go więcej nie zaskakiwała wycieczkami, gdyż czuł się „nabierany”. Ale nie wolno mi rozpamiętywać dobrych czasów. Twarda rzeczywistość – oto, czego mi trzeba. I zachowywania dystansu. Biorę do ręki jedną z gazet Lucy.

„Uznany lekarz twierdzi, że kobiety odkładające macierzyństwo na później ryzykują niepłodnością”.

Przyglądam się uważnie zdjęciu, na którym kobieta w garniturze ze smutkiem unosi do twarzy robione na drutach maleńkie buciki, a podpis pod nim głosi: „Gdy ma się trzydzieści pięć lat, płodność spada na łeb, na szyję”. O rany, teraz to dopiero fatalnie się czuję. Przyglądam się kobiecie od bucików, która zbyt długo zwlekała. Wygląda jak ja. Czemu drukuje się tego rodzaju rzeczy? Czemu, skoro mogą to przeczytać trzydziestoparolatki? I co niby mamy zrobić – wybiec na ulicę, dopaść pierwszego lepszego faceta, który porusza się bez pomocy laski, i zająć w ciążę, nim ładniutki balon płodności odfrunie na zawsze? Rzucam gazetę na podłogę.

Zresztą nie mam jeszcze trzydziestu pięciu lat. Zostało mi jeszcze parę lat do tego spadania na łeb, na szyję, a przez ten czas zejdę się z Robem.

Lucy wraca z szampanem – prawdziwym szampanem, proszę ja was, a nie winem musującym. Stać ją: ma bajerancką posadę w wielkim bajeranckim biurze na Berkeley Street. Właściwie to zabawne – znam szczegóły jej życia seksualnego, ale o pracy Lucy wiem niewiele. Raz próbowała mi to wyjaśnić. I usłyszałam: „Akcje, udziały, giełda, byk, niedźwiedź, ocena ryzyka, bla, bla”. Z tego, co mi wiadomo, piastuje całkiem wysokie stanowisko. Siorbię łaskoczące bąbelki.

– Tak sobie pomyślałam – mówię – że na stronie mogłybyśmy mieć coś w rodzaju zakładki randkowej, gdzie ludzie są oceniani przez swoich byłych. No wiesz, tak jak na Amazonie przyznaje się gwiazdki książkom. Przed dokonaniem zakupu można sprawdzić, co myślą o tym inni. Coś takiego mogłoby być fajne.

– Tyle że wszyscy twoi byli uważają cię za pomiot szatana.

– Nie wszyscy... Mówisz poważnie?

– Przez ciebie Ginger Roge został gejem, pamiętasz?

– Nie da się zrobić z kogoś geja, Lucy. To przecież nie sekta.

– Wobec tego ten koleś z RAC. Ten, z którym się przespałaś po tym, jak ci naprawił samochód. Twierdzi, że zrujnowałaś mu życie.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Wiesz co, walenie prosto z mostu przychodzi ci z taką łatwością, że powinnaś prowadzić własną rubrykę porad osobistych.

– Hmm, taaaak... *Zapytaj Lucy*. Podoba mi się – mówi marzycielskim tonem.

Biorę do ręki telefon, po czym wyłączam go i włączam, żeby mieć pewność, że nie ma jakiejś usterki.

– Czemu po prostu nie zadzwonisz do Roba? Nie rozumiem, czego się tak boisz.

– Niczego się nie boję.

– No to zrób to. Ukróć cierpienia swoje i moje.

– W porządku, zadzwonię.

Naprawdę nie chcę do niego dzwonić. Nie rozmawiałam z nim od czasu wyprowadzki. Jestem przekonana, że zgodnie z zasadami „zrobienia sobie przerwy” to ja odeszłam, więc to on powinien zadzwonić. No bo przecież nie zostawia się kogoś, by potem wydzwaniać do niego dniami i nocami. Lucy patrzy na mnie gniewnie. Może tylko będę udawać, że do niego dzwonię...

– I nie waż mi się tylko udawać, że rozmawiasz – oświadczają.

Wybieram jego numer i wciskam „zadzwoń”. Pokazuję jej napawający przerażeniem wyświetlacz – „dzwonię do Roba” – po czym przykładam telefon do ucha, patrząc Lucy prosto w oczy. Jestem przerażona. Słyszę sygnał wywoławczy. Serce wali mi jak młotem.

– Rob Waters, słucham?

Rozłączam się i rzucam telefon, jakby parzył.

– Pięknie – mówi Lucy.

Telefon zaczyna dzwonić. Obie patrzymy w jego stronę.
Gramolę się z sofy, aby go podnieść.

– To on – mówię.

– Pieprzysz. – Otwiera szeroko oczy, co wcale nie dodaje jej urody.

Wciskam przycisk.

– Vivienne Summers, słucham?

– Cześć, z tej strony Rob... Dzwoniłaś przed chwilą?

Na dźwięk jego cudnego głosu czuję ból.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam nonszalancko.

– Wyświetlił mi się twój numer.

– No dobrze... Rzeczywiście zadzwoniłam, ale przez pomyłkę.

– Och, no tak. Co u ciebie, Viv? Wszystko dobrze?

– Świetnie. Jestem bardzo, eee... zdrowa i zajęta, no wiesz...
A u ciebie?

– Dobrze. – Milknie i do moich uszu dobiega odgłos zbieranych talerzy.

– Jesz coś właśnie? – pytam.

– Wybierasz się w sobotę? – mówi w tym samym momencie.

– W sobotę? W sobotę, eee... – Tak, świetnie! Udawaj, że nie wiesz, iż to dzień ślubu Jane i Hugo. Udawaj, że w ogóle nie obchodzi cię fakt, iż to właśnie tę sobotę braliście pod uwagę przy wyborze daty waszego ślubu.

– Ślub Hugo? – dodaje.

– Ano tak. Wybieram się.

– Ja też. Zapowiada się niezła impreza. – On też udaje, że go to nie obchodzi, ale po jego głosie poznaję, że nie może się doczekać spotkania ze mną. Będziemy przebywać w tym samym miejscu. Już ja dopilnuję, aby wyglądać olśniewająco. Myślę, że to właśnie spotkania ze mną mu trzeba; będzie błagał, żebym do niego wróciła. Miesiąc rozłąki to betka. Pewnego dnia będziemy się z tego śmiać, siedząc przy kominku. – Właściwie to zamierzałem zadzwonić do ciebie w tej sprawie – mówi.

– Naprawdę? – Poprosi mnie, abym była jego osobą towarzyszącą. Naturalnie odmówię; nie chcę się wydać zbyt chętna.

– Tak, chciałem po prostu dać ci znać, że przyjdę z kimś... eee... z osobą towarzyszącą.

Coś ściska mnie za gardło.

– Osobą towarzyszącą? Och. Z kim? – pytam dziwnie wysokim tonem.

– Z przyjaciółką. – Przepraszam w jego głosie przeszywają mi serce. Dopiero po chwili jestem w stanie znowu oddychać.

– Jakiego rodzaju przyjaciółką?

– Co masz na myśli?

– To po prostu dobra koleżanka czy też twoja... no wiesz, dziewczyna? – Lucy wykonuje gest mający symbolizować podcinanie gardła. Odwracam głowę.

– Yyy... A czy to ważne?

– Cóż, tego nie wiem. A czy ona jest ważna? Gdzie ją poznałeś? Kiedy ją poznałeś? Jezu, Rob, odeszłam zaledwie miesiąc temu!

– Słuchaj, Viv, nie denerwuj się...

– Nie denerwuj się? A kto się denerwuje? Na pewno nie ja!

– Teraz naprawdę nie mogę rozmawiać. Chciałem jedynie, abyś wiedziała, że z kimś przyjdę.

– Ja też. Ja też z kimś przyjdę. Naturalnie nie z przyjaciółką. Nie, nie. Więc... dobrze, że poruszyłeś ten temat. Sama zamierzałam to zrobić, no wiesz, żeby cię przygotować. Nie wiem, jak się poczujesz, kiedy zobaczysz mnie z kimś innym...

– Dobrze. Cóż, to świetnie. Wobec tego do soboty.

– Do soboty! – Muszę rozłączyć się pierwsza. Wciskam guzik.

– Pa, Viv – słyszę, jak mówi, gdy ja dosłownie mdleję.

Oceń byłego / była

2 lipca, 08:03

Od: C. Heslop

Do: Vivienne Summers

Temat: Odp: Oceń byłego / była

Vivienne była super. Zdecydowanie zarekomendowałbym ją jako potencjalną dziewczynę. Poza tym jest atrakcyjna – osiem punktów na dziesięć, a może i więcej, jeśli się postara. Jest osobą zdecydowaną – niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że upartą, co ostatecznie stało się dla mnie kwestią problematyczną. Jest impulsywna, co bywa zabawne, ale i męczące, no i zdarzyło jej się zachowywać jak kobieta - bluszcz.

Heslop, lat 36, Londyn

Chciałabym w tym momencie zaznaczyć, że ten facet, Charlie Heslop, pewnego razu spał na mojej wycieracze, ponieważ chciał się przekonać, o której godzinie wróć do domu – i to mnie nazywa kobietą-bluszczem? Wrr. Usunąć. Usunąć. Darujemy sobie na stronie ocenianie byłych. Lucy miała rację.

Ale nie jestem w stanie teraz myśleć ani o stronie, ani o czymkolwiek innym, dlatego że...

Rob się z kimś spotyka.

Wypowiedziałam te słowa na głos, napisałam je i podkreśliłam, ale i tak do mnie nie docierają.

Moje myśli ciągle kręcą się wokół kilku pytań. Kim ona jest? Znam ją? Gdzie się poznali? Spotykał się z nią przed moim odejściem? Jak grube ma uda? I od początku... Tak mijają całe godziny i nagle odkrywam ze zdumieniem, że jest środa rano.

Nie można ot tak dzwonić do byłej narzeczonej, oświadczać: „W sobotę zjawię się z osobą towarzyszącą” i oczekiwać, że wszystko będzie dobrze. Czuję się tak, jakby zadał mi cios nożem. Tkwię uwięziona w piekielnym wirze rozpacz. Nie jestem w stanie funkcjonować. Nie jestem w stanie spać. W pracy zachowuję się jak zombie.

Praca! Zerkam na wiszący na ścianie zegar. Siódma piętnaście.

O nie, dzisiaj naprawdę nie dam rady. Chyba mnie coś rozbiera. Naprawdę drapie mnie trochę w gardle, a brzuch pobolewa. Najlepiej by było, gdybym została w piżamie i przez cały dzień kręciła się po mieszkaniu. Przez chwilę obchodzę plastikowy stolik, przecinając drogę ciepłym promieniom słońca. Przysiadam na oparciu sofy i przez okno patrzę ponad dachami, wyobrażając sobie Roba i tę... tę diabolicę. Widzę, jak przerabiają razem *Kamasutrę*, śmieją się z moich niepowodzeń i wrzucają do foliowych worków pozostałe tam ślady po mnie... Mój żel pod prysznic, na wpół opróżnioną tubkę farby do włosów, lekko przypalone foremki do sufletów. Na ulicy pierwsi ludzie rozpoczynają poranny marsz w stronę stacji.

O Boże, muszę się zbierać do pracy; akurat dziś jest to ważne zebranie. Nie może mnie na nim zabraknąć.

W sypialni wyrzucam ubrania z szafy na podłogę. Mój Rob kogoś ma. „Chciałem jedynie, abyś wiedziała, że z kimś przyjdę”. To dokładnie jego słowa, słowa, przez które znalazłam się w piekle. Zakładam czarną sukienkę i mocuję się z zamkiem na

plecach. To nie może być prawda. To ja czekałam, żeby zadzwonił, a on w tym czasie spotykał się z inną? Przecież minął zaledwie miesiąc. Ani trochę za mną nie tęsknił? Nie mógł zadzwonić choćby raz? Zapalam w łazience światło – żarówka trochę buczy – i biorę się za mycie zębów.

Prawdopodobnie budzi się z nią teraz... budzi się z nią w naszym łóżku. Myśląc, że to czyste szaleństwo, szybko wypluwam pastę, przepłukuję usta i znowu zaczynam krążyć po mieszkaniu.

Wszystko tutaj jest obce i przerażające, nie takie jak trzeba. Chcę Roba. Chcę naszego, cóż – raczej jego, ślicznego, drogiego mieszkania, naszej porannej rutyny. Teraz na pewno poszedł biegać, zjadłszy talerz owoców i płatki ryżowe. Znam ten stary niebieski T-shirt, który ma na sobie, wiem, jak opina mu tors. Następnie weźmie prysznic – i wiem dokładnie, jak to będzie wyglądało: najpierw umyje włosy, jasne loki, które pod wpływem wody ciemnieją. Uwielbiam mu się przyglądać, kiedy szykuje się do pracy. Zawsze wychodzimy razem... To znaczy, zawsze wychodziliśmy razem. To cmoknięcie w policzek, którym mnie obdarzał, kiedy wysiadał z pociągu. Kogo teraz cmoka? Ją, a kogóż by innego.

W pięciu krokach pokonuję odległość z łazienki do sypialni i siadam na łóżku, aby zapiąć paseczki czarnych sandałów. Kupiłam to łóżko zaledwie miesiąc temu. Pamiętam, jak myślałam, że to wcale nie jest wyrzucanie pieniędzy w błoto, ponieważ Rob i ja i tak potrzebujemy łóżka do pokoju dla gości. Lucy mnie odwiedziła i zaczęła na nim podskakiwać.

– Pomyśl o tych wszystkich pikantnych bzykankach, jakie cię tu czekają – oświadczyła.

– To znaczy, kiedy wpadnie do mnie Rob?

- No nie, powiedziałam przecież „pikantnych”.
- Nasz seks jest pikantny. – Byłam oburzona.
- Masz na myśli ten jeden raz, kiedy nie zgasiliście światła?
- Zaśmiała się, a ja pchnęłam ją na materac.

Cholerna Lucy. Wzdycham, czesząc się. Ależ byłam głupia. Idiotka do kwadratu, siedząca tu i myśląca, że Rob za mną zatęskni. Oczami wyobraźni widzę, jak przyprowadza do domu dziewczynę, przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. Ona podziwia wystrój, który jest moim dziełem, i leży w pościeli, którą ja wybrałam. Czuję palący ból. On jest mój – mój narzeczony, moja bezpieczna przyszłość. Nie znam innego życia. Nasze losy się ze sobą splotły – tak właśnie powiedział, słowo w słowo. Ja nawet nie próbowałam się z tego wyplątać, ale on, owszem, jest wolny, pędzi ku kolejnej przygodzie, zatrzymując się tylko po to, aby rozwalić moje życie.

O Boże, czuję zbliżający się atak paniki. Staram się oddychać powoli, gdy szukam w kosmetyczce tonującego kremu nawilżającego. Czynię użytek z eyelinera i szminki, ale prawdę powiedziawszy, moja twarz jest tak spuchnięta od płaczu, że więcej i tak się nie da zrobić.

No a co z Bobem i Marie? Jego rodzice za mną przepadają. Marie na każdą Gwiazdkę robi mi na drutach nową czapkę i rękawiczki. Czy to znaczy, że już nigdy nie będę siedzieć w ich oranżerii i sączyć słodkiego białego wina z najlepszych kryształowych kieliszków? A co z obiecanyimi przez Boba lekcjami golfa? A jeśli Marie zaczęła już dziergać na drutach? Przechodzę do salonu. Och, kiedy znowu zobaczę się z Bobem i Marie? Wyobrażałam ich sobie jako dziadków moich dzieci – serdecznych i cierpliwych, siwowłosych i w okularach, jak w dziecięcych historyjkach. Byli jedynym normalnym, stabilnym elementem

mojego życia. A teraz ich nie ma. Nie jestem w stanie tego znieść. Opadam na poduszki i oplakuję utratę rodziców Roba.

Po jakimś czasie drętwieje mi lewa noga. Wstaję i sprawdzam, która godzina. Wpół do ósmej. Patrzę w wielkie francuskie lustro, które uznałam za świetne, kiedy się tu wprowadziłam. Teraz wydaje mi się absurdalne. Robowi by się nie spodobało. Jest za ciężkie, aby je powiesić. Miałam wrażenie, że oparte o ścianę wygląda jakoś tak artystycznie, ale moje odbicie w nim wygląda dziwnie – w udach wcale nie jestem przecież szersza niż w ramionach. Sprawdziłam. Staję teraz przed nim i przeglądam się przez długą chwilę: szatynka z podpuchniętymi oczami, w niewyszukanej sukience. Wciągam brzuch, otwieram szeroko oczy i lekko stroszę grzywkę. Ścieram rozmazane kreski na powiekach. Prostuję plecy, po czym z powrotem się przygarbiam. Nie da się tego ukryć, wyglądam tak samo, jak się czuję – gównianie. Potrzebna mi pomoc. Na szczęście numer do Lucy mam na szybkim wybieraniu.

– Halo?

– Cześć, to ja.

– Viv, to nie jest dobry moment. – Głos ma taki, jakby mówiła na bezdechu.

– Okej, zabiorę ci tylko chwilkę. Chcę jedynie wiedzieć, jak byś mnie opisała? Jestem ładna?

– Tak.

– No ale jak? Seksownie ładna? Dziewczęco ładna? Wyrafinowanie ładna?

– Seksownie ładna – wyrzuca z siebie bez tchu.

– Hmm. Uwodzicielsko seksownie ładna czy subtelnie seksownie ładna?

– A jak byś chciała? – Chyba dyszy.

– Cóż, najlepiej to... nie-starająca-się-zbytńio seksownie ładna.

– Taka jesteś.

– Nie jestem, choć rzeczywiście bardzo się staram.

– Mam to gdzieś, Viv! Mam w łóżku faceta i nie chcę cię teraz słyszeć. – Rozłącza się.

Nie mogę w to uwierzyć. Cóż za egoizm. Jeśli mam być szczerą, to Lucy bywa czasami egoistyczna... i bezwzględna. Wie przecież, że mam złamane serce. A tak w ogóle to co to za facet w jej łóżku? Sądziłam, że z nikim się aktualnie nie spotyka. Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziała. Oprócz tego, że jest bezwzględną egoistką, bywa także skryta.

Udaję się do kuchni i przez chwilę wpatruję się w przestrzeń. Zastanawiam się, czy nie zaparzyć kawy. Omiotam wzrokiem różową kuchnię z frontami na wysoki połysk; w porównaniu z robionymi na zamówienie z orzecha meblami kuchennymi Roba wydaje się teraz taka nedorzeczna. Co ja sobie myślałam, kiedy wynajmowałam to mieszkanie? Otwieram lodówkę i zaglądam do środka. Wzdychanie pomaga. Co ludzie robią w takiej sytuacji? Najpewniej jadą do domu rodziców i wypłakują się nad kubkiem herbaty, ale w moim przypadku coś takiego nie wchodzi w grę. Oficjalnie można chyba powiedzieć, że moja mama jest podróżniczką. Zaszła w ciążę, kiedy chodziła jeszcze do szkoły, i do dziś dnia nie zdradziła z kim. Urodziła mnie w wieku

siedemnastu lat, a kiedy ja miałam siedem, doszła do wniosku, że macierzyństwo jest nie dla niej i „poszła w długą z Cyganami”, jak to ujął dziadek. Mogłabym jednak jechać do babci. A czemu by nie? Zadzwońię do niej. Zamykam lodówkę i idę poszukać telefonu.

Dzwonię, dzwonię i nic. Gdzie ona się podziewa? Rozpieram się na sofie i raz za razem wciskam „zadzwoń”. Pewnie krząta się po ogrodzie, obrywając zwiędłe kwiaty, ubrana w jedną z tych swoich lnianych workowatych sukni i w dziwacznych mokasynach, nieświadoma mego cierpienia. Dzwonię raz jeszcze. Odbiera bez tchu.

– Siedem jeden osiem dziewięć zero?

– Babciu! Dzwoniłam do ciebie. Gdzie byłaś?

– Och? Eee... Tutaj. – Dziwny ma głos; wydaje się zakłopotana, jak dziecko, które kłamie.

– On kogoś znalazł, babciu – zawodzę. Zalewa mnie fala smutku.

– Kto, kotku?

– Rob. Mój Rob. – Cisza. – Pamiętasz, mieliśmy wziąć ślub?

– Myślałam, że od niego odeszłaś.

– Odeszłam, ale on teraz kogoś ma! Nie spodziewałam się, że będzie kogoś miał! – Zatyka mi się nos i słyszę echo swego piskliwego głosu. W tle rozbrzmiewa stuknięcie, jakby postawiono na płytkach blaszane wiadro. – Babciu? Wszystko dobrze? – Słyszę zduszony chichot. – Babciu?

– Tak, skarbie, wszystko dobrze. Reggie tu jest i właśnie przewrócił wiaderko z szampanem.

– Wiaderko z szampanem?

– Tak. Reg, podnieś je, bo ten lód zaraz znajdzie się dosłownie wszędzie!

– Jest w twoim domu tak wcześnie i popijacie szampana?

– Zgadza się, skarbie. – W jej głosie słychać zadowolenie.

– Nie ma jeszcze ósmej.

– Mamy wędzonego łososia. Jemy brunch z szampanem!

– Brunch? Brunch je się o jedenastej.

– Naprawdę? Cóż, wobec tego śniadanie z szampanem.

Nóż okrutnie obraca się w moim sercu. Cały świat świetnie się bawi, tylko nie ja.

– Cóż, babciu, nie będę cię zatrzymywać. Nie chcemy, aby moje złamane serce przeszkadzało ci w spożywaniu śniadania, prawda?

– Dobrze, skarbie. Zadzwoń później?

– Możliwe.

– No to pa, cukiereczku.

Rozłączam się. Cukierczek? Brunch z szampanem? To wszystko wpływ „Reggiego z naprzeciwka”. Ciągle się tam kręci,

zwłaszcza odkąd dziadek nie żyje. Odbiera nawet ten cholerny telefon! Boże. Ostatnie, czego mi trzeba, to zakochana babcia. Jej życie uczuciowe nie może być przecież bardziej udane od mojego, prawda? Ma siedemdziesiąt lat!

Wrzucam telefon do torby. Powinnam już jechać do pracy. Waham się, czy brać zakiet. Wychodzę na klatkę schodową, dwa razy wracam po klucze i portfel, po czym schodzę wyłożonymi śmierdzącą wykładziną schodami.

Wszystkie moje myśli krzyczą, wszystkie potrzebują wykrzykników. Ładny dziś dzień, myślę. Ładny dzień na ślub! Ślub Jane i Hugo! Za trzy dni! I co ja mam zrobić? Nie mogę iść! Ale nie mogę nie iść! Przyjęłam przecież zaproszenie!

Wskakuję do autobusu ułamek sekundy przed tym, jak kierowca zamyka drzwi, i stoję, opierając się o półkę bagażową, gdy tarabanimy się ulicami Londynu. Plan miałam taki, aby pójść na wesele w swojej starej niebieskiej sukni koktajlowej i zejść się z Robem. Teraz wszystko się zmieniło. Mam trzy dni na znalezienie zabójczej kiecki, zgubienie sześciu kilo i znalezienie nowego chłopaka. Przegrana sprawa. Gdy przedzieramy się przez miasto, koncentruję się na wystawach mijanych sklepów, wyobrażając sobie siebie w różnych sukienkach, które widzę, i porównując się z moją obdarzoną perfekcyjnym wyglądem przeciwniczką.

W końcu autobus zatrzymuje się na moim przystanku. Dołączam do tłumu ludzi i przechodzę przez Marylebone Road na Baker Street, przy każdej mijanej kobiecie zastanawiając się, czy to ona. Przechodzę przez ulicę i daję się połknąć drzwiom obrotowym budynku, w którym mieszczą się biura Barnes and Worth.

Wbiegam do pełnej ludzi windy i drzwi się zamykają. Mała podświetlana strzałka pokazuje górę, po czym znika, gdy drzwi

znowu się otwierają i do środka wciska się jeszcze wysoki mężczyzna z przyprószonymi siwizną włosami. Robię pół kroku w tył, aby uniknąć kontaktu z jego wielkimi, wypastowanymi na błysk butami. Strzałka pojawia się ponownie, jedziemy. A figa. Drzwi po raz kolejny się rozsuwają, a naszym oczom ukazuje się skruszona kobieta w przyciasnej bluzie z kapturem. Wślizguje się w sam kąt, stojąc na palcach. Okej, jeszcze raz. Strzałka. Dobrze.

Na litość boską! Drzwi otwierają się i dostrzegam nas w wiszącym naprzeciwko lustrze, małą puszkę pełną ludzi upakowanych jak sardynki. Jakiś koleś z obleśnie nażelowanymi włosami próbuje wejść. I teraz drzwi nie chcą się zamknąć. Wieki całe trwa, nim dociera do niego, że to on jest tego powodem, i w końcu wysiada. Drzwi zasuwiają się i znowu rozsuwają, ponieważ wcisnął ten cholerny guzik.

– Nikt się tu już nie zmieści! Proszę przestać wciskać guzik!
– piszczę zza Pana Szpakowatego. W windzie można wyczuć podekscytowanie, gdy drzwi się zasuwiają i w końcu suniemy w górę. Jajeczny fetor bąka miesza się z zapachem wody po goleniu. Wpatruję się w płatki łupieżu na kołnierzyku Szpakowatego, świadoma spojrzeń utkwionych w moich plecach. Rozglądam się, oczekując uśmiechu lub choćby jakiegoś komentarza, ale wszyscy unikają mojego wzroku. Milczą, a na ich twarzach widnieje lekkie zdziwienie, jak u zaskoczonego bydła.

Mam to gdzieś. Nie wiem jak, ale przysięgam, że kiedy po południu opuszczę biuro, będę mieć suknię i plan. Na sto procent.

Nauczki na przyszłość

Ciasteczko: Czy ktoś może mi pomóc? Mój chłopak mnie zostawił i czuję się koszmarnie.

Alikotek: Biedne Ciasteczko. Będzie lepiej. Ja zostałam okrutnie porzucona w zeszłym roku i wiem, jak się czujesz. Mogę ci jedynie doradzić, abyś starała się po prostu przeżyć każdy kolejny dzień.

Promyksłońca: Nigdy nie daj sobie wytatuować na obu pośladkach litery B.

Ciasteczko: BB? Jego inicjały?

Promyksłońca: Ma na imię Bob. (Wtedy wydawało się to słodkie i zabawne.)

Alikotek: Wyrzeknij się kochania go, ale nie wyrzekaj się miłości.

Promyksłońca: I zniszcz wszystkie nagrania, na których widać, jak uprawiacie seks.

Alikotek: Naprawdę dasz sobie radę i pewnego dnia będziesz o wiele szczęśliwsza.

Ciasteczko: Dzięki. Pewnie pewnego dnia będę mieć więcej nadziei.

Koola: Ale jesteście popieprzone.

Mój gabinet mieści się na trzynastym piętrze. Mówię „gabinet”, ale to raczej „stacja robocza”. Jesteśmy upchnięci między obitymi filcem przepierzeniami jak krowy w zagrodzie. Sponad przepierzenia mam widok na całe biuro. Jest tu bardzo, ale to bardzo szaro, a buczenie fluorescencyjnych lamp przyprawia o ból głowy. Jestem przekonana, że to miejsce wywołuje syndrom chorego budynku. Opadam na obrotowe krzesło i staram się ignorować ściskanie w żołądku.

Dzisiejszego ranka odbywa się zebranie pod nieoficjalnym tytułem *Nauczki*. Analizujemy dotychczasowe błędy zamówieniowe, aby się przekonać, jakie wnioski na przyszłość możemy z nich wyciągnąć. Moja asystentka, Christie, ma przedstawić listę kiepsko sprzedających się produktów z ubiegłych sezonów oraz podsumowanie umieszczanych w specjalnym panelu opinii klientów. Ublągała mnie, abym dała jej szansę zaprezentowania się przed Snotty, która piastuje stanowisko głównego nabywcy i jest naszą szefową. To trochę jak umieszczenie skamlącego szczeniaka w kojcu razem z rottweilerem, ale się zgodziłam – zresztą i tak nie miałam czasu, aby osobiście się tym zająć.

Patrzę, jak Christie, kołysząc biodrami, zbliża się do swojego biurka. Włosy w odcieniu platynowego blondu ma spięte w ciasny kok, jej skóra dusi się pod grubą warstwą ciemnego podkładu. Czerwone szpilki i niebieska garsonka dopełniają wyglądu, który nazywam „stewardesowym”. Najwyraźniej taki właśnie według Christie powinien być strój do pracy w korporacji.

- Dzień dobry! – woła śpiewnie. – Słyszałaś o cięciach?
- Jakich cięciach? – Próbuję odpalić wiekowy komputer.
- Zaciskanie pasa w Barnes and Worth. Redukcje. Planowanie wydatków i tym podobne.
- Skąd wiesz?
- Paul słyszał o tym w radiu.
- Och, środki zapobiegające recesji. – Staram się, aby brzmiało to autorytatywnie. – Ja bym się tym nie przejmowała. Zresztą w czasie recesji ludzie kupują więcej bezużytecznych prezentów, więc czeka nas jeszcze więcej pracy.

– O tak! – mówi z zadowoleniem.

Zaciskanie pasa? Ani trochę mi się to nie podoba. Nie mogę powiedzieć, że kocham swoją pracę, bywają dni, że nawet jej nie lubię, ale w sumie jest dość twórcza, no i dzięki niej mam z czego żyć. Zdecydowanie nie chciałabym dołączyć do grona bezrobotnych.

– Gotowa? – pytam.

– No więc tak, przejrzałam wyniki sprzedaży za zeszły rok i z każdego miesiąca wybrałam trzy najgorzej sprzedające się produkty.

– Super. – Włączam i wyłączam monitor.

– Och, i mam także reakcje z panelu klienta, żebyśmy mogli je przeanalizować.

– Wiesz wobec tego, co zamierzasz powiedzieć?

– Co zamierzam powiedzieć?

– Co sądzisz na temat tych produktów?

– O tym akurat nie pomyślałam.

– Cóż, Snotty zapyta o to na bank.

Przeglądam maile. Ani jednego od Roba. Ciekawe, czy wysłała teraz wiadomości swojej nowej dziewczynie. Czuję bolesne ukłucie. Próbuję się uspokoić i myśleć o pracy. Rzucam okiem na przygotowaną przez Christie listę i w myślach robię notatki. Żołądek ściska mi się z nerwową energią i można

powiedzieć, że znajduję się na krawędzi hysterii. To zebranie nie może zbyt długo trwać. Muszę znaleźć sukienkę. Nieważna cena ani styl, musi po prostu być niesamowita – cudowna suknia, która zakrywa grube uda, a podkreśla piersi... Mam więc nadzieję, że Christie jest zorganizowana. Wstaję.

– Idziemy?

Christie zabiera z biurka plik kartek i zeszyty i przy wtórze stukania jej obcasów udajemy się korytarzem do sali konferencyjnej.

Zajmujemy miejsca przy dużym owalnym stole. Mam na sobie sukienkę bez rękawów i powiew klimatyzacji przyprawia mnie o gęsią skórę. Zjawia się Snotty i głośno kładzie na stole stertę dokumentów. Ma na czubku lekko garbatego nosa okulary połówki i rzuca nam sponad nich spojrzenie pozbawione ciepła.

– Dzień dobry, Vivienne. – Kiwa głową. – Christine.

– Dzień dobry – odpowiadamy chórem jak uczennice.

– Pierwsza sprawa, Vivienne... Musisz wiedzieć, że lubię planować sobie czas, byłabym więc wdzięczna, gdybyś przesłała mi mailem program tego zebrania, łącznie ze wszystkimi liniami produktów, które dzisiaj analizujemy.

Kazałam Christie to zrobić; miała przejąć pełną odpowiedzialność za to zebranie. Zaczyna mnie swędzieć skóra na karku.

– Tutaj mam kopię. – Przesuwam po stole swój wydruk. – Przepraszam, że nie otrzymałaś tych informacji. Do późnego wieczoru analizowałyśmy wyniki grupy dyskusyjnej i miały one wpływ na to, jak ostatecznie będzie wyglądał program zebrania. –

Skąd ja biorę te wszystkie kłamstwa?

– Cóż, to już... coś. – Snotty czyta notkę, unosząc przy tym brwi. – No dobrze, punkt pierwszy: prezentacja Christine dotycząca nieudanych linii. – Sznuruje czerwone usta. Surowe spojrzenie bursztynowych oczu wwierca się w Christie.

Christie wstaje i drżącym głosem zaczyna czytać z pogiętej kartki:

– Powodem, dla którego odbywa się dzisiejsze zebranie, które według mnie ma duże znaczenie, jest to, abyśmy przyjrzeni się produktom, które kiepsko się sprzedawały, i przeanalizowali, dlaczego kiepsko się sprzedawały, a następnie zastanowili się, jak nie mieć w swojej ofercie produktów, które kiepsko się sprzedają.

Snotty mruczy pod nosem coś jakby „Chryste Panie” i nalewa sobie wody.

Będę musiała kupić do sukienki nowe buty? Może udałoby mi się dzisiaj zrobić dłuższą przerwę na lunch i przejść się na Oxford Street. Ciekawe, jak się ubierze „osoba towarzysząca” Roba.

Snotty spuszcza wzrok i kręci głową.

Christie trzyma w ręce zestaw składający się z czepka kąpielowego oraz rękawiczek i czyta dziarsko komentarze klientów: „Zbyt staromodne”... „Moja babcia miała tego typu czepki, a ona już od dziesięciu lat nie żyje”... „Nie kupiłabym tego”... „Strasznie nie lubię czepków kąpielowych”... „Produkt tego typu spodziewałabym się znaleźć w jakimś sklepie ze wszystkim za funta, a nie w Barnes and Worth”.

O mój Boże. Christie robi z siebie kompletną idiotkę,

czytając na głos komentarze klientów zamiast wygładzonego streszczenia. Co ona wyrabia? Brała przecież udział w tylu tego typu prezentacjach, niczego jej nie nauczyły? Sądziłam, że da sobie radę. Później ją zabiję, ale w tej chwili muszę ruszyć z odsieczą. Jak mam to zrobić, nie upokarzając jej przy tym? Pod stołem wbijam sobie paznokcie w dłonie.

– „Bardzo mi się nie podoba. Jaki to niby ma być kolor?” – czyta śpiewnie Christie.

Snotty przyciska wymanikiowany palec do policzka, po czym celuje nim w Christie.

– Wystarczy. Dlaczego nie zajęto się panelem klientów w fazie projektowej, zanim zamówiliśmy pięć tysięcy tych „zestawów”? To przechodzi ludzkie pojęcie. – Bierze czepek pomiędzy palec wskazujący a kciuk, jakby to były brudne majtki, i rzuca nim w Christie. – Powiedz mi, Christine, kupiłabyś to?

Christie się śmieje.

– Nigdy w życiu!

– Wobec tego kto, do cholery, to wymyślił i kto dał zielone światło temu pomysłowi? – krzyczy Snotty.

Zapada cisza, podobna do tej, gdy drogi kryształowy wazon spada ze stołu, by następnie rozbić się w drobny mak. Christie patrzy na mnie, a jej duże oczy błyszczą od łez.

Wstaję i podnoszę czepek.

– Czy mogę to wytłumaczyć? Ten zestaw stanowił część kolekcji zwanej „łazienkowe piękności” z wizerunkami gwiazd filmowych z lat pięćdziesiątych. Trzy pozostałe produkty – zestaw

do pedikiuru, żel do kąpieli i balsam do ciała, mydło w płynie i krem do rąk – sprzedawały się doskonale. Podczas fazy projektowej panele klientów dostarczyły pozytywnej informacji zwrotnej dotyczącej kolekcji jako całości, ale teraz się zastanawiam, czy nie lepszy byłby jakiś turban i kolorowa gąbka. Prawdę powiedziawszy, ja to wymyśliłam, a... eee... ty dałaś temu zielone światło.

Brniemy w to dalej cały ranek, aż do lunchu. Staram się osłaniać Christie, ale bardziej przekonująco zrobiłby to facet, który opróżnia kosze na śmieci. Oto nasze nauczki na przyszłość:

1. Dopilnować, aby wszystkie produkty w serii były równie dobre.
2. Klient musi czuć, że kupuje coś wyjątkowego.
3. Christie zostanie zwolniona.

W milczeniu zbieramy nasze nietrafione produkty. Czuję, jak potwornie zażenowana jest Christie. Kiwam głową Snotty i kierujemy się w stronę drzwi, ale ona mnie przywołuje.

– Vivienne, mogę cię prosić na słówko?

– Oczywiście.

Christie waha się w drzwiach.

– Ty idź, Christine. – Snotty odprawia ją ozdobioną bransoletkami ręką. Drzwi się zamykają i ponownie siadamy za stołem. – Vivienne, nie będę owijać w bawełnę. Poproszono mnie o dokonanie redukcji etatów i część osób z działu będzie musiała odejść. Mam na oku wszystkich – patrzy mi uważnie w oczy – ale jeśli mam być szczerą, to twoja asystentka, Christine, jest nieudolna.

– Christie.

– Słucham?

– Ma na imię... Christie, nie Christine.

– Mniejsza z tym. Zwalniam ją.

– Wolno ci tak zrobić, ot tak?

– Wolno. – Przez jej twarz przemyka smutny uśmiech, jakby ciężar tej odpowiedzialności ją dobijał; następnie zgarnia swoje papiery i wstaje. Otacza ją chmura perfum.

– A gdybym ją lepiej podszkoliła? Prawdopodobnie brak jej doświadczenia. Możliwe, że powierzam jej zbyt mało odpowiedzialnych zadań.

– Vivienne, to urocze, że jej bronisz, ale naprawdę, jeśli masz awansować, będziesz się musiała do czegoś takiego przyzwyczaić.

– No tak... Chodzi po prostu o to, że czuję się za nią odpowiedzialna. To była jej pierwsza prezentacja. I nie byłoby taniej zatrzymać Christie niż zatrudnić nową asystentkę i od nowa ją szkolić?

Śmieje się.

– Nie zatrudnimy nikogo na jej miejsce.

– Och... No cóż... Uważam, że to niesprawiedliwe. – Zaciskam dłonie i czuję, że uszy mi płoną.

– W porządku, to udziel jej werbalnego ostrzeżenia. Ma szansę się poprawić. Ale tylko jedną, następnym razem wylatuje.

Wstaje, a ja dostrzegam wtedy jej zadziwiająco doprawdy stopy. Sandałki w kolorze flegmy, a do nich różowe skarpetki. Zatrzymuje się w otwartych drzwiach.

– Nauczki na przyszłość spiszesz i porozysłas najpóźniej do?...

– Eee... Niech no pomyślę, do piątku?

– Do jutra. O dziewiątej mam zebranie z nabywcami.

Siedzę sama, słuchając buczenia klimatyzacji. Mam wrażenie, jakbym dryfowała na bezkresnym, wzburzonym morzu. Da się wytrzymać, jeśli koncentrujesz się na samym dryfowaniu, ale wystarczy, że podniesiesz wzrok, a widzisz przerażające fale, które zaraz cię pochłoną. Będę musiała skończyć ten głupi raport. Dzisiaj miałam znaleźć sukienkę. Na podkładce piszę KURWA MAĆ i idę porozmawiać z Christie.

Siedzi przy biurku ze spuszczoną głową, a na jej szyję wypełza rumieniec. Przed sobą ma stertę nietrafionych produktów i notatki z zebrania. Widzę, że na leżącej na wierzchu kartce napisała „Nie spieprz wszystkiego” i dwukrotnie to podkreśliła. Siadam cicho obok niej.

– Boże, straszne to było, co? – pyta.

– Hmm, mogło pójść lepiej.

– Naprawdę się napracowałam, przygotowując to wszystko.

– Wiem.

– Nie spodobały jej się komentarze, prawda?

– Problem w tym, że nabywcy uważają się za lepszych od klientów. Na tę uwagę o babci dosłownie się skrzywiła.

– O Boże, co powiedziała?

– Muszę ci udzielić werbalnego ostrzeżenia. – Christie chce coś powiedzieć, ale zaczyna jej się trząść broda. – Hej, głowa do góry.

– Werbalne ostrzeżenie. Więc co?... Jak to zrobisz? – jęczy.

– Nie wiem, może wystarczy, jeśli powiem: „Ostrzegam cię” czy coś w ten deseń.

Kręci głową.

– Nie powinnam była zaczynać od czepka kąpielowego. Nikt ich nie lubi.

Biorę ze sterty czepki i nakładam go na głowę.

– Ja lubię. – Christie uśmiecha się blado. – Ostrzegam cię – mówię, grożąc palcem.

– O Boże. – Chowa twarz w dłoniach i zaczyna płakać.

Ściągam czepki.

– No już, Christie, nie płacz. Wiesz, jaka jest Snotty. – Klepię ją po plecach. – Christie, dobra jesteś w tym, co robisz. – Z jej gardła wydobywa się zaskakująco głośny, mimo że zduszony szloch. Kilka osób z księgowości odwraca głowy w naszą stronę. – Christie, daj spokój, to moja wina. Powinnam ci była powiedzieć, żebyś nie czytała komentarzy.

– Powinnaś?

– Tak.

– No to czemu tego nie zrobiłaś? – Patrzy na mnie, a w jej oczach błyszczą łzy.

– Zapomniałam.

– Wielkie dzięki.

– Cóż, nie sądziłam, że to w ogóle zrobisz.

Utkwiła we mnie wielkie, mokre oczy i coś w tym, że ciemny podkład zaczyna spływać jej po twarzy, sprawia, że ogarniają mnie paskudne wyrzuty sumienia. Czemu nie sprawdziłam, co zamierza powiedzieć? Chyba po prostu sądziłam, że da sobie radę. Poza tym zaprzętało mnie coś innego: strona internetowa, związki, sobota, ślub i mój Rob z osobą towarzyszącą.

Nie mija chwila, a zaczynam opowiadać Christie całą historię, czym niesamowicie ją zaskakuję; nigdy dotąd nie rozmawiałyśmy o życiu prywatnym, z wyjątkiem odpowiadania na pytania w stylu: „Fajny weekend?”.

– Jak zamierzasz znaleźć suknię w tak krótkim czasie? I kiedy? – pyta, a mnie adrenalina uderza do głowy, w związku z czym czuję wręcz przymus, by natychmiast pędzić do sklepów.

– Nie wiem. Wygląda na to, że nie dzisiaj. Muszę napisać raport.

– O nie! – woła, a ja aż podskakuję. – Musisz iść na zakupy!

– Tak – piszczę. Wow, z jakim entuzjazmem odnosi się do

moich problemów.

– Może ja zajmę się raportem? Nie, nie, jestem w tym beznadziejna, więc taka opcja odpada.

– W porządku, Christie. Jestem przekonana, że jakoś się ze wszystkim uporam.

– Nie, już wiem! Mój przyjaciel Nigel jest projektantem. To znaczy dopiero studentem, ale naprawdę utalentowanym. Może pożyczylby ci jeden ze swoich projektów. Zrobił to, kiedy potrzebowałam naprawdę wystrzałowej kiecki.

– Naprawdę? – Kiedy potrzebowała takiej sukienki? Przez ułamek sekundy rozważam takie rozwiązanie, ale potem przypomina mi się, że gust Christie tak wyprzedza modę, że jej wygląd często staje się obiektem żartów, jak wtedy, gdy założyła getry z białego futerka i wszyscy w pracy wprost meczeli.

– Dzięki, kochana, ale nie wydaje mi się, aby projektanci szyli suknie w moim rozmiarze.

– A jaki nosisz? Czterdzieści dwa?

– Trzydzieści osiem – warczę. Jej wzrok zatrzymuje się na moich biodrach. – Okej, w niektórych sklepach czterdzieści.

– Mogę go zapytać. Sukienka, którą mi pożyczył, była po prostu zjawiskowa, jedyna w swoim rodzaju. Gdyby coś miał, może mógłby to dziś podrzucić. St Martins to rzut beretem od nas... Zapytam go, co? Mogłaby to być odpowiedź na twoje modlitwy.

Odpowiedzią na moje modlitwy nie byłaby sukienka. No ale gdybym rzeczywiście nie musiała biegać spanikowana i mierzyć

każdej sukienki w śmierzących przymierzalniach z górnym oświetleniem...

– W porządku, Christie. Warto spróbować, no nie? –
Przygląda mi się wyczekująco. – Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Uśmiecha się. – Viv, dzięki tobie czuję się dużo lepiej.

– To świetnie!

– Wiedząc, jak wygląda twoje życie, na swoje problemy patrzę teraz z innej perspektywy. – Wstaje i wygładza spódniczkę.

– Bardzo się cieszę. – Słodko mrugam.

– Wychodzę na lunch. Przynieść ci coś?

Kręcę głową i patrzę, jak Christie się oddala, po czym biorę z jej biurka notatki i zabieram się za raport.

Godzinę później mam dopiero pierwszy akapit. Nie potrafię się skoncentrować. Nie przestają mnie bombardować straszne, pełne paniki myśli. Wyciągam notes i przerzucam kartki z notatkami dotyczącymi strony internetowej, aż docieram do pustej strony. Zapisuję tytuł i go podkreślam.

Do zrobienia (przed ślubem)

sukienka – załatwić
buty – załatwić
włosy – coś zrobić
ciało – ???

Mało przydatna lista. Kurde, w normalnych okolicznościach

byłabym zachwycona – wszystkie te przygotowania i zamieszanie stanowiłyby część zabawy. Ale mam tylko dwa i pół dnia, a stawka jest wysoka. Wiem, że powinnam teraz biegać po Oxford Street ogarnięta gorączką zakupów, ale czuję się zmrożona, jakbym już przegrała. On kogoś ma. Cóż mogę z tym zrobić? Jaka sukienka może to zmienić? A kiedy o tym wszystkim myślę, ogarnia mnie poczucie beznadziei i tylko gapię się bezsensownie w dal.

O nie, tak być nie może.

Przez okno widać lekko zamglone słońce. Jest naprawdę śliczny dzień, dzień długi i samotny. Na moim monitorze mruga nienapisany raport, ale mnie ogarnia niepohamowane pragnienie wyjścia na dwór. I nie chcę być sama.

Czy ktokolwiek mógłby mieć w planach coś fajniejszego niż spotkanie ze mną w słoneczne środowe popołudnie?

Max wchodzi sprężystym krokiem do małego pubu Crown. Ma na sobie dżinsy, T-shirt i pomimo gorąca stare czarne buty motocyklowe. Przesuwa wielkie okulary przeciwsłoneczne w czerwonych oprawkach na czoło, przez co wygląda tak, jakby miał dodatkową parę oczu. Macham do niego, siedząc przy małym stoliku w rogu.

– No co ty, nietoperz z ciebie, że tak się tu chowasz? Jest śliczna pogoda – mówi.

– Wiesz co, tego typu nastawienie naprawdę mnie wkurza. Wystarczy, że słońce wyjdzie zza chmur, a wszyscy pieją: „Śliczna pogoda! Śliczna pogoda!”. Wybiegają na dwór i oddają się temu, czego normalnie nie robią, gromadząc się tłumnie w parkach i najpewniej robiąc sobie krzywdę. Ja zawsze siedzę wtedy w pubie. Jestem normalna. To ty się zmieniłeś.

Przez sekundę czy dwie lustruje mnie wzrokiem.

– Jest gorzej, niż sądziłem – orzeka. – Co ci przynieść do picia? Kufel krwi dziewicy?

– Może być białe wino. Duży kieliszek. I nie kupuj chipsów. Nie potrafię się powstrzymać.

Patrzę, jak opiera się o bar i zagaduje barmankę. Ona odrzuca włosy i śmieje się, nalewając mu piwo. Wraca do stolika i uśmiecha się lekko.

– No to co ci jest? – Wyciąga spod stołu taboret.

– Nie byłeś zajęty malowaniem jakiegoś dzieła sztuki albo czymś podobnym?

– Dla ciebie nigdy nie jestem zbyt zajęty.

– Nie wiem, jak ci się udaje zarabiać na chleb, skoro wystarczy jeden telefon, a ty wyskakujesz do pubu.

– Jezu, masz rację. Powinienem już iść! – Pije niespiesznie piwo, a ja próbuję zimnego wina. Otwiera paczkę skwarek i patrzę, jak wkłada je do ust jeden za drugim, chrupie, a potem głośno przetyka. – No co? Nie lubisz skwarków?

– Skwarek.

– Chcesz jedną?

– Nie.

Bierze do ręki paczkę, wsypuje to, co w niej zostało, do buzi, a potem w teatralny sposób zgniata opakowanie w małą kulkę,

która zmieści się do popielniczki. Następnie językiem wymiata spomiędzy zębów trzonowych pozostałości po skwarkach.

– To akurat jest wyjątkowo urocze – oświadczam.

– Co cię ugryzło? – pyta.

– Och, czy ja wiem... Może fakt, że w sobotę muszę sama iść na wesele i stanąć twarzą w twarz z byłym narzeczoną w towarzystwie nowej dziewczyny.

Max bierze spory łyk piwa.

– No to nie idź.

– Muszę iść, Max. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, poważnie podchodzę do swoich zobowiązań.

Unosi brwi i patrzy w stronę drzwi.

– W takim razie pójdę z tobą.

– Ty? – Śmieję się. – Będzie darmowy bar, nawalisz się. Narobisz mi wstydu.

– Nie mam żadnych planów na sobotę.

– Jak na tamtym eleganckim przyjęciu, kiedy pokazałeś tyłek.

– Mam garnitur... Gdzieś...

– Garnitur z wręczania dyplomów?

– Nie. A co, coś z nim było nie tak?

– Nie wierzę, że o to pytasz.

Uśmiecha się, a ja dostrzegam jego ukruszony przedni ząb. Czemu tego nie załatwi? W dzisiejszych czasach dentyści potrafią działać cuda.

– Cóż, mówię jedynie, że gdyby Daniel Craig miał na sobotę inne plany, mogę go zastąpić.

Jestem tak zdesperowana, że na poważnie rozważam pomysł zjawienia się na ślubie w towarzystwie Maxa. Maxa, mojego przyjaciela, który prezentuje się całkiem dobrze, o ile wybije mu się z głowy pomysł założenia trampek lub pomarańczowego krawata albo jednego i drugiego. Nie mogę udawać, że to mój chłopak, gdyż Rob go zna, ale nie chcę iść na ten ślub sama i już.

To by się mogło udać. Zachowałabym godność. Nadal singielka, która nie ma potrzeby rzucania się od razu w ramiona nowego chłopaka, ale, co najważniejsze, nie jest sama.

– W jakim kolorze masz ten garnitur? – Jeśli nie jest czarny, granatowy albo szary, to się na to nie piszę.

– Granatowy w prążki.

– Wąskie czy szerokie? – Mrużę oczy.

– Za kogo ty mnie uważasz, Viv? To porządny garnitur. Dobrze w nim wyglądam.

– I nie miałbyś nic przeciwko pójściu tam ze mną?

– Nie, nie miałbym nic przeciwko pójściu tam z tobą – odpowiada z przesadną cierpliwością.

– W porządku, zapytam Jane, czy jej także to nie przeszkadza.

– Będzie mną zachwycona! Singielka?

– To jej ślub! No dobrze, ale nie zapomnisz, że będziesz moją osobą towarzyszącą? – Patrzę na niego groźnie.

– Nie.

– Chcę jedynie, żebyś trzymał się blisko mnie, okej? Żadnych pogawędek z druhami. A jeśli podejdzie Rob, będziesz musiał zniknąć.

– Tak jest. – Udaje, że salutuje.

– Dzięki, Max. – Klepię go w kolano. – Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co – mówi, uśmiechając się idiotycznie.

Biorę do ręki kieliszek i dopijam wino, a kiedy go odstawiam, Max nadal na mnie patrzy i się uśmiecha.

– No co?

– Nic. – Odwraca wzrok i przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– No dobra... Muszę się zbierać. – Wstaję i całuję go w kłujący policzek. – Dzięki, że przyszedłeś.

– Nie mogę się doczekać soboty! – woła, gdy tymczasem ja wychodzę na zalany słońcem chodnik.

Gdy wracam do biura, czuję się ciut lepiej. Może to wino, a może fakt, że mam Maxa i że nie pójdę na wesele sama. To krok naprzód. Dobrze. Cała sytuacja wydaje się odrobinę mniej katastrofalna.

Wysiadając z windy, dostrzegam Christie; siedzi w naszej małej stacji roboczej, a za nią, na regale na kółkach, wisi suknia. Jest biało-różowa, a spódnicę uszyto w całości z piór. Christie podnosi wzrok znad zupełnie niezwiązanej z pracą strony internetowej.

– Minęłaś się z Nigelem – mówi, ale ja na nią nie patrzę. Nie jestem w stanie oderwać wzroku od sukni.

– To jego dzieło? – Jestem już na tyle blisko, że mogę dotknąć białych zwiewnych piór. Gorset uszyto z jasnoróżowego jedwabiu.

– Aha. Zdolniacha, co? Powiedział, że możesz ją pożyczyć, ale jeśli poplamisz czy coś w tym rodzaju, będziesz musiała kupić.

Zdejmuję suknię razem z wieszakiem i przykładam ją do siebie. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Już samo to, że mam ją w rękach, budzi we mnie mnóstwo emocji. Każdy szczegół jest przemyślany. Cienkie ramiączka uszyto z satyny, a wzdłuż pleców biegnie rząd maleńkich guziczków. Ogarnia mnie podekscytowanie.

– Ile by kosztowała?

– Tysiąc.

– Tysiąc... funtów? – Kiwa głową. – Okej. Wow. – Cóż, po prostu będę bardzo, bardzo uważać. To w końcu ślub, a nie jakaś impreza rave.

– To niezwykła suknia – mówi Christie. – Popatrz tylko na to. – Otwiera stronę internetową Nigela i odtwarza filmik z jednego z jego pokazów. Modelka idzie energicznym krokiem po wybiegu, ma na sobie właśnie tę suknię i jasnobrązowe buty na wysokim słupku. Pióra pięknie się kołyszą. Dziewczyna wydaje się wyrafinowana i nie-starająca-się-zbytńio seksowna. Już po mnie. – To taka śliczna suknia. – Christie odwraca się razem z krzesłem, żeby na mnie spojrzeć.

– Sądzisz, że będzie na mnie dobrze leżeć?

– Weź ją do domu i przymierz – mówi.

Odwieszam sukienkę, wyobrażając sobie, jak pojawiaam się w niej na ślubie Jane. Czy to mogłoby wypalić?

– To z całą pewnością wystrzałowa kiecka, no nie?

– Vivienne, bardziej wystrzałowej nie mogłabyś znaleźć – oświadcza Christie z powagą. Patrzy mi w oczy i obie kiwamy głowami.

W domu, po trzech kieliszkach pinota, zakładam tę śliczną suknię i mówię do swego odbicia w lustrze:

– Hej. O, cześć. Śliczną masz sukienkę. Moja? Dzięki, znajomy projektant uszył ją dla mnie.

Zaczynam tańczyć, przyłączając się do Palomy Faith na iPodzie. Pióra wirują i podskakują i wygląda to super. Gorset jest... powiedzmy, że obcisły, ale to chyba dobrze. Jedyne buty na słupku, jakie mam, są z czarnego zamszu, ale nawet dobrze komponują się z sukienką, ponieważ z nią kontrastują.

– Cześć, Rob. – Przybliżam się do lustra. Moja filmowa kreska na górnej powiece wygląda doskonale. – Co u ciebie?... U mnie? Wszystko dobrze... Zadzwoń do mnie. – Oddalam się od lustra i po chwili wracam, odrzucając do tyłu włosy.

Tak, to jest ta sukienka. Zdecydowanie. Ta cholerna sukienka przejdzie do legendy. Pewnego dnia opowiem o niej naszym dzieciom.

Zmierzcha i w pokoju zaczyna się robić ciemnawo, ale jasne pióra płoną w ciemności magicznym blaskiem. Na iPodzie śpiewa teraz Ronan Keating. To jeden z ulubionych utworów Roba, piosenka, przy której kiedyś się kochaliśmy. Wypowiadam na głos słowa:

– *When you say nothing at all.* – Oczy mam błyszczące. Po policzku spływa mi łza. – Nie mogę uwierzyć, że go straciłam – szepczę.

Pociągam łyk wina i w mojej głowie niczym strzała pojawia się pewna myśl.

To, co stracone, można odzyskać. Zaczyna się we mnie tlić iskierka nadziei. Sytuacja wygląda tak, że w sobotę się zobaczymy. Nawet jeśli przychodzi z kimś, i tak będziemy mogli porozmawiać. Niemożliwe, żeby było za późno. Teraz płonie już mały płomień. Spoglądam na oszalamiającą sukienkę i wyobrażam sobie Roba. Na mój widok opada mu szczeka; wyciąga szyję, aby mieć lepszy widok i ignorując protesty swej towarzyszki, pędzi w moją stronę. Uczepiam się tej myśli jak koła ratunkowego.

To będzie proste. Nagle nie mogę się doczekać soboty.

Za dwa dni odzyskam swego mężczyznę.

4

**Najlepsze rady,
jak świetnie wyglądać**

Mocno się umaluj, użyj samoopalacza i napsz włosy.

Marnie, lat 28, Cheadle

Pij dużo wody i porządnie się wysypiaj.

Freya, lat 42, Brighton

Kup ubrania, które na Ciebie pasują. Nie jesteś nastolatkiem, czemu więcnosisz jego dżinsy?

Sue, lat 33, Lyme Regis

Jeśli przez kilka dni mało co jem, wyglądam lepiej... Ale czuję się wtedy z kolei fatalnie, więc tego nie rób... Prawdę powiedziałeś, to jedz więcej, i jedz to, co uwielbiasz, wtedy będziesz zadowolona, a to ci zapewni superwygląd.

Ruby, lat 30, Denham

Gdy chcę dobrze wyglądać, zakładam szpilki. Ich stukanie brzmi mniej więcej tak: „Klik, klik, mam to gdzieś, klik, klik, już cię przebolełam”.

Rebecca, lat 25, Teddington

Po prostu bądź sobą.

Twoja matka

Przeglądałam pod tym kątem cały stos magazynów i z tego,

co wyczytałam, bez operacji plastycznej można poprawić swą powierzchowność w następujący sposób: chudnąć, wybielając zęby, opalając się, wyglądając na zadbaną, zakładając jak najdroższy ciuch od znanego projektanta i idąc do fryzjera. Utrata kilogramów i wybielanie zębów w moim wypadku odpadają – za mało czasu. Opalanie natryskowe niestety nie wchodzi w grę, bo może pobrudzić suknię. Wszystko inne jednak odhaczę. Więc niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

Jest czwartkowe popołudnie, szesnasta trzydzieści. Wychodzę z pracy wcześniej, aby zdążyć na wizytę w salonie Davida Hedleya. Nigdy wcześniej tam nie byłam, ale podobno to najlepszy fryzjer w Londynie. W jednej z gazet Christie jest napisane, że chodzą tam wszystkie modelki i że David Hedley posiada własną linię szczotek i grzebieni, mam więc dużo szczęścia, że udało mi się tam dostać. Musiałam wyjaśnić kwestię ślubu i Roba, i jego nowej dziewczyny, no i zgodzili się mnie jakoś wcisnąć. Na jutrzejszą przerwę na lunch zarezerwowałam także w SPA w Selfridges woskowanie nóg i bikini. Powiedzieli, że gratis zajmą się także brwiami.

Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Wymknę się stąd teraz, niezauważona przez nikogo. Dlaczego winda tak się wlecze, kiedy ja próbuję uciec z pracy? Odpowiedź: ponieważ w windzie znajduje się także Snotty, moja szefowa, i Mole, jej szefowa.

- Dzień dobry, Viv – odzywa się Mole.
- Muszę skoczyć coś wydrukować – wyrzucam z siebie.
- Świetnie – mówi, a ja zauważam, jak Snotty przewraca oczami.

Drzwi windy się zamykają, a ja pędzę do fryzjerskiego nieba.

Salon ma wystrój industrialny: metal i beton, do tego bogato zdobione antyczne lustra i obite pluszem fotele. Chuda jak szczypiołek recepcjonistka w jaskrawozielonych legginsach wręcza mi folder i prosi, abym na pluszowej sofie zaczekała na swoją stylistkę, Mandy. Buzuje we mnie nerwowa energia, gdy tak przeglądam kosztowne portfolio fryzur. Szkoda, że nie mam odwagi na figlarną krótką fryzurkę w kolorze tlenionego blondu. Grzywka czy bez grzywki? Cieniowanie?

– Witam. Viv? – Pulchna kobieta z widocznymi odrostami trzyma pelerynkę przeznaczoną dla mnie. Mam nadzieję, że to nie Mandy, bo sądząc po wyglądzie, przydałaby jej się porządna kąpiel.

– Tak. – Uśmiecham się.

– Cześć, jestem Mandy. Będę dziś twoją stylistką.

– Super. – Zakładam pelerynkę i podchodzę za nią do lustra, gdzie bawi się moimi włosami, zasłaniając nimi czoło, unosząc je i puszczać.

– No więc co dzisiaj robimy? – pyta.

Nienawidzę, kiedy fryzjerzy zadają mi to pytanie. Chcę, żeby wiedzieli, w jakiej fryzurze będzie mi do twarzy. Powinni na mnie popatrzeć i oświadczyć: „Delikatne cieniowanie i nieco dłuższy tył” albo coś w tym rodzaju. No, może niekoniecznie dokładnie coś takiego, bo akurat to zdanie zawsze wygłaszam ja. Próbuję wypowiedzieć je także tym razem, ale ona przesunęła mi wszystkie włosy na twarz i brodę mam dociśniętą do piersi. Powtarzam sobie w myślach, że to najlepszy salon w Londynie.

– Masz tyle włosów! – Próbuję unieść głowę. – Tak dużo

włosów. – Przechyla mi głowę na jeden, a potem na drugi bok. – Bardzo gęste włosy.

Zaczynam się czuć, jakbym nie powinna ich mieć tak dużo, jakby istniało pod tym względem jakieś ograniczenie.

– Co według ciebie powinnam z nimi zrobić? – udaje mi się w końcu spytać.

– Chcesz zachować tę długość? – pyta, a ja kiwam głową. Wciąga powietrze przez zęby. – Widzisz, w tym miejscu są bardzo ciężkie... – Ściska boki mojej głowy. – Są bardzo ciężkie i opadają w niewłaściwy sposób. Nie ma żadnego ruchu. Są nijakie.

– No tak. – Nie wiedziałam, że powinnam mieć poruszające się włosy.

– Można by przerzedzić je na górze, zachować obecną długość i dodać kilka ciemnych pasemek dla dodania fryzurze charakteru – orzeka, a ja w tym momencie czuję taką ulgę, że coś się jednak da ze mną zrobić, że natychmiast wyrażam zgodę.

Mandy oddala się, aby naszykować farbę, a ja wpadam nagle w ponury nastrój. Założę się, że włosy dziewczyny Roba nie są tak trudne do ujarznienia. Założę się, że są jedwabiste i miękkie i pachną owocami leśnymi. Och, dlaczego mam takie gęste włosy? Nigdy nie poznałam ojca, ale to on musi być odpowiedzialny za ten fakt. Przeklinam w duchu matkę za to, że nie puściła się z jakimś miśkiem o prostych, sprężystych włosach, i właśnie wtedy dostaję SMS-a od Lucy. „Masz ochotę na szybkiego drinka?” „Tak, ale jestem u fryzjera”. „Okej. Zadzwoń, jak wyjdiesz”.

Świetnie. To oznacza, że będę się mogła pochwalić nową fryzurą. Wraca Mandy i proponuje mi coś do picia. Decyduję się na białe wino i obserwuję, jak szybko owija moje włosy

kawałkami folii. Ta Mandy nie jest wcale taka zła. W końcu musi być dobra, skoro tu pracuje. Rozglądam się. Pełno tu jasnowłosych klientek, które wyglądają na nadziane. Zaczynam się ciut odprężyć.

– Ludzie zawsze cię pytają, czy wybierasz się na wakacje, Mandy? – zagajam.

– Nie – odpowiada.

– Och. Ja tylko, no wiesz, zastanawiałam się, czy to rzeczywiście prawda, że ludzie rozmawiają z fryzjerami o wakacjach.

– Nie. – Marszczy brwi, jakbym była niespełna rozumu.

Prawdopodobnie jest zbyt mocno skoncentrowana, żeby się wdawać w pogawędki – to prawdziwa profesjonalistka. Przysuwa okrągłą suszarkę na kólkach i włącza ją. Wiruje wokół mojej srebrnej głowy niczym planetarne pierścienie.

– Pozwolimy teraz, żeby farba chwyciła, a ja za kilka minut wracam. Masz na coś ochotę?

Proszę o więcej wina. Przyglądam się uważnie swojej twarzy i zastanawiam, czy robi wrażenie szczuplejszej. Od poniedziałku mało co jem. Kiedy obracam głowę, chyba widać kości policzkowe. Biorę do ręki kolorowy magazyn i czytam tekst o kobiecie, której eksplodowały implanty piersi, aż w końcu ktoś z plakieta, na której jest napisane „Daniel”, zabiera mnie do umywalni na cudny masaż głowy.

Później wraca Mandy i zabiera się za cięcie. Mokre pasma spadają na betonową podłogę. Słyszę delikatny świst nożyczek mijających o milimetry moje ucho. Zastanawiam się, czy

przypadkiem nie obcina na górze zbyt dużo, ale jej ufam. Do tego salonu przychodzą modelki.

– No a jak ci się podoba kolor? – pyta.

Prawdę mówiąc, nie dostrzegam żadnej różnicy, ale to pewnie dlatego, że są mokre.

– Śliczny. Bardzo subtelny.

Uśmiecha się, po czym bierze do ręki suszarkę i wielką okrągłą szczotkę. Widzę, jak nad moją głową unosi się para. Na koniec Mandy spryskuje mi włosy lakierem i poprawia kosmyki wokół twarzy. Przytrzymuje lustro, abym mogła zobaczyć tył. Kiwam głową, choć podejrzewam, że moja fryzura przypomina nieco kask. Nie chcę ranić jej uczuć. Pędzlem oczyszcza mnie z resztek włosków i prowadzi z powrotem do chudej recepcjonistki, która oświadcza radośnie:

– Razem dwieście funtów.

Przełykam ślinę i wręczam jej kartę kredytową. Rzucam okiem na rachunek; piętnaście funtów za wino. Warto jednak, to najlepszy salon w Londynie. Moje włosy będą wyglądać super, kiedy wrócę do domu i trochę je potargam.

– Ma pani śliczną fryzurę. Jest pani zadowolona? – pyta recepcjonistka, gdy wstukuję PIN.

– O tak! Jest super. Naprawdę super. Uważam, że jest super – odpowiadam i z jakiegoś powodu zaczynam się śmiać. Macham jej na pożegnanie, po czym wychodzę na ulicę i pędzę na spotkanie z Lucy.

Jakoś tak osobiwie wietrznie wokół moich uszu. Czy ludzie

dziwnie mi się przyglądają? Patrzą na moje włosy? Tamta dziewczyna przy wejściu do metra chyba tak. Na szczęście miejsce, gdzie umówiłam się z Lucy, jest o rzut beretem stąd; poproszę ją o werdykt, a potem pobawię się włosami w toalecie. Ten lokal to podziemna tawerna, gdzie serwują świetne wino i smaczne tapas, i na szybkiego drinka umawiamy się najczęściej właśnie tam. Zbiegam okrągłymi schodami i dostrzegam Lucy przy stoliku w kącie. Na blacie stoi już butelka i dwa kieliszki.

– No i co sądzisz? – pytam, strosząc palcami włosy z boków.

– Masz nową fryzurę? – Mruży oczy, gdy siadam naprzeciwko niej.

– Eee, tak. Jej zrobienie zajęło trzy godziny.

– Właściwie to na górze włosy są ciut krótsze. – Podnosi się z krzesła, żeby lepiej się przyjrzeć. – Och! Znacznie krótsze.

– No ale jak wyglądam? – Macam tył głowy i wyczuwam kilka przerażająco krótkich kępek. – Dobrze?

– Wyglądasz ładnie.

– Ładnie? Nie chcę wyglądać ładnie! Właśnie wydałam dwieście funtów.

– Wydałaś dwieście funtów u fryzjera? – pyta z niedowierzaniem.

– Miałam na całych włosach ciemne pasemka.

– Wydałaś dwieście funtów na to, żeby twoje włosy były nieco bardziej brązowe?

– Tak, Lucy, właśnie tak.

Nalewam sobie kieliszek wina i zerkam na jedwabiste włosy Lucy, tak gładkie, że widać przez nie uszy. Jak ona miałaby mnie zrozumieć?

– Cóż... Powodzenia. To co, wróciło cię z lat osiemdziesiątych?

Biorę do ręki menu.

– Biedna Lucy. Nie zazdrość mi urody.

– Ale ty jesteś taka pięęęęka – nuci w disneyowski sposób.

– Wiem, jakoś muszę z tym żyć – mówię. Unosi kieliszek i stukamy się. – A teraz opowiem ci o sukni...

Kończymy butelkę i zamawiamy drugą, omawiając każdy aspekt soboty. Jak się powinnam zachować, kiedy go spotkam. Co zrobię, gdy będzie chciał porozmawiać. Że grzecznie potraktuję jego nową dziewczynę. A potem wracam do domu taksówką i wysyłam Lucy SMS-a, żeby jej powiedzieć, jaka z niej świetna kumpela. Lucy odpisuje: „Ty też, mała”. I wtedy dociera do mnie, że nie zadałam jej ani jednego pytania na temat tego mężczyzny w jej łóżku.

Jest piątek, wypiałam dużo wina, czuję się kiepsko i jestem już spóźniona do pracy – bardzo niedobrze, jako że muszę wydłużyć dziś przerwę na lunch, aby doświadczyć depilacyjnej bonanzy.

Dzisiejszego ranka moje włosy wyglądają trochę jak peruka Tiny Turner. Górne warstwy są tak krótkie, że nie można ich nawet zaczesać w kucyk. Ta kobieta nieźle zaszalała z nożyczkami z tyłu,

gdzie nic nie widziałam. A pasemka? To tak jak z nowymi szatami cesarza. Próbuję się nie rozplakać, kiedy wyglądam je trochę i lakieruję, ale tył i tak uparcie odstaje. Wyglądam jak chora papuga kakadu, a muszę wyjść z domu.

W autobusie sprawdzam służbowy terminarz, czy przypadkiem o czymś nie zapomniałam. Patrę na sobotę. Narysowałam na niej duże serce. Dzień, w którym odzyskam swego mężczyznę! Ale także dzień ślubu Jane, to oczywiste. Pewnie rzadko będziemy się z nią widywać, kiedy już zostanie żoną Hugo. On nigdy nie spuszcza jej z oczu. Rozmawiasz z nią na jakikolwiek temat, a on zaraz zaczyna ją obejmować albo obsypywać pocałunkami jej włosy. To odpychające. On jest niewysoki i przysadzisty, ona szczupła i filigranowa. To tak jakby Pigmej-hipopotam zenił się z księżniczką z bajki. No ale mówi się, że każda potwora znajdzie swego amatora, i oto dowód. W terminarzu nie mam nic wpisanego na dzisiaj, choć prawdę mówiąc, powinnam już zastanawiać się nad nową kolekcją prezentów na Boże Narodzenie.

W mojej głowie pojawia się nieprzyjemna myśl o świętach bez Roba, ale szybko ją od siebie odsuwam. Możliwe, że do tego czasu zdążymy się już pobrać. Myślę o zimowych ślubach – białe futra, czerwone róże i świece – aż do mojego przystanku.

Poranek w pracy jest nieciekawym. Kac i nerwy związane z jutrem nie pozwalają mi jasno myśleć, jak więc mogę się wziąć za coś poważnego? Christie orzekła, że moja nowa fryzura jest „ostra”. Dołożyłam wszystkie elastyczne gumki z mego biurka do kulki, którą zaczęłam robić przed rokiem, i testowałam moc magnesu do spinaczy. Wysłałam maile do kilku dostawców, zagrałam w pasjansa, a teraz pora na... uwaga, werble... SPA.

W Selfridges wsiadam do windy i wysiadam z niej na ostatnim piętrze. I nagle znajduję się w jakiejś futurystycznej

klinice, biało-zielonej i błyszczącej. Widzi się tu tylko pięknych ludzi. Nim zdążę popsuć aurę, zostaję wprowadzona do pokoju zabiegowego, gdzie zakładam papierowe majtki. Po chwili zjawia się śliczna ciemnoskóra dziewczyna.

– Najpierw brazylijskie bikini, dobrze? Będziemy mieć z głowy najgorsze. – Uśmiecha się promiennie. Zazwyczaj nie woskuje linii bikini, chyba że zamierzam wskoczyć w kostium kąpielowy, co zdarza się rzadko, ale skusiła mnie oferta pakietowa i darmowa regulacja brwi. Poza tym gdyby tak się stało, że Rob i ja jutro do siebie wrócimy i jedna rzecz pociągnie za sobą następną, i wylądujemy w łóżku... Cóż, będzie go czekać miła niespodzianka, prawda? W końcu zawsze powtarzał, że powinnam coś zrobić z tym moim gąszczem.

– Brazylijskie? To w nim zostawia się tylko cienki pasek?

– Usuwa się wszystkie włoski łącznie z tymi głęboko, zostawiając pasek albo inny kształt u góry.

Głęboko? Chodzi jej o te włoski, które wystają tam na dole spod kostiumu, czy... o coś innego?

– Wszystkie z dołu? – To się wydaje ciut ekstremalne.

– Aha.

– Ludzie to lubią? – pytam, nagle zdenerwowana.

– Kochana, ja nie mam tam nic. Mój chłopak dosłownie szaleje! Łazi za mną przez cały dzień.

Myślę o Robie, chodzącym za mną krok w krok, błagającym o to, aby do mnie wrócić.

– Niech będzie – mówię.

– No to proszę przyciągnąć kolana do siebie i rozchylić uda.

Muszę powiedzieć, że to, co później następuje, nie jest bezbolesne. W pewnym momencie dziewczyna znajduje się pomiędzy moimi nogami z pęsetą w ręku, czyniąc ostatnie poprawki. Zostaje mi równiutko przycięte serce. Po tym nogi i brwi to pikuś. Skórę mam czerwoną, spuchniętą i pulsującą.

– Masz dużo włosów – stwierdza na koniec dziewczyna.

– Już nie – mruczę i kuśtykam do kasy.

Tego popołudnia czuję zdziwienie za każdym razem, kiedy idę do kibelka. Tak bardzo się cieszę, kiedy wybija piąta i mogę wyskoczyć do Bootsa po balsam z aloesem.

Gdy docieram do domu, dzwonię do Maxa.

– Halo?

– Cześć, to ja. Gotowy na jutro?

– A co jest jutro?

– Ślub!

– Chwileczkę, mała, ja się nie oświadczyłem.

– Max! Przestań się zgrywać. Ślub Jane. Idziesz ze mną.

– Okej.

– Zapomniałeś, co?

– Nie.

– No więc masz garnitur, tak?

– Aha.

– Okej, więc tak, jutro rano załóż go i czekaj, aż przyjadę po ciebie taksówką. Będę przed dwunastą.

– Dobrze. W co się ubierasz?

– W sukienkę. Czemu pytasz?

– Pomyślałem, że mógłbym się jakoś do ciebie dopasować.

– Dopasować do mnie?

– No wiesz, na przykład kwiat w butonierce w tym samym kolorze co twoja suknia, aby pokazać, że jesteśmy razem.

– My nie jesteśmy razem. Zejdę się z Robem.

– No tak. Tu mnie masz.

– No to... do zobaczenia rano?

– Chyba że w nocy umrę.

– Pa, Max.

Zamykam telefon i przez chwilę siedzę, nasłuchując syren i odgłosu jadących po ulicy samochodów. Wszystko w mieszkaniu jest nieruchome i ciche. Wieszam suknię na drzwiach szafy, a pod nią stawiam buty. Sporządzam listę z rzeczami do zrobienia i

zostawiam ją na toaletce. Kładę się nawet wcześnie, ale nie mogę zasnąć, więc w końcu do północy czytam poradniki. „Usłysz ryk drzemiącego w tobie lwa!”. Mój lew to mały kociak.

Miau.

Co robimy w imię miłości

Ja raz zniosłam stół z drugiego piętra i zataszczyłam go do parku. Przygotowałam prawdziwą tajską ucztę, a całości dopełniały poduszki do wygodnego siedzenia i schłodzone białe wino. Czekałam, wypiliśmy wino, ryżem nakarmiłam gołębie. Ściemniło się, zasnęłam. On się nie pojawił. Ktoś zwędził poduszki.

Maria, lat 34, Battersea

Razem z moim chłopakiem, Kennym, prowadzę niewielką piekarnię w centrum. Mamy w ofercie te małe ciastka z literami alfabetu. No i pewnego dnia poukładałam te ciastka na wystawie. Tworzyły tekst: „Zostaniesz moim mężem, Kenny?”. Sądziłam, że nie zauważył, kiedy jednak zajrzałam na wystawę, okazało się, że zdążył poprzestawiać ciastka.

Napis głosił: „Tak”.

Rachel, lat 30, Liverpool

Budzi mnie odgłos walenia. Jest ósma. Słońce wlewa się do sypialni przez szpary w żaluzjach – idealny dzień na ślub. Podnoszę żaluzję i mrużąc oczy, wyglądam na ulicę. Dwóch mężczyzn w kolorowych perukach ustawia na ulicy beczki.

Pewnie szykuje się jakaś impreza w jednym z barów przy głównej ulicy. Narzucam na siebie jedwabne kimono. W łazience przeglądam się w lustrze: mam podpuchnięte, zmęczone oczy i wcale nie wygląda to tak, jakbym całą noc imprezowała. Wklepuję trochę chłodzącego żelu. Na tubce jest napisane, że zlikwiduje opuchliznę i wygładzi zmarszczki. Po prostu cudo! I to za jedyne dwa funty czterdzieści dziewięć. Serce mi podskakuje, kiedy w lustrze dostrzegam sukienkę i ustawione schludnie buty. Czuję się

jak zdenerwowany gladiator dokonujący inspekcji zbroi, tyle że ja zupełnie nie znam przeciwnika.

Przez chwilę oczami wyobraźni widzę, jak leży skulona u boku Roba, śpiąc po udanym seksie, nie mając żadnych zmartwień, które kazałyby jej marszczyć idealne czoło. Na tę myśl mój żołądek fika koziołka. Boże! Koncentruję się na zaparzeniu porządnej, mocnej kawy. Stawiam imbryk na gazie i czekając, czytam sporządzoną wczoraj listę.

8.30 Kąpiel z olejkiem Jo Malone

9.00 Balsam do ciała

9.30 Paznokcie – Hard Candy „Twilight”

10.00 Makijaż – seksowny

10.30 Włosy – czyste, gładkie, artystyczny nieład

11.00 Ubrać się

11.30 Przyjeżdża taksówka

11.40 Podjechać po Maxa

12.00 Zjawić się odpowiednio wcześnie w kościele

13.00 Ślub!

Na brzegach kartki nagryzmoliłam kwiatki z łodygami i liśćmi. Christie powiedziała mi kiedyś, że kiedy bezwiednie rysuje się kwiaty, oznacza to, że chce się wyjść za mąż i mieć dzieci. Niesamowite, jak to się zgadza! Imbryk syczy, gdy nalewam kawę. Nie jestem w stanie niczego zjeść. Czuję się, jakby czekał mnie

bieg przez płotki na sto metrów podczas szkolnego dnia sportu.

Podciągam rzymską roletę wiszącą na drzwiach balkonowych. Na ulicy stoją policjanci w koszulach z krótkim rękawem i kuloodpornych kamizelkach; rozmawiają spokojnie, a w słońcu lśnią ich odznaki. Jakiś facet, tak boleśnie przystojny, że niemal brzydki, podchodzi do nich niespiesznie. Pokazują na koniec ulicy, gdzie zaparkowana jest ciężarówka. Najwyraźniej rozwiązują jakiś problem logistyczny związany z dostawami do jednej z restauracji. Udaję się spokojnie do łazienki, aby wziąć kąpiel.

Okej, jest jedenasta trzydzieści, a taksówki nie ma. Zadzwonię do korporacji.

– Kins Cars – odzywa się znudzony głos.

– Witam, z tej strony Vivienne Summers. Zamówiłam taksówkę na jedenastą trzydzieści, ale jeszcze jej nie ma.

– Proszę chwilkę poczekać.

Moje ucho atakuje coś, co brzmi jak *Greensleeves* grane na piszczałce.

– Proszę pani, rozmawiałam z kierowcą. Prosi o pięć minut.

– Cóż, mam nadzieję, że nie więcej. Muszę zdążyć na ślub.

– Tak, pięć minut, proszę pani.

No dobrze, jest jedenasta czterdzieści pięć. W porządku, nic się nie dzieje, taksówka zaraz tu będzie. Wyjrzę przez okno i pewnie zobaczę czekający na dole samochód. To dziwne, ale na ulicy kręci się zaskakująco dużo ludzi. Po raz kolejny podchodzę

do lustra i sprawdzam eyeliner. Zazwyczaj nie maluję tak grubej kreski. Dobrze wygląda, ale czy nie ciut zbyt klubowo zamiast weselnie? Włosy siłą zmusiłam do posłuszeństwa i teraz wyglądają znośnie. Sukienka z kolei jest oszałamiająca!

Jasny gwint, za pięć dwunasta! Gdzie, do cholery, podziewa się ta taksówka? Dzwonię jeszcze raz.

– Kins Cars – mówi ten sam obojętny głos.

– To znowu Vivienne Summers. Gdzie moja taksówka? Jest już dwunasta!

– Chwileczkę, proszę pani.

Piszczalkowe the best of zastąpiła *La Cucaracha*.

– Proszę pani, przykro mi bardzo, ale pani taksówka utknęła w korkach. Dojedzie za pół godziny.

– Nie! To za późno! Proszę mi podstawić taksówkę w tej chwili!

– Proszę pani, przykro mi bardzo, pół godziny to jedyne, co możemy obiecać.

Brak mi tchu.

– O mój Boże! Jaki jest sens dokonywać u was rezerwacji, skoro i tak zamierzacie się zjawić, kiedy najdzie was na to ochota? Muszę się dostać na ślub i zarezerwowałam taksówkę na jedenastą trzydzieści! – Nagle słucham *Nobody Does It Better* w wersji na piszczalki. – O Boże, o Boże, o Boże! – Tłukę się po mieszkaniu jak obłąkana gęś, po czym chwytam torebkę i wybiegam na ulicę. Wokół mnie powiewają pióra.

– Niech będzie tam taksówka. Niech będzie tam taksówka!

Docieram do końca ulicy, a tam się okazuje, że cała droga jest wyłączona z ruchu i zablokowana platformami używanymi podczas parad. Zespół grający na bębnach zrobionych z blaszanych pojemników na ropę wykonuje cover *Like a Virgin* Madonny. Na chodniku tańczy Adonis w czymś w rodzaju uprząży. Chwytam go za jeden z powiewających pasków.

– Przepraszam, co tu się dzieje?

Kołysze biodrami i wydyma usta.

– To parada LGTB, kochana!

Patrzę w jedną stronę, potem w drugą. Rząd platform jak okiem sięgnąć, każda z innym tematem przewodnim. Są tam banery głoszące: „Dumny Gej i Katolik” czy „Dumni Rodzice Gejów i Lesbijek”. Platforma przede mną, ta z zespołem grającym na bębnach, została przekształcona w wiklinową misę pełną gejów i lesbijek przebranych za owoce. Głowy dwóch wiśni łączy zielona lodyga; odziane na żółto banany trzymają flagę z napisem „Owocowy Luz”. W normalnych okolicznościach zainteresowałabym się tym. Ale dlaczego to musi się dziać na mojej ulicy? Dlaczego teraz? Jest dziesięć po dwunastej! Dzwonię do Maxa.

– Cześć, jestem gotowy. Czekasz na dole? – pyta.

– Nie! Jestem, kurwa, uwięziona w środku gejowskiego marszu i nie mogę złapać taksówki!

– O cholera.

- Spóźnimy się! Nie wiem, co robić.
- Okej, okej. Okej, Viv. Damy radę. Gdzie jesteś?
- Niedaleko domu. Na głównej ulicy.
- A może pójdziesz na koniec bocznej ulicy? Jest otwarta?

Idę ze spuszczoną głową, z telefonem przyciśniętym do ucha, rzucając najpaskudniejszymi przekleństwami, jakie znam, i sprawdzam.

- Tam też stoją radiowozy.
- Idź do końca, skręć w kolejną uliczkę i czekaj przed tymi fajnymi delikatesami, okej? To ślepa uliczka, tamtędy na pewno nie wiedzie trasa marszu. Przyjadę po ciebie.
- Nie dojedziesz tak blisko taksówką.
- Idź tam i na mnie czekaj. Już po ciebie jadę.

Serce wali mi jak młotem. Odwracam się i biegnę ulicą, potykając się o butelki po piwie i omijając kosze na śmieci. Obcasy wpadają mi w szpary między płytami i oczami wyobraźni widzę, jak cały uliczny brud unosi się i przykleja do mojej ślicznej, delikatnej sukni. Następna uliczka jest jeszcze gorsza. W stercie kartonów jest coś żywego. Przemykam obok nich, starając się nie oddychać. Skręcam za róg i żwawym krokiem dochodzę do delikatesów.

Staję na skrzyżowaniu. Ulice po mojej lewej są puste, wyłączone z ruchu z powodu marszu. Patrę na telefon i mija minuta, znowu patrzę i teraz to już dziesięć minut.

– Kurwa mać! Kurwa pierdolona mać!

Zbiera mi się na płacz. Słyszę ryk silnika, odwracam się w stronę, skąd dobiega, i oto z za rogu wyskakuje motor z wyłupiastymi reflektorami, z kierowcą w czarnej skórze i z kaskiem na głowie. Gdy się zbliża, podnosi rękę, po czym zatacza koło i zatrzymuje się obok mnie. Max ściąga kask. Uśmiecha się szeroko. Gorzej już być nie może. Spodziewa się, że siądę za nim. Nie, może być gorzej – będę musiała założyć kask i to zrobić! Kręcę głową.

– O nie... Nie ma mowy.

– A masz jakiś wybór?

Zsiada i otwiera bagażnik, po czym wyjmuję kanarkowożółty kask i dużą skózaną kurtkę. Podaje mi je. Robię krok w tył. Max wsiada na motor i go odpala, wołając ponad rytmicznym kaszlem silnika:

– Jest w pół do pierwszej!

Jęcząc, zakładam kask i zapinam pasek pod brodą. Ścisną mi głowę, robiąc z mojej twarzy spłaszczony tyłek. Nie bez wysiłku zakładam ciężką kurtkę. Sięga mi prawie do kolan, a wielkie metalowe ochraniacze wbijają mi się w nagie ciało. Czuję, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mi pot. Gramolę się na motor i opieram szpilki na podnóżkach. Biorę się właśnie za układanie fałd spódnicy, kiedy motor wyrывa do przodu, a pióra fruują wokół mnie. Max pędzi ulicą, wyprzedza autobus. Siedzę niepewnie, trzymając się mocno jego ozdobionej frędzlami kurtki. Gdy próbuję patrzeć przed siebie, wiatr atakuje moją twarz, niosąc ze sobą kurz i insekty. Czuję, że coś mi wpadło do prawego oka. Chowam się za plecami Maxa i kurczowo obejmuję go w pasie, jakbym trzymała się kłody w bystrzy. Ten cholerny kask jest chyba

dla dziecka, ściska mi głowę niczym imadło. Ale ponad zapachem benzyny i oleju wyczuwam korzenne perfumy, więc może właścicielką jest jakaś kobieta z głową jak łebek szpilki. Kask rujnuje mi fryzurę, a tarmoszona przez wiatr sukienka trzepoce gdzieś z tyłu i Bóg jeden wie, do jakich zniszczeń tam dochodzi. Zatrzymujemy się na światłach i Max stawia jedną nogę na asfalcie. Dostrzegam jego buty, na szczęście eleganckie i czyste, widać, że się postarał. Unosi szybkę i robi półobrót, klepiąc mnie w udo.

– Wszystko dobrze?

– Nie!

Z bardzo bliska widzę jedno zielonkawe oko i duży nos. Ale trwa to krótko, gdyż po chwili motor rusza z miejsca i natychmiast przyspiesza, niemal zostawiając mnie z tyłkiem na ulicy. Przysuwam się do Maxa, przyklejam do jego pleców i pozostaję w takiej pozycji, dopóki nie skręcamy w jedną z bocznych uliczek i motor w końcu zwalnia. Kościół! Jest ogromny, niemal jak katedra. Przed wejściem zaparkował zabytkowy jaguar.

Wjeżdżamy na podjazd i motor charczy, gdy Max redukuje bieg. Przyciąga to uwagę dwóch odzianych w szare garnitury panów, którzy wprowadzają kręcących się niespokojnie przy drzwiach gości. Nie bez problemu schodzę z motoru i ściagam kask, gdy tymczasem Max gasi silnik. Słyszę, jak zaczynają grać organy, i drzwi od jaguara otwierają się. Z samochodu wysiada tata Jane. Jest tak podobny do Hugo, że to aż nieprzyzwoite. Max dyskretnie pozbywa się kombinezonu. Zdejmuję ciężką kurtkę, jest cała wilgotna i zakurzona. Próbuję wygładzić suknię i na piórach na samym dole, tam, gdzie dotykały gorącej rury wydechowej, dostrzegam przypalenie.

– O cholera. Max, popatrz tylko na tę cholerną suknię!

– Co się stało?

– Przypaliła się na twoim cholernym motorze.

W tym momencie z jaguara wysiada panna młoda. Wygląda jak śliczna laleczka w połyskującej, prosto skrojonej sukni z ciągnącym się za nią trenem. Wiatr unosi jej welon i trzy druhny w gustownie dobranych czarnych i białych sukienkach wkraczają do akcji. Jane trzyma w ręku bukiet róż przewiązanych srebrną wstążką. Czuję, jak Max obejmuje mnie w pasie, popychając lekko w stronę kościoła.

– Zamknij buzię, wyglądasz, jakbyś łapała muchy.

– Nie, przez ten twój cholerny motor wszystkie muchy wpadły mi do oczu!

Uśmiechamy się do panów przy drzwiach. Biorę od nich plan ceremonii i wchodzę do kościoła. Czuję się jak wyjęta psu z gardła. Wszyscy zebrani w kościele odwracają się wyczekująco, kiedy wkraczamy do środka. Max macha ręką i mówi bezgłośnie „cześć”, po czym wślizgujemy się do najbliższej ławki.

– Udało nam się, no nie? – szepcze przez zaciśnięte zęby.

Kopię go w nogę. Próbuję poprawić jakoś sukienkę i przejeżdżam palcem pod okiem; jest czarny od eyelinera. Zastanawiam się, czy uda mi się wymknąć do toalety i doprowadzić się do porządku, kiedy organista zaczyna grać *Marsz weselny* i wszyscy wstajemy. Do kościoła wchodzi panna młoda i kroczy ostrożnie w stronę ołtarza.

Uśmiecha się i odwraca głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, witając się z przyjaciółmi. Diamenciki na jej sukni migoczą

i połyskują w promieniach słońca. Przez chwilę przyglądam się bacznie Maxowi, całemu jego metrowi osiemdziesiąt pięć w granatowym garniturze w ledwie widoczne prążki, białej koszuli i cienkiemu różowemu krawatowi. Zazwyczaj potargane włosy są zaczesane do tyłu i loki grzecznie spoczywają na kołnierzyku. Nawet się ogolił i wygląda... naprawdę nieźle. Uśmiecham się do siebie i zalewa mnie fala sympatii do Maxa, którą chwilę później zastępuje znajome ściskanie w żołądku, kiedy zaczynam się rozglądać za Robem. Nigdzie go nie widzę. Założę się, że w kościele zjawił się sporo przed czasem i teraz siedzi gdzieś z przodu.

Wachluję się planem ceremonii i wstajemy, aby odśpiewać *Być pielgrzymem*. Spoglądam w lewo, a tam, obok mnie, siedzi najpiękniejsza dziewczyna, jaką dane mi było widzieć. Patrząc na nią, na myśl przychodzi karmel. Błyszczące włosy, zaledwie o ton ciemniejsze od opalonej skóry, ma zebrane w niezobowiązujący kucyk. Prosta, ale droga sukienka jest w odcieniu toffi i ma idealny krój, perfekcyjnie pasujący do jej szczupłutkiej sylwetki. Klasyczne czarne szpilki bez pięty zapewniają idealną dozę seksowności. I nagle czuję się jak facet w przebraniu kobiety. Dziewczyna oczywiście wyczuwa, że lustruję ją wzrokiem, i odwraca się do mnie z zapierającym dech w piersiach śnieżnobiałym uśmiechem. Jej kocie oczy są w kolorze najczystszej błękitu, a makijaż ma ograniczony do minimum. Przesuwa się lekko i moim oczom ukazuje się kawałek jej partnera. Serce zamiera mi z przerażenia. Przy jej boku, dumny i śpiewający na cały głos, stoi mój Rob.

Zaszokowana, próbuję oddychać i nie przestawać śpiewać, ale teraz, kiedy już wiem, że tu jest, jedyne, co słyszę, to jego głos.

– „Jego moc jest silniejsza od wrogów, choćby miał walczyć z większymi od siebie...”

Słabo mi. Połączenie paniki i poczucia straty sprawia, że oblewa mnie zimny pot. Opuszczam wzrok na przypalony skraj mojej sukni kołyszący się tuż przy jej błyszczącej nodze. Za kilka minut Rob mnie zobaczy i przedstawi tej piękności, a ja będę musiała uśmiechać się z rozmazanym makijażem i zrujnowaną przez kask fryzurą. O nie, nie dam rady. Muszę się stąd wydostać. Odwracam się do śpiewającego dudniącym barytonem Maxa i szepczę:

– Muszę iść.

– Słucham?

– Rusz się... Tędy... Wychodzimy.

Rozgląda się szaleńczo, jakby coś ugryzło go w nogę. Zauważa wreszcie dziewczynę i gapi się na nią, aż w końcu szturcham go w żebra i syczę:

– Rob tu jest. To jego dziewczyna!

Opieram się o Maxa, tyłem do Roba, ale jest tak, jakbym próbowała popchnąć niedźwiedzia. Kobieta z pierzastym stroikiem na głowie, która siedzi w ławce przed nami, odwraca się; hymn zbliża się do końca, organista wygrywa ostatnie takty. Pcham Maxa tak mocno, jak tylko mogę.

– Idź! Idź!

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Wiem, że to Rob. Nie ma już ucieczki. O Boże, o Boże, o Boże... Nagle zaczynam się śmiać, jakby Max powiedział mi właśnie coś zabawnego, po czym odwracam się, ocierając oczy i mówiąc „Och!”. Rob stoi skąpany w promieniach słońca; jego złote loki lśnią, perfekcyjnie wykrojone usta uśmiechają się spokojnie, niebieskie oczy są pełne

ciepła.

– Witaj, Vivienne.

– Rob, cześć! – odpowiadam ciut zbyt histerycznie, przez co mąż pani z pierzastym ustrojem na głowie odwraca się i piorunuje nas wzrokiem.

– Jak się masz? – szepcze Rob.

– Świetnie!

Dziewczyna przenosi spojrzenie z niego na mnie. On bierze ją za rękę i dostrzega, że ja to widzę.

– To jest Sam. – Jest jak kot prezentujący mi martwego ptaszka. Popatrz tylko, co upolowałem!

– Cześć, Sam.

Uśmiecham się i ona się uśmiecha, po czym marszczy brwi, gdy Rob mnie przedstawia.

Na szczęście organista zaczyna grać wstęp do *Pan jest nadzieją*, oszczędzając mi potwornych wyjaśnień. Czuję na sobie jej badawcze spojrzenie i każdy centymetr mego ciała się wzdryga. Przysuwa się jeszcze bardziej do Roba. Praktycznie uprawiają seks, dzieląc się jedną książeczką z hymnami. Tkwię jak wrośnięta w ziemię, nie jestem w stanie śpiewać, a głowę mam pełną galopujących myśli. Ledwie udaje mi się oddychać i przez resztę mszy w ogóle nie patrzę w lewo. Rozpaczliwie pragnę, aby to się jak najszybciej skończyło.

Mam wrażenie, jakby para młoda szła przez kościół w zwolnionym tempie. Jane się uśmiecha, a mnie ogarnia wrażenie,

że znajduję się na tonącym statku i to ona płynie w stronę ostatniej szalupy ratunkowej. Opieram się ciężko o Maxa, a on nagle ustępuje; razem wypadamy z ławki i chwiejnie wychodzimy na skąpany w czerwcowym popołudniowym słońcu dziedziniec. Jest tak, jakby udało nam się wydostać z pyska wieloryba.

Oddycham urywanie i popycham Maxa jeszcze dalej; czmychamy za róg, gdzie znajduję chłodną ścianę, o którą mogę się oprzeć. Zasłaniam ręką oczy.

– O Jezu! O mój Boże!

– Wydaje mi się, że tego rodzaju rzeczy powinno się mówić w kościele, a nie pod nim.

– Nie mogę tego zrobić. Naprawdę myślałam, że dam radę... ale nie.

Próbuję głęboko oddychać, słuchając jaskółek, które szamoczą się wśród gałęzi rosnących za nami drzew, i szczebiotu gości weselnych. W powietrzu rozbrzmiewają okrzyki w rodzaju: „Cudownie!” i „Och, wiem!”. Pod powiekami czuję wilgoć. Jedna łza spływa mi po policzku i ląduje na zakurzonej chodniku. Idący nim rząd mrówek wpada w panikę. Widzę, jak Max czubkiem buta kopie żwir. Podnoszę głowę, osłaniając dłonią oczy.

– I co ja mam zrobić?

Uśmiecha się i wyciąga rękę.

– Chodź, moja zaryczana przyjaciółko. Niedaleko stąd jest pewien pub. Idziemy.

„Roześmiany Mnich” to kryjówka samotnych mężczyzn w nieciekawych pulowerach. Paru klientów z umiarkowanym

zaskoczeniem patrzy, jak wchodzimy do środka i zajmujemy miejsca przy barze. Na ekranie telewizora odbywają się nieme wyścigi konne. Chudy, niezbyt zadowolony barman rzuca nam wyczekujące spojrzenie. Nie chce mu się nawet odezwać. Składam zamówienie.

– Dwie duże tequile z colą.

– I dwa razy whisky na popitkę – dodaje Max.

Barman stawia na barze drinki bez lodu w brudnawych szklankach i bierze ode mnie dwadzieścia funtów. Wydaje resztę drobnymi, przez cały czas nie odzywając się ani słowem.

Wychylam whisky, ciepło eksploduje mi w żołądku.

Max pije swoją powoli, mrużąc oczy.

– Czy było aż tak strasznie?

Zastanawiam się nad tym. Strasznie – to słowo w żadnym razie nie oddaje tego, co przeżyłam. Ta Sam to katastrofa. Przesuwam spojrzeniem po sobie samej; magiczna sukienka teraz wydaje się bardziej przebraniem niż modową nowinką.

– Max, jak ja wyglądam?

Dopija whisky, mierzy mnie wzrokiem i przez chwilę myśli.

– Wyglądasz jak... słodka porcja lodów kokosowych.

– No widzisz, nie taki efekt zamierzałam uzyskać.

– W porządku... Śliczna pianka.

– Daj już spokój.

– Poważnie, Viv, wyglądasz obłądnie.

– Przyjrzałeś się dziewczynie Roba?

– Taa, niczego sobie.

– Jest oszalamiająca. Widać, że jest w niej po uszy zakochany.

Po tych słowach oczy napętniają mi się łzami. Pociągam duży łyk tequili.

– W takim razie nie marnował czasu.

– Cóż, ty też byś nie marnował z taką dziewczyną, no nie?

– Ona wcale nie jest aż tak wyjątkowa, Viv.

Z mojego gardła wydobywa się szloch i od razu zatyka mi się nos. Pociągam nosem i dopijam drinka, po czym głośno odstawiam szklankę.

– Boże, czuję się taka głupia! Myślałam sobie, że wystarczy ładna kiecka i go odzyskam. Ta sukienka nie jest nawet ładna! Przy tej lasce wyglądam jak gruba wróżka.

Mężczyzna w dzianinowym podkoszulku podnosi wzrok znad czytanej gazety. Wiem, że zawodzę, a czegoś takiego raczej się nie robi w „Roześmianym Mnichu”, ale mam to gdzieś. Max zamawia drugą kolejkę tequili z colą. Przez okno widać kościół. Fotograf ustawia właśnie gości do wspólnych zdjęć. Kilka pań w kapeluszach idzie już przez trawnik w stronę hotelu, gdzie odbędzie się przyjęcie weselne.

– Viv, o co ci chodzi z tą grubą wróżką? Czasami mnie naprawdę rozśmieszasz.

– Nie wiem... Ja po prostu chcę go odzyskać.

Opieram się żałośnie o bar. Max obejmuje mnie ramieniem i mówi mi do ucha, jakby zagrzewał boksera do walki:

– Cóż, jeśli chcesz, choć Bóg jeden wie dlaczego, on tam jest. Tamta dziewczyna nie może się z tobą równać. Ty jesteś fajna i seksowna, ona... cóż... plastikowa i taka jakaś korporacyjna. Może i jest ładna, ale ty... Ty jesteś prawdziwa.

Nie podnoszę się. Max szturcha mnie w łokieć.

– Daj spokój, Viv, ona się do ciebie nie umywa.

– Poważnie?

– Poważnie. No to wypijmy jeszcze jedną kolejkę, a potem im pokażemy!

Kiedy wychodzimy z pubu, wszyscy panowie wiedzą już, jak oboje się nazywamy i jaka misja nas czeka. Przyznali, że jestem bardzo, ale to bardzo atrakcyjna, a jeden z nich – Norman, o ile mnie pamięć nie myli – oświadczył, że nie zna nikogo tak ładnego. Podbudowani tymi słodkimi jak miód słowami udaliśmy się na przyjęcie.

6 Etykieta ślubna

Niedopuszczalne podczas przyjęcia weselnego:

Bójki.

Kradzież sztucców.

Improwizowane przemowy.

Seks w toalecie.

Przeszkadzanie mówcy.

Robienie z siebie przedstawienia.

Taniec na rurze, linie czy breakdance.

Zalanie się w trupa.

Samowolne śpiewanie.

Rozmawianie, pisanie SMS-ów czy postów na Facebooku podczas przemów.

Umieszczanie na Facebooku brzydkich zdjęć panny młodej.

Zwierzęta.

Dzieci (chyba że jest dmuchany zamek).

Dorośli na dmuchanym zamku.

– Gotowa? – pyta Max, kładąc dłonie na gałkach u drzwi.

– Jak jeszcze nigdy! – piszczę, a on otwiera je teatralnym gestem. Okazuje się, że niestety to nie jest główne wejście. Wskazuje je nam życzliwa kelnerka. Wślizgujemy się na salę niezauważeni.

Max od przechodzącej z tacą kelnerki bierze dwa wypełnione do połowy kieliszki z szampanem, wychyla jeden, po czym odstawia go i bierze następny. Ja robię to samo. Czuję się naprawdę o niebo lepiej! Rozglądam się po gawędzących ze sobą gościach, ale Roba wśród nich nie widzę. Hotel jest staromodnie wytworny, ściany ma wyłożone boazerią, a ciężkie zasłony zdobi wytłaczany wzór. Szampan jest serwowany w hallu głównym, którego ściany zdobią portrety osiemnastowiecznych VIP-ów. Pośrodku hallu znajdują się schody w stylu *Przeminęło z wiatrem*.

Nagle u ich szczytu pojawia się odziany w kilt mężczyzna z dudami i schodząc powoli na dół, zaczyna grać *Wild Mountain Thyme*. Za nim kroczą Jane i Hugo i, o mój Boże, Hugo ma kilt! Tuż nad grubymi kolanami kończy mu się materiał w butelkowozieloną kratkę, do tego białe podkolanówki przewiązane u góry sznurkiem z piórkami. Łydki ma wybrzuszone niczym nogi od pianina. Jane zdjęła welon i zamiast niego ma połyskującą tiarę. Uśmiechają się i schodzą przy wtórze entuzjastycznych gwizdów i okrzyków.

– On jest Szkotem? – woła Max. – Nie wiedziałem, że to Szkot!

Razem z trzaskającym zdjęcia fotografem przechodzą przez tłum wiwatujących gości niczym celebryci i znikają w olbrzymich podwójnych drzwiach w bocznej części hallu. Robię krok w tył i opieram się o dekoracyjną osłonę kaloryfera; trochę kręci mi się w głowie, mam za wysokie obcasy. To buty, które Lucy nazwałaby „butami-tylko-do-siedzenia”. Dudziarz ponownie zjawia się w

drzwiach, kończy grać lekko fałszywym, piskliwym dźwiękiem i opuszcza instrument, aby coś obwieścić.

– Panie i panowie, zapraszamy do sali jadalnej na śniadanie weselne.

Max bierze mnie pod ramię i robi krok w przód.

– Jezu, tak! Umieram z głodu. – Pociąga mnie za sobą przez dywan w róże i mam wrażenie, że świat się przechyliła. Jednego z jowialnych braci Hugo wciśnięto w garnitur i postawiono obok planu rozsadzenia gości; podajemy mu swoje nazwiska, a on prowadzi nas do stołu. Max ściska mu energicznie dłoń ze słowami: – Musisz być bardzo dumny.

Okrągłe stoły ustawiono w półkolu, aby wszyscy mieli dobry widok na stół pary młodej. Nasz znajduje się na jednym z końców i przez chwilę czuję się tym urażona – sądziłam, że ja i Jane jesteśmy sobie bliskie. No ale w sumie poznałyśmy się dzięki temu, że Hugo i Rob grają razem w rugby, więc to pewnie Rob jest „tym ważnym”. Cała sala jest biało-srebrna, a na obu jej końcach połyskują dwie lodowe rzeźby w kształcie łabędzi. Pod sufitem wiszą perłowe baloniki przewiązane srebrnymi wstążkami. Do obrusów z białego lnu poprzyszywano maleńkie srebrne cekiny, na stołach stoją miniaturowe butelki szampana i pukawki z serpentynami. Na każdym stole znajduje się także kryształowy wazon z białymi różami. Nakrycia są niesamowite: wymyślnie poskładane serwetki i prezenty dla gości opakowane w błyszczący papier. Na oparciach krzeseł za pomocą lamety przymocowano bileciki z imionami i nazwiskami gości. W drodze do stołu zauważam, że miejsca Roba i Sam znajdują się naprzeciw naszych. No to będę ich mieć na linii wzroku. Szampański nastrój mi mija, zastąpiony czymś z domieszką goryczy. Siadam na krześle, czując ściskanie w żołądku. Max przedstawia się wszystkim. Kobieta z wyłupiastymi oczami, Dawn, jest nim zachwycona i reaguje

śmiechem na każde jego słowo, gdy tymczasem jej mąż ze ściągniętą twarzą bawi się serwetką. Pociągam Maxa za nogawkę spodni, a on siada, kończąc swoją anegdotę:

– Więc oświadczyłem, że albo Tipperary, albo będzie kicha!

Wszyscy siedzący przy stole, z wyjątkiem męża ze ściągniętą twarzą, śmieją się histerycznie.

Max odwraca się do mnie. Oczy mu błyszczą.

– Co się dzieje?

– Możesz przestać?

– Ale co?

– Tak bardzo się starać być duszą towarzystwa. A tak w ogóle to czemu podczas opowiadania kawału robisz się bardziej irlandzki?

– Nie wiem... Wtedy jest jeszcze śmieszniej.

– Nie jest, uwierz mi. Przez to wyglądasz na osobę specjalnej troski.

– Potrzebuję specjalnej troski! – oświadcza stolikowi. – Potrzebuję specjalnego drinka!

Dawn uśmiecha się blado. Max kieruje w moją stronę pukawkę i srebrne serpentyny wplątują mi się we włosy i opadają na twarz. Zerkam w stronę stołu Roba i z ukłuciem zazdrości zauważam, że wszyscy przy nim są młodzi i na ogół atrakcyjni. Nachyla się ku Sam i czule kładzie dłoń na jej ręce, mówiąc coś do jej idealnego małego ucha. Ona spuszcza wzrok, uśmiechając się z

falszywą skromnością, a potem mówi coś jakby: „Ja ciebie też”.

Max pstryka mi palcami przed nosem.

– Wracaj. Nie patrz tam, masz spojrzenie czarownicy. Proszę, napij się jeszcze szampana. – Nalewa go do kieliszka przeznaczonego do czerwonego wina. Przez chwilę patrzę, jak bąbelki unoszą się ku powierzchni i pękają. Max czułym gestem zdejmuję mi z włosów serpentyny.

– Boże, ależ z ciebie ślicznotka. Czy my się przypadkiem nie znamy? – Szczerzy się.

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Raczej bym pamiętała. – Ziewam.

– Racja. Nie ukończyłaś uniwerku w Liverpoolu w dwutysięcznym pierwszym?

– Możliwe.

– Ja też! Czy my?... – Kołysze sugestywnie biodrami.

– Nie! – warczę.

– A chciałabyś?

– Co, poobmacywać się?

– Nie, no wiesz... – Powtarza ruch biodrami.

Przez chwilę przyglądam mu się uważnie.

– Wiesz co, chętnie, zwłaszcza że tak to określasz, ale jestem ciut zajęta.

Pojawiają się przystawki w postaci musu z łososia. Kelnerka, pulchna nastolatka z dziwacznymi czarnymi kucykami, stawia je głośno przed nami. Na moim talerzu przewraca się dekoracja z ogórka. Jestem głodna, ale jednocześnie mam mdłości. Zerkam w stronę Roba i nasze spojrzenia się krzyżują! Moje serce fika koziółka, gdy on lekko się uśmiecha; następnie pochyła się, aby odpowiedzieć na pytanie dziewczyny wyglądającej na Szwedkę, która zajmuje miejsce po jego lewej stronie. Sam siedzi obok niego z fałszywą skromnością, z dłońmi na kolanach. Wprost emanują z niej dobre maniere i gust. Jeśli chodzi o przyjęcia, to Rob często na mnie narzekał – podobno jestem zbyt hałaśliwa i rozmowna. Sam uśmiecha się grzecznie, gdy kelnerka stawia przed nią talerz, i czeka, aż pierwsi zaczną jeść państwo młodzi. To kindersztuba, a z nią akurat moje zachowanie nie może się równać. Moja osobowość kształtowała się w latach, kiedy dorośli przekazywali mi siebie niczym pałeczkę sztafetową – jak miałam się nauczyć etykiety? Wypijam cały kieliszek szampana i jakoś udaje mi się powstrzymać beknięcie. Max ściska mi kolano, opisując piękno klifów Moher kobiecie z wyłupiastymi oczami, która ma praktycznie mokro w majtkach z podekscytowania. Po mojej lewej stronie siedzi niejaki Richard, który ma coś wspólnego z telewizją Granada. Odwraca się ku mnie i próbuje nawiązać rozmowę.

– No więc, Viv, masz dzieci?

Na jego wąsach połyskują resztki musu z łososia. Pachnie jak pingwin.

– Nie, ponieważ mój narzeczony odszedł do innej. – Odsuwa głowę, jakbym ugryzła go w nos. – Taa, odszedł do niej, nim zdążyłam... no, wiesz...

Richard nie wie, co począć. Zaczyna mówić do bukietu róż:

– Och, no tak. My mamy troje. Najstarszy, Josh, ma czternaście lat i interesuje się muzyką.

Rozglądam się po sali, uśmiechając się idiotycznie. Jane wygląda naprawdę ślicznie i wydaje się zrelaksowana. Hugo sprawia po prostu wrażenie rozentuzjasmowanego palanta, ale gdy przyglądam się jego podrażnionej goleniom twarzy i tłusciutkim palcom, nieoczekiwanie robi mi się go żal. Rob karmi teraz Sam kawałeczkami ogórka ze swojego talerza. Ogarnia mnie takie wrażenie, jakby wziął do ręki nóż do masła i wbił mi w serce. Kiedy poruszam głową, czuję się jak na morzu. Uśmiecham się do Richarda, który nadal mówi, jakby do jakiegoś wyimaginowanego rozmówcy:

– No i jest jeszcze Ruby, teraz ma cztery latka...

– Do mnie mówisz? Nie interesuje mnie to, wiesz? – Uśmiecham się promiennie.

– Słucham?

– Nie interesują mnie twoje dzieci.

Gdy na jego twarzy pojawia się przerażenie, mnie nagle ogarnia niepewność i lekko kręci mi się w głowie, więc biorę się za smarowanie bułeczki masłem. Richard odwraca się do mnie plecami.

Jem bułkę, a tymczasem przystawki zastępują talerze z pieczeniową wołową. Żuję powoli i lustruję talerz. Znajduje się na nim plaster mięsa wyglądający jak skórzany język z buta, przywiędła młoda kapusta i Yorkshire pudding w kałuży ciemnego

sosu. Przywołuję kelnerkę.

– Jestem wegetarianką.

Na jej twarzy maluje się konsternacja.

– Och, nie mamy pani na liście. Zamawiała pani posiłek wegetariański?

– Nie, ale chcę taki. – Podaję jej talerz z wołowiną i odwracam się do resztki bułki, nagle głodna jak wilk. Od ponad tygodnia nie jadłam pieczywa. Prawdę mówiąc, to od ponad tygodnia nie jadłam prawie nic. Częstuję się także bułeczką Richarda.

Max działa mi na nerwy tym swoim irlandzkim zachowaniem, więc wchodzę mu w słowo:

– Od szesnastu lat mieszka w Anglii, wiecie?

Obejmuje mnie mocno ramieniem.

– Ach, ale tego się nigdy nie zapomina, prawda? – Dawni się śmieje, a Max przesuwa spojrzenie na mnie. – A co u ciebie? – Zerka na plecy Richarda. – Widzę, że wszystkim udało ci się zjednać.

– Chcę jeszcze szampana.

– Jesteś pewna? – Unosi dłoń. – Ile palców?

– Jedenaście. Załatw mi bąbelki.

Goście kończą już jeść, kiedy ja otrzymuję talerz ze swoim posiłkiem. Pół czerwonej papryki faszerowanej ryżem i polanej

odrobiną sosu grzybowego. Richard zerka na to z niesmakiem. Szturcham paprykę nożem i zastanawiam się, czy nie mogę poprosić jednak o pieczeń, kiedy przy głównym stole staje dudziarz. Nożem stuka w szklankę i doprasza się o ciszę dla ojca panny młodej. Tata Jane wstaje. To niesamowite, jak bardzo przypomina Hugo; bardziej niż ojciec samego Hugo. Przyglądam się badawczo mamie Hugo – czy to możliwe, że miała romans z tatą Jane? Bo jeśli tak, to powinna obwieścić to teraz i powstrzymać Jane przed dalszym związkiem z przyrodnim bratem. Może później napomknę o tym Jane – kiedyś mi za to podziękuje.

Tata Jane opowiada z uczuciem o swojej córce. Ponownie napełniam kieliszek. Oglądamy slajdy, na których Jane siedzi na rowerze i posyła fotografowi szczerbaty uśmiech, i jednocześnie słuchamy opowieści jej ojca o tym, jak nauczył ją jeździć na rowerze. Następnie zdjęcie Jane jako nastolatki z niebieskimi kreskami na powiekach i aparatem na zębach. Tata Jane opowiada nam, jak pełnił funkcję jej szofera. Myślę o moim dziadku i o tym, jak mi pozwalał trzymać kierownicę, podczas gdy on wciskał pedały i zmieniał biegi. Nagle ogarnia mnie straszny smutek, że już nigdy nie zobaczę dziadka. Kątem oka widzę, jak Sam przytula się do Roba, a on obejmuje ją ramieniem, lekko klepiąc dłonią w udo. Zamykam oczy i upijam kilka łyków szampana. Tata Jane opowiada nam o tym, jak bardzo kocha córkę, jak bardzo jest z niej dumny, i ostrzega Hugo, że w potyczce na argumenty nigdy z nią nie wygra. Wznosi toast za prawdziwą miłość i wszyscy wstajemy. Rob i Sam stukają się kieliszkami i patrzą sobie w oczy. Następnie wszyscy siadają – wszyscy poza mną. Kołyszę się jak drzewo na wietrze. Przez salę przebiega szmer. Dudni mi w głowie. Rob patrzy mi prosto w oczy, a przez jego twarz przemyka zdenerwowanie.

– Chciałabym coś powiedzieć! – Zaskakuje mnie mój własny podniesiony głos. Spoglądam na Jane; wydaje się lekko zaniepokojona. – Jeśli chodzi o prawdziwą miłość... Bo czasami

nie zdaje sobie człowiek sprawy... – Max chwyta mnie za rękę, ale ja ją wyszarpuję. – Nie zdaje sobie człowiek sprawy z tego, że znalazł prawdziwą miłość, aż jest już za późno, a potem... już jej nie ma. – Patrzę na Roba, mam nadzieję, że znacząco, i zwracam się bezpośrednio do niego: – Dla nas nie jest za późno. – Sam wygląda tak, jakby obnażył się przed nią stary kloszard. – Naprawdę brakuje mi Ciebie, Rob.

Na sali panuje potworna cisza. A potem nagle Max wstaje i unosi kieliszek.

– Chcielibyśmy wznieść toast: za prawdziwą miłość! Nigdy nie jest za późno!

Goście z ulgą zrywają się z krzeseł i unoszą wysoko kieliszki, a ja szukam wzrokiem spojrzenia Roba.

– Za prawdziwą miłość! Nigdy nie jest za późno! – deklarują goście.

Rob patrzy na mnie przez kilka sekund z ogromnym smutkiem, w końcu powoli kręci głową, a ja osuwam się na swoje krzesło.

Trwa to całe wieki, nim milkną podekscytowane rozmowy. Hugo stoi i stuka w kieliszek, ale jest ignorowany. Wszyscy goście odwracają się na swoich miejscach, aby spojrzeć na mnie. Siedzę w bezruchu, ze wzrokiem wbitym przed siebie. Swędzi mnie skóra głowy i czuję, że na twarz wypełza mi krwisty rumieniec.

Max mnie obejmuje.

– Dobrze się czujesz?

Pociągam nosem i wycieram oczy wierzchem dłoni.

– Nie. – Patrzę na Sam; kiwa energicznie głową, mówiąc coś do swego sąsiada, a kiedy napotyka moje spojrzenie, uśmiecha się drwiąco. Nagle wstaję, a wszystkie rozmowy gwałtownie cichną. Sam opiera się wygodnie z wyrazem rozbawionego oczekiwania na twarzy. Na sali panuje cisza jak makiem zasiał, gdy goście czekają na to, co powiem. – Ja... ja muszę do toalety.

Mojemu wyjściu towarzyszą chichoty. Staram się trzymać głowę wysoko, gdy idę, słysząc wokół siebie: „Co za sukienka!” i „Niedorzeczne!”. Gdy zamykają się za mną drzwi, kwiląc cicho, udaję się chwiejnym krokiem w stronę toalet. Damska jest wyłożona marmurem, a jedna ze ścian to wielkie podświetlane lustro. Widzę swoje odbicie – dziwnie przemoczona balerina, lalka zostawiona na deszczu. Przyglądam się sobie: patrzę na mnie czarne oczy; dominują czerwone usta. Podnoszę ręce i przyglądam końce włosów, po czym próbuję nastroszyć spłaszczoną przez kask górę. Opieram łokcie na małej półce pod lustrem i chowam twarz w dłoniach. Nagle czuję się wyczerpana. Próbuję wokalizacji:

– O Boże. O Boooooże. – Dobrze mi to robi, więc próbuję dalej: – O nie, o nieeeee.

Słyszę, jak drzwi się otwierają, i szybko unoszę głowę, udając, że poprawiam makijaż. To ona! Zerkam na jej odbicie i nakładam następną warstwę czerwonej szminki.

– Czy to ciebie słyszałam przed chwilą? – pyta z udawanym współczuciem.

– Nie.

– Och, wydawało mi się, że ktoś zawodzi: „O nie” czy coś w tym rodzaju.

– Nie – odpowiadam dziarsko.

Nie wchodzi do kabiny; zamiast tego staje obok mnie i nakłada odrobinę błyszczyku. Nasze twarze tak bardzo się od siebie różnią – jej cera jest w kolorze miodu i naturalna, ja jestem blada jak śmierć i mocno wymalowana, a przy niej moja głowa wydaje się dziwacznie wielka. Staram się na nią nie patrzeć. Sam myje ręce.

– To trudne, prawda? To znaczy, należy użyć mydła do umycia rąk, ale trzeba uważać, żeby się nie dostało pod spód – mówi, patrząc na swoją idealnie opaloną dłoń. Ma tam coś błyszczącego i odwracam lekko głowę, aby mieć lepszy widok. Ona prostuje palce. Na jednym z nich ma połyskujący pierścienek zaręczynowy, różowy diament w platynowej oprawie. Przenoszę spojrzenie z pierścienka na jej twarz, a Sam uśmiecha się. – Więc... wygląda na to, moja droga, że dla ciebie i Roba jednak jest już trochę za późno.

Moje wnętrzności cofają się jak fala przed ponownym uderzeniem.

– Zareczyliście się? – chrypię. Sam otwiera szeroko śliczne oczy i kiwa głową. – Bierzecie ślub, ty i Rob? – Szok spływa na mnie niczym kubeł lodowatej wody. Stoję znieruchomiała, ze szminką w dłoni, z ustami otwartymi z przerażenia.

– Obawiam się, że tak. – Przegląda się w lustrze i zdejmuje z kucyka gumkę, odrzucając jedwabiste kasztanowe włosy na bok jak w reklamie szamponu. – Wiem, co sobie myślisz. Wszyscy mówią, że to takie nagłe, ale on nalega, więc w przyszłym miesiącu lecimy na Bali, by tam wziąć ślub. – Spryskuje się odrobiną perfum za uszami i odwraca w moją stronę, przechylając głowę. – Chyba więc pora, abyś go przeboleła i zajęła się własnym

życiem... W końcu on tak właśnie zrobił. – Idzie do drzwi, kołysząc przy tym biodrami, odwraca się i macha do mnie. – *Ciao!*

A ja stoję, gapiąc się na jej oddalające się plecy. Mam wrażenie, że moja krew przemieniła się w lód. Nie mieści mi się to wszystko w głowie. Rob się żeni? Niecałe dwa miesiące temu był zaręczony ze mną. Żeni się z nią po niecałych dwóch miesiącach, ale ze mną nie mógł po pięciu latach? Co on próbuje mi zrobić? Nie wystarczy, że złamał mi serce, musi je jeszcze roztrzaskać w drobny mak, a potem na nie nasrać? Jezu! Chodzę od ściany do ściany, robiąc obcasami ślady w beżowej wykładzinie. Kręcę głową i próbuję to wszystko przyswoić. To nie może być prawda, on by tego nie zrobił... Ale pierścionek! Nie mogę do tego dopuścić, ta kobieta nie może ukraść mojego przyszłego męża. Kręci mi się w głowie i muszę na chwilę usiąść, ale nawet wtedy zawroty głowy nie mijają. Słyszę, jak ktoś mnie woła, ale dzieje się coś dziwnego – obraz ciągle mi się zamazuje. Wyteżam wzrok i w końcu dostrzegam Maxa.

– Ach, a więc te fajne rzeczy wiszą tutaj! – Odsuwa się, dotykając plecami lustra, aż w końcu siada obok mnie. Uśmiecha się. – Co słychać?

Mrużę oczy.

– To damska toaleta. Co tu robisz?

– Próbuję zarywać laski.

– Och. – Uśmiecham się szeroko, po czym przypominam sobie o tamtej suce. – Zaręczyli się. Ona ma cholerny pierścionek.

Max opuszcza wzrok na wykładzinę i klepie mnie w nogę.

– Zadzwońię po taksówkę, co ty na to?

– Zaręczyli się. – Kręcę głową i całe pomieszczenie zaczyna się kołysać. – Ona i Rob się zaręczyli!

– A tam, taki związek na pocieszenie po rozstaniu. – Ujmuje moją dłoń i ściska. – Nie przetrwa. Widziałaś jej tyłek?

– Max! Jej rozmiar to pewnie trzydzieści sześć.

– Chyba w cyckach.

Patrzy na mnie, uśmiechając się szeroko, wyraźnie chcąc mnie rozśmieszyć – i rzeczywiście mu się to udaje. Siedzimy na podłodze w damskiej toalecie i chichoczemy. Pomieszczenie zdaje się wirować. Nie bez problemu podnoszę się i staję na chwiejnych nogach. Podaję mu rękę.

– Chodźmy się napić. – Max się uśmiecha, a w mojej głowie nagle pojawia się myśl, że niezły z niego przystojniak.

Mam nadzieję, że uda nam się niepostrzeżenie przemknąć do baru, z toalety wychodzimy jednak prosto w tłum kobiet. Jane stoi na schodach, trzymając w górze bukiet. Kulturalne rozmowy i cichy śmiech zastąpiło coś pierwotnego; kobiety piszczą i rechoczą, gdy tymczasem Jane szaleńczo macha kwiatami. Kilku panów kręci się nerwowo na obrzeżach rozemocjonowanej gromadki. Fotograf przeciska się przez tłum i pstryka zdjęcia.

– Gotowe? – woła Jane.

– Tak! – wyje stado, a jego członkinie starają się zająć jak najlepszą pozycję startową.

Wspieram się o Maxa i razem próbujemy przemknąć przez hall, kiedy dostrzegam Sam. Stoi na samym końcu, unosząc

szczupłe ramiona jak laska grająca w koszykówkę plażową. Rob stoi za nią, oparty o ścianę, i śmieje się. Coś we mnie pęka. Coś, co się do tej pory trzymało na nitce najcieńszej z możliwych, w końcu się poddaje, a ja zostawiam Maxa i puszczam się biegiem. Jeśli uda mi się złapać bukiet, udowodnię Robowi, że to ze mną powinien się ożenić. Nie mogę dopuścić do tego, aby to ona go złapała. Prędeż padnę trupem. Jeśli trafi w jej ręce, wszystko stracone. Z dzikim okrzykiem Jane rzuca bukiet, który przelatuje nad ufryzowanymi głowami i wyciągniętymi wymanikiowanymi dłońmi, nabierając prędkości, zataczając pełen gracji łuk, aż w końcu wpada niemal prosto w ręce Sam. Skaczę do przodu, napinając mięśnie. Sam jest tak bardzo skoncentrowana, że mnie nie widzi. Jej palce już dotykają łądyg, kiedy ja chwytam bukiet w obie ręce i ląduję na niej. Piszczy, a kiedy lądujemy na ziemi, czuję w nosie nagły, ostry ból, gdy jej kościsty łokieć nawiązuje kontakt z moją twarzą. Przez chwilę się kotłujemy, a ona próbuje wyrwać mi kwiaty, ale ja gramolę się z podłogi, wymachuję bukietem i podskakuję.

– Mam go! Mam go! – Robię krótką rundę honorową przed Robem i przez moje ciało przebiega dreszczyk ekscytacji, gdy widzę, że się uśmiecha. Trzymam bukiet, jakbym to ja była panną młodą, i chwiejnym krokiem podchodzę do niego.

– Zrobiłam to dla ciebie, wiesz? – Uśmiecham się najseksowniej jak potrafię.

– Wow, Viv! Ależ z ciebie sportsmenka. – Śmieje się i podaje mi chusteczkę. – Proszę, kapie ci na trofeum.

Opuszczam wzrok. Na delikatne białe róże spadają duże czerwone krople. Dotykam twarzy; z nosa leci mi krew. Odchylam głowę, ściskając grzbiet nosa.

– O Boże, leci mi krew z nosa! – Odwracam się. Stłoczone

kobiety milczą i patrzą na mnie z przerażeniem. – Halo! Leci mi krew z nosa. Czy ktoś może przynieść lód? – Odwracam się raz jeszcze w stronę Roba, ale on przytula właśnie Sam. Śmieje się przy tym i gładzi jej włosy. – Hej, ty! Walnęłaś mnie w nos! – Zerka na mnie przez ramię, po czym Rob odciąga ją na bok, osłaniając ramieniem. Zwolnione przez niego miejsce zajmuje Max i podaje mi serwetkę.

– Cóż, poszło tak dobrze, jak się można było spodziewać – mówi cicho i wyprowadza mnie w stronę drzwi.

Piosenki na złamane serce

1. Smutek

*Goodbye, My Lover – James Blunt**

Nothing Compares 2 U – Sinead O'Connor

I Can't Make You Love Me – Bonnie Raitt

Ex-Factor – Lauryn Hill

All Out of Love – Air Supply

** Uwaga: treść wyjątkowo smutna*

2. Gniew

See Ya – Atomic Kitten

I Never Loved You Anyway – The Corrs

Survivor – Destiny's Child

*I Will Survive – Gloria Gaynor**

Go Your Own Way – Fleetwood Mac

**Spotęgowanie dzięki mucho vino tinto i specjalnemu układowi tanecznemu*

3. Gojenie się ran

Sail On – The Commodores

I Can See Clearly Now – Johnny Nash

*1000 Times Goodbye – Megadeth**

Believe – Cher

Goody Goody – Benny Goodman

** Unikać, jeśli pała się chęcią zemsty*

Najpierw w oczy zaczyna mnie kłuć światło, następnie słyszę odgłos wiercenia. Mam spuchnięty język. Jest goręcej niż w piekle. Próbuję się ruszyć, ale moje ciało przeszywa ból. Mój wyjąłowiony mózg szuka po omacku wyjaśnień. Uczestniczyłam w katastrofie kolejowej. Pobito mnie i pozostawiono na pustyni. Mam świadomość, że coś obok mnie leży i czuję ciepło żywej istoty. Gdy odwracam głowę w jej stronę, w mojej czaszce przesuwa się coś ciężkiego. Mrużę oczy i jakoś udaje mi się rozpoznać zarys Dave'a, kota Maxa. Leży w łóżku razem ze mną. Zaczyna mi wracać pamięć – potworne, kolorowe migawki.

Wsuwam dłoń pod kołdrę. Mam na sobie majtki i T-shirt Arsenalu. Nie bez trudu opieram się na łokciu, a w głowie wali mi jak młotem. Zerkam na Dave'a. Przybrał pozycję sfinksa. Przednie łapy ma podwinięte. Mruga i zaczyna mruczeć. Zielone zasłony sprawiają, że sypialnia Maxa skąpana jest w przyprawiającym o mdłości świetle. Jeszcze nigdy w życiu nie chciało mi się tak bardzo pić. Obok łóżka znajduje się wiadro, chusteczki, szklanka soku z pomarańczy i opakowanie paracetamolu. Podnoszę szklankę i wypijam połowę jej zawartości. Drżącymi rękami biorę dwie tabletki i popijam je resztą soku, następnie ponownie się kładę i zamykam oczy. Dave ugniata łapkami kołdrę; odpycham go, a on bierze to za zaproszenie i próbuje ułożyć mi się na piersi, grubym ogonem zamiatając po moim nosie.

– Spieprzaj, Dave!

Spycham go z łóżka. Wbija mi pazury w dłoń, próbując utrzymać się na kołdrze, aż w końcu ląduje na szarym dywanie. Zaczynam kichać, a na rękę pojawiają mi się krwawe ślady. Boli mnie calutka czaszka, nawet zęby. Jezu, jestem poważnie chora. Kładę się z powrotem, walcząc z bólem i starając się nie myśleć; nie ma już jednak ucieczki przed prawdą. Sukienka za tysiąc funtów leży przerzucona przez stary fotel, gorset poplamiony jest krwią, spódnica pobrudzona czymś czarnym, skraj przypalony. Na podłodze dostrzegam sponiewierany, poplamiony krwią bukiet ślubny. To kostium żywcem wyjęty z *Narzeczonej Drakuli*. Rzeczywistość mnie nokautuje. Bum, przypomina mi się śliczna nowa dziewczyna Roba. Bum, wstałam i wygłosiłam mowę. Bum, bum, bukiet! I w końcu cios ostateczny... ON SIĘ ŻENI! Serce mi staje.

Jestem maleńka, pozbawiona nadziei, pokonana. Wpatruję się w zwisającą z papierowego abażuru starą pajęczynę. Gorączkowo szukam w pamięci choć jednej chwili, podczas której nie zachowywałam się żenująco, ale... wszystko na nic. Słyszę odgłos splukiwanej wody w ubikacji. Max puka do drzwi, po czym wchodzi, ubrany w dżinsy i wypłowiały T-shirt. Niczym człowiek na łożu śmierci odwracam głowę, aby na niego spojrzeć. On się uśmiecha i siada na skraju łóżka.

– Dzień dobry.

– Pomocy – szepczę.

– Aż tak źle?

– Zwierzęciu nie pozwolono by tak cierpieć.

Odsuwa mi włosy z czoła. Ma chłodną dłoń.

– Przynieść ci coś do jedzenia?

– Fuj. Nie. – Pod powiekami czuję łzy. Opuszczam wzrok na dłonie.

– Suchy tost czy coś w tym rodzaju?

Kręcę powoli głową.

– Sukienka jest zniszczona.

Przyglądamy się jej oboje.

– Cóż, przyda się na halloweenowe imprezy.

– A on się żeni. – Spod powieki wymyka mi się łza.

– Tak.

Max wyciąga się obok mnie, kładzie moją głowę na swoim ramieniu i leżymy tak przez kilka długich minut. Wyczuwam leśny zapach proszku do prania. Zasłony porusza przeciąg z nieszczelnego okna. Na ulicy ujada pies.

– To ty mnie rozebrałeś? – pytam nagle.

– Aha... Ty byłaś nieprzytomna.

– Zdjąłeś mi stanik.

– Tak, Viv, zdjąłem go.

– Ale zostawiłeś majtki.

- Cóż, założyłem je z powrotem, jak już cię przeleciałem.
- Och. Fajnie.
- Co ci chodzi po głowie? Położyłem cię po prostu do łóżka
- śmieje się.
- Dzięki.
- Nie ma sprawy.
- To znaczy, dzięki za wszystko... Za opiekę wczoraj.
- Drobiazg.
- Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę – jęczę.
- Nie... – Myśli przez chwilę. – Okej, zrobiłaś, ale w sensie pozytywnym.

Słucham silnego bicia serca Maxa, które jest niczym pięść waląca w drzwi. Papierowy abażur obraca się w prawo, a potem wraca do dawnej pozycji. Jestem sparaliżowana i przerażona własną bezradnością. Zawsze wiem, co zrobić – taka już jestem. Po prostu jakoś sobie radzę. Teraz czuję pustkę. Jestem uzależniona od drugiej osoby, od Maxa.

Zerkam na jego twarz – oczy ma zamknięte, usta lekko rozchylone i cicho pochrapuje.

– Max!

Przebudza się.

– Co?

- Nie zostawiaj mnie.
- Ach... nigdy. – Klepie mnie po głowie. Ciut za mocno.
- Mam na myśli teraz. Bebechy mi się wywracają... i czuję się naprawdę koszmarnie.

Opiera się na łokciu, patrzy na mnie z góry i marszczy brwi.

– Znam to. Nie jest fajnie być obiektem żartów. – Próbuję coś wtrącić, ale on unosi palec i przykłada mi do ust. – Bez względu na to, jak bardzo żenujące rzeczy zrobiłaś, a zrobiłaś ich niemało, spójrzmy prawdzie w oczy: i tak masz więcej wdzięku w jednym półdupku niż jakakolwiek obecna tam dziewczyna. A teraz to powiedz.

– Ale co?

– Nie jest fajnie być obiektem żartów i mam więcej wdzięku w jednym półdupku niż jakakolwiek obecna tam dziewczyna.

– Nie powiem. – Ale jednak mówię.

– Czujesz się tak fatalnie dlatego, że piliśmy jak smoki. Powiem ci, co zrobimy: pójdziemy do „Orła” na solidny niedzielny obiad.

Mój żołądek cały się skręca, sok pomarańczowy podchodzi mi do gardła. Max kładzie się, unosząc mi głowę i opierając ją z powrotem o swój tors.

– Nadal czuję się potwornie. Nie da się powiedzieć: „On nie jest tego wart”. Rozum może i tak mówi, ale serce... Serce krwawi. I jakie widzisz rozwiązanie?

– Samobójstwo. – Odwracam się do niego plecami i zwijam w kulkę jak dziecko. On obejmuje mnie ramieniem i mówi prosto do ucha: – Z mego bogatego doświadczenia, jeśli chodzi o złamane serce...

– Kto złamał twoje?

– Niejedna. Ostatnio dziewczyna z kafejki obok stacji Ladbroke Grove.

– Co się stało?

– Zobaczyłem ją z chłopakiem.

– Nawet jej nie znasz – pryham.

– Nadal mnie to boli. Należy karmić serce muzyką, poezją i malarstwem.

– Och, zaczyna się.

– Zwłaszcza muzyką country. Obecne w niej cierpienie sprawia, że własną sytuację widzisz w znacznie lepszym świetle. Na przykład: „Kiedy mnie zostawisz, idź tyłem, a pomyślę, że właśnie do mnie idziesz”.

– Nie wierzę, że jest taka piosenka.

– A właśnie że jest. *Kochając cię, łatwiej mi odejść*. Świetna piosenka. „Dlaczego tak trudno cię koooochaaać?” – zawodzi Max.

– Mówiłeś, że jedyna alternatywa to samobójstwo?

– Cóż, pomaga świadomość, że inni ludzie także cierpią. Nie jesteś sama.

– Nie myślałeś nigdy o układaniu haseł na pocztówkach?

– Sarkastyczna wiedźma. Zrobić ci pokrzywkę?

Uśmiecham się. Wtedy przypomina mi się Rob. Za każdym razem, kiedy myśl o nim pojawia się w mojej głowie, zaczynam analizować materiał dowodowy, próbując przekonać samą siebie, że to nie dzieje się naprawdę. Nie potrafię się z tym po prostu pogodzić. To ja kupiłam mu wszystkie slipy i poszewki na poduszki. Dociera do mnie, że to musi być pomyłka, i serce przestaje mi bić jak oszalałe. Wtedy oczami wyobraźni widzę pierścionek na eleganckim palcu Sam. Rob rzeczywiście się żeni – to prawda i nie mam co z nią walczyć. Wokół mego żołądka zaciska się wielka pięść. Max nawija na palec pasmo moich włosów. Zmieniam pozycję, tak że teraz używam jego brzucha jako poduszki. Patrzę na niego.

– On się żeni na Bali, wiesz?

– Palant.

– On przecież wcale nie lubi upałów. Kiedy poleciliśmy na Sycylię, nie wybrał się ze mną na żadną wodną przejażdżkę, bo między dwunastą a trzecią musiał się kryć przed słońcem.

– Rachityczny palant.

– To dlatego, że boi się raka skóry. Nawet kiedy się posmaruje blokerem... On ma bardzo wrażliwą skórę...

Max przygląda mi się z uwagą.

– Pozwól mi namalować twój portret.

Odkąd tylko się poznaliśmy, Max chciał mnie namalować, ale zawsze mu odmawiałam. Uważałam, że to w jakiś sposób popsuje nasze relacje, będzie zawstydzające. Teraz, leżąc tutaj, pusta jak bębenek, unosząc się i opadając w rytm jego oddechu, mam ochotę zrzec się siebie i znaleźć się w jego świecie – poza tym nie mam nic do stracenia.

– Droga wolna.

Szybko siada.

– Poważnie?

– Aha.

– Super! Naprawdę super... Teraz?

– Okej.

Wypada z pokoju, jakby się paliło. Po chwili wraca.

– Dobrze się czujesz? Przynieść ci coś?

– Herbatę. Wiadro herbaty z cukrem.

Po chwili ja też opuszczam sypialnię – celowo omijam przy tym wzrokiem to, co zostało z sukienki oraz lustro – i małym korytarzem udaję się do jego pracowni. Pod oknem stoi fotel obity szarym pluszem. Słyszę uderzenia łyżeczki o kubek. Na sztalugach czeka dziewicze płótno. Obok puszek z pędzlami leżą w rzędzie tubki z farbą akrylową, a znad jakichś podartych ciuchów unosi się sanitarny zapach terpentyny. Pokój wydaje mi się kojąco ciepły dzięki porannemu słońcu, w promieniach którego wirują drobiny

kurzu. W jednym rogu leżą jakieś artefakty i różne śmieci, o ścianę stoi oparty rower, a za nim widzę kilka ostatnich prac Maxa. Podchodzę, aby się przyjrzeć aktowi uderzająco pięknej brunetki. Leży na szarozielonej kanapie, jedną nogę w kolorze kości słoniowej ma zgiętą, drugą leniwie wyciągniętą. Szczupłe ramiona krzyżuje za głową. Drobne piersi są zakończone różowymi brodawkami, w dokładnie takim samym kolorze co jej usta w kształcie serca. Ciemnozielone oczy patrzą leniwie przed siebie. Ta kobieta jest bezczelna, zmysłowa i zapiera dech w piersiach. Wpatruję się w jej oczy – jest w nich ogromna siła. Aż wstydzę się na nią patrzeć. Wchodzi Max i przez chwilę stoi za mną. Na karku czuję jego oddech i robię krok w bok. Podaje mi herbatę, a ja pociągam łyk, gdy tak oboje przyglądamy się obrazowi.

– Kto to?

– Lula.

– Nigdy nie wspominałeś o żadnej Luli. Była Mary-Jane i Stephanie... I jeszcze tamta okropna Patti.

– Śmierdząca Pat?

– Taa, Śmierdząca Pat. Ale nie Lula.

Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– To tylko modelka, która mi pozowała.

– Piękna. Jesteś pewny, że chcesz mnie namalować taką skacowaną i w twoim T-shircie Arsenalu?

– Jesteś śliczna. I możesz go zdjąć.

– Dzięki, ale nie.

– Wobec tego siadaj. – Wskazuje szary fotel.

Plusz jest ciepły i przyjemnie łaskocze mnie w nogi. Max przez chwilę przygląda się uważnie mojej twarzy.

– Wygodnie ci? – pyta.

Kiwam głową.

Gdy szkicuje, minę ma poważną, a jego oczy wydają się ciemniejsze. Patrzy na mnie jak na przedmiot, analizując kształt fotela i mojego ciała, jakby widział je po raz pierwszy. Gdy jego spojrzenie przemyka ze mnie na płótno, promienie słoneczne muskają końcówki jego ciemnych rzęs i baczków.

– Wiedziałeś, że jesteś ociupinkę rudawy? – Nie odpowiada.
– To dlatego, że jesteś celtyckim imigrantem, prawda?

– Hmm. Aha.

Niczego z niego nie wydobędę. Ciepłe słońce, zapach farby i ciche skrzypienie ołówka są hipnotyzujące. Kubek z herbatą trzymam w obu dłoniach i patrzę, jak Max pracuje. Mam wrażenie, jakbym znała go od zawsze. Został wyrzucony z naszego akademika za warzenie piwa w szafie, a poznaliśmy się, kiedy założył Towarzystwo Miłośników Poezji i przez sześć tygodni pozostawałam jego jedynym członkiem. Organizowaliśmy spotkania, piliśmy tani cydr i deklamowaliśmy wiersze. Kiedyś znałam na pamięć *Ode do jesieni* Keatsa, ale teraz pamiętam jedynie jeden z głupich limeryków Maxa. Recytuję go:

– *Pewna młoda dziewczyna z Bretanii bawiła się dynamitu laskami. Znalaziono jej waginę w Północnej Karolinie, a fragmenty cycków w Toskanii.*

– Ach, Towarzystwo Poezji. Ależ byliśmy mądrzy. –
Uśmiecha się.

W kolejnym semestrze dołączyła do nas poważna studentka pierwszego roku, ładna okularnica z pryszczami na nosie. To nie powstrzymało Maxa przed uwiedzeniem jej i opowiedzeniem mi, że w łóżku wyje jak wilczyca.

– Pamiętasz tamtą dziewczynę, która się zapisała? Jak miała na imię?

– Bo ja wiem.

– Przeleciałeś ją! Ta, która wyła jak wilczyca.

– A tak. Jane. – Mruży oczy, przypominając sobie.

– Janet.

Ostrożnie wyciska na płótno farbę i nie odpowiada. To w sumie niesamowite, że jemu i mnie udało się pozostać tylko przyjaciółmi. To znaczy, kocham go. Można powiedzieć, że to mój najlepszy przyjaciel i zdecydowanie dostrzegam jego walory – jest wysoki i całkiem przystojny – ale po prostu zbyt dobrze go znam. I jest obrzydliwy. Nie przejmuje się datami przydatności do spożycia, a raz miał pchły i nawet o tym nie wiedział. Dla niego danie godne smakosza to gotowy posiłek ze sklepu polany drogą musztardą. Modę uważa za naruszenie praw człowieka. Poza tym zbyt wiele mi naopowiadał o wszystkich dziewczynach, z którymi był i co z nimi lub im robił. Wiem, że jedna z jego byłych nadal przysyła mu swoje nagie zdjęcia, i wiem, że on ich nie wyrzuca. No i najważniejsze: to Artysta i jest permanentnie splukany. Przyglądam się, jak rozsmarowuje farbę po płótnie. Odkłada nóż, zapala papierosa i patrzy na mnie.

– Nie przeszkadza ci, że będę palił?

– Chyba nie, o ile tylko masz świadomość, że z każdym machem ryzyko, że zachorujesz na raka, wzrasta o pięćdziesiąt procent, i że mnie także zabijasz.

– No i to mi się właśnie podoba, mała. Nie mam ochoty żyć wiecznie.

Mruga i uśmiecha się. Obserwuję, jak unoszący się z jego ust dym przybiera kształt znaku zapytania. Przyglądam się jego dolnej wardze i nagle zaczynam sobie wyobrażać, że ją całuję. Poprawiam się na fotelu.

– Kończymy już? Boli mnie szyja.

Wrzuca pędzle do słoika, a papierosa odkłada na wieczko.

– Aha, kończymy. Chyba udało mi się uchwycić istotę ciebie.
– Podnosi ręce nad głowę i przeciąga się. Jego T-shirt podnosi się i dostrzegam linię ciemnych włosów znikających pod materiałem dżinsów.

– Mogę zobaczyć?

– Nie. Jeszcze nie skończyłem. – Zdejmuje płótno ze sztalugi i razem z nim idzie w stronę drzwi. – Chodź. Pożyczę ci jakieś ciuchy. Idziemy do pubu.

8
Korzystaj z rad

7 czerwca, 06:11

Nadawca: Lucy Bond
Adresat: Vivienne Summers
Temat: Odp: Zapytaj Lucy

Cześć V,

Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że powinnam prowadzić na stronie rubrykę porad osobistych? No to podsyłam Ci próbkę moich umiejętności!

Droga Lucy,

Niedawno odkryłam, że mój chłopak wysyła do kogoś z pracy erotyczne SMS-y. Przyparty do muru powiedział, że to „tylko taka zabawa”. Potem się dowiedziałam, że adresatem tych wiadomości jest czterdziestolatek o imieniu Nigel, do którego zadzwoniłam i który wydał mi się naprawdę zabawny i sympatyczny.

W przyszłym roku ja i mój chłopak bierzemy ślub, ale teraz mam w głowie mętlik. Co powinnam zrobić?

M x

Droga M,

Trójkącik?

Lucy

Jest poniedziałkowy ranek, parny i szary. Lekko mży. Chyba rozbiera mnie coś paskudnego: czuję drapanie w gardle, bolą mnie oczy i zatoki. Otulona w niebieski welurowy szlafrok przeglądam e-maile. Oczywiście od Roba nie ma nic. Wysyłam szybką odpowiedź do Lucy:

Lucy, ciekawa rada dla kobiety, która „ma mętlik w głowie, jeśli chodzi o chłopaka”. Trójkącik. Odpowiedź na wszystkie nasze bolączki. Viv.

Muszę się wyszykować do pracy, człapię więc do łazienki i odkręcam wodę pod prysznicem. Staję przed lustrem i pociągam za dolne powieki – zdecydowanie cierpię na anemię. Są zupełnie pozbawione koloru. Mocno mnie to niepokoi – jak to możliwe, że jeszcze żyję? Wchodzę pod prysznic, staję pod igielkami wody i wyciskam na głowę trochę owocowego szamponu. W reklamie ma się po nim orgazm. Ale ja mam mdłości. Wychodzę z kabiny, owijam się wielkim różowym ręcznikiem i siadam na sedesie, opierając czoło na dłoniach. Czemu czuję się tak beznadziejnie? Wczoraj wypiliśmy z Maxem butelkę czerwonego wina na spółkę, ale byłam trzeźwa, kiedy koło dziesiątej wróciłam do domu i od razu poszłam spać. Robię z ręcznika turban, idę do kuchni i stawiam na gazie czajnik z wodą. Gdy zastanawiam się, w co się ubrać, przychodzi e-mail: „Wiem... jestem królową rubryk porad osobistych. X”.

Zaparzam herbatę i próbuję się ubrać, ale wysiłek, jaki trzeba włożyć w założenie spodni, niemal mnie wykańcza. A jest już ósma piętnaście i na bank się spóźnię. Kładę się do łóżka razem z komórką i z ogromnym uczuciem ulgi podejmuję decyzję, że nie jadę do pracy.

W telefonie czeka na mnie wysłany o północy SMS od Maxa.

„Jesteś urocza, wiesz?”. Widzicie, dlatego właśnie Max to mój przyjaciel – wie dokładnie, co i kiedy potrzebuję usłyszeć. Uśmiech jednak schodzi mi z twarzy, gdy dzwonię do pracy. Jestem zdumiona, kiedy odbiera Christie.

– Barnes and Worth, dział nabywczy, z tej strony Christie. W czym mogę pomóc?

– Cześć, Christie, tu Viv. Wcześniej dziś jesteś.

– Dzięki, że zauważyłaś, Viv. Rozpoczynam nowy rozdział!
– A więc koniec ze zjawianiem się w pracy o dziesiątej i jedzeniem śniadania przy biurku. – Taa, uznałam, że pora się skoncentrować na karierze! – Śmieje się, bo to ma być najwyraźniej żart.

– Super. Brawo. Słuchaj, ja...

– Taa, po tym werbalnym ostrzeżeniu i wszystkim innym będę z tobą szczerą. Pomyślałam: pieprzyć to, odchodzę! Ale potem, no wiesz, przez weekend wszystko przemyślałam i postanowiłam: Christie, musisz zebrać się do kupy i dalej próbować.

– Och, jasne. Cóż, to wspaniale, Christie. Słuchaj, możesz wszystkim przekazać, że nie przyjadę dziś do biura? Paskudnie się zaziębiłam, a mam dziś do zrobienia takie rzeczy, które mogę wykonać w domu. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę pod telefonem.

– Och, niezły jest.

– Ale co?

– Ten chrapliwy głos! To tylko ja, Viv, ze mną nie musisz udawać, że jesteś chora.

– Jestem chora!

– Jasne.

– Prawdę mówiąc, to mam anemię i początki zapalenia migdałków.

Znowu srebrzyście się śmieje.

– Okej, Viv. Powiem im, że dziś cię nie będzie.

– Tak. Obok mojego biurka leży stos dokumentów do posegregowania. Możesz się tym dziś zająć?

– Och... tak.

– I nie zapomnij napisać raportów dotyczących bezpieczeństwa użytkowania tych parasoli, afrykańskich koralików i zestawu do pielęgnacji paznokci.

– Wszystkich?

– No cóż, wcześniej dziś przyszłaś.

– Okej.

– Na razie to wszystko. Zadzwoń, gdyby przypomniało mi się coś jeszcze.

– Okej. Mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz, Viv.

– Pa, Christie – kończę rozmowę z tą małą impertynentką.

Leżę z głową na poduszce i zakrywam oczy zaciemniającą

opaską. Gdyby tylko udało mi się pospać przez kilka godzin, wszystko byłoby lepiej. Ale nawet teraz, gdy koncentruję się na spowolnieniu oddechu, w mojej głowie rozpoczyna się szaleńcza gonitwa myśli. Światło jest zbyt jasne, a ruch uliczny za głośny. Wstaję, ubieram się i pędzę, aby zdążyć na następny pociąg do Kent.

Spacer szerokimi chodnikami tych zielonych przedmieść jest niczym cofnięcie się w czasie. Skręciwszy w stronę domu babci, czuję się jak dziecko. Dom znajduje się na samym końcu ślepej uliczki, rozłożony na działce jak grubas u szczytu stołu – jasny, sfatygowany i zapraszający. Mijam mężczyznę pchającego małą dziewczynkę na nowym rowerku. Zerkają na mnie. Pamiętam, jak ponad dwadzieścia pięć lat temu dziadek trzymał siodełko mojego chwiejącego się rowerka dokładnie w tym samym miejscu. Wchodzę na wysypaną żwirem ścieżkę prowadzącą do drzwi, naciskam dzwonek, zapuszczam żurawia przez mleczną szybę, po czym dzwonię raz jeszcze. Chybabym nie zniosła, gdyby się okazało, że nie ma jej w domu, nie przyszło mi jednak nawet do głowy, aby najpierw zatelefonować. Czekam na skąpanym w słońcu progu i czuję, jak bawełniana sukienka zaczyna mi się kleić do skóry. Może jest w ogrodzie. Lawiruję między leżącymi w trawie jabłkami, by zerknąć ponad płotem, ale jej nie widzę. Jeszcze raz, przez kilka sekund, naciskam dzwonek, tym razem niemal pewna, że jej nie ma. Coś w końcu słyszę, następnie do drzwi zbliża się jakaś postać.

Majstrując przy zamku, babcia woła:

– Chwileczkę, chwileczkę... – W końcu otwiera drzwi. – Och, Viv! Witaj. – Przyciąga mnie do siebie. Gdy się przytulamy, czuję jej kościste ramiona. Ujmuje moją twarz w dłonie i czuję delikatny zapach kwiatowego kremu do rąk. – Co za niespodzianka! Spodziewaliśmy się ciebie wczoraj.

To zabawne, że nadal mówi „my”. Dziadek odszedł dwa lata temu. Tego ranka, kiedy zmarł, babcia zaniósła mu herbatę i opowiadała mu coś przez pół godziny i dopiero wtedy dotarło do niej, że go już nie ma.

– Wiem. Przepraszam.

Uśmiecha się i czeka na wyjaśnienie, ale mogłabym jej jedynie powiedzieć, że jestem beznadziejna. Wycieram dłonie w sukienkę. Przez chwilę stoimy w wyłożonym wykładziną korytarzu ze zdjęciami, obrazami, wspomnieniami i duchami.

– Cóż, jesteś za to teraz. Co za miła niespodzianka. – Przygląda mi się uważnie, po czym kładzie ręce na moich ramionach, jeszcze raz przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. – Wchodź. Wchodź! Tak lubię, jak mnie odwiedzasz.

Idę za nią na dół do kuchni. Mojej uwadze nie umyka fakt, jak mocno trzyma się poręczy przy każdym kroku.

– Założę się, że masz wielką chęć na kawę!

Kiedyś to jej wykrzykiwanie mocno mnie krępowało. Potrafiła nagle się zatrzymać, gdy gdzieś się spieszyłyśmy, i zawołać: „Och! Jakie to piękne!”, ponieważ zobaczyła pajęczynę albo: „Upieczmy ciasto!”, kiedy koncentrowałam się na powtórcie do klasówki. Myślę o tym, jak się wstydziłam, że ze szkoły odbiera mnie starsza pani. Chciałam mamy takiej jak mamy moich koleżanek, mamy, która się maluje i chodzi w butach na wysokim obcasie. Babcia każdego dnia zjawiała się w tym swoim kaftanie i czekała na szkolnym dziedzińcu, choć prosiłam ją, aby siedziała w samochodzie.

W kuchni roznosi się permanentny bożonarodzeniowy drożdżowy zapach. Z sufitu zwisają suszone rośliny, a ściany są

wyłożone płytkami. Siadam na ławie za wielkim dębowym stołem i wyglądam na ogród. Jego fragmenty skąpane są w słonecznym blasku, na przykład donice z geranium na tarasie. Babcia gwizdże cicho, wsypując kawę do wiekowego ekspresu. Chwilę później urządzenie zaczyna syczeć i dudnić, aż w końcu wypluwa z siebie doskonałe cappuccino. Babcia składa niebieski materiał sukni wokół nóg niczym brzegi koperty i siada naprzeciwko mnie. Pije radośnie kawę, a biała pianka przykleja jej się do górnej wargi.

– Och, Viv, ogród jest piękny. Naprawdę, te róże się dosłownie rozszalały!

Odstawiam filiżankę.

– Zawsze były imponujące.

– Ale w tym roku są... wyjątkowe. – Twarz jej lśni. – I ten zapach!

Zerkam na dalszą część ogrodu. Dość mocno zarośnięty, liście niezgrabione.

– Nie czujesz się tu samotna?

– O rety, to jedna z tych rozmów w stylu: „pora, aby cię umieścić w domu opieki”?

– Oczywiście, że nie! Ja tylko sobie pomyślałam... czy tak właśnie wyobrażałaś sobie przyszłość?

Uśmiecha się, przechylając głowę na bok.

– Staram się nie myśleć o tym, jak mogło być.

– Niczego nie żałujesz?

– Nie bardzo. Chyba znalazłam spokój. Jestem szczęśliwa, zrobiłam, co w mojej mocy. – Zdrapuje paznokciem jakąś plamkę na stole. – Czemu pytasz? – Patrzy mi w oczy. – Ty żałujesz?

– Tak – wzdycham.

– Och! Mam ciasteczka imbirowe. – Gdy po nie wstaje, dostrzegam sztywność w jej ruchach i przez chwilę czuję irytację. Zza drzwi do spiżarni woła: – Przez telefon mówiłaś, że Rob kogoś ma?

– Tak, ma. Żeni się. – Opieram brodę na rękę, żeby się nie trzęsła.

Babcia siada z talerzem herbatników i przez chwilę przygląda mi się, po czym mówi, starannie dobierając słowa:

– I? Jak się w związku z tym czujesz?

– Strasznie. Jestem zdruzgotana.

– Bo to ty chcesz za niego wyjść?

– Ja przecież miałam za niego wyjść... niemal trzy miesiące temu.

Wzdycha i patrzy na ogród.

– O, proszę! Widziałaś tego małego strzyżyka? – Rzucam jej ostre spojrzenie, a ona odstawia filiżankę i bierze moją dłoń. – Och, kochanie, wiem, że masz wrażenie, jakby to był koniec świata. Ale to przejdzie, zobaczysz. – Patrzymy sobie w oczy. Moje pełne są łez, jej niezwykle niebieskie i błyszczące. Ścisza mi mocno dłoń. – Za jakiś czas dotrze do ciebie, co to za piździelec.

Oddech więźnie mi w gardle.

– Babciu!

– No co? Sporo ich jest na świecie.

– Nie wolno ci tak mówić! – Wygląda na zadowoloną z mojej reakcji. Kręcę głową. – Ja go kochałam... To znaczy Kocham.

– Czy ty naprawdę nie masz pojęcia, jak śliczna z ciebie dziewczyna? Jesteś zabawna, bystra i ciepła. Mogłabyś mieć innego na pstryknięcie palców.

– Ale ja chcę jego.

– Wiem. – Z wewnętrznej ścianki filiżanki wyciera palcem piankę i zlizuje ją. – I znając cię, zdobędziesz go. Pytanie tylko, co wtedy?

– Wyjdę za niego i urodzę mu dzieci – mówię szybko.

– Naprawdę? – Patrzy ze smutkiem w dal.

– Babciu, teraz jest inaczej niż w czasach twojej młodości. Mam trzydzieści dwa lata, Rob to jedyny mężczyzna, który mi się oświadczył, a inni jakoś nie tłoczą się pod moimi drzwiami!

– Kiedy byłam młoda, płynnie się przechodziło od bycia córką do bycia żoną i do bycia matką. – Spogląda na stojące na parapecie zdjęcie w ramce, przedstawiające ją i dziadka w czasach młodości, gdzieś nad morzem. On przytrzymuje włosy, które wiatr zawiewa jej na twarz. On wygląda, jakby trafił szóstkę w totka. – Teraz kobiety mają znacznie większy wybór.

– Wybór... Taa... Nie wszystko jest takie piękne, jakby się mogło wydawać.

– Cóż, idź za głosem serca, taka jest moja rada... Nawet jeśli serce wiezie cię ku katastrofie. – Uśmiecha się i wstaje, aby uprzątnąć filiżanki. – I tłoczą się pod drzwiami, Vivienne. Tyle że ty tego nie widzisz.

Przygnębiona przechodzę do niewielkiego salonu sąsiadującego z kuchnią. Pod oknem stoi fotel dziadka. Kredens z rodzinnymi fotografiami pokrywa warstwa kurzu. Biorę do ręki jedno ze zdjęć dziadka i przecieram je sukienką. Uśmiecha się, a na głowie ma panamę. Na dole babcia napisała: „Lawrence, 2009 r.” – rok przed jego śmiercią. Jest tam kilka moich fotografii, kiedy miałam siedem lat; podrzucono mnie wtedy do dziadków w pizamie i nigdy nie odebrano. Jedno zdjęcie jest boleśnie znajome: moja matka jako dziecko. Kiedyś trzymałam je przy łóżku. Sądziłam, że jeśli będę ją bardziej kochać, ona wróci. Odstawiam zdjęcie. Są też dwie fotki, na których ja i mama jesteśmy razem, na jednym nawet się uśmiecha.

Słyszę dzwonek i babcia woła:

– To pewnie Reg! Zaprosiłam go na lunch.

Dlaczego odczuwam irytację? Odkładam zdjęcia na miejsce i wracam niespiesznie do kuchni. Pojawia się Reggie z bukietem pachnącego groszku. Jego potężna sylwetka zdaje się blokować pomieszczenie niczym zbyt duży mebel. Mówi ze śmiesznym cockneyowskim akcentem. Jego przybycie zmienia atmosferę – babcia świergocze jak papużka. I nagle już szykuje lunch.

– Mam ładny kawałek szynki, Reg.

– Wspaniale! Witaj, Viv. Wszystko dobrze, skarbie? – Ma

pooraną zmarszczkami twarz wieloletniego palacza; gdy wita się ze mną, zmarszczki stają się jeszcze głębsze.

– Dobrze, dziękuję. – Babcia posyła mi długie spojrzenie. Siadam przy stole.

Reg wygląda na ogród.

– Piękną dziś mamy pogodę!

– Hmm.

– Co dzisiaj porabiasz?

– Nic takiego.

Babcia stawia na stole talerze.

– Niespodziewanie odwiedza swoją babcię, prawda, kotku?

Patrzą na siebie znacząco, a potem z uśmiechem odwracają się w moją stronę, a do mnie dociera, że nic tu po mnie.

– Babciu, tak naprawdę to wpadłam tylko na chwilę. Powinnam się już zbierać.

– Co takiego? Po tej całej drodze z Londynu?! – śmieje się Reg.

Babcia kładzie mi ręce na ramionach, jakby chciała mnie przytrzymać.

– Nie! Nie jedź, Viv, dopiero co przyjechałaś.

– Wiem, ale mam do załatwienia sporo rzeczy, naprawdę, no

i zobaczymy się w niedzielę. – Ściskam ją, zamykając oczy, aby nie patrzeć na Rega. – Możliwe, że przyjedzie ze mną Max.

Odprowadza mnie do drzwi, wyraźnie zmartwiona.

– Och, ale ja nie chcę, żebyś jechała! – Wtula się we mnie jak mały ptaszek i nagle to ona staje się dzieckiem, któremu potrzebna jest opieka.

– Wiem, ale masz tu teraz Rega, a my zobaczymy się w niedzielę.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz. Gdybym wiedziała, odwołałabym lunch z Regiem. – Wygląda na mocno zasmuconą.

– Nic się nie przejmuj. – W duchu trochę się cieszę, że zauważyła aluzję. Przekraczam próg. – Do zobaczenia niedługo.

– Kocham cię! – woła za mną.

Nagle nie mogę się doczekać, aby uciec z jej życia. Gdy skręcam za róg i zerkam przez ramię, ona stoi na progu i macha.

W drodze do domu, gdy siedzę w pociągu wiozącym mnie z powrotem do Londynu, gryzie mnie coś, czego nie potrafię do końca pojąć. Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowałam u babci. Źle mi teraz z tym, że wprawiłam ją w zakłopotanie. Wydaje mi się, że chyba nie chciałam po raz kolejny czuć się odstawiona na boczny tor, i może to niemądre, ale spodziewałam się, że zapewni mi wsparcie bez względu na wszystko, że odprawi Rega. Być może nie dostrzegła, że potrzebuję pomocy. Jak człowiek powinien pokazać, że ma złamane serce? Jak się prosi o pomoc? I kto ma przyjść z tą pomocą? Teraz dociera do mnie, że moja rodzina i przyjaciele nie mieli o Robie najlepszego zdania. Ale tylko dlatego, że oni go nie lubią, zachowują się tak, jakbym ja także nie

powinna, i lekceważą moje cierpienie. Czy muszę wywiesić transparent? „Uwaga! Złamane serce. Może płakać”. Ale nie chodzi o to, że oni tego nie widzą; prawda jest taka, że nie mogą mi pomóc. Sama muszę się z tym uporać.

Zawód miłosny to coś, co przeżywa się w samotności i dlatego właśnie ta moja strona internetowa to taki dobry pomysł. Inni ludzie na pewno czują się tak jak ja. Ta strona będzie miejscem, gdzie każdy odwiedzający wie, przez co przechodzą inni. Wyjmuję notes i zapisuję: „Chat room, hotel złamanych serc?”, i natychmiast czuję się jak ofiara losu. Jeśli się wchodzi na tego typu chat, wcześniej trzeba uznać stratę, prawda? Trzeba mieć świadomość, że zostało się porzuconym, że to rzeczywiście „koniec”. W przypadku Roba i mnie wcale tak nie jest. Wiem, że się żeni i w ogóle, ale to nie on mi o tym powiedział, my ze sobą nie porozmawialiśmy.

Gdybym mogła się z nim zobaczyć, rzeczywiście porozmawiać, wiem, że zdałby sobie sprawę z tego, iż popełnił błąd. Może czas przełknąć dumę i się z nim skontaktować. Opieram czoło o szybę i czytam graffiti na mijanym murze. Pociąg z piskiem hamuje. Wsiada potężny jasnowłosy chłopak i choć wagon jest w połowie pusty, pakuje się na miejsce obok mnie. Czuć od niego zatęchły dym z papierosów. Kładę torebkę na kolanach i przysuwam się bliżej okna. Z jego słuchawek słychać głośny, tandetny beat. Otwiera zatłuszczone pudełko ze smażonym kurczakiem i zabiera się za jedzenie, ogryzione kostki rzucając na podłogę. Patrzą przez szybę na ponury, wielki Londyn. Zapach kurczaka sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Posyłam chłopakowi znaczące spojrzenie. On oblizuje usta, zgniata zatłuszczone pudełko i je także rzuca na podłogę. Zerka na mnie i kiwa głową. Gestem każę mu wyjąć słuchawki i pokazuję na bałagan u naszych stóp.

– No już. Myślisz, że ktoś to wszystko posprząta?

Patrzy najpierw na podłogę, potem na mnie, a potem odzywa się z udawanym jamajskim akcentem:

– Ty, mała, i zrób mi laskę, jak już się schylisz.

– Pięknie!

Kiwa głową.

– Spoko.

– A co z innymi ludźmi, którzy muszą jechać tym pociągiem?

Wzrusza ramionami.

– Stara, jak chcą, to też niech jedzą kurę!

– W porządku. Przepuść mnie. No już, posuń się. – Przesuwa nogi na bok. Gramolę się z siedzenia, czując, że na szyję występuje mi rumieniec. Wściekle próbuję znaleźć sposób na nawiązanie kontaktu z ochroniarzem, kiedy dostrzegam specjalny guzik. Dokładnie naprzeciwko chłopaka. Wciskam guzik i piorunuję go wzrokiem. Jakieś trzaski i w końcu głos:

– Tu ochrona.

– Witam, jadę chyba w czwartym wagonie i jest tu młody człowiek, który je kurczaka i rzuca resztki na podłogę!

– W porządku, proszę pani, dopilnuję, aby sprzątaczką się tym zajęła, kiedy dojedziemy do przystanku końcowego.

– Ale nie chce pan mówić z tą osobą? On tu nadal jest – mówię z rozdrażnieniem.

- Proszę pani, sprzątaczką posprząta bałagan.
- Tak, ale co z osobą, która to zrobiła?
- Nic nie możemy zrobić, proszę pani. – Znowu trzaski i cisza.

Obrzucam chłopaka wściekłym spojrzeniem i zajmuję miejsce naprzeciwko, żebym mogła go pokazać, gdyby zjawił się ochroniarz. Chłopak coś mamrocze, odwracam się.

- Przepraszam, co powiedziałeś?
- Powiedziałem, że musisz wyluzować... Powaga!

Patrzę prosto przed siebie, nagle świadoma tego, że przyglądają mi się inni pasażerowie, kiedy jednak podnoszę wzrok, oni odwracają spojrzenia. Opowiedziałam się za nimi, nadstawiłam karku w imię zachowania czystości w pociągu, a teraz oni traktują mnie jak jakąś dziwaczkę! Przez resztę drogi płonę oburzeniem, gdy tymczasem chłopak mruczy raz za razem: „Powaga”, jakby to było jakieś zaklęcie.

W końcu docieram do domu. Zamykam drzwi i opieram się o nie, czując się tak, jakby goniły mnie wilki. Po co w ogóle stąd wychodziłam? To oczywiste, że oszalałam z bólu. Nie zgrywam się z resztą wszechświata.

W tej akurat chwili żałuję, że nie mam żadnego zwierzaka. Ślicznego kotka z obrozą z dzwoneczkiem, który przybiegałby na dźwięk klucza w zamku. To byłoby miłe – uczyniłoby samotność nieco lżejszą do zniesienia. Kupowałabym kotu jedzenie z wyższej półki, takie jak w reklamach. Razem oglądalibyśmy telewizję. Ale ta kuweta... I te wszystkie bobki w żwirku... Faj. Nie, już lepiej mi

będzie samej z moim bólem.

Postanowiłam, że skontaktuję się z Robem, a to już coś dobrego – pozytywne działanie. Wyślę do niego e-mail. Rzucam torbę na podłogę i włączam komputer. Otwieram skrzynkę pocztową. Mam kilka wiadomości – dwie od Christie, jedną od firmy katalogowej i jedną od niego! Przełykam ślinę i przybliżam się do ekranu. Wali mi serce.

Witaj, Viv,

Mam nadzieję, że doszłaś już do siebie po sobocie. To dopiero był występ!

Cieszę się, że poznałaś Sam. Rozumiem, że powiedziała ci, że się hajtamy. Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym w taki sposób. Chciałem ci powiedzieć osobiście i myślałem, że zaproszę cię na kolację czy coś w tym rodzaju. Tyle się ostatnio dzieje.

W każdym razie życz mi powodzenia.

Rob

Czuję się, jakby wychynął z ekranu i walnął mnie kijem w szyję. Szybko stukam w klawiaturę.

Cześć, Rob,

Moje gratulacje! Uważam, że twoja nowa narzeczona to bardzo interesująca osoba.

Dobrze by było spotkać się na kolacji. Osobiście chciałabym życzyć ci powodzenia.

Viv

Powinnam nie spieszyć się z odpowiedzią, spokojnie się nad nią zastanowić. Najeżdżam myszką na „wyślij”, a potem po prostu klikam – i poszło! Dobrze, przynajmniej nawiązaliśmy kontakt. Cała się trzęsę. To jedyny mężczyzna na świecie, którego pragnę, a on się żeni i informuje mnie o tym e-mailem. To „się hajtamy” pisze tak swobodnie, jakby ostatnie pięć lat planowania naszego ślubu było próbą generalną.

Natychmiast odpowiada.

Gdzie i kiedy ta kolacja?

Z tego wniosek, że nadal chce się ze mną spotkać – to dobry znak, a tak szybka odpowiedź musi oznaczać, że przez cały czas czekał, aż mu odpiszę. Przebiega mnie dreszczyk emocji. No dobrze, gdzie najlepiej zjeść razem kolację? Nie w restauracji – zbyt formalnie. Nie tam, gdzie bywaliśmy – zbyt sentymentalne. Chyba najlepiej jakiś pub, gdzie serwują jedzenie, miejsce niezobowiązujące i na luzie.

A może „Nieśmiały Koń” na King Street? Czytałam sporo dobrego o tym miejscu. W piątek o 19.30?

Klik – i wysłane.

Czekam pięć minut, wpatrując się w ekran, ale żadnej odpowiedzi. Otwieram wiadomości od Christie, z których żadna nie dotyczy pracy. W jednej pisze, że brakuje jej mnie i że poszła do naszego ulubionego baru kanapkowego, ale nie kupiła „całodziennej bułki śniadaniowej”, bo dostrzegła ilość kalorii: większą niż dzienne zapotrzebowanie goryla. W drugim ma nadzieję, że jutro wrócę, bo zaczynają się wyprzedaże.

Zabieram się za odpowiedź, ale słyszę cichy odgłos

towarzyszący nadejściu nowego e-maila... Nie od niego. To fotograf przesyłający link do zdjęć ze ślubu Jane i Hugo. Biorę głęboki oddech i klikam w niego.

Młoda para w różnych pozach przed kościołem. Dwa ujęcia, kiedy on robi gwiazdę, ona zaś biegnie, a welon trzepoce jej na wietrze, są na granicy absurdu. Jest też cukierkowe zdjęcie, gdzie całują się nad dorobionym w Photoshopie źródelkiem, do którego wrzuca się monety na szczęście. A potem czuję ukłucie, gdy docieram do zdjęcia Roba i Sam pozujących na dziedzińcu przed kościołem. On wygląda oszalamiająco, słońce opromienia jego włosy; ona, stojąc z jedną nogą wysuniętą, wciągniętym brzuchem i odchyloną głową, przypomina modelkę. Patrzę na nią gniewnie, mruczając pod nosem:

– Ty krowo, ty krowo, ty krowo!

Chyba ją wydrukuję i pokażę Christie.

Przesuwam niżej i znajduję siebie. Proszę bardzo, mam zaczerwienione oczy, uśmiecham się i jedną ręką trzymam się Maxa, a w drugiej mam kieliszek z szampanem. Na innym ciskam wzrokiem pioruny, jak jakaś czarownica, w tle portretu szczęśliwej pary. Siedzę przy stole z rozmazanym makijażem, otwartymi ustami w trakcie jedzenia bułki. Jest też fotka ze mną i Maxem, kiedy dotykamy się głowami i szczerzymy jak idioci. I w końcu ja, z bukietem w ręku obok Roba i Sam. O mój Boże! Przy niej jestem jasnorożową olbrzymką z czerwonym, spuchniętym nosem i rozmazaną szminką. On patrzy nieco w bok, ale ona prosto w aparat: ma wyzywający uśmiech, symetryczne brwi, lśniące włosy, jest wypielęgowana i opanowana. Wygląda tak, jakby zaraz miała mnie odesłać jednym gestem kościstej dłoni. Podpis pod zdjęciem: „Rob i Sam z przyjaciółką”. Nie pamiętam, jak je robiono. Co za fotograf robi tego rodzaju zdjęcia? Chowam twarz w dłoniach, po czym zerkam raz jeszcze przez palce. Tak, jest aż tak źle.

Ping!

W porządku, zatem do zobaczenia.

Przyjaciele, przysługi i kumple od bzykanka

Jak odgadnąć, że mu się podobasz:

Czy słucha wszystkiego, co mówisz?

Czy komentuje twój wygląd?

Czy w twojej obecności częściej niż zwykle oblizuje usta?

Czy utrzymuje z tobą kontakt wzrokowy dłużej niż dwie sekundy?

Czy często się uśmiecha i śmieje ze wszystkich twoich dowcipów?

Czy pyta, czy z kimś się spotykasz?

Czy chodzi inną trasą, żeby wpaść na ciebie?

Czy próbuje wydawać się ważniejszy / silniejszy / mądrzejszy / zabawniejszy / bogatszy niż jest naprawdę?

Czy bez przerwy śle ci SMS-y?

Czy próbuje cię dotykać?

Jeśli udzieliłaś twierdzącej odpowiedzi na co najmniej trzy z powyższych pytań, coś jest na rzeczy.

W pracy panuje nieznośna duchota; powietrze jest niczym gruby koc. Zdjęcie nad moim komputerem, przedstawiające Roba i mnie, unosi się leniwie i opada w podmuchach wirującego wiatraka. Wizualizacja to umiejętność, której uczę się od kilku lat:

w myślach tworzę obraz tego, czego pragnę, czynię go tak wyrazistym, na ile to możliwe, dodaję kolory i animację. To naprawdę działa i można stosować tę metodę praktycznie do wszystkiego – aby ktoś cię zagadnął, aby rozmowa w sprawie pracy poszła po twojej myśli, a nawet aby znaleźć miejsce parkingowe. Dzięki temu zdjęciu odzyskam Roba. To zbliżenie naszych uśmiechniętych twarzy. Weszliśmy wtedy na szczyt Primrose Hill i on zrobił je z ręki. Słońce tworzy wokół jego głowy aureolę, błękitne oczy błyszczą, a uśmiech rodem z reklamy pasty do zębów sprawia, że serce od razu szybciej mi bije. Całuję swój palec i przyciskam go do policzka Roba.

Siedząca obok Christie ogląda przez lupę wydrukowane zdjęcie Sam. Zdumiała mnie swoją wczorajszą wydajnością. Uporządkowała dokumenty, napisała raporty, o które prosiłam, a nawet zaczęła tworzyć ofertę prezentów gwiazdkowych. Przygotowała robiącą wrażenie tablicę, na której prezentowane są główne trendy jesienno-zimowych kolekcji mody. Motywem przewodnim jest folk w luksusowym wydaniu, zwierzęce wzory oraz kratka i tweed.

To oczywiście sprawka tej nowej, udoskonalonej Christie, ale do tego zaczęła jeszcze nosić okulary zerówki. Twierdzi, że dzięki nim wygląda inteligentniej; nie chcę się kłócić. Mówię jej, że idę zaparzyć herbatę.

– Herbata ma dużo kofeiny, która działa odwadniająco. Nie. Nie dla mnie, Viv. – Pytam, czy chce wobec tego kawę. – Kawę? Kawa jest jeszcze gorsza!

Chce jakiś napar ziołowy z mlekiem sojowym. Żałuję, że w ogóle cokolwiek zaproponowałam. Wracam z kuchni, stawiam na jej biurku dziwnie pachnący napój i przysiadam na drugim końcu, sącząc nescafé. Christie odkłada lupę i podnosi na mnie wzrok. Minę ma nietęgą.

– Śliczna, prawda? – Kiwam głową. – Naprawdę próbowałam znaleźć jakąś skazę, ale jest oszalamiająca, prawda? – Ponownie kiwam głową. Christie patrzy ze smutkiem na zdjęcie. – Ma do tego wyczucie stylu, no nie? Ciekawe, gdzie kupiła tę sukienkę. – Przygląda się uważnie. – Boże, co za figura! Za takie ciało gotowa bym była zabić, a ty? – Zabieram jej zdjęcie. Zaskoczona podnosi wzrok. – Ale wygląd to nie wszystko. Mówiłaś przecież, że to suka jakich mało. Najpewniej po prostu wyjątkowo dobrze wyszła na tym zdjęciu.

Unikając jej spojrzenia, zsuwam się z biurka, robię dwa kroki i opadam na własny fotel. Patrząc na zdjęcie, zgniatam je w kulkę i ciskam do kosza; nie trafiaam i kulka ląduje w przejściu, u stóp Paula z działu informatyki. Podnosi ją, rozkłada i wydaje długi gwizd.

– Szczęściarz z koleśia. Nie wygoniłbym takiej z łóżka! – Podaje mi zdjęcie takim gestem, jakby rzucał frisbee. Ponownie je zgniatam i tym razem udaje mi się trafić do kosza. Uśmiecham się przy tym sarkastycznie. Paul unosi ręce i zaczyna się wycofywać, ale dostrzega nogi Christie i zatrzymuje się w pół kroku. – Czy masz na nogach kabaretki, młoda Christie?

Ona cofa się z fotelem i wyciąga nogi.

– Tak, Paul, w dodatku to są pończochy.

Paul wkłada sobie pięść do ust, a drugą zakrywa krocze i odchodzi. Christie chichocze.

– Powinnaś na niego donieść. To molestowanie seksualne.

– Nie, jeśli mnie to nie przeszkadza – śmieje się.

– A powinno! – warczę.

Christie wzdycha i odwraca się do swojego komputera.

Wyglądam przez okno na upalny, drgający Londyn. Nad stłoczonymi dachami góruje kopuła Muzeum Madame Tussaud. Za tym oknem miliony żyć biegną swoim torem. Ludzie oddychają, jedzą, kochają się, pieprzą, umierają. Jeżdżą autobusami, motorami, taksówkami i metrem, rozmawiają przez telefon, załatwiają interesy, stoją w kolejce po kawę. Ten świat się porusza, gdy tymczasem ja siedzę tutaj, czując się tak, jakbym połknęła ostry kawałek skały.

Biorę do ręki komórkę i wysyłam SMS-a Lucy: „Co powiesz na lunch?”. Odpisuje: „Mogę o 13.00 na pół godziny, inaczej dopiero po 15.00”. Wpatruję się w jej słowa. Wygląda na to, że wszyscy poruszają się w innym tempie niż ja; dążą do celu na wielkim oceanie życia, ja natomiast powoli tonę. Zgadzam się na 13.00. Ze zniechęceniem przeglądam skrzynkę odbiorczą. Mam dużo pracy do nadgonienia. Christie i ja musimy razem sięść i ustalić, jakie linie produktów proponujemy do zimowej kolekcji prezentów, ale ja ciągle myślę o nowych pomysłach na stronę. Notuję: „Centrum handlowe dla cierpiących z miłości”.

Nagle wydaje mi się to ważniejsze niż wszystko inne. Postanawiam wyskoczyć na dół i porozmawiać z Paskudnym Michaeliem z IT o postawieniu strony internetowej. Wiem, że podobam mu się od czasu tamtej imprezy bożonarodzeniowej o tematyce hawajskiej. Wygraliśmy razem konkurs limbo, mimo że ja jestem od niego prawie głowę wyższa. Oświadczam Christie, że mam spotkanie, i windą zjeżdżam na dół, do działu informatycznego. Drzwi się rozsuwają i czytam powieszoną kartkę: „Dział IT. Nim tu przyjdiesz, spróbuj wyłączyć swój komputer i włączyć go ponownie”.

Za pomocą karty magnetycznej otwieram drzwi i natrafiam na ścianę klimatyzowanego powietrza. Są tu trzy rzędy biurka. Pierwszy rząd, helpdesk – to tam wklepują do komputerów swoją skargę i mówią, że odezwą się we wtorek. Rząd drugi, konserwacja – to oni zjawiają się i włożą wszystkie przewody z powrotem do gniazdek albo bez słowa zabiorą ci komputer. Trzeci rząd – hardcorowi spece od komputerów, mający własny język i kulturę. Podchodzę do rzędu trzeciego, dostrzegłszy okulary Michaela, które błyszczą w świetle jego monitora. W dolnej części podbródka wyhodował brodę jak szczurzy ogon, poskręcał ją i ponawlekał paciorki. To jedyna oznaka tego, że przynależy do tej ciemnej strony, poza tym w lekko błyszczącym jasnoszarym garniturze i porządnych butach bez problemu wtapia się w tłum.

– Cześć, Michael.

Zerka w moją stronę, po czym unosi rękę, by mnie zastopować. Nie przerywa gorączkowego stukania w klawiaturę. Obserwuję jego poruszające się szybko, szczupłe palce, a na końcu obu małych palców długi żółty paznokiec, i na myśl przychodzą mi kopiące w ziemi gryzonie. Zakłopotana stoję i czekam.

Kościsty facet przy sąsiednim biurku, cały w fiolecie i z cienkim kucykiem, mówi do kogoś za sobą:

– Jeśli system veidtsjf jest nalkdjal, robimy wothg czy buyvts?

Zimno tu jak w kostnicy i ciemno jak w jakiejś olbrzymiej cysternie, czuć paczulą, zatęchłymi bąkami i kurzem. Nikt nie odrywa wzroku od monitora na dłużej niż kilka sekund. Nagle Michael podnosi głowę.

– Sorki, Viv, nie mogę tego zostawić. Co mogę dla ciebie zrobić?

To jeden z tych koleś, którzy nie potrafią się nie ruszać. Jeśli siedzi, macha nogami albo stuka palcami. Stojąc, kołysze się na boki albo podskakuje. Przedstawiam pomysł na moją stronę i podaję mu notatki. On je czyta, uderzając długopisem o zęby.

– Taa, to mogłoby wypalić.

– Cóż... Tak się zastanawiałam, czy mógłbyś ją dla mnie zrobić?

– Cóż, mógłbym.

– Okej... A zrobisz?

– To zależy.

– Od?

– Od tego, co dostanę w zamian.

– No tak! A co byś chciał?

Jego małe oczka wędrują ku mojej twarzy.

– Hmm, musiałbym tu utworzyć całkiem sporo zakładek. Nie jest to coś, do czego da się wykorzystać gotowy szablon.

– Och, rozumiem.

Zerka ponownie na notatki, a jego wystukujące jakiś nieznany rytm nogi sprawiają, że biurko wibruje.

– Chodzi mi o to, że będzie trzeba utworzyć dużo stron i linków. Na to wszystko trzeba czasu.

Huśta długopis między palcami, wystukując nieregularny rytm. Czuję, że energia wycieka ze mnie jak woda z worka. Jestem złotą rybką dyszącą w duchu.

– No więc zrobisz to dla mnie?

– Ale chciałbym coś w zamian. – Odchyła się na fotelu i uśmiecha, nie odsłaniając zębów.

– Dobrze... Cóż, powiedz tylko co. – Z mojego gardła wydobywa się krótki, wysoki śmiech.

– Kolacja. Z tobą. Ty płacisz, ja wybieram lokal.

Nie mam pewności, ile kosztuje zaprojektowanie i postawienie strony internetowej, ale wydaje mi się, że parę tysięcy, a już na pewno znacznie więcej niż będzie kosztować kolacja z Michaelem, w sensie finansowym czy osobistym. Mam wrażenie, jakbym połykała ropuchę, ale się zgadzam.

– Kiedy więc coś zobaczę?

– W przyszłym tygodniu... A zapłacisz po zakończeniu prac.

Postanawiam, że wtedy dopiero będę się martwić.

– Super! Wielkie dzięki.

Wygląda na zadowolonego i oblizuje usta; jego język wyskakuje niczym węgorz z jakiejś dziury w dnie. Robię krok w tył.

– Pa, Vivienne. – Porusza palcami, a ja odwracam się i odchodzę.

Nim skręcam za róg, zerkam przez ramię, a on z uśmiechem macha do mnie raz jeszcze. Czmycham do windy i wciskam guzik „góra”, tak jakby zależało od tego moje życie. Jestem tak przerażona, jakbym właśnie uniosła kamień i dostrzegła rozpierschające się białe odwłoki miliona stworzeń z podziemnego świata.

Wzdrygam się, gdy wracam do mojego szarego, skąpanego w świetle jarzeniówek działu. Christie rozmawia przez telefon, chichocząc, i podaje mi karteczkę samoprzylepną z wiadomością: „Viv! Szuka cię Snotty”. Do litery „o” dorysowała rzęsy i zrobiła z niej oko. Czemu Snotty mnie szukała? Generalnie w ogóle się tu nie zjawia. Staję nad biurkiem Christie, gestem pokazując, aby się rozłączyła.

– Och, słuchaj, muszę kończyć, szefowa stoi mi nad głową... Nie, nie ta z krzywymi ustami. – Jej spojrzenie mknie ku mojej twarzy. – Aha, ta! No to dobrze... *Ciao*... Tak, niedługo się widzimy, całuski... pa... pa. Nie, ty pierwszy!

Wciskam guzik, rozłączając ją.

– Kto to był?

– No wiesz, tamten Stuart z Printechu. – Gdy patrzy na mnie, zastanawiam się, jak to robi, że jej godny gwiazdy porno błyszczak zawsze jest na swoim miejscu. Stuka palcem w nos. – W tej branży nie liczy się, co wiesz, ale kogo znasz.

– Ach tak? Cóż, wygląda na to, że „Stuarta z Printechu” znasz rzeczywiście bardzo dobrze.

Patrzy przed siebie, zatopiona we wspomnieniach.

– Taaa...

– Christie! Co mówiła Snotty?

– Och, zapytała: „Gdzie jest Viv?”, a ja na to: „Na spotkaniu”, a ona na to: „Z kim?”, a ja na to: „Nie wiem”, a ona na to: „Zobacz w jej terminarzu”, więc zobaczyłam i nie miałas tam wpisanego żadnego spotkania, kazała więc ci przekazać, że cię szuka.

– Kuźwa.

Sprawdzam skrzynkę odbiorczą: nie przyszło nic od Snotty i od Roba także nic. Powiem jej po prostu, że natrafiłam na problemy natury technicznej i musiałam zajrzeć do IT. No bo taka jest prawda... Tak jakby. Denerwuję się, kiedy wystukuję jej numer. Wiem, że jestem na cenzurowanym; po ostrzeżeniu dla Christie Snotty zdaje się obserwować każdy mój ruch. Włącza się poczta głosowa, więc zostawiam wesołą wiadomość.

Reszta przedpołudnia upływa nam na rozmowach z dostawcami, zamawianiu próbek i sumowaniu kosztów. Chcemy zaproponować puderniczki oprawione w czerwoną skórę, apaszki w lamparcie cętki i paski zebry oraz etniczne koraliki. Następnie bożonarodzeniowe świece zapachowe z folkowymi wzorami skandynawskimi, kopertówki w tygrysie paski i minizestawy do czekoladowego fondue. Kiedy Christie wychodzi na lunch, uświadamiam sobie, że nie myślałam o Robie przez całe dwie godziny.

Jest tak gorąco, że podszewka sukienki lepi mi się do ciała, kiedy pochylam się nad tablicą, układając zdjęcia. W poniedziałek przedstawimy nasze pomysły głównym nabywcom. Tym razem na spotkaniu będzie nie tylko Snotty, ale i Mole, która jest niczym czołg. Muszę ostrzec Christie, aby trzymała buzię na kłódkę – jeśli

wyczują krew, to nas rozszarpia.

Spotykam się z Lucy w „Noodles Quick!”, zaraz przy Bond Street. Wygląda oficjalnie, ale seksownie w prostej białej bluzce i szarej ołówkowej spódnicy. Dzielimy duży stół z kilkoma przekrzykującymi się młodzikami w obcisłych garniturkach. Lucy zamawia bulion z owocami morza, co w połączeniu z makaronem wygląda jak jakieś makabryczne akwarium. Ja decyduję się na danie o nazwie „kury pazury”; smażony makaron z kurczakiem dostaję praktycznie od razu. Lucy je pałeczkami, siorbiąc głośno, z głową nisko nad miską. Ja skubię kurczaka, zastanawiając się, jak jej powiedzieć, że w piątek spotykam się z Robem. Chcę jej także pokazać zdjęcie, które wyjęłam z kosza, i nakazać jej przeprowadzenie analizy wyglądu Sam.

Żeby mnie usłyszała, muszę krzyczeć.

– No to kogo miałaś w łóżku tamtego ranka?

Marszczy brwi, wciągając kilka wstążek.

– Co? W moim łóżku?

– Tak, dlatego nie mogłaś rozmawiać.

Przez chwilę wygląda na skonsternowaną.

– Och, no tak – przypomina sobie. – Reuben – mówi marzycielsko.

– Nigdy o nim nie wspominałaś. Jaki jest?

– Niski Kolumbijczyk. Niesamowity w łóżku.

Muszę przyznać, że podziwiam Lucy – wymaga, aby

wszyscy faceci, jakich zaprasza do domu, zafundowali jej przynajmniej jeden orgazm, a jeśli tak się nie dzieje, wtedy się ich pozbywa.

– Więc... spotkasz się z nim jeszcze?

– Oczywiście. Jesteśmy kumplami od bzykanka.

Uśmiecha się idiotycznie i wstaje, by przynieść serwetki. Jej idealne ciało nie pozostaje niezauważone. Gdy ich mijają, młodziki w garniturach milkną, pełni podziwu. Lucy wręcza mi serwetkę i zajmuje swoje miejsce.

– Więc jedyny powód, dla którego spotykasz się z Reubenem, to...

– Seks. Tak.

– Nie jecie więc kolacji, wy tylko...

– Uprawiamy seks.

– Ale czy w ogóle rozmawiacie czy coś w tym rodzaju?

– Nie bardzo. Po prostu uprawiamy seks.

– Już dobrze! Przestań mówić „seks”. Ludzie się gapią.

– No i? – Wypija kieliszek białego wina. – Sorki, kochana, trochę się spieszę. Za chwilę muszę lecieć. – Odsuwam talerz, a ona prosi o rachunek. – A co u ciebie? Doszłaś do siebie po ślubie?

– Do końca życia nie dojdę po nim do siebie, a w piątek spotykam się z Robem.

– Okej, więc... wyjaśnijmy to od razu... Jesteś jedną z tych szalonych kobiet, które rzeczywiście żyją, zadając sobie cierpienie?

– Boże! Może – mówię, robiąc zaszokowaną minę.

Kręci głową. Dostajemy rachunek i Lucy go bierze, aby wrzucić w koszy. Wychodzimy na spokojną ulicę i ściskamy się na pożegnanie; jej włosy pachną masłem kakaowym. Mówi mi do ucha:

– Słuchaj, kocham cię i nie chcę, żebyś cierpiała, to wszystko.

– Wiem. – Stoimy, trzymając się za ręce jak kochankowie na lotnisku. Wtedy wyjmuję z torebki zdjęcie. – Chcesz zobaczyć moją rywalkę? – Lucy przygląda się przez chwilę zdjęciu, marszcząc brwi, po czym oddaje mi je. – No i co myślisz?

– Bardzo ładna. A czemu się tym przejmujesz? Chodzisz ze zdjęciem byłego chłopaka i jego nowej narzeczonej. – Patrzy na mnie ze współczuciem zmieszonym z litością. – Opuść już, Viv. Bo tylko będziesz cierpieć. – Jeszcze raz się ściskamy i całuje mnie w policzek. – Umówmy się na rundkę po klubach jakoś niedługo, co? Wieczór na mieście dobrze nam zrobi.

Po tych słowach przechodzi przez ulicę, macha mi na pożegnanie i znika w połyskującym szklanym budynku niczym księżniczka w zamku.

10

Co robić, a czego unikać, żeby wywrzeć wrażenie na swoim byłym

Zrób, co tylko jesteś w stanie, aby wyglądać bosko.

W żadnym razie nie zdradzaj się ze swoimi uczuciami. Podczas spotkania ze swoim byłym zachowuj się przyjacielsko i serdecznie; niech wygląda to tak, że zaczęłaś nowy rozdział w życiu.

Opowiadaj o swoim życiu towarzyskim, nowym hobby czy projekcie w pracy. Musisz sprawiać wrażenie zajętej, aby znowu cię zapragnął.

Nie dzwoń raz po raz do swego byłego i nie błagaj.

Zawsze to ty kończ rozmowę albo spotkanie, dzięki temu on będzie miał chęć na więcej.

Nie próbuj całować go z języczkiem, właściwie to w ogóle go nie dotykaj.

Nie przechwalaj się nowym chłopakiem, który jest bogatszy / przystojniejszy / zabawniejszy / ma więcej włosów / jest hojniej wyposażony przez naturę, nawet jeśli on rzeczywiście istnieje.

Nie rób niczego szalonego z włosami.

Nie płacz, nie wygrażaj mu ani niczym w niego nie rzucaj.

Kiedy spotkanie dobiegnie końca, nie czepiaj się kurczowo swojego byłego ani w żaden inny sposób nie próbuj go zatrzymać.

Czekam na piątek jak na zbawienie i mam wrażenie, że zamiast się przybliżyć, coraz bardziej się ode mnie oddala. Czemu zaproponowałam piątek? Czemu nie wtorek, przez co nie musiałabym cierpieć tych katuszy? Odpowiedź szepcze mi się sama do ucha: jeśli się zejdziemy i w piątek wylądujemy w łóżku, będziemy mieli cały weekend na kochanie się, przynoszenie sobie śniadania do łóżka, czytanie gazet i długie spacery na wrzosowisku. Dlatego właśnie w mojej lodówce czeka łosoś, kremowy serek, truskawki i croissanty. Kupiłam bardzo drogą kawę. Wysprzątałam mieszkanie i zmieniłam pościel.

Gdy w końcu nastaje piątkowy ranek, jestem przygotowana. Zakładam starannie wybraną prostą sukienkę w kolorze piasku i czarne czółenka. Przez moją głowę przebiega myśl, że próbuję skopiować strój Sam z wesela, ale szybko ją przeganiam. Nie, jeśli chce mieć kobietę z klasą, taką właśnie otrzyma. Zaplatam włosy w warkocz i upinam go, lakierem ujarzmiając wszystkie odstające końcówki, makijaż zaś robię naturalny. Do klasycznej czarnej torby na ramię pakuję to, co niezbędne: zapasowe rajstopy, kosmetyczkę, dezodorant, perfumy, lakier do włosów, odświeżacz do ust, szczoteczkę do zębów i czyste majtki na wypadek, gdybyśmy wylądowali w jego mieszkaniu.

Powietrze jest nieruchome i ciepłe, a na bladym porannym niebie widać jeszcze ślad księżyca. Emanuje ze mnie spokój, gdy siedzę idealnie wyprostowana w autobusie i uśmiecham się łagodnie do rowerzysty wymachującego pięścią kierowcy. Idąc spacerkiem od przystanku do Barnes and Worth, przeglądam się w szybach mijanego biurowca. Jestem dziewczyną, która wie, czego chce, i niedługo to zdobędzie. Chyba przydałby mi się specjalny motyw muzyczny. Gdy winda wlecze się do góry, wyrzucając pracowników na każdym piętrze, ja rozmyślam o czekającym mnie dniu. Nadgonić papierkową robotę, odpowiedzieć na e-maile i przygotować się do spotkania z nabywcami. Kieruję się pogodnie w stronę mojego biurka, a tam rzuca się na mnie rozemocjonowana

Christie.

– To dzisiaj! To dzisiaj! Przyspieszyli je!

Uśmiecham się życzliwie. Nie popsuje mi nastroju, o nie.

– Dzień dobry, Christie. Usiądź, proszę. Co jest dzisiaj? – Kręcę ostrożnie głową, czując, że jedna ze spinek się wysuwa. Christie robi, co jej każę, i widzę, że jest ubrana w jakąś przeświecającą różnokolorową togę, przewiazaną w pasie czymś, co wygląda jak podwiązka do zasłon. – Wow. Niesamowita suknia!

– Spotkanie z nabywcami jest dzisiaj! Przeniesiono je z poniedziałku!

Przez chwilę wpatruję się w jej pobladłą twarz i czuję, jak moje kruche pozory spokoju rozpadają się na drobne kawałki.

– Co takiego?

– Dziś po południu! – piszczy.

Słyszę swój głos, cienki i piskliwy:

– O kurwa! O nie! Nie jesteśmy gotowe!

– Wieeeeem! – Christie zaczyna dreptać w miejscu.

Po chwili podskakujemy obie, jakby podłoga paliła nam się pod nogami.

– O nieeee! – zawodzimy jak zawodowe płaczki, po czym bierzemy się za otwieranie poczty w poszukiwaniu próbek.

– Mam apaszki! – Christie wymachuje kilkoma wełnianymi

szalikami w paski zebry. Wyglądają trochę jak wydziergane przez babcię na drutach; wcześniej myślałam raczej o szyfonie, ale te pewnie mogą się okazać durnie modne.

– Połóż je na moim biurku. – Zrywam brązową taśmę z paczki z Chin. Jest owinięta w mnóstwo warstw dziwnie pachnącego papieru. W końcu docieram do rozczarowująco małej czerwonej puderniczki. Otwieram ją.

– To lusterko powiększające! Nie prosiliśmy o nie, prawda? – Rzucam się do komputera, aby sprawdzić ceny i wydrukować prośby o przesłanie próbek. – No cóż, to by było na tyle. – Odwracam się na fotelu. Christie siedzi pośród porozrywanych opakowań i wygląda, jakby zaraz miała się rozpląkać.

– Mamy do pokazania tylko apaszki i lusterko! – jęczy.

– O cholera. O cholera! Sprawdź szafkę z próbkami. Weź z niej to, co uznasz, że się nada, i coś z tym będziemy musiały zrobić.

Odlatuje niczym tropikalny ptak. Wracam do arkusza kalkulacyjnego, próbując wyliczyć w procentach marżę zysku. Chyba jakoś nam się uda: zaprezentujemy tablicę i zakładane kwoty, następnie przedstawimy inne możliwe pomysły z szafki z próbkami w taki sposób, jakby zostały zamówione z rozmysłem. Możemy improwizować. Każę Christie przygotować próbki, a tymczasem ja zajmę się raportem. Wprowadzam liczby, a arkusz wylicza kwoty całkowite. Rzucam spojrzenie na zdjęcie Roba. Chyba powinno być dobrze.

Nie jest dobrze. Christie trzęsą się ręce, gdy stoi przed Mole, wyraźnie się kurcząc pod jej śmiertelnie poważnym spojrzeniem. Nie mam pojęcia, jak się zachować. Jeśli pomogę teraz Christie, wyda się niekompetentna. Jeśli nie pomogę, wyjdę na kretynekę.

Przyglądam się uważnie Mole; próbuję odgadnąć, co się dzieje w jej głowie, i myślę o jej życiu. Uważam, że trudno być jeszcze mniej atrakcyjnym od niej. Sprawia wrażenie, jakby robiła to świadomie. Powinna nosić plaketkę: „Powiedz nie regulacji brwi! Niech pryszcze świecą pełnym blaskiem!”. Na policzku ma trzy pieprzyki wielkości rodzynek, które wyglądają jak gwiazdy na pasie Oriona, ale to nic w porównaniu z włochatym, okrągłym znamieniem umiejscowionym w fałdach podwójnego podbródka. Jej bladoniebieskie oczy lustrują leżącą przed nią próbkę. Zaczyna ją rozpakowywać. Christie rzuca mi spojrzenie pełne paniki, a ja staram się wyglądać na spokojną. Snotty milczy. Siedzi, czerwone usta ma zmarszczone jak tyłek psa i coś notuje. Mole wyjmuje z opakowania maleńkie, różowe, jadalne stringi. Przytrzymuje je w palcach, jakby to była kocia kołyska. Gryzie kawałek i żuje powoli.

– W smaku to chyba nie mają być zbyt dobre – kwili Christie.

Mole powoli przełyka. Odwraca opakowanie, szukając listy składników.

– Wyjątkowe. Z czego, u licha, je zrobiono?

– Eee, to chyba po prostu papier ryżowy i aromat – odpowiada Christie, udając, że zagląda do swoich notatek.

Snotty, wyczuwając szansę, aby zabłysnąć, bierze do ręki swoje opakowanie i patrzy na Christie ze śmiertelną powagą.

– Jadalna bielizna, Christine? Jadalna bielizna? Wyjaśniłabyś, jak to koresponduje z marką Barnes and Worth? – Uśmiecha się konspiracyjnie do Mole.

– To tylko...

– Czy masz pojęcie, jaka jest nasza baza klientów? Czy choć raz przeszłaś się po sklepie i zobaczyłaś, jakiego rodzaju ludzie zaopatrują się w naszym dziale z prezentami?

Christie opuszcza wzrok na stolik, przestępując z nogi na nogę. Zbieram się w sobie, aby wstać i wszystko wyjaśnić, ale za cholerę nie przychodzi mi do głowy powód, dla którego wybrała akurat te cholerne jadalne majtki. Pamiętam, że w tamtej szafce znajdował się także zegar podróżny, a nawet milutki w dotyku termofor w kształcie księżycy. Czemu nie dołączyła ich do zestawu? Po raz kolejny mam nauczkę, aby sprawdzać wszystko, co ona robi. Czuję na plecach wilgotną warstewkę nerwowego potu. Mam to wszystko gdzieś! Chciałam jedynie dobrze wyglądać dla Roba. W poniedziałek kurier dostarczy wszystkie pozostałe próbki. Na poniedziałek byłabym gotowa. Dzisiejszy dzień miał być spokojny i wyciszony. Mogłabym się skupić na spotkaniu, na tym, aby być gotowa. Teraz jestem spocona, koszmarnie zestresowana, a Christie daje dupy. Po raz kolejny.

Gdy odsuwam krzesło, ona nagle bierze się w garść i oświadcza Snotty:

– To po prostu trochę zabawy. Nowinka na Boże Narodzenie. Nigdy nic nie wiadomo, mogłaby dodać pikanterii życiu kilku osób.

Mole przygląda się Christie z nowym zainteresowaniem, a po chwili zaczyna się śmiać. Jej śmiech jest zaskakująco dziewczęcy. Patrzy na zbolaną minę Snotty i śmieje się jeszcze głośniej.

– Ona ma rację! Fajne są! Robią je też dla mężczyzn? – Mruga do mnie, wysuwając język w kącik ust. Uśmiecham się, w duchu przerażona wizją Mole zjadającej komuś majtki. – Chcę próbki, drogie panie, *tout de suite*! Chcę świątecznych kolorów,

zuchwałych sloganów. Chcę ich dla obu płci. Chcę zabawnego opakowania, no i musimy wiedzieć, z czego je zrobiono. Testowano je pod względem bezpieczeństwa?

Christie się gapi. Odpowiadam, że nie.

– Chcę je mieć w sprzedaży na te święta, więc zabierz się za to, Viv. Przygotuj mi kosztorys. – A do Christie mówi: – Dobra robota, młoda damo.

Christie oblewa się rumieńcem i opada na krzesło.

Mole odwraca się do Snotty:

– To dobra okazja reklamowa. Umieśćmy w prasie hasła w rodzaju... w rodzaju... „W te święta w B&W jest pikantnie”. No wiesz, coś w ten deseń.

Snotty kiwa głową, pisząc coś zawzięcie. Napotykam jej wzrok, gdy zamyka notes. Szybko go odwraca.

Jedziemy dalej, analizując produkt po produkcie. Apaszki mają zielone światło, ale etniczne koraliki zostają przeniesione na lato. Snotty i Mole uważnie przeglądają liczby, analizując każdą marżę zysku i pytając o dostawców. Chcą jak największego obniżenia kosztów. Chcą wiedzieć, o ile zwiększy się zysk, jeśli zrobią zakupy hurtowe albo skorzystają z usług mniej etycznych dostawców. O szóstej dzwonią po pizzę. O siódmej kłócą się o koszt opakowania zestawów do czekoladowego fondue. Pałeczkami grzebią w moim mózgu, wybierając szczegóły niczym smaczne kąski. Muszę wyjść. Jak mam to zrobić? Oczami wyobraźni widzę, jak Rob udaje się do pubu i zajmuje miejsce. Jak długo zaczeka? One chcą wiedzieć, czy w Chinach jest dostawca tartanu albo tweedu. Mówię, że się dowiem. Sugeruję, że powinniśmy się umówić na następne spotkanie, kiedy będę

dysponować większą ilością informacji. Ignorują mnie i kontynuują bombardowanie. Wszystko notuję, obserwując przesuwane się wskazówki zegarka. Na moim sercu zaciska się wielka pętla. Zostało nam jeszcze do przeanalizowania kilka produktów, a na każdy trzeba co najmniej pół godziny.

Patrzę na drzwi i myślę o tym, aby dać drapak, kiedy Mole unosi ręce nad głowę i się przeciąga. Przez rękaw namiotowej sukienki dostrzegam szary cień włosów pod pachami i kosztowną czarną koronkę.

– No dobrze! Jest późno. Jest piątek. Chodźmy do pubu i kupię nam butelkę wina.

Christie, upojona swym triumfem, klaszcze w dłonie.

– Juhu! – Patrzy na mnie z podekscytowaniem.

– Ja niestety nie mogę. Umówiłam się na kolację. – Wstaję i zbieram notatki.

– Szkoda! – grzmi Mole.

Snotty podchodzi razem ze mną do drzwi. Gdy je otwiera, mruczy:

– Tak sobie myślę, że przy okazjach takich jak ta opłaca się być graczem jednej drużyny, Viv. Miłego wieczoru. – Obdarza mnie rozczarowanym uśmiechem.

– Miłego weekendu – mówię, kiedy odwraca się ode mnie, i pozwalam, aby zamknęły się za mną drzwi. Teraz nie będę się tym martwić. Biegnę do windy, próbując po drodze poprawić fryzurę.

Pub „Nieśmiały Koń” hołduje tradycjom. Na pełnej koktajl-

barów i minimalistycznych restauracji ulicy z okratowanych okien pada ciepłe światło rzucane przez czerwone abażury. Kiedy pędziłam przez miasto, zgubiłam ostatnie spinki, które przytrzymały mi włosy. Rozczesuję je palcami i robię z nich coś, co wygląda jak artystycznie niedbały kucyk – przynajmniej mam taką nadzieję. Przez chwilę stoję pod oknem. Widzę przy barze grupkę dziewcząt w bluzkach bez ramiączek i w szpilkach, kilka par siedzących w małej salce i starszych kołesi na stołkach. Wtedy serce podchodzi mi do gardła. On tu jest. Siedzi i czyta gazetę. Lampka oświetla mu połowę twarzy, podkreślając perfekcyjny profil i włosy w lekkim nieładzie. Ma na sobie jasnoszary garnitur, a do niego błękitny jedwabny krawat. Nagle dopada mnie poczucie niższości. Wyglądam sukienkę i zatykam za ucho luźny kosmyk. Biorę głęboki oddech, w myślach odgrywając Christinę Aguilera.

– Jestem piękna – mówię do siebie, nie bez wysiłku otwierając drzwi.

Uderza mnie szum rozmów i śmiech. W środku czuć oblaną piwem wykładziną i drewnem. Strasznie zachciewa mi się pić. Ale nie wino, jak zazwyczaj, lecz coś nostalgicznego, coś z domieszką whisky. Czuję się tak, jakby w brzuchu unosił mi się jakiś ogromny ciężar. Wędruje w górę, miażdżąc mi serce, a potem znowu opada. Stoję teraz przed nim. Nie uniósł głowy znad gazety; jest jeszcze czas, aby uciec, gdzie pieprz rośnie. Nagle mam na to wielką ochotę. O cholera, o Boże.

Przywołuję na twarz swój najbardziej seksowny uśmiech.

– Cześć, Rob.

Podnosi wzrok, marszcząc idealne czoło.

– Witaj. Nareszcie! Spóźniłaś się piętnaście... – zerka na

zegarek Cartiera – nie, siedemnaście minut!

– Strasznie cię przepraszam. Cieszę się jednak, że zaczekałeś.
– Zajmuję miejsce naprzeciwko niego i kładę rękę na jego dłoni. Jest ciepła i sucha. Zabiera ją i łączy palce wskazujące. Do mego nosa dociera zapach, którego nie poznaję. Założę się, że to ona kupiła mu te perfumy; spryskuje swoje terytorium jak kocur. – Ładnie pachniesz. Coś nowego?

– Wiesz, spóźnianie się uważam za szczyt niegrzeczności.

– Bo tak jest. Masz rację. Przepraszam, nie dało się tego uniknąć.

– Spóźniający się ludzie arogancko lekceważą czas innych. Czekając na ciebie, zmarnowałem siedemnaście minut swego życia.

Zapada cisza. Setki razy wyobrażałam sobie przebieg naszego spotkania, ale na coś takiego się nie przygotowałam. Siedzę i tak bardzo pragnę go dotknąć. Mam przy tym pewność, jak jeszcze nigdy, że muszę go odzyskać. Parę razy rzucam ukradkowe spojrzenie na jego piękną twarz, formułując w myślach początki zdań, by po chwili wpaść na coś lepszego. Zauważam, że podczas siedemnastominutowego czekania nie zamówił niczego do picia. To moja szansa. Nachyliłam się nad stolikiem i dostrzegam, że zagląda mi przez chwilę w dekolt.

– Rob, szczerze przepraszam za spóźnienie. Nie oczekuję, że mi wybaczysz, ale może w ramach przeprosin pozwoliłbyś mi postawić ci drinka? – Patrzę mu w oczy.

Śmieje się – jeszcze nigdy nie wydał mi się równie przystojny.

– Cóż... Skoro tak stawiasz sprawę, to poproszę wódkę z tonikiem, dużo lodu, bez cytryny.

Triumfalnie udaję się do baru, do którego przeciskam się łokciami. Wiem, jak to rozegrać, wszystko będzie dobrze. Rob zawsze potrzebował czegoś uspokajającego; potrzebuje mnie, abym wydobywała z niego to, co najlepsze. Ja go uspokajam i doprowadzam do śmiechu.

Zamawiam dla niego wódkę z tonikiem, a dla siebie whisky Mac. Rob pociąga łyk i patrzy, jak się krzywię, smakując swój drink. Zapomniałam już, jaki jest mocny.

– Co ty, u licha, pijesz?

– Whisky Mac. Whisky z winem imbirowym, bardzo rozgrzewające. Czuję się, jakby zbliżało się Boże Narodzenie.

– Mamy lipiec.

– No i? – Patrzę mu głęboko w oczy. Zdecydowanie dostrzegam tam błysk. Uśmiecha się.

– Dziwna z ciebie dziewczyna, nie?

– Wyjątkowa. Tak.

Nasze spojrzenia się krzyżują, po czym on spuszcza wzrok. Pociąga spory łyk swego drinka. Rozgląda się teraz po pubie. Oddala się. Stawia opór.

– Masz ochotę coś zjeść? Słyszałam, że mają tu dobre jedzenie. Ja umieram z głodu, a ty? – wyrzucam z siebie szybko.

Poprawia się na krześle.

– Viv...

– Przyniosę nam menu!

Zrywam się z krzesła i niemal biegiem udaję się do baru. Za butelkami wisi lustro i przyglądam się w nim wesołej piątkowej scence: gruby facet rozpaczliwie zagaduje jedną z dziewcząt w kusym topie; Rob patrzy na zegarek; widzę też niedużą postać z różową twarzą i niechlujnym kucykiem. Prostuję się, kiedy dociera do mnie, że to ja, i odwracam lekko głowę, aby widać było ten lepszy profil.

Nie patrz, nakazuję sobie w myślach, to paskudne lustro. Jak te wyszczuplające, które wiszą w przymierzalniach... tyle że inne. Patrzę raz jeszcze na Roba, sprawdza coś w telefonie. Sięgam po menu. Nie strać go! Skoncentruj się. Spokojnie wracam do stolika.

On odkłada telefon.

– Viv, wiem, że to miała być kolacja, ale chyba nie mogę zostać tak długo. Muszę się zbierać.

Uświadamiam sobie, że nie mam nad nim władzy. Spodziewał się, że się spotkamy na... co? Szybkie pożegnanie? Klepnięcie w plecy i uścisk rąk w stylu „bez urazy”? Gdzieś już się umówił na później! To niesamowite, że potrafi być tak nieczuły. Mam ochotę mu powiedzieć, że ja także mam później randkę z oligarchą, który jest wyposażony przez naturę jak koń, ale (a) to nieprawda, (b) za nic na świecie nie chcę, żeby wyszedł. Jeśli to zrobi, moje serce rozpadnie się na kawałki. W takiej sytuacji dumę trzeba schować do kieszeni.

Dopija drinka, gdy dotykam jego ramienia.

– Proszę, Rob, nie idź – mówię błagalnie.

– Viv. – Klepie wierzch mojej dłoni.

– Najpierw coś ze mną zjedz. – Napotykam jego spojrzenie. Boże, myślałam, że w tę właśnie twarz będę patrzeć w dniu swego ślubu, i myślałam, że moje dzieci odziedziczą właśnie te rzęsy. Patrzy na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Proszę. W imię dawnych czasów... – mówię.

Rob bierze do ręki kartę dań.

Zaganiany barman w workowatych džinsach przynosi dwie zapiekanki z frytkami, owinięte w serwetki sztucze i solniczkę umazaną sosem. Nadal jestem tu razem z Robem! Zdjął marynarkę i krawat. Pije trzecią dużą wódkę i wygląda na to, że dobrze się bawi.

– Podoba mi się to jak jesz, Viv.

– Poważnie?

– Aha, to, że jesz jak facet. No bo jaka dziewczyna je zapiekankę z frytkami, popijając to wszystko piwem? – Uśmiecham się, nie mając pewności, do czego zmierza. – Ale ty tak. Podoba mi się to. Podoba mi się to, że nie liczysz nieustannie kalorii i nie dłubiesz w sałatce.

Myślę o tej diecie cytrusowo-octowej, której kiedyś próbowałam, o swoich zmiennych nawykach żywieniowych.

– Nie, nie ja! To takie nudne, prawda? – Mam nadzieję, że obrażam tym Sam. Jego szyja i widoczne nad koszulą włoski są tak znajome, że skręcam się z bólu.

Ale czuję też swoistą ulgę, jakbym się obudziła ze złego snu. On tu jest, jest dobrze. Rozmawiamy o pracy i rodzinie i jakoś udaje nam się unikać tematu, który siedzi między nami niczym słoń. Ale w końcu Rob odkłada sztućce i odmawia jeszcze jednego drinka. Mówi, że musi iść. Spotyka się z Sam i „kilkorgiem przyjaciół”. W żebrach czuję nagły przeszywający ból. Nie mam już jak go zatrzymać.

– No więc... gratulacje z okazji zaręczyn! – wyrzucam z siebie.

Uśmiecha się.

– Nie mówisz poważnie.

Układam w równym rzędku podkładki pod piwo.

– Nie. Ale rzeczywiście chcę, abyś był szczęśliwy. –
Uśmiecham się.

– Cóż... Dziękuję ci.

– A jesteś? Szczęśliwy?

Patrzy na mnie, jakby ważąc poziom bólu, jaki jestem w stanie znieść.

– Tak mi się wydaje.

Czyżby zostawiał w ten sposób uchyloną furtkę? Czy miejsca jest wystarczająco dużo, aby wcisnąć tam klin?

– Szczęśliwszy niż wtedy, kiedy my szykowaliśmy się do ślubu?

– Viv, proszę cię. Nie chcę tego wałkować. To przeszłość. Teraz jestem z kimś innym.

– Oczywiście. Wiem. Ale, cóż, teraz jesteś tutaj. Ze mną. Musi istnieć jakiś powód. – Biorę go za rękę. – To musi mieć jakieś znaczenie.

– Uznałem po prostu, że powinienem się z tobą należycie pożegnać.

O mój Boże, to tak boli, jakbym dostawała raz za razem cios w nos. Ale do odważnych świat należy. Staram się, aby mój głos był spokojny.

– Nie chcę się żegnać, Rob.

– Muszę lecieć. – Wstaje.

– Chcę, żebyśmy byli razem. Uważam...

– To koniec, Viv. – Muska dłonią delikatnie mój policzek. – Przykro mi, skarbie, ale to ty odeszłaś... Pamiętasz?

Przerzuca marynarkę z błyszczącą podszewką przez eleganckie ramię i wychodzi. Ani razu się nie ogląda.

Załamanie: część I

1. Porządnie się wypłaczą.
2. Wyj jak potępieniec.
3. Rozbijaj różne przedmioty.
4. Nie dzwoń. Będziesz tego żałować.
5. Nawet o tym nie myśl.

Taksówka zatrzymuje się na końcu ulicy. Szukam w torbie pieniędzy, odsuwając na bok czyste majtki, które zaplątały się teraz w szczoteczkę do zębów.

Kierowca przygląda mi się cierpliwie.

– To nie koniec świata, kochana. Rano wszystko będzie wyglądać inaczej.

Połykam łzy, podając mu dwadzieścia funtów.

– Jest, proszę pana. To naprawdę koniec mojego świata.

Wydaje mi resztę.

– Trzymaj się, kochana.

Kiwam bez słowa głową i kuśtykam do drzwi, skamląc jak ranny pies. Gdy szukam kluczy, na sukienkę kapią mi smarki i łzy. Kiedy już jestem w domu, kładę się na sofie i podciągam kolana pod brodę. Odległe echo rozsądku przypomina mi, że ponad dwa miesiące temu odeszłam od Roba i jakoś sobie radziłam. Ale tylko

dlatego, że miałam pewność, iż on wróci. Teraz to o n zostawił mnie. Nawet nie próbował mnie odzyskać. To koniec. W mojej głowie przesuwają się slajdy z pomysłami i scenariuszami. Kiedy pojawia się klatka z odchodzącym Robem, wyję. A potem ona! Jak mogę rywalizować z supermodelką? Czuję tak wielki ból, że nie jestem w stanie leżeć w bezruchu. Muszę się napić.

W lodówce znajduję pół puszki coli bez gazu i butelkę wódki. Nie ma czasu na mieszanie ich w szklance, pociągam więc najpierw jedną, a potem drugą i przemierzam kuchnię jak uwięziony w klatce tygrys. Ależ byłam głupia, sądząc, że to ja rozdaję karty, podczas gdy tak naprawdę on w ogóle mnie nie chciał. Pędzi przed ołtarz z inną, z młodszą, zabierając ze sobą moje nadzieje na piękny ślub, ukradłszy czas mojej największej płodności i rozbiwszy wszystko, co razem zbudowaliśmy.

– Wyrzucił mnie na śmietnik – zawodzę, chodząc od ściany do ściany i pijąc. – Zastąpił mnie inną.

Jak do tego doszło? Czym sobie na to zasłużyłam? Z mojego gardła wydobywa się głośny krzyk, odbijający się echem od gołych ścian. Podczas gdy wódka wypala mi drogę do żołądka, wyglądam przez okno na te wszystkie rozświetlone kwadraty życia w otaczających mnie budynkach, domy, lampy i telewizory. Wyobrażam sobie przy tym przygotowywane posiłki, przytulające się pary.

Stoję po ciemku, mam wrażenie, jakby moje serce zostało przeszyte na wylot, a w jego wnętrzu hulała czarna noc. Kucam obok sofy, obejmując kolana. Tak bardzo boję się samotności. Nie wiem, jak sobie poradzić z przerażeniem.

– To nie fair! – wołam. – Nie dam rady!

Kołyszę się w przód i w tył i wołam do niego. Krzyczę tak,

jakby spał w sąsiednim pokoju, a potem tak, jakby miał mnie usłyszeć na drugim końcu miasta.

Wypijam więcej wódki, gdy tak siedzę, skąpana w dziwnej zielonkawej poświacie pochodzącej z mojego telefonu. Wymawiam jego imię na głos, a potem je szepczę. Biorę do ręki telefon i odnajduję go wśród kontaktów. Gdybym mogła mu wszystko wytłumaczyć, po prostu usłyszeć jego głos, on by przyjechał. Nie pozwoliłby mi cierpieć, to pewne. Słyszę wiadomość nagrałą na pocztce:

– Tu Robin Waters. Niestety nie mogę teraz odebrać. Proszę o pozostawienie wiadomości po sygnale albo wciśnięcie krzyżyka, aby połączyć się z moją sekretarką. Dziękuję. Do usłyszenia.

Ten cudowny, słodki głos. Pragnę jedynie usłyszeć, jak wymawia moje imię. Rozłączam się i dzwonię ponownie.

– Tu Robin Waters...

I jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze. A potem jeszcze kilka razy.

Załamane: część II

Stań przed lustrem naga, weź głęboki oddech i powiedz bardzo spokojnym, cichym głosem: „Jestem wojowniczą księżniczką i zasługuję na miłość. Następnym razem będę silniejsza i lepsza”.

Powtórz punkt 1.

Spraw sobie zwierzątko albo roślinę, cokolwiek, zacznij o coś dbać.

Zainteresuj się nowym sportem.

Zrób w mieszkaniu przemeblowanie.

Kiedy otwieram oczy, mam widok na to, co znajduje się pod sofą. Leży tam złoty kolczyk, który mi zginął, talerzyk, kurz i skarpetka. Mam wrażenie, jakby moja głowa była orzechem rozłupywanym przez dziadka do orzechów. W oczodołach czai się potworny ból głowy. Leżę skąpana w promieniach palącego słońca, a twarz drapie mi wełniany dywan. Przekręcam się na plecy. Pyłki kurzu wirują i spadają pod szklanym żyrandolem. Z mojej prawej strony butelka wódki migocze jak góraska woda; stawiam ją pionowo i na dnie gromadzi się nędzna resztką. O kurde. Dużo wypiałam.

Próbuję przypomnieć sobie miniony wieczór. Chyba po prostu wróciłam do domu i załamalam się w trupa. Nie mam być z czego dumna, ale przynajmniej się nie upokorzyłam. Dobrze chociaż i to. Leżę nieruchomo, koncentrując się na swoim ciele, czując, jak dopada mnie połączenie bezgranicznego smutku i kaca. Coś mnie uwiera w lewe ramię. Przesuwam się, próbując nie ruszać oczami, i znajduję telefon. Unoszę odrobinę głowę, mrużę

oczy i patrzę na wyświetlacz. Zadzwoiłam do Roba dziesięć razy! Upuszczam telefon na pierś. Ból eksploduje w mojej głowie, wbijając mi się w oczy jak błyskawice. Co za ofiara losu. Czemu, czemu, czemu jestem po pijaku tak skora do dzwonienia? To zawsze prowadzi do katastrofy – jak wtedy, kiedy próbowałam odzyskać dawnego chłopaka, Gingera Roge’a, który jest teraz gejem.

Telefon wibruje i wygrywa wesołą melodyjkę. Szamoczę się, wciskając na oślep przyciski. Niech ucichnie. Niech ucichnie.

– Halo? – chrypię jak czarownica.

– Cześć, tu Rob.

Rozpościera się kolorowy transparent z napisem: „Chce, żebyś wróciła!”. Zachowaj spokój, zachowaj spokój.

– Tak? W czym mogę ci pomóc?

– Cóż, mogłabyś zacząć od niedzwonienia do mnie raz za razem i rozłączania się bez słowa.

– Och, naprawdę tak zrobiłam? Przepraszam. Widocznie usiadłam na telefonie, nie blokując wcześniej klawiatury.

– No tak, cóż... Dobrze się czujesz?

– Ja? Tak, dobrze.

– Pomyślałem, że może się zdenerwowałaś. No wiesz, po wczorajszym wieczorze.

– Nie! Nic mi nie jest, właśnie idę pobiegać.

– Pobiegać?

– Tak. Staram się teraz biegać pół godziny dziennie. Niesamowicie to polubiłam.

– Nie wyobrażam sobie ciebie biegającej, Viv.

– To tylko taka rozgrzewka. Muszę uważać na ścięgna podkolanowe.

– No dobrze, nie będę cię w takim razie zatrzymywał. Ale nie będziesz już do mnie wydzwaniać, tak? Sam nie była zbyt zadowolona, akurat oglądaliśmy film.

Moje serce rozdziera się jak stara szmata.

– Niiieee. Nie będę. – W gardle więźnie mi szloch.

– Jeszcze jedno, skoro już się słyszemy. Mam jeszcze kilka twoich rzeczy... Co powinienem z nimi zrobić?

– Moje rzeczy?

– Albumy ze zdjęciami, dwa kwiatki z tarasu i czerwony fotel.

– Ale czerwony fotel kupiłam dla ciebie. Uwielbiasz go.

– Taa, eee... Sam nie jest jego fanką. Robi przemeblowanie. Bardzo by chciała zająć się projektowaniem wnętrz.

– Naprawdę? – Oczami wyobraźni widzę, jak spada z wysokiej drabiny. Po moim policzku spływa łza i wsiąka w dywan.

– W takim razie zastanów się i napisz mi SMS-a, co mam

zrobić z tymi rzeczami, okej?

– Dobra jest. – Dobra jest?

– No to *ciao*. – Rozłącza się.

– Taa, *ciao*.

Leżę na plecach, pozwalając, by łzy moczyły mi twarz. Nie ma szlochu czy zawodzenia, płynie jedynie woda. Ciekawe, jak długo można płakać. Ciekawe, czy podają to w *Księdze rekordów Guinnessa*.

Czy kiedyś to przeboleję?

Pattitorcik: Dwa miesiące temu rozstałam się z chłopakiem i wydawało mi się, że do tej chwili będę się już czuć znacznie lepiej. Jakież rady, jak go w końcu przeboleć?

Szwedzkablondynka: Zadaj sobie pytanie: czy naprawdę byłam zakochana w tym mężczyźnie, czy jedynie bardzo chcę z kimś być? Brakuje ci właśnie jego zapachu, jego chodu czy też po prostu się wkurzasz, bo jesteś sama?

Tesknieszabylym: Aby go przeboleć, musisz sobie znaleźć innego.

Slicznotka: Tak wielu mężczyzn, a tak mało czasu. Wyjdź z domu, kochana. Zajmij się czymś. Zapisz na siłownię. Kompletnie zmień wygląd. Udawaj, że go przebolełaś, i w końcu tak się stanie.

Tesknieszabylym: Zadaj sobie pytanie: czy za rok będę się tym przejmować?

Czarownicawudu: Mogę dla ciebie przygotować potężne zaklęcie miłosne, które sprawi, że twój ukochany znowu się w tobie zakocha. Sprzedaję także woskowe kukielki... Ale musisz zdobyć włos z jego głowy.

Jako że nie grzeję się w ciepłe odzyskanej miłości, leżąc w ramionach narzeczonego, wybieram się na rundkę po klubach razem z Lucy. Szybko dociera do mnie, że kiedy ma się złamane serce, nie ma nic bardziej przygnębiającego niż sobotnie imprezowanie w Londynie. Skąd się biorą ci wszyscy ludzie? Jest tak, jakby z miasta zniknęli nagle jego zwykli mieszkańcy, a

zastąpili ich kolorowi przebierańcy. Kluby są pełne turystów, wycieczkowiczów i imprezowych matołów, którzy ruszyli na podryw. Lucy przyprowadziła mnie do „Nite Spot” – podobno tandeta jest ironiczna i dlatego supermodna. Kiedy sugeruję, abyśmy poszły po prostu do pubu, ona piszczy:

– Akcja!

Lucy „wzięła mnie pod swoje skrzydła”, a więc oto stoję w jej szpilkach, z rozwodnionym drinkiem w dłoni, równie ożywiona jak drewno do kominka.

– No dobra, Viv, jest tu ktoś, kto ci się podoba?

Lucy kołysze biodrami w rytm muzyki. Rozglądam się ponuro po klubie. Grupki mężczyzn kręcą się koło parkietu, na którym dziewczęta wykonują ruchy właściwe tancerkom erotycznym. Co jakiś czas samotny wilk odłącza się od stada i zaczyna sugestywnie kołysać się obok jednej z dziewcząt, i jest albo ignorowany, albo zachęcany do dalszych działań. Tej scenie brakuje tylko głosu Davida Attenborougha.

Lucy tańczy ekspresyjnie w swej obcisłej, błyszczącej sukience, śpiewając razem z wokalistą o tym, aby złamać, złamać, złamać czyjeś serce.

– No i? Masz kogoś na oku?

– Tak, ciebie. – Wykonuję przed nią kilka zabawnych ruchów.

– Nie, mówię poważnie. Gdybyś miała się tu z kimś bzyknąć albo zginać, kogo byś wybrała?

– Nadal ciebie.

– Mam na myśli faceta!

– Wiem, co masz na myśli. Ale to chyba wcale mi nie pomaga.

– Bo nawet nie próbujesz! – Wręcza mi tequilę. Wypijam ją w trzech łykach, a ona swoją w jednym, woła: – Juhu! – i stawia pusty kieliszek na barze. – No dobra, wybieraj, inaczej powiem barmanowi, że chcesz go przelecieć.

Zerkam na uśmiechniętego Polaka za barem, po czym szybko przeczesuję wzrokiem stoliki, w końcu zauważając faceta w okularach i z sympatycznym uśmiechem.

– Okej, tamten.

– W czarnej koszuli? Fajny! – Uśmiecha się do modela z nabijanym świekami paskiem.

– Nie, tamten, przy stoliku. Okulary. Wygląda sympatycznie.

– O mój Boże, ty chyba żartujesz. – Zagląda mi w twarz. – Ty nie żartujesz!

– Wygląda na takiego, z którym można miło porozmawiać.

– Ty nie chcesz z nim rozmawiać, Vivienne!

– Naprawdę?

Bierze mnie za ramiona, a potem przyciąga do siebie.

– Och, biedactwo ty moje. Kiedy ostatni raz krzyczałaś z rozkoszy? – W jej ustach brzmi to jak coś pospolitego, jak na

przykład kupowanie mleka.

– Ja chyba nigdy...

– Tak też myślałam. Dzisiejszego wieczoru to naprawimy, moja śliczna. Napijmy się jeszcze!

Pijemy trzecią kolejkę czegoś, co smakuje jak syrop na kaszel, kiedy w końcu coś we mnie zaskakuje – czuję łaskotanie w żołądku, które powoli zaczyna promieniować na zewnątrz, a poza tym jestem... taka ładna! Udajemy się na parkiet, stykamy plecami i kołysząc biodrami, opuszczamy się nisko i unosimy. Gdy się obracam, wiem, że każda dziewczyna w tym klubie żałuje, że nie ma na sobie bluzy z kołnierzykiem polo, tak jak ja. A potem ktoś tańczy blisko Lucy, a ja wiruję sama. Muzyka jest tak fantastyczna, że po prostu nie mogę się nie poruszać. Przede mną drepczą duże czarne buty. Ktoś ze mną tańczy i on też czuje ten rytm – jego nogi, odziane w czarne spodnie, poruszają się w takt muzyki. Podnoszę wzrok, widzę rozpiętą koszulę w paski i wielkie jabłko Adama. Chwytam go za tył szyi i wołam do ucha:

– Niesamowite! – On kiwa głową i dotyka mojej talii. Znowu go chwytam i wołam: – Jabłko Adama! – On obejmuje mnie w talii i tańczy bliżej mnie. Zauważam, że ma duży nos. Podoba mi się! Końce jego palców wędrują ku mojej pupie. Cofam się tanecznym krokiem, wskazuję na niego i wołam: – Niegrzeczny!

On wraca blisko mnie i na szyi czuję jego oddech. Pachnie mydlaną wodą kolońską. Unoszę ręce nad głowę i kołyszę biodrami. Jestem zdecydowanie najponętniejszą kobietą na świecie!

Teraz on jest za mną, w bezruchu, jak ściana. Basy wibrują, światła wędrują, a on trzyma mnie za biodra i nimi kołysze. Prawdę mówiąc, to trochę dziwaczne. Ustami przesuwają po moim

policzku. Odwracam się, aby się odsunąć, i wtedy jego wargi łądają na moich ustach. Ssie je, aby mnie przytrzymać, i czuję badający teren koniuszek języka. Odwracam głowę i jego usta są teraz przyssane do mojej szyi.

– Fuj, nie rób tego! – wołam. Próbuje raz jeszcze, tym razem ssąc moje ucho. – Nie, dzięki! – piszczę i wracam do tańca, chcąc niezobowiązująco się od niego oddalić. On się uśmiecha i po raz kolejny nachyla ku mojej twarzy. Gdy uskakuję, widzę wiszące nad sobą mokre wargi.

Szukam Lucy. Tańczy z tamtym modelem. Kołysze się blisko niego, oczy ma zamknięte. Śpiewa:

– Kochaj się i tańcz...

– Toaleta! – piszczę jej do ucha.

Próbuję sikać, przytrzymując jednocześnie drzwi i balansując nad pochłapaną moczem deską. W szpilekach nie jest to wcale takie proste. Lucy woła do mnie z sąsiedniej kabiny:

– Zabieram mojego do domu, niezły jest! A twój?

Ja już wyszłam, ale Lucy nadal sika. Nie na darmo na studiach miała ksywkę Sikawka.

– Chryste, nie! Jest jak postać z *Gwiezdnych wojen*!

– Rozumiem, że to nie komplement?

– Ten koleś jest jak wielka kosmiczna pijawka.

W końcu wychodzi, obciągając sukienkę.

– To co, zbieramy się? – Uśmiecha się znacząco. Poderwała faceta, więc koniec wieczoru.

– Eee, nie. Chcę tańczyć.

Wygląda na rozczarowaną.

– Sama mówiłaś, że taki wieczór dobrze mi zrobi. Jest dopiero pierwsza. – Piorunuję ją wzrokiem, otwierając jednocześnie drzwi, kiedy się jednak odwracam, stoję twarzą w twarz z tą cholerną przyssawką. Rzuca się w moją stronę, usta w ciup, wyciągnięte macki. W ostatniej chwili udaje mi się zatrzaskać drzwi. Opieram się o nie, czując się jak Sigour ney Weaver. – Nie mogę tam iść!

Lucy cmoka i otwiera drzwi, ale on blokuje przejście.

– Słuchaj, koleś, moja koleżanka nie jest zainteresowana. – Facet uśmiecha się bezmyślnie. – Możesz się przesunąć? Ona nie jest zainteresowana. – Lucy odwraca się do mnie. – Chyba nie zna angielskiego.

Wystawiam głowę za framugę, a jego twarz promienieje, mokre czerwone usta lśnią. Zatrzaskuję drzwi.

– Co ty wyrabiasz, Viv? Nie możemy tu zostać.

– Nie... już go nie ma. – Otwieram pewnie drzwi, ale on znowu góruje nad nami. Istnieje tylko jedno wyjście: muszę powiedzieć coś rodem z filmów science fiction. Coś, co pasuje do potwora-pryssawki. Robię krok w przód i unoszę rękę w geście, jakim zatrzymuje się samochody przed przejściem dla pieszych.

– Pozwolisz nam teraz przejść! – mówię poważnym tonem.

Waha się. Trzymając rękę w górze, powtarzam rozkaz, unikając kontaktu wzrokowego z nieznanym, aż w końcu czmycha niczym oparzony wąż.

Gdy noc dobiega końca, myślę, że chyba będę sobie musiała poszukać terapeutę. Albo innego lekarza. Może cierpię na depresję. Gdy lecą wolne piosenki, ja stoję sama, a tymczasem Lucy obściskuje się na parkiecie z tym modelem. On gładzi jej pośladki, ona masuje mu kark. Światła się zapalają i nagle mam wrażenie, że jestem obnażona i robi mi się gorąco w mojej bluzie. Czuję się jak matka Lucy, która przyjechała po nią fiatem panda.

W szatni nie mogę znaleźć kurtki i w końcu ląduję na tylnym siedzeniu mknącej szybko taksówki, słuchając mlasków towarzyszących zabawom Lucy i modela. Uparli się, że podwiozą mnie do domu. Co jakiś czas model odrywa się od Lucy i zadaje mi grzeczne pytanie w rodzaju: „Długo mieszkasz w Londynie?”, przesuwając jednocześnie dłoń w górę uda mojej przyjaciółki. Opieram czoło o zaparowaną szybę i przyglądam się mijanym budkom z kebabami i postojom taksówek. Dziewczyna w czarnej sukience na ramiączkach obejmuje latarnię i wymiotuje sobie na buty. Oczami wyobraźni widzę wieczór Roba i Sam: kolacja w jakimś drogim i ekskluzywnym lokalu, szampan, błyskotliwa rozmowa, a potem powrót do domu. A wnętrzności wywracają mi się pod wpływem zazdrości i bólu.

Rodzina i przyjaciele

Czy istnieje grupa, w której możesz znaleźć oparcie, gdy życie staje się nie do zniesienia?

- a. Tak, mam duży krąg przyjaciół i kochającą rodzinę.
- b. Nie, nawet znajomi z pracy przestali mnie słuchać.
- c. Tak, ale nie mogę dopuścić, żeby wiedzieli, jaką zrobiłam z siebie idiotkę.

Czy jesteś zdania, że problemami dobrze się dzielić?

- a. Tak, zawsze lepiej się otworzyć i opowiedzieć, co cię trapi.
- b. Nie, nie przychodzi mi do głowy ani jedna osoba, której mogłabym się zwierzyć.
- c. Nie istnieje taki problem, którego nie rozwiąże impreza.

Masz w życiu wyjątkową osobę, która pomaga odkryć twoją prawdziwą wartość i potencjał?

- a. Tak, to moi najbliżsi przyjaciele.
- b. Tak, to mój były.
- c. Nie ma we mnie wartości ani potencjału.

Odpowiedzi:

Większość A – dokonujesz właściwych wyborów. Stworzenie nowych szczęśliwych wspomnień z rodziną i przyjaciółmi pozwoli ci odnaleźć samą siebie.

Większość B – możliwe, że dobrze ci zrobi nawiązanie relacji ze światem zewnętrznym. Nie zamartwiaj się w samotności. Zrób coś fajnego.

Większość C – poszukaj pomocy u profesjonalistów.

Niedzielny poranek to czas dla kochanków. Ten temat pojawia się we wszystkich audycjach radiowych. Dlaczego ludzie

dzwonią, aby powiedzieć, jak bardzo są zakochani? Kogo próbują przekonać? Prawdę mówiąc, to żałosne.

Ćwiczę spokój ciała i umysłu. To rozdział czwarty poradnika zatytułowanego *Pójdź własną drogą, bądź wolny*, traktującego o uciszeniu wewnętrznych głosów i odnalezieniu spokoju ducha. Zdjęcie autorki przedstawia kobietę ze staranną fryzurą, której można zaufać. Jej uśmiech mówi: ja wiem. Leżę w łóżku i dociera do mnie, że pozostawanie w bezruchu jest tak naprawdę niezwykle trudne. Zbliżam się do stanu, który chyba może być początkiem bezruchu, ale właśnie wtedy dzwoni Lucy.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Do bani – odpowiadam, starając się nie poruszać zbyt ustami.

– Bardziej do bani niż wczoraj?

Przez chwilę się zastanawiam.

– Prawdopodobnie mniej niż wczoraj. Jak ci poszło z Panem Modelem?

– Nietaktownie mały penis.

– Och.

– To był jednak fajny wieczór, co? No i poderwałaś faceta!

– Taaa... paskudnego... Czy jest we mnie coś, co przyciąga inne formy życia?

– Wydaje mi się, że te formy wyłapują po prostu twój zapach. No dobra, masz dziś ochotę na lunch singielek? W „Dzbanie i

Kielichu”. Wszyscy wrzucają totalnie na luz i nie wracasz do domu sama. Gwarantuję ci to!

– Wow. Brzmi niesamowicie, ale nie mogę.

– Czemu?

– Nie chcę.

– No więc co będziesz robić zamiast tego? Snuć się po mieszkaniu, wgapiając się w zdjęcia Roba?

– Nie.

– Oglądać zdjęcia nowej dziewczyny Roba? Robić sobie koszulę z drutu kolczastego? Leżeć w łóżku i czytać poradniki?

Rzucam okiem na *Pójdź własną drogą, bądź wolny*.

– Możliwe.

– Viv, daj spokój. Musisz mieć jakieś życie!

– Jeśli chcesz znać prawdę, to wybieram się do babci. – Zaraz do niej zadzwonię.

– Och, zabawa na sto dwa.

– Zaprosiłam Maxa. – Do niego także zadzwonię.

– Żyjesz normalnie jak we śnie!

Nie mam pewności, dlaczego ona uważa, że zimny wychów jest najlepszy. W mojej głowie pojawia się myśl, że być może jest bez serca.

– Nie musisz się dzisiaj spotkać z tym swoim kumplem od bzykanka?

– Nie. O to właśnie w tym chodzi. Z kumplem od bzykanka niczego się nie musi.

– Och.

– Dobrze się czujesz? Masz dziwny głos.

– Tak, dobrze. Później się odezwę.

– No to na razie. – Rozłącza się.

Słucham szumu zestawu słuchawkowego i zastanawiam się, co dalej i jak długo to będzie trwać. Po jakimś czasie, kiedy nic się nie dzieje, człapię do kuchni i otwieram lodówkę. Półki uśmiechają się do mnie. Wyjmuję wędzonego łososia. Na opakowaniu wyczytuję słowa w rodzaju: „najlepszy” i „dziki”. W piątek brzmiało to jak obietnica. Trzymam łososia w dłoniach jak książeczkę do nabożeństwa, patrząc przez kuchenne okno na letnie niebo. Otwieram je i wyglądam na boczną uliczkę, gdzie leżą porzucone pudełka po pizzy i puste puszki. Na wierzchu tego stosu dostrzegam zużyta prezerwatywę. Patrzę na łososia, z którym jeszcze niedawno wiązałam tyle nadziei, i rzucam go. Upada pośród resztek po sobotniej nocy. Wyciągam z lodówki serek i croissanty i je także wyrzucam. Biorę do ręki opakowanie truskawek i jedną po drugiej rzucam ku niebu. Kilka odbija się od ramy okna i spada na podłogę. Zastanawiam się nad szampanem, po czym chwytam butelkę za szyjkę i zrywam folię. Przy wyjmowaniu korka nie słychać nawet najcichszego wystrzału. Rob mi powiedział, że to wulgarne. I pomyśleć – zanim mnie wyedukował, zawsze strzelałam korkiem i wydawałam głośne okrzyki. Opieram się o blat i pociągam kilka łyków różowawych

bąbelków. Następnie ostatni z moich kieliszków upuszczam na podłogę. Tłucze się spektakularnie. Zamykam nogą lodówkę i idę się ubrać.

Max zjawia się przed czasem. To nie w jego stylu. Nawet się uczesał, a kiedy całuję go w policzek, zauważam, że także się ogolił i pachnie czymś cytrusowym. Dżinsy ma czyste i założył T-shirt, którego jeszcze u niego nie widziałam – w niebieską kratkę. Mierzę go wzrokiem od góry do dołu.

– Fiu, fiu!

– No co? Co jest nie tak? – Rozgląda się, jakbym właśnie zawołała: „Uwaga, gliny!”.

– Wszystko w porządku. – Uśmiecham się. – Całkiem ładnie wyglądasz.

– Cóż, wiesz, jakie są babcie, lubią takie rzeczy, no nie? – Z tym wyszczerbionym zębem wygląda trochę jak pirat.

– Naprawdę lubią?

– Och, przymknij się, Viv. A tak w ogóle to za kogo ty się przebrałaś?

– Ja? Eee... Za dziewczynę, która nie zrobiła prania i musiała wyciągnąć coś z dna szafy.

Wiem, że w wyblakłych dżinsach sprzed trzech lat mój tyłek wydaje się ogromny, a bluzeczka bez rękawów to raczej nie „retro kwiatki”, ale „żałosna ofiara losu”.

– Napijesz się czegoś?

– A masz whisky?

– Nie. A zresztą jest niedziela rano.

– No to daj mi cokolwiek.

– Mam szampana. Różowego.

– Super. – Idzie za mną do kuchni. – Dzwoniłaś do mnie w piątek. Próbowałem oddzwonić. – Moje kowbojki zgniatają potłuczone szkło. Max tego nie komentuje. – Wszystko dobrze?

– Aha.

– Aha? Bo sprawiałaś zupełnie inne wrażenie.

– Rob chce się pozbyć tego czerwonego fotela.

Kiwa głową w sposób sygnalizujący, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Kupiłam go dla niego... Pewnego ślicznego jesiennego dnia wybraliśmy się na spacer i natrafiliśmy na mały sklep z różnymi rupieciami. Weszliśmy do środka i pod stertą różności wypatrzyłam oparcie tego fotela. Miał taki fantastyczny odcień czerwonego pomidora. – Zerkam na Maxa. Wzrok ma wbity w podłogę. – Właściwie to był niemal pomarańczowy. Kazaliśmy sprzedawcy go wyciągnąć, no i naszym oczom ukazał się stary fotel z wysokim oparciem, doskonały do czytania. W tajemnicy kupiłam go Robowi na urodziny. Oddałam do czyszczenia i załatwiłam nowe wypełnienie. Uwielbiał go. A teraz nie podoba się jego narzeczonej, więc chce wiedzieć, co ma z nim zrobić.

– Każ mu wsadzić go sobie w tyłek.

– Tak po prostu? Co ma z nim zrobić? Niewiarygodne. I uświadomiłam sobie, że wcale nie chodziło o to, że on nie chciał się żenić; on po prostu nie chciał się żenić ze mną. – Wpatruję się w twarz Maxa, koncentrując się na powstrzymaniu łez, po czym powoli przenoszę spojrzenie na salon. Pociągam nosem i wyobrażam sobie, jakby ten fotel wyglądał w tym miejscu. – Nie mogę go tu zabrać. Byłby niczym wielki, gruby duch siedzący w kącie, nieustannie przypominający mi o przeszłości. Ale nie mogę go wyrzucić... – Głos zaczyna mi drżeć i zastanawiam się, czemu ta cała sprawa z fotelem nabrała dla mnie takiego znaczenia.

– Słuchaj. Zabiorę od niego ten fotel i przechowam u siebie do czasu, aż dotrze do ciebie, że fotel jest super, ale ten koleś to kutas. Wtedy przewieziemy go tutaj i urządzimy fotelową imprezę.

– Boże. Jak by to było?

– Chodzi ci o fotelową imprezę? Cóż, bralibyśmy w niej udział ja, ty i fotel, i niewielka ilość ubrań...

– Nie, jak by to było, gdyby dotarło do mnie, że to kutas?

Obejmuje mnie ramieniem.

– Ach, Viv, obiecuję ci, że pewnego dnia ktoś będzie cię tak uwielbiał, że tamtemu nie poświęcisz ani jednej myśli.

Opieram głowę na ramieniu Maxa.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Ulica, przy której mieszka babcia, jest zielona od drzew. Chodnik lśni w przedpołudniowym upale. Gdy dochodzimy do

domu, drzwi otwierają się na oścież i na progu staje babcia w długiej zielononiebieskiej sukience na ramiączkach. Chudziutkie ramiona wyciąga w naszą stronę.

– Max! Max Kelly! – woła niczym aktorka szekspirowska.

On podbiega do niej tanecznym krokiem.

– Witaj, Eve. – W jego ramionach wydaje się mała jak dziecko. – Miło cię widzieć.

– Max, świetnie wyglądasz. Czyż on nie wygląda świetnie, Viv?

Max odwraca się w moją stronę, szczerząc zęby jak idiota.

– Owszem, wygląda – mamroczę.

– Bo i świetnie się czuję, Eve. A co u ciebie?

– No wiesz, nie narzekam. No dobrze... – Prowadzi nas na dół, do gorącej kuchni. Wyczuwam pieczeń wołową. Babcia całuje mnie i krząta się, nalewając picie. W obecności Maxa zachowuje się jak rozchichotana nastolatka, a mnie mocno to krępuje. – Zabierz tego uroczego mężczyznę do ogrodu, Vivienne, a ja przyniosę tacę.

Otwieramy podwójne drzwi i wychodzimy na skąpany w słońcu taras. Kamienne płyty są poprzecinane pęknięciami niczym zgnieciona mapa i porośnięte mchem. Rdzewiejący stół i cztery krzesła zacienia sfatygowany parasol. Max odwraca twarz ku słońcu i zakłada ciemne okulary.

– Piękny dziś dzień – mówi.

– Cieszysz się tu specjalnymi względami.

– Taa, no cóż, znam się z Eve nie od dziś.

Cmokam, czując się odstawiona na boczny tor.

– Powinna coś zrobić z tym ogrodem – burczę i pokonuję trzy nierówne schodki prowadzące na trawnik.

Za mną idzie Max. Mijamy wybujały, pachnący jaśmin, a ja zatrzymuję się na chwilę przed posągiem przedstawiającym anioła. Stoi pośrodku trawnika. Patrząc na jego łagodną twarz i nagle znowu mam siedem lat, szepczę tajemnice do jego smutnych kamiennych oczu, a na skrzydłach wieszam mu wianki ze stokrotek. Kiedyś uważałam, że gdy rozmawiam z aniołem, słyszy to moja matka. Dobrze sobie. Drzewa owocowe rzucają cień na wysoką trawę, w której leżą jabłka wydzielające lekko mdławy zapach. Niespiesznie przechodzimy na koniec ogrodu, gdzie rosną stare, splątane ze sobą krzaki róż. Ich łebki aż się pochylają pod ciężarem zapracowanych pszczół.

– Uwielbiam angielskie róże – mówię. Patrząc, jak Max opaloną dłonią muska spodnią część brzoskwiniowo-białego płatk.

– Ja też. – Uśmiecha się do mnie, a w jego wesołych oczach czai się ciepło. Kieruję się z powrotem ku różom. On przestępuje z nogi na nogę i mówi: – Pójdę pomóc twojej babci.

Gdy schodzi na dół, odwracam się. Zdejmuję buty i boso idę po chłodnej, wilgotnej trawie, mijając zapomniane grządki warzywne, aż dochodzę z powrotem do anioła.

– Co ty wiesz? – pytam go, dotykając opuszków ukruszonych palców.

Z kuchni dobiegają jakieś okrzyki i śmiech, a po chwili wychodzi z niej babcia w białym kapeluszu z szerokim rondem. Za nią idzie Max w słomianej fedorze, niosąc wysoko tacę. Babcia zasłania dłonią oczy i woła mnie. Głos ma komicznie głośny i wytworny.

– Viv, spójrz, jesteśmy na Riwierze! Zrobiłam margarity!

Max stoi obok niej i uśmiecha się szeroko; białe zęby, opalona twarz i wymykające się spod kapelusza ciemne loki sprawiają, że wygląda jak zawiadacki grecki kelner z misją uwodzenia łatwo ulegających turystek.

– Oboje wyglądacie niedorzecznie. – Wracam na ciepły taras i siadamy w cieniu parasola, sącząc drinki.

Max zapala papierosa, a babcia bierze ze stołu paczkę.

– Mogę?

– Jasne. – Przesuwa w jej stronę zapalniczkę.

– Ty nie palisz! – wykrzykuję.

Gdy się zaciąga, jej twarz jeszcze bardziej się marszczy. Odsuwa od siebie rękę z trzymanym nieporadnie papierosem, którego filtr jest teraz umazany koralową szminką. Wypuszcza dym i kaszle.

– Cóż, to coś, na co zawsze miałam ochotę, ale czekałam, aż stuknie mi siedemdziesiątka. – Siedzi z podciągniętą spódnicą, opalając chude, żyłaste nogi.

– A to niby czemu?

– No bo przecież palenie zabija – odpowiada, po czym ponownie się zaciąga, tym razem od razu kaszląc. – W każdym razie chyba mi to nie smakuje. Mogę ci go oddać, Max?

Nachyla się, bierze od niej papierosa i kładzie go na talerzyku.

– Czegoś jeszcze chciałabyś spróbować, Eve? Lotniarstwo? Twarde narkotyki? – pyta.

– Narkotyki, zdecydowanie. Zwłaszcza te, które pomagają na artretyzm. Lotniarstwo nie, ale być może lot balonem. Chciałabym wziąć ślub w lecącym wysoko balonie.

– To pozerka! Babciu, ty masz lęk wysokości.

– Ale na tym polega urok balonu: nie trzeba lecieć zbyt wysoko, a do kosza zmieści się sporo gości.

– Genialny pomysł, Eve! Tak właśnie zrobię, kiedy ja będę się żenił. – Max napelnia nam szklanki.

– A która za ciebie wyjdzie? – warczę.

Podnosi głowę.

– Ugania się za mną całe mnóstwo kobiet, już ty się o to nie martw. Jestem po prostu wybredny i tyle. – Mruga do babci.

– No i świetnie! – wykrzykuje babcia.

– Cóż, Max, mogłabym wiele o tobie powiedzieć, ale nie, że jesteś wybredny. – Opieram się wygodnie i śmieję się.

– Ach, ale jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz,
Vivienne – mówi cicho.

– Czyżby? – uśmiecham się.

– Aha.

Odstawia dzbanek i wystawia twarz do słońca. Nagle się wzdrygam, a na moich rękach pojawia się gęsia skórka. Siedzimy przez chwilę w ciszy, wsłuchując się w odgłosy ogrodu, aż babcia oznajmia, że pieczeń jest już gotowa.

– Choć to ostatnie, na co miałyby się ochotę w taki gorący dzień.

W kuchni postanawiamy przygotować zimny bufet. Max robi sałatkę z pieczonych ziemniaków z majonezem i francuską musztardą. Ja przygotowuję coś dziwnego ze startej marchewki z kolendrą i dodatkiem soku pomarańczowego. Jemy to razem z plastrami zimnej pieczeni. Babcia tymczasem bierze Maxa w krzyżowy ogień pytań.

– No więc, Max, opowiedz mi o swoich obrazach. Masz w planach jakąś wystawę?

– Przez cały czas wystawiam kilka sztuk, bierze je ode mnie mała galeria w północnym Londynie.

– I sprzedają się?

– Zdarza się. W każdym razie starcza mi na czynsz.

Myślę o jego obskurnym mieszkaniu i dochodzę do wniosku, że nie sprzedaje ich zbyt dużo.

– A co z zamówieniami?

– Na razie nic. Mam nadzieję, że uda mi się wziąć udział w tej wielkiej wystawie, którą szykują w Akademii. Jeśli mnie wybiorą, to będzie spore wyróżnienie.

– Pamiętam obraz, który mi kiedyś pokazałeś, ten z nagim mężczyzną trzymającym kota. Zrobił na mnie naprawdę duże wrażenie.

– Był częścią mojej pierwszej wystawy. Sprzedał się.

– Uważam, że to niezwykle mieć taki talent, Max. Nie wolno ci się poddawać.

Robi to na mnie dziwne wrażenie, gdy się przysłuchuję, jak Max opowiada w taki sposób o swojej pracy. Wygląda na to, że jest ambitny. Ja mu zawsze powtarzam, aby znalazł sobie porządną pracę.

Rzuca mi spojrzenie.

– Viv uważa, że ludzie twórczy to nieudacznicy bez grosza przy duszy.

– Nigdy tak nie powiedziałam!

– Vivienne, zaskakujesz mnie. – Babcia marszczy brwi, a Max się śmieje.

Próbuję się bronić.

– Podobają mi się twoje obrazy. Na przykład ten z Lulą.

– Dzięki. On nie jest wcale najlepszy. Najlepsze obrazy

powstają wtedy, kiedy czuje się coś do tego, co się maluje, kiedy emanuje z tego energia... Wtedy może powstać coś naprawdę pięknego.

Uśmiecha się do mnie. Jego oczy wydają mi się niezwykle ciemne. Odwracam głowę i z płonącymi policzkami wpatruję się w ogród. Zaskakuje mnie myśl, że chcę, aby miał na myśli mój portret.

– Uff, ależ dzisiaj gorąco! – Przesuwam krzesło w nikły skrawek cienia.

– Cóż, Max, miałam nadzieję, że dzisiejszego popołudnia dałbyś radę naszkicować mój portret.

Przenosi spojrzenie na babcię, a ja czuję się tak, jakby przestał mnie razić prąd.

– Jasne! Masz papier?

Sprzątam talerze, gdy tymczasem oni wchodzą w swoje role. Malarz z podwiniętymi nogawkami dżinsów, odsłaniającymi włochate, chude nogi, szkicujący w milczeniu, i pozująca modelka, patrząca na ogród. Napełniam zlew wodą i zmywam naczynia, wyglądając na taras. Babcia zdejmuje kapelusz. On wyrywa kartkę. To takie typowe dla babci, że ni z tego, ni z owego wyczarowała szkicownik i ołówki. Co jakiś czas oboje przez chwilę odpoczywają i do moich uszu dobiegają strzępy swobodnej rozmowy – co za para flirtiarzy. Zmieniam wodę i zabieram się za garnki. Babcia patrzy teraz prosto na niego. Na rysunku pojawia się duch pięknej kobiety, jaką była w młodości. Pokrywka spada z suszarki i oboje odwracają głowy.

– Hej, ty! Da się załatwić coś do picia? – woła przez ramię Max.

– W lodówce jest białe wino, kochanie – dodaje babcia.

Wynoszę na taras wino i kieliszki i biorę do ręki jeden ze szkiców. W rozmytych kreskach kryje się kwintesencja babci.

– Niezły.

– Mam nadzieję, że zrobił ze mnie piękność.

– Rysuję tylko to, co widzę. – Max rzuca ołówek i rozlewa do kieliszków wino.

– I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu – dodaje babcia.

W ramach deseru jest ser. Babcia przynosi brie na drewnianej desce i częstuje się dużym kawałkiem. Uważam, że ostatnio sprawia wrażenie bardzo zadowolonej. Zamykam oczy i pozwalam, by słońce ogrzewało mi twarz. Niezbyt uważnie przysłuchuję się, jak opowiada Maxowi o wakacyjnych planach.

– ... potem pomyśleliśmy o Santander. Reg nigdy tam nie był.

– Uwielbiam północne wybrzeże – mówi Max.

– Czy ty powiedziałaś, że Reg tam nie był? – pytam, nie otwierając oczu.

– Tak.

– A więc wybieracie się razem na wakacje? – Prostuję się.

– Owszem.

Wzdycham.

– Jakiś problem, Viv? – pyta babcia.

Otwieram jedno oko i zaraz je zamykam.

– Nie, skąd. Chodzi mi tylko o to... Cóż, dziadek oszedł całkiem niedawno, a ty już się dobrze bawisz z kimś nowym.

– Minęły dwa lata, Viv. Dwa lata to długo dla kogoś, kto żyje samotnie.

– Może tylko ja to tak odbieram. Nadal za nim tęsknię, to wszystko.

– I ja także. Ale ja wciąż żyję i chcę dobrze wykorzystać ten czas, który mi pozostał!

Wstaje, bierze ze stołu talerzyki i idzie do kuchni. Słyszę kliknięcie zapalniczki.

Max wypuszcza obłok dymu.

– O rety – mówi.

– No co?

– Wygląda na to, że zdenerwowałaś babcię.

– No bo ta cała sprawa z Regiem jest niedorzeczna. – Piorunuję go wzrokiem. – Flirtowała z nim jeszcze za życia dziadka. – Na twarzy Maxa maluje się spokój. Oglądam się na kuchnię, ale nie widzę babci. – Myślę, że zaczęła się z nim spotykać krótko po pogrzebie. – Siedzę na krześle, czując, jak słońce przysmaża mi czubek głowy. Max dopala papierosa. – I nigdy nic na ten temat nie powiedziała. W ogóle mnie nie

poinformowała. Przez cały czas się kryją.

– Ciekawe dlaczego.

– Bo czuje się winna!

– Albo... Może nie chce cię ranić.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– No i w tym akurat masz rację – uśmiecha się.

Spoglądam na ogród. Czuję się urażona. W skroniach zaczyna mi boleśnie pulsować. Czemu miałabym przejmować się tym, czy babcia i Reg spędzają razem czas? Chcę, żeby była szczęśliwa. Ale mam wrażenie, że jestem w pewnym sensie zdradzana i nie potrafię wytłumaczyć tego uczucia. Max by tego nie zrozumiał; on ma oboje rodziców, którzy się nie rozstali, do tego cztery szalone siostry i setki siostrzeńców i siostrzenic. Cała rodzina kocha go z taką mocą, że on wręcz unika wyjazdów do domu. Mój dom i rodzinna historia to kruche szkło, a Reg stuka teraz młotkiem w jego brzegi.

Bardzo się staram dotrzeć do sedna swoich uczuć i kiedy już już sądzę, że umiem wszystko wytłumaczyć, to wrażenie umyka, pozostawiając po sobie jakąś niedokończoną myśl. Poddaję się i idę do kuchni po wodę. Babcia chowa właśnie talerze do szafki. Zauważam, że kiedy sięga na górną półkę, trzęsą się jej ręce.

– Mogę pomóc? – pytam.

– Już prawie skończyłam.

Ostatnie talerze lądują na półce, a ja stoję skrępowana obok babci. Zamyka szklane drzwiczki. Oddech ma przyspieszony.

Odwraca się do mnie i uśmiecha. Jej niebieskie oczy są pełne zrozumienia. Ujmuje moją dłoń i lekko ściska.

– Niedługo musimy się zbierać – mówię.

– Dobrze, skarbie. – I czule dotyka palcami mojej twarzy.

Upał zawisł nad rozgrzаныmi londyńskimi ulicami. Zapach pieczonego jedzenia miesza się ze spalinami i kurzem. Max mnie odprowadza. Mówię mu, że nie potrzebuję eskorty, on jednak ma w tej kwestii inne zdanie.

Opowiada o wyrwaniu się na kilka miesięcy z miasta, o dalekiej podróży motorem.

– Nie pojechałabyś ze mną? – pyta.

– Nie mam motoru.

– Jechałabyś na tylnym siodełku mojego, głuptasie.

– Gdzie byśmy spali?

– Pod gwiazdami.

– Razem? – Krzywię się.

– W porządku, ja będę spał pod gwiazdami, a ty możesz się zameldować w pięciogwiazdkowym hotelu.

Skręcamy; podnoszę wzrok, widzę otwarte okno w mojej kuchni i myślę o tym, że Rob by mnie zabił za taką nieostrożność.

– Pięciogwiazdkowym hotelu SPA – mówię, gdy docieramy do drzwi. Przekręcam klucz w zamku, a kiedy się odwracam, Max

jest już na ulicy. – Och. Nie wejdiesz?

– Nie... Mam robotę. – Uśmiecha się.

– Na przykład co?

– Na przykład zaplanowanie „gwiazdnej” podróży.

Po tych słowach zaczyna się oddalać.

– Ja nie jadę! – wołam do jego pleców.

– Ach, teraz tak mówisz...

Patrzę, jak odchodzi, a jego sylwetka robi się coraz mniejsza.
Mam wrażenie, jakby zabrał ze sobą całe słońce.

Trzeba żyć dalej

Ważne, aby nie idealizować byłego partnera. Należy się skupić na jego słabych stronach i sporządzić listę wszystkich cech, których się w nim nie lubiło. I czytać tę listę za każdym razem, kiedy zaczyna się za nim tęsknić.

Mój były chłopak Shaun zawsze mówił, że na widok moich stóp robi mu się niedobrze. Żartował, że szponami mogę podnosić z ziemi różne rzeczy. Wystarczy, że spojrzę na swoje stopy i przypomnę sobie, jak się z nich śmiał, a tęsknota przechodzi jak ręką odjął.

Becka, 20 lat, Harrow

Moja była dziewczyna chciała, żebym spał z nią i jej osiemnastoma maskotkami. Budziłem się w nocy, a te wszystkie szklane oczy gapiły się na mnie. Naprawdę za nią nie tęsknię, zwłaszcza gdy sobie przypomnę pewną okropną małą.

Simon, 25 lat, Leeds

Gdy dopada mnie tęsknota, powtarzam sobie: pryszczate plecy, pryszczate plecy, pryszczate plecy.

Tanya, 30 lat, Newcastle

Najlepiej jest zacząć się spotykać z innym. Z kimkolwiek – trzeba po prostu wyjść z domu i wrócić do obiegu.

Katie, 39 lat, Staines

Jest poniedziałkowy rano i w pracy zjawiam się pełna złych przeczuc, których nie potrafię nazwać. Wszystko wygląda tak jak

przed weekendem – szara wykładzina, świetlówki, zagracone biurko – ale mam wrażenie, jakbym kładła głowę pod gilotynę. Christie jeszcze nie ma – a więc to by było na tyle, jeśli chodzi o nowy rozdział w życiu. Wyglądam przez okno na idealne letnie niebo, czysty błękit przecina jedynie biały ślad po samolocie. Taki dzień to dar, w taki dzień powinno się pójść na piknik z kochankiem, śmigać po jeziorze na nartach wodnych albo jechać kabrioletem nad morze... Chyba że jest się osobą samotną, tak jak ja.

Spoglądam na zdjęcie Roba, na jego perfekcyjny uśmiech. Uśmiech, który już nie należy do mnie. Wrzucam je do szuflady.

– Żegnaj, moja miłości – szepczę.

No dobrze, wytropię w sobie każdą cząstkę, która nadal na niego czeka, i zaaplikuję jej terapię szokową. Dam sobie z nim spokój. Na samą myśl o tym chce mi się wyć.

Włączam komputer. Coś tam się skarży, że nie został poprawnie wyłączony, a po chwili na ekranie pojawia się arkusz kalkulacyjny, nad którym tak panikowałam w piątek. Piątek! Ileż było we mnie wtedy nadziei. Tamtego wieczoru mieliśmy się spotkać. Jak to się wszystko może zmienić przez weekend... Teraz nie mam już przyszłości. Jestem zdruzgotana. Pozostała mi jedynie praca. Całkowicie się jej poświęcę. Zapisuję w notesie: „Slogany reklamowe jadalnych majtek”, a potem sprawdzam pocztę. Dwa e-maile od dostawców; z jednego się dowiaduję, że wybrany przez nas do torebek wzór w kratkę jest już niedostępny, drugi informuje mnie, że świece z motywami skandynawskimi są robione przez więźniów w Norwegii. I czy to będzie odpowiadać standardom etycznym Barnes and Worth? Zastanawiam się nad tym. Więźniowie muszą przecież coś robić, no nie? To nie jest tak, że hodujemy ich dla organów, prawda? Będę musiała to sprawdzić, nim złożymy zamówienie. Idę zaparzyć kawę, korzystając z

zamocowanego na ścianie zbiornika z gorącą wodą. Przypomina mi się, jak Rob mi kiedyś powiedział, że takie zbiorniki przenoszą chorobę legionistów. Na próżno szukam w lodówce mleka z naklejką „Prezenty”. Wyjmuję więc to opatrzone napisem: „Księgowość. Nawet o tym nie myśl!”. Kiedy opłukuję pod kranem łyżeczkę, do moich uszu dobiega chichot Christie. Wychodzę z kuchni i oto widzę, jak rozmawia o butach ze Snotty, która dzisiaj podkolanówki w lamparcie cętki zestawiała z rzymiankami w paski zebry.

– Nie, uważam, że powinnaś je nosić! Życie jest za krótkie – oświadcza Christie.

Dostrzegają mnie i rozmowa cichnie. Uśmiecham się.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry, Vivienne – mówi Snotty i ściska ramię Christie, po czym odchodzi.

Gapię się na nią.

– Chyba trochę przegięła z tymi zwierzęcymi wzorami, nie sądzisz? – pytam Christie.

– Według mnie dzisiaj wygląda nawet w porządku.

Ogarnia mnie panika, jakbym była bizonem, który oddalił się od stada i teraz słyszy dobiegające z buszu warczenie.

– Co się dzieje? – pytam, gdy idziemy do swoich biur.

Jej policzki oblewa rumieniec.

– Nic.

– A więc teraz kumplujesz się ze Snotty?

– Nie, to tylko... – Kładzie na biurku jakieś dokumenty.

– Co to?

– Och, Viv. Ruth, to znaczy Snotty, zaprosiła mnie dzisiaj na śniadaniowe spotkanie, no wiesz, żeby porozmawiać o produktach.

– Śniadaniowe spotkanie?

– Aha, i przyniosła croissanty.

– Croissanty?

– Aha, te z nadzieniem czekoladowym.

Wpatruję się w Christie. Co ta Snotty wyrabia, spotykając się za moimi plecami z Christie i omawiając kwestie, za które to ja jestem odpowiedzialna? Coś jest na rzeczy. Tydzień temu chciała zwolnić Christie. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie: Mole polubiła moją asystentkę i po piątkowym zebraniu to ona tak to ustawiła. Snotty nikogo nie lubi. Po szyi Christie wspina się szkarłatny rumieniec. Otwiera usta, aby coś powiedzieć, po czym zmienia zdanie.

– Fajnie było w piątek w pubie? – pytam.

– Tak – odpowiada piskliwie i nieco niepewnie.

– O czym rozmawialiście? – Stoimy twarzą w twarz, a ja zaczynam stukać palcami w blat biurka.

– No cóż, w pubie była masa ludzi, a Marion, Mole, znała

prawie wszystkich. Niezła zabawa, Viv, szkoda, że cię nie było.

– Aha, aha, a rozmawialiście o pracy?

– Trochę.

– No dobrze, to o czym konkretnie?

Zaczyna zdejmować z oparcia swego fotela jakieś kłaczki.

– Rozmawialiśmy o tej ofercie świątecznej i że to może być moja szansa, bo mam takie dobre pomysły i w ogóle.

– Tak?

– I wtedy właśnie Snotty zaprosiła mnie na to dzisiejsze spotkanie.

– A czy zaproponowała ci coś konkretnego?

– Nie, tak naprawdę to rozmawialiśmy o bieliźnie. – Nie patrzy mi w oczy.

– Rozumiem. No cóż. Mogę ci jedynie poradzić, abyś była ostrożna, Christie. Pamiętaj, dla „Ruth” liczy się tylko ona sama. – Widzę, że mina jej rzednie. Jest jak balonik, który przebiłam szpilką. Wiem, że bez względu na to, co się dzieje, Christie nie ma o niczym pojęcia. To nie jej wina, Mole i Snotty zrobiły z niej pionek w swojej grze. Opuszcza wzrok na szpilki Mary Jane. Uśmiecham się do niej, bo nagle robi mi się jej szkoda. – Jestem przekonana, że coś ci jednak zaproponują...

– Cóż, mówiły, że to twoja praca pozostawia ostatnio wiele do życzenia... – wyrzuca z siebie. – Taa, mówiły, że już od jakiegoś czasu jesteś jakby nieobecna duchem... że pozwalasz, aby życie

osobiste kolidowało z twoją pracą.

– Naprawdę?

– Aha.

– A ty co na to?

– Powiedziałam, że przechodzisz trudny okres.

– No tak. – Coś drapie mnie w gardle. Wpatruję się w wiszący za Christie plakat z instrukcjami postępowania na wypadek pożaru, próbując stłumić łzy. – Okej, Christie. Daj mi chwilę, a potem omówimy nasze produkty. Dobrze? – Odwracam się w stronę biurka, raz za razem przetykając ślinę.

Co się ze mną dzieje? Nie mogę się rozplakać! Jestem wściekła, że rozmawiały o mnie w pubie – wiem, że nie jestem w najlepszej formie, ale moje życie osobiste przechodzi kryzys. Wykazałyby się większą wyrozumiałością, gdybym się rozwodziła? Tracę miłość mojego życia, ledwie jestem w stanie myśleć o dniu jutrzejszym, więc proszę o wybaczenie, że świąteczne prezenty aż tak bardzo mnie nie interesują... Wydmuchuję nos, a w mojej skrzynce pojawia się nowy e-mail.

Dzień dobry, Vivienne,

Strona jest gotowa i możesz ją przejrzeć... Kiedy się więc spotkamy?

Mike

Tego mi jeszcze trzeba. Jak on to robi, że nawet e-mail od niego przyprawia mnie o gęsią skórę? Szybko wystukuję odpowiedź.

Cześć, Mike,

Wielkie dzięki! Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć, co zrobiłeś.

Całe przedpołudnie mam zajęte, ale może jesteś wolny po lunchu?

Viv

Niemal natychmiast otrzymuję odpowiedź.

Do zobaczenia dziś po pracy. O 18.00.

Spodziewa się, że dzisiaj postawię mu kolację? Myślałam, że przed „zapłatą” strona będzie już hulać. Jaki mam wybór? Jestem jego dłużniczką, a kolacja w poniedziałkowy wieczór to mniejsze poświęcenie niż w jakikolwiek inny dzień. Zgadza się i z uczuciem, że właśnie podpisałam cyrograf, zamykam e-mail i drukuję arkusz kalkulacyjny z naszymi produktami. Moja praca pozostawia ostatnio wiele do życzenia? Już nie. Obracam się razem z fotelem w stronę biurka Christie. Wyczuwa mój wzrok i szybko zamyka stronę poświęconą modzie.

– Możemy zająć się teraz produktami? – pytam.

Odwraca się rozdrażniona.

– Chyba tak.

– Dobrze. To co, zaczniemy od jadalnych majtek? –
Uśmiecham się zachęcająco.

– Prawdę mówiąc, tą linią chciałabym się zająć sama. Zespół

nabywców uważa, że dobrze mi zrobi, jeśli poznam od podszewki wszystkie etapy aż do znalezienia się produktu na półkach.

– Zespół nabywców?

– Tak.

– Kto, Snotty i Mole? S. i M.?

– Zgadza się.

– No cóż, doskonały plan, prawda? Mogę zapytać, czy znalazłaś dostawcę?

– Jeszcze nie.

– Okej, wymyśliłaś jakieś hasła reklamowe?

– Owszem. Mam kilka, które według mnie mogą wypalić.

– Chciałabyś się ze mną podzielić tymi pomysłami?

Rozluźnia się nieco i nawet uśmiecha, kiedy bierze z biurka notatnik.

– Pierwsze hasło: „Włochatych Świąt”. To gra słów, ale jako że ma reklamować majtki, wiadomo, że chodzi o włosy łonowe...

– Rozumiem.

– No i jeszcze: „Jest taki cień”. I: „Dzwonią jajeczka”. To akurat do kolekcji męskiej – czyta.

– Okej...

– No i myślałam jeszcze o różnych wariacjach na temat tradycyjnych świątecznych potraw. To znaczy, nie będą to konkretne nazwy, ale takie gry słowne, na przykład „Barszcz z cycuszkami” zamiast barszcz z uszkami czy „Kochaś z makiem” zamiast kutia z makiem... – mówi z poważną miną.

– A może zamiast karpia w galarecie dać „Skarby w galarecie”? – śmieję się.

Kieruje spojrzenie na sufit, gryzie w zamyśleniu ołówkę, po czym marszczy brwi.

– Nie, Viv, tego akurat nie łapię. – Zerka do notatnika. – „Pieprzny indyk”?

– A może samo „Pieprzny”?

– Widzisz, ty nie rozumiesz całej idei, Viv. To świąteczne jedzenie. – Mówi powoli i cierpliwie, jak do kretyнки. – W każdym razie takie właśnie mam pomysły. Dam ci znać, gdybym potrzebowała pomocy.

Przyglądam się jej twarzy, szukając choćby cząsteczki Christie, którą znam, ale Snotty zamieniła ją w androida.

Pracujemy całe przedpołudnie, domykając kwestie związane z asortymentem. Christie wykręca się przed zrobieniem czegokolwiek, co chcę jej zlecić, twierdząc, że musi się skoncentrować na własnej „linii”. Zachowuje się naprawdę irytująco, więc upieram się, aby to ona zajęła się świecami i sprawdziła kwestię więźniów, mnie zostaje dziesięć pozostałych produktów. To dobrze, że jest dużo pracy, przynajmniej nie będę mieć czasu na myślenie. Będę bohatersko pracować od świtu do nocy. Wszystkich tym zadziwię. Przez głowę przemyka mi wspomnienie naszych ostatnich wakacji na Sycylii, po czym pęka

niczym bańka mydlana, kiedy natrafia na mokry chodnik rzeczywistości. Prawdziwe życie: praca i kolacja z przyprawiającym o gęsią skórę Michaeliem.

Drzwi windy się rozsuwają i oto zjawia się on. Z wystudiowaną pewnością siebie opiera się o ścianę wyłożonego marmurem holu, a jedną nogą wystukuje jakiś rytm. Mam ochotę przemknąć obok niego jak przestraszona łania i zniknąć w zaroślach, to znaczy w tłumie ludzi wracających z pracy. Zamiast tego idę powoli przez błyszczący hol. Zauważa mnie, ale udaje, że wcale nie. Rozgląda się niedbale i teraz rusza już obiema nogami. Wita mnie z udawanym zdziwieniem, kiedy stoję przed nim. Nachyla się, ujmując mnie pod łokieć i cmoka gdzieś w okolicach ucha. W jego oddechu wyczuwam niezbyt wyraźny zapach warzyw, a na kołnierzyku coś korzennego. Unika kontaktu wzrokowego i gestem pokazuje na wyjście; następnie dochodzi do krępującej przepychanki, kiedy docieramy do drzwi obrotowych, i kończy się to tak, że przechodzimy przez nie razem. Drzwi wypluwają nas na ciepły chodnik.

– No to gdzie idziemy, Michael? – pytam pogodnie.

– Mike.

– Sorki... Mike.

Patrzy przed siebie, mrużąc oczy, jakby dokonywał oceny pola walki, po czym odwraca się w drugą stronę.

– Najpierw napijemy się czegoś u O'Malleya – odpowiada z zadowoleniem i rusza przed siebie szybkimi, krótkimi krokami.

Biegnę kawałek, żeby go dogonić, ciesząc się, że mam buty na płaskiej podeszwie. Jego oczy znajdują się na poziomie mojej szyi. On patrzy prosto przed siebie, a ja zerkam na jego

przypominającą szurzy ogon brodę.

– U O'Malleya. Chyba tam jeszcze nie byłam.

– Och, pamiętałybyś, gdybyś była! – chichocze.

Spuszczam wzrok na chodnik, na moje sandały i jego zdarte mokasyny. Idziemy pod prąd, przebijając się przez tłum. Co jakiś czas schodzi na krawężnik i idzie przed siebie, ani razu nie sprawdzając, czy za nim podążam. Przynajmniej nie wygląda to tak, jakbyśmy byli razem. Przepelnia mnie dziwne połączenie niepokoju i przerażenia, doprawione szczyptą ciekawości. Powtarzam sobie w myślach, że dziś wieczorem nie mam nic lepszego do roboty i że to ważne, aby opuszczać swoją strefę komfortu – tak wyczytałam w *Pójdź własną drogą, bądź wolny*. Poza tym muszę pamiętać, że oddał mi wielką przysługę. Doganiam go i znowu idziemy razem chodnikiem.

– No więc, Mike, jak wygląda strona?

– Dobrze.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Patrzy na mnie z ukosa, tak jakbym próbowała oskubać go z gotówki. Idziemy w milczeniu, aż w końcu on zatrzymuje się przed czarną elegancką balustradą. Betonowe schodki prowadzą w dół do drewnianych drzwi. Zbiega po nich jak gospodarz teleturnieju i dostrzegam u niego początki łysiny. Posyłam tęskne spojrzenie skapanemu w słońcu wieczorowi, jakbym brała ostatni oddech przed zejściem pod wodę, po czym idę za nim.

Michael otwiera drzwi i bucha z nich duchota piwnicznego baru. Oczywiście ciemne drewno i bordowe obicia. Wzrok przyzwyczajają mi się do słabego oświetlenia i z ciemności

wyłaniają się sylwetki ludzi siedzących w boksach wzdłuż ścian; co chwilę dostrzegam błysk jakiegoś kolczyka na twarzy. Za barem stoi śliczna pulchna brunetka. W panującym w pubie półmroku jej skóra wydaje się biała jak kreda, a jasny, gładki dekolt kontrastuje mocno z błyszczącym czarnym gorsetem.

– Co tam, Mike? Na co masz ochotę? – woła, gdy się zbliżamy do baru.

Rzuca mi triumfujące spojrzenie. Zamawia kufel piwa, po czym udaje się razem z nim do jednego z boksów, pozostawiając mnie, abym zamówiła coś dla siebie i zapłaciła. Zajmuję miejsce naprzeciwko niego. Piję wódkę z tonikiem.

– Miałem ją – mówi, zlizując piankę z górnej wargi i kiwając głową w stronę baru.

– Cóż, jest bardzo ładna.

– Uwielbiam duże dziewczyny.

Stolik wibruje od jego wierzgających nóg. Pociągam spory łyk wódki. Rozglądam się po pubie, po czym z bladym uśmiechem kieruję wzrok na mego towarzysza.

– Ty prawdopodobnie nie jesteś dla mnie wystarczająco duża, ale tyłek masz całkiem słusznych rozmiarów. Podoba mi się – oświadcza.

– Dzięki, to... e... miłe, co mówisz.

– Nie ma sprawy. Mówiąc wprost, masz trochę za mało z przodu.

– Och.

Czuję, że na moim niewystarczająco dużym dekolcie pojawia się gęsia skórka. T-shirt w paski sporo zakrywa, ale jest obcisły. Przyłapuję go na tym, jak odrywa wzrok od moich sutków. Kościste palce wystukują na stole jakiś rytm i Michael rozgląda się, przygarbiony, kiwając głową w takt muzyki, którą słyszy tylko on. I nagle wybucha śmiechem, który przechodzi w chichot.

– Nie czujesz się tu swobodnie, prawda?

– Nic mi nie jest.

– Atmosfera tutaj jest szalona.

Patrzę na spokojnie pijących ludzi i myślę, że musi zanosić się na coś, czego nie jestem świadoma. Może nagle rozlegnie się dzwonek, a wtedy wszyscy będziemy się musieli wymienić spodniami i tańczyć macarenę.

– Mike... jeśli chodzi o stronę...

Szybko rzuca na stół świstek papieru z napisanym na nim adresem.

– Wszystko gotowe, możesz przejrzeć.

– Super! – Sięgam po papier, ale on zabiera go ze stołu. Palcami muska moją dłoń.

– Najpierw chcę spędzić przyjemny wieczór, siostro! – Uśmiecha się. – Powinnaś wiedzieć jedno na mój temat: znam kobiety. Wiem, jakie jesteście. – Stuka się palcem w nos i kręci głową. – Jeśli od razu dam ci to, czego chcesz, dasz drapaka tak szybko, jak się da, prawda? – Gromię go spojrzeniem. Czy to oznacza, że regularnie przekupuje kobiety, aby wychodziły z nim

na kolację? Wie, że uciekałyby przed nim jak przed nawracającą grzybicą, gdyby na końcu kija nie miał marchewki? Poprawia się na siedzeniu. – Mam to, czego pragniesz – klepie się w kieszeń – więc ty daj mi to, czego ja pragnę. To sprawiedliwe, nie sądzisz?

– Nie zamierzałam dać drapaka! – śmieję się. – Pomyślałam jedynie, że moglibyśmy porozmawiać o tej stronie, to wszystko. – Przygląda mi się wzrokiem wilka czającego się pod kurnikiem. – No i chciałeś coś zjeść, prawda? – Nagle mam potrzebę wyjaśnienia wszystkiego.

– Zgadza się. Mam ochotę na chińską ucztę. – Oblizuje usta.

– W porządku. – Dopijam drinka. – Wobec tego idziemy?

– Poczekajmy na taniec brzucha.

Sporo wódki później siedzę w „Złotym Ogrodzie” w ciepłej atmosferze wzajemnej życzliwości i rozmawiam z ożywieniem z Michaeliem o zarości. Tuż pod dolną wargą ma krótko przycięty pasek włosków, nad długą, ozdobioną paciorkami brodą.

– Kobiety to uwielbiają – wykrzykuje. Przekręca obrotowy talerz, abym mogła się poczęstować chrupiącymi smażonymi wodorostami. Nakładam je na talerz plastikowymi pałeczkami, dorzucając jeszcze sajgonkę.

– Jakie kobiety uwielbiają zarost? – piszczę.

– Prawdziwe kobiety. – Uśmiecha się szeroko. Ja też się śmieję, a jasnobrązowe kaczki w oknie kołyszą się i tańczą. Michael zajada się czop sui, językiem zbierając z brody uciekający makaron. Jego język wydaje mi się nieprzyzwoicie długi. Wkładam do ust kilka obranych krewetek. On nachyla się konspiracyjnie w moją stronę.

– Nazywają go łechtaczkiem – chichocze. Patrzę na jego błyszczącą bródkę, a moja wyobraźnia szaleje. Nagle wysuwa język.

– O mój Boże! – wołam z pełnymi ustami, po czym zaczynam się krztusić kawałkiem krewetki. Mike zrywa się z krzesła i wali mnie w plecy z taką siłą, że chyba mi zaraz oczy wyskoczą z orbit. Jakoś udaje mi się pokiwać głową i wydyszeć: – Już dobrze!

Wraca na swoje miejsce. Pociągam łyk wody.

– Już myślałem, że będę musiał wykonać manewr Heimlich. Byłem na szkoleniu z udzielania pierwszej pomocy – oświadczam.

– Mike, jesteś wszystkim, czego może pragnąć kobieta! Umiesz udzielić pierwszej pomocy i... – ledwie jestem w stanie dokończyć zdanie – ...masz łechtaczka!

Dosłownie wpadam w histerię. Nie potrafię przestać się śmiać i on także się śmieje, plując kawałkami makaronu. Siedzimy jak para rozchichotanych dzieci, uspokajając się i nagle znowu zanosząc śmiechem. Ktoś podchodzi do naszego stolika.

– Viv! Witaj. Dobrze się bawisz?

Odwracam się i podnoszę głowę, ocierając oczy. Nad nami stoi speszony Rob. W jednej chwili trzeźwieję i poważnieję. Za nim czai się Sam w błyszczącej sukience, a jej oczy jelonka Bambi są wielkie i niewinne.

– Cześć! Rob! – Kaszlę.

– Już myślałem, że ktoś będzie musiał wylać wam na głowy wiadro wody. – Uśmiecha się, mierząc wzrokiem Michaela.

– Och, Rob, to Michael, kolega z pracy. – Odwracam się do Michaela. – Michael, to Rob, mój... eee... przyjaciel, i jego narzeczona, Sam. – Czuję się tak, jakby trzymał to wiadro.

– Wszystko w porządku? – pyta Michael.

Rob przenosi spojrzenie ze mnie na niego i znowu na mnie.

– Cóż, miło cię było spotkać – mówi oficjalnym tonem i kładzie dłoń na plecach Sam, kierując ją ku drzwiom. Jej szpilki stukają jak kopyta rasowej klaczy. – Daj mi znać, kiedy chcesz odebrać rzeczy, dobrze? – dodaje. Sam potrząsa kasztanową grzywą i zerka przez ramię, aby sprawdzić moją reakcję.

– Jasne. Co powiesz na jutro? – odpowiadam, piorunując wzrokiem Sam.

– Jutro? – Patrzy na nią pytająco, a ona uśmiecha się ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy. – Może być jutro, Viv – mówi. – To co, do zobaczenia, powiedzmy, o wpół do ósmej?

Kiwam głową. Przez chwilę patrzy na mnie i lekko się uśmiecha. Obserwuję, jak wychodzą. On mówi coś do niej, a ona się śmieje, kiedy przekraczają próg restauracji. Odwracam się do Michaela. Czuję się zupełnie oklapła. Dziobie pałeczkami w kalmarach – to obrzydliwe.

Trzęsę się, kiedy idziemy przez Chinatown, i Michael narzuca mi na ramiona swoją marynarkę. Mijamy śmierdzące kosze na tyłach restauracji. Odprowadza mnie do metra, próbując mnie namówić do pojechania do niego. Podobno ma akwarium, które powinnam zobaczyć.

– Jest ogromne i można oglądać je ze wszystkich stron – mówi, gdy dochodzimy do stacji Leicester Square.

– Michael, dzięki za superwieczór – mówię, zresztą zgodnie z prawdą. Patrzy na mnie. – Mówię poważnie. – Klepię go lekko w policzek i czuję, jak emanuje z niego energia. Nic dziwnego, że nie jest w stanie usiedzieć w bezruchu.

Wyjmuje z kieszeni kawałek kartki z adresem i podaje mi.

– To, siostrzo, jest naprawdę świetna strona. Posprawdzaj wszystko i wtedy ją odpalimy, okej?

– Naprawdę to doceniam.

– I posłuchaj, ten facet w restauracji, ten, który zbił cię z tropu... – Kręci głową. – Nie jest w porządku. – Uśmiecham się do niego i czuję, że oczy mam pełne łez. – Mógł po prostu wyjść. Zamiast tego sypał sól na rany.

Ujmuję w obie ręce jego dłoń, czując łuszczącą się skórę i nierówne paznokcie.

– Dzięki – mówię i patrzę, jak jego spojrzenie umyka w bok, omiatając przechodniów, potem znów wraca do mnie, by sekundę później uciec. I dociera do mnie życiowa prawda: w ciężkich czasach uratować cię mogą ci, na których nigdy byś nie postawił, a życzliwość, jaką ci oferują, potrafi znaczyć tyle, co życie i śmierć.

On mnie nie kocha

Jeśli usłyszysz któreś z poniższych słów, to pewne, że on z tobą zrywa. Odejdź z godnością, największą, jaką się da.

Nie chodzi o ciebie, ale o mnie.

Jesteś taką uroczą dziewczyną...

Potrzebuję czasu, żeby odnaleźć siebie.

Nie jestem po prostu gotowy na poważny związek ani na luźny związek, ani żaden związek... z tobą.

Lepiej ci będzie beze mnie / Jesteś dla mnie za dobra / Nie jestem cię godzien.

Przeprowadzam się / Nie zostało mi dużo życia.

Nie mogę się z tobą więcej spotykać. To wszystko sprawia, że czuję się podle.

Gdybyś była szczuplejsza, miała rude włosy, a twój palec u stopy nie był zdeformowany, myślę, że mógłbym cię kochać.

Chyba mam alergię na twoją ślinę.

Chcę być wolny, aby znaleźć kogoś, kto ma takie same poglądy jak ja.

To nie twoja wina. Po prostu czuję, że nie chcę już więcej oglądać twojej tłustej twarzy.

Gdybym był gotowy na miłość, to na pewno nie z tobą.

Gdybyś częściej chciała seksu, nie musiałbym go uprawiać z innymi.

Twój zapach mnie odpycha.

Prześladuje mnie moja była.

Stoję pod swoim dawnym mieszkaniem, patrząc na jasne okno, a serce mi trzepoce jak wyrzucona na pokład ryba. Jest dobrze. Potrafię zachować spokój. Jestem tu tylko po to, aby zabrać resztę swoich rzeczy i odejść, to wszystko. Dlaczego więc właśnie wydałam czterdzieści funtów na fryzjera? Gdy tak patrzę, w oknie pojawia się Sam i zaciąga zasłony. Intruz! Wynocha z mojego domu!

Waham się, stojąc pod ciężkimi drzwiami i dotykając mosiężnej cyfry siedem. „Niektórzy to mają szczęście” – powiedziałam, kiedy się wprowadzaliśmy i całowaliśmy w progu. Teraz stoją tu dwa okrągłe bukszpany w donicach z włoskiej terakoty: schludne, poukładane, symetryczne i niemające nic wspólnego ze mną. Unoszę kołatkę w kształcie lwa i puszczam. Czekam jak duch, słysząc w głębi wołanie i dudnienie stóp na schodach. Drzwi otwiera Rob w pasiastym fartuszku narzuconym na jasną koszulę. Na chłodną ulicę dociera zapach curry i pieczonego kurczaka. Uśmiecha się, a ja stoję jak wrośnięta, patrząc na idealną linię jego szczęki i zaczesane do tyłu loki, które sprawiają, że jest niemal zbyt przystojny. Nachylam się, aby go pocałować, ale on już wbiega po schodach.

– Zapraszam na górę – mówi, jakbym przyszła po odczyt liczników.

W salonie widzę, że ona się wprowadziła. Nagle jest tu dużo falbanek i ozdób. W rogu stoi lampa ze zwisającymi z wzorzystego

abazuru brzydkimi szklanymi paciorkami. Na sofie leżą włochate poduszki, które wyglądają jak tyłek yeti. Z otwartej kuchni wydobywa się para. Zerkam na mosiężne garnki i magnesy na lodówce z hasłami głoszącymi, że wino czyni cię lepszym kucharzem.

– Bardzo tu przytulnie – mówię.

– Eee, tak, no więc wszystkie rzeczy znajdują się w pokoju dla gości. Weź, co tylko chcesz, a resztę po prostu wyrzucimy. – Przystępuje z nogi na nogę.

– Wyrzucimy?

– Urządzamy tam pokój dla dziecka. – Przeczesuje palcami włosy, nie będąc w stanie spojrzeć mi w oczy.

– Sam jest w ciąży? – Niemal krztuszę się tymi słowami. Wygląda na zażenowanego. – Nie zważaj na moje uczucia.

– Nie, ale ona... my... chcemy spróbować podczas podróży poślubnej.

– Och. – W gardle czuję wielką gulę, która jest jak trująca ropucha.

– Słuchaj, Viv, przykro mi, nie da się tego załatwić łatwo i przyjemnie. To trochę jak zrywanie plastra, no nie? Najlepiej zrobić to szybko.

– Skoro tak twierdzisz.

Wiem, że nie mam dumy, to zarazem dobrze i źle. Przez to robię z siebie widowisko, ale z drugiej strony rzadko się obrażam i nie jestem pamiętliwa. W tej jednak chwili to źle, bardzo źle; w

epicentrum bólu, ledwie będąc w stanie funkcjonować, rozmawiam o zabraniu swoich rzeczy, aby zrobić miejsce na pokój dla jej dziecka.

Mam ochotę na niego krzyczeć. A co z moimi dziećmi? Mam ochotę zażądać, aby oddał mi moje najlepsze lata. Ale jeśli chcę wydostać się stąd żywa, muszę ich od siebie odciąć jak uwięzioną kończynę. Rob prowadzi mnie do pokoju, gdzie wokół postawionego do góry nogami fotela jak śmieci leżą pozostałości innego życia. Przechodzę między porzuconymi rzeczami; to jak chodzenie po strychu zmarłej kobiety.

– Nie chcesz tego? – Podnoszę oprawione w ramkę zdjęcie, które zrobiłam mu na szczycie góry Snowdon. Wbija wzrok w podłogę. Przechodzę nieco dalej. – Ani tego? – Rzucam designerski lichtarz na karton wypełniony listami, albumami ze zdjęciami i innymi pozostałościami naszego związku.

– Viv... Daj spokój...

Dociera do mnie, że nie wytrzymam. To jest jak wydłubywanie trucizny z zakażonej rany – łyżeczką. W moim gardle wzbiera szloch.

– Eee, przepraszam... To takie trudne. – Chryste! Weź się w garść. Wszystkie podręczniki mówią, aby nie okazywać uczuć. Ale ja mam to gdzieś; to się dzieje naprawdę i nie jestem się w stanie powstrzymać. – Ja... popełniłam błąd. Nie chcę tego, niczego. Po prostu to wyrzucić. Albo spać!

Odwracam się na pięcie, aby zbiec po schodach i uciec, ale kiedy docieram do drzwi, on jest tuż za mną i chwyta mnie za ramię. Mogłabym przysiąc, że widzę, jak ona uskakuje w bok niczym drwiący mały elf.

Trzyma mnie mocno za ramiona, zmuszając do spojrzenia w te niesamowicie niebieskie oczy. Twarz zaczyna mi się krzywić, choć powtarzam sobie w duchu, że się nie rozpłaczę.

– Viv, skarbie, nie płacz.

Z mojego gardła wydobywa się cichy szloch. Rob tuli mnie mocno, tak że nasze biodra się stykają. Nie mogę uwierzyć, że mu tego nie brakuje.

– To naprawdę koniec, prawda? – wyrzucam z siebie. Wydaje się zaskoczony, a zaraz potem zakłopotany, ale nie odpowiada. – Rob! Nie brakuje ci mnie ani trochę? Nic zupełnie nie czujesz? – Wdycham cudowny zapach jego szyi jak narkoman.

– To bardzo... smutne – mówi w końcu. Sztywnieje i odsuwa się, klepiąc mnie po plecach.

– I tyle? To ja, Rob. Już mnie nie znasz? – Podnoszę na niego wzrok, ale wygląda przez okno.

– Czego chcesz, Viv? Czego ode mnie chcesz?

– Chcę ciebie! – Próbuję uśmiechnąć się przez łzy i wyciągam rękę, by musnąć palcami jego policzek. – Nie rozumiesz? Zawsze cię pragnęłam, odkąd się tylko poznaliśmy.

Wzdycha, dotyka mej twarzy jedną dłonią i przesuwa kciukiem po ustach, rozmazując mi szminkę. Zamykam oczy, czekając na pocałunek. Czuję przy uchu jego oddech.

– Nie jestem... wolny – szepcze. Patrzą mu w oczy, ale są zimne i beznamiętne. – Przykro mi, Viv. – Ścisną mnie jak morderca wbijający głęboko nóż. Wrywam mu się.

– Nie mów, że jest ci przykro. – Szlocham i z mojego gardła wydobywa się dźwięk, jakiego jeszcze nie słyszałam – coś jakby chrapliwe wycie. Wybiegam na ciemną ulicę, częściowo z nadzieją, że znowu mnie złapie. Gdy docieram do jej końca, odwracam się i patrzę na dom, ale drzwi są zamknięte. W oknie widać bladą twarz Sam, a usta ma wygięte w idealny łuk.

Sypianie z przyjaciółmi

Zbikowanalola: Strasznie, ale to strasznie podoba mi się mój najlepszy przyjaciel. Nie potrafię przestać o nim myśleć, a on mówi, że dziwnie się zachowuję. Mam mu powiedzieć i zaryzykować utratę przyjaźni?

Małarara: Ooch, to ryzykowne, wiem coś na ten temat. Ja po prostu przespałam się ze swoim najlepszym przyjacielem i teraz to mój mąż!

Figmonster: To takie urocze, Rara. Lola, zrób to, jeśli tylko uważasz, że poradzisz sobie ze wszystkimi możliwymi następstwami!

Zbikowanalola: Byłoby jednak okropnie, gdybyśmy się już nie przyjaźnili.

Klaunik: Nie, nie rób czegoś, nad czym się zastanawiasz.

Figmonster: Klaunik, nie sądzisz, że to myślenie kategoriami białe – czarne? Po prostu mu powiedz, ale niczego nie oczekuj. Nie mówiąc nic, możesz zniszczyć waszą przyjaźń, a tego pewnie byś żałowała.

Klaunik: Nie ma w tym żadnej mądrości. Przyjaźń to rzecz święta.

Zbikowanalola: Rozumiem, co masz na myśli, ale muszę coś zrobić, inaczej eksploduję!

Klaunik: Jesteś młoda, ale nauczysz się jeszcze.

Figmonster: Yoda, to ty?

Oddalam się chwiejnym krokiem i potykając się, mijam bary i pełne ludzi restauracje. Kieruję się w stronę nabrzeża i połyskującej brązowej Tamizy. Opieram się o murek z figurkami karpia i wdycham metaliczne, słone powietrze, patrząc, jak woda obmywa kamienie. Przypomina mi się muzealna wystawa, na której kiedyś byłam, prezentująca rzeczy wydobyte z gliniastego

łożyska rzeki: między innymi szczątki dziewczyny, która umarła podczas porodu. A w niej uwięziony maleńki szkielecik. Jakież to było smutne. Życie jest takie smutne. Samotne i okrutne, i smutne. Wpatruję się w wodę, a obraz mi się rozmywa. Obok mnie przejeżdżają z hałasem chłopcy na deskorolkach, krzycząc: „Zrób to!”. Rzeką płynie migocząca zielonymi i czerwonymi światłami łódź, na której, sądząc po dudniącym beacie, odbywa się impreza.

Odwracam się i zaczynam iść w kierunku północnym. Nie mogę myśleć o tym, co niedawno się wydarzyło, więc koncentruję się na rytmie swoich kroków. Skręcam w kolejne ulice, smagana wiatrem przebiegam między samochodami, unikając osób rozdających ulotki, gazety i zaproszenia. Schodzę pod ziemię i wsiadam w metro, przejeżdżam dziesięć przystanków, po czym wychodzę na ulicę. Zaczyna siąpić deszcz. Idę na skróty labiryntem bocznych uliczek, aż w końcu staję pod domem Maxa.

Dzwonię domofonem, po chwili drzwi się otwierają. Dzięki Bogu, że jest w domu. Na klatce schodowej pachnie wilgotnym tynkiem. Powoli wchodzę krętymi schodami. Max otwiera drzwi ubrany w wytarte džinsy i stary T-shirt z The Ramones.

– A, to ty. – Rozgląda się szybko jak jakiś zbieg, po czym wpuszcza mnie do środka. Bez słowa stoję w nędznym kwadratowym przedpokoju. Słyszę to podniesiony, to spokojniejszy głos komentatora meczu, dochodzący z włączonego telewizora.

– Spodziewałeś się kogoś?

– Nie... ja tylko... czasami niespodziewanie wpadają, eee... ludzie.

– Ludzie?

– No.

– Jacy ludzie, płci żeńskiej?

– Aha. Albo ludzie z policji.

Przyglądam się jego szyi, zastanawiając się, w jakich okolicznościach coś takiego byłoby prawdopodobne. Max wygładza włosy i koszulkę, podciąga wyżej dżinsy.

– To co się dzieje?

– Chciałam cię po prostu zobaczyć.

– Super. Cóż... Nigdy z czymś takim nie walczyłam. – Przez chwilę milczymy. – Masz ochotę wejść? – Kiwam głową jak oniemiałe dziecko. Obejmuje mnie ramieniem i idziemy do miniaturowej kuchni. – Wszystko dobrze? – pyta.

– Ja... Ja... Nie.

Zerka na moją twarz, korkociągiem w kształcie nagiej kobiety otwierając jednocześnie wino. Patrzę, jak ściska jej nogi, po czym je puszcza. Korek wyskakuje.

– Boże! Gdyby była prawdziwa, wylądowałyby w szpitalu.

– Gdyby była prawdziwa, byłaby milionerką. – Mruga i rozgląda się za czymś, co uszłoby za kieliszek. Znajduje kubek i wazonik w kształcie kielicha, nalewa wino, po czym podaje mi wazonik. Biorę łyk i wdycham ciężki zapach drewna. To sikacz, ale z wdzięcznością biorę kolejny łyk. – Co się dzieje? – pyta ponownie.

– Czy ja jestem miła?

– Cóż, jestem stronniczy, wiem, ale... Mam powiedzieć prawdę? Jesteś okropna.

– Czuję się... uszkodzona... tak jakby zniszczona. Odrzucona. Jak jajko z pękniętą skorupką.

– Okej.

– Jakby moja skorupka coraz bardziej pękała i jakby coś ciężkiego i paskudnego miało się zaraz wylać na podłogę.

– Śmiało, mała – uśmiecha się.

Wpatruję się w jego klatkę piersiową i łapię ogromnego doła. Patrzę na jego przepelnioną życzliwością twarz i wybucham płaczem. Max szybko odstawia kubek i podbiega do mnie, by mnie złapać, nim się przewrócę.

Drugą połowę meczu oglądamy, jedząc zamówione na wynos tajskie żarcie. Siedzimy na wąskiej sofie, ja opieram się o niego i moczę sajgonki w słodkim sosie chili. U moich stóp siedzi Dave, z nadzieją mrugając oczami.

Na plecach czuję bicie serca Maxa, jego pachnące mydłem dłonie masują mi kark. Oddech łaskocze mi ucho, przez co mam na rękach gęsią skórkę, a wszystkie delikatne włoski stają mi dęba. Wyczuwam, jak jego ciało się spina, gdy ryk kibiców przybiera na sile.

– Do dupy! Pieprzona obrona! – woła i mocno ściska mi ramię.

Jestem zdumiona, że tak długo i mocno płakałam. Dokończyliśmy wino, siedząc na kuchennej podłodze, a teraz czuję

się zmęczona i ciężka. Wzdycham i zamykam zapuchnięte oczy. Niemal już zapomniałam, jaką przyjemność sprawia opieranie się o ciało drugiej osoby, bliskość drugiego życia, twardość mięśni, rytm oddechu, wszystko, co wymazuje ze świadomości koszmar świata na zewnątrz. Cieszę się tą chwilą, wącham przesiąknięty zapachem tytoniu i piżma T-shirt, pozwalam, by moje myśli unosiły się bez celu, i przez chwilę odczuwam coś na kształt spokoju.

– Viv. Hej, już późno. – Otwieram oczy, przy sofie klęczy Max. Telewizor jest wyłączony, tacki po jedzeniu uprzątnięte. – Mam zadzwonić po taksówkę?

Powoli siadam. Uch, jazda taksówką do domu, ciemność pustego mieszkania. Patrzę w twarz mego przyjaciela, linię jego żuchwy, ciemne, zdecydowane brwi i już wiem, że stąd nie wychodzę.

– Nie wyrzucaj mnie.

– Zostań – mówi. – Ja się prześpię na sofie.

– Nie mogę po prostu spać z tobą, w twoim łóżku? Nie mogę choć przez chwilę być tobą? Bycie mną jest cholernie samotne i gówniane.

Uśmiecha się.

– Viv, pamiętaj, że możesz spać ze mną zawsze, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota.

– Nie w sensie seksualnym.

– Możesz spać ze mną zawsze, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota, czy to w sensie seksualnym, czy nie.

– Bardzo to z twojej strony wielkoduszne.

Udajemy się do sypialni; strząsa kołdrę i znajduje dla mnie jakiś T-shirt.

– Przyniosę wodę – mówi.

Przebieram się i wślizguję pod kołdrę. Odwracam się twarzą do ściany, zamykam oczy i ogarnia mnie kojąca ulga, że nie muszę spędzać tej nocy w samotności. Max kładzie się koło mnie i wierci. Po jakiejś minucie gasi lampkę. Słucham jego płytkiego oddechu i odległego dudnienia nocnego autobusu. Próbuję analizować konsekwencje faktu, że leżę w łóżku razem z Maxem, ale jestem pewna tylko tego, że nie mogę być teraz sama.

– Max? – szepczę.

– Hmm?

– Przytul mnie. – Przekręca się za mną i zarzuca mi rękę na ramię, poza tym mnie nie dotyka. Szturcham go łokciem. – Porządnie przytul.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Mam wzwód.

– Och...

– Przepraszam, ale kiedy uniosłem kołdrę, zobaczyłem kawałek twojej pupy. Nie martw się, nic ci nie grozi, ale jeśli nie masz nic przeciwko, to zostanę na swojej części łóżka.

Słyszę, jak na ulicy jakieś dziewczyny piszczą i zaczynają śpiewać. Słucham ich przetaczających się po ulicy głosów, a potem ciszy. Nie potrafię się odprężyć. Jestem pobudzona obecnością Maxa: męskim zapachem, tym, że leży tak blisko mnie, jego wielkością, jego zarostem, ciężarem ramienia. Niczym atrament wsąca się we mnie myśl, aby po prostu przekreślić się na drugi bok i cicho się z nim kochać. Czuję, jak moje ciało budzi się do życia i wręcz płonie. W ustach mi zasycha, zwilżam wargi językiem.

– Mam przeciwko.

– Słucham?

Słyszę, jak w ciemnościach nasze serca głośno biją, i przelękam ślinę.

– Mam przeciwko, żebyś pozostał po swojej stronie łóżka.

Przez chwilę nie odpowiada i słyszę, jak jego oddech staje się cięższy. Przekręca się na plecy i mówi ostrożnie:

– Co ty sugerujesz?

Otwieram oczy i wyłapuję w ciemnościach szary zarys okna. Serce mam w gardle. Przekręcam się, kładę głowę na jego piersi, kładę nagie kolano na jego włochatych nogach, muskając twardość napierającą na materiał bokserek. Podnoszę głowę i dotykam ustami jego policzka.

– Chcę z tobą być.

Całuję go raz jeszcze, tym razem w kącik ust. Max się odwraca, powoli unosi się na jednym łokciu i delikatnie muska

ustami moje wargi. Waha się, a ja przyglądam się zarysowi jego ciała, kręconym włosom i linii ramion.

– Jesteś pewna? – szepcze.

Całuję go. Czuję pastę do zębów. Koniuszkiem języka przesuwa po moich ustach, a ja cała się rozpływam. Przysuwam się bliżej, dotykam jego twarzy, czuję bicie serca. Jego dłoń wędruje w górę moich ud, unosi T-shirt, a przez moje ciało przebiegają tysiące iskier. Między nogami czuję pulsujące, przemożne gorąco. Wyginam się w łuk, gdy jego dłoń prześlizguje się po koronce majtek. Max nieruchomieje.

– Viv. Jesteś pewna? – pyta bez tchu.

Pociągam za materiał bokserek, uwalniając nabrzmiałego penisa. Usta zbliżam do jego ucha.

– Max... po prostu mnie pieprz – szepczę.

Jest ranek. Nie przebywam w swoim mieszkaniu. Myślę o Robie, czekając na znajome ukłucie w sercu. Pojawia się, ale jakież takie słabe. Otwieram oczy i pierwsze, co widzę, to skąpane w promieniach słońca zielone zasłony Maxa. Wyciągam nogi i palcami natrafiam na swoje zwinięte majtki. Max porusza się przez sen i obejmuje mnie w pasie. Przyglądam się jego dłoni, długim palcom i czystym kwadratowym paznokciom. Na kciuku widać pozostałości po farbie. Pozwalam, by do mojej świadomości dotarł fakt, że przespałam się z Maxem. Spodziewam się paniki, ale czuję całkowity spokój. Przespałam się z Maxem! Nie czuję się wcale dziwnie. Leżę naga w jego łóżku i czuję się swobodnie. Patrzę na linie papilarne jego dłoni, dłoni, którą tak dobrze znam. Wkładam w nią własną dłoń, a on lekko ją ściska. Seks z nim był równie prosty jak napicie się chłodnej wody na pustyni – kojący i naturalny. Słucham jego powolnego oddechu i obracam się twarzą

do niego.

– Dzień dobry – szepczę.

Max pociąga nosem, nie budząc się. Przyglądam się uważnie jego twarzy: ciemnym łukom brwi, podwiniętym rzęsom, wycięciu ust, dużemu prostemu nosowi. Tak wiele razy patrzyłam na tę twarz, ale nigdy się jej nie przyglądałam. Nowością jest dla mnie niewielka blizna koło ucha czy ślad po ospie na podbródku.

Pociągam go za dolną wargę, a on chwyta moją rękę. Uśmiecha się, choć oczy ma nadal zamknięte.

– Co ty robisz?

– Spore masz uszy, no nie?

– Hmm.

– Z wiekiem robią się coraz większe. – Opieram się na łokciu, trę oczy, po czym opuszczam wzrok na niego. – Hej! – wołam.

Otwiera oczy i patrzy na mnie sennie.

– Hej. Co ty wyrabiasz goła w moim łóżku?

Wtulam nos w jego szyję i wdycham męski zapach.

– Ukrywam się – odpowiadam. Jego palce wędrują w górę i w dół moich pleców. – Która godzina?

Sięga po telefon i mruży oczy, zerkając na wyświetlacz.

– Dochodzi ósma – mówi, klepiąc mnie po ramieniu.

Przyglądam się ciepłym promieniom wlewającego się do sypialni słońca i zastanawiam, czy pędzić przez pół miasta do pracy. Wyciągam się na łóżku.

– Nigdzie nie idę.

Max gładzi moje ramię i tak leżymy w ciepłym pokoju, słuchając przejeżdżających ulicą samochodów, stukotu obcasów na chodniku, syku autobusów. Przekręca się ku mnie i dotyka moich włosów.

– Viv, jeśli chodzi o zeszły wieczór...

– Nic nie mów. – Naciągam sobie kołdrę na głowę.

– Dobrze się z tym czujesz?

– Tak.

Ściąga kołdrę.

– Jesteś pewna?

– A co, zamierzasz zwrócić mi kasę?

– Żadnych zwrotów, nie czytałaś tego, co jest napisane małym drukiem? Chodzi mi o to, że nie chcę, abyś uważała, że cię wykorzystałem czy coś w tym rodzaju.

– Nie wykorzystałeś. To ja zaczęłam – mówię uspokajająco.

– Ale prawdopodobnie nie powinienem był ci na to pozwolić. Byłaś wytrącona z równowagi.

– Max, przymknij się. – Daję mu prztyczka w nos.

– No więc... dobrze się z tym czujesz?

– Boże! Tak! Chyba już to powiedziałam, co? A czemu pytasz? Ty się nie czujesz dobrze? – Przyglądam mu się zmrużonymi oczami.

– Ja się czuję bardzo, bardzo dobrze. – Patrzy na mnie czule, a do mnie dociera, że szczerzę się jak mała. – Głuptas. – Uśmiecha się. – Zaparzę nam kawę.

Wstaje z łóżka, a kiedy wychodzi do kuchni, przyglądam się jego nagim pośladkom, podziwiam szerokie, opalone plecy, a nawet zerkam z czułością na brzydki tatuaż z tygrysem na ramieniu. Kładę się z powrotem i uśmiecham do siebie. Przespałam się z Maxem. Przespałam się z Maxem i było fajnie. Przespałam się z nim i chyba chciałabym to powtórzyć. Dopóki tu jestem, pławiąc się w jego ciepłej energii, nic nie może mi się stać. Próbuję się skoncentrować na troskach dnia wczorajszego, na walce i cierpieniu, ale moje myśli wracają do Maxa, do tego łóżka i tego, co miało miejsce w nocy.

Wraca, nadal nagi, niosąc tacę. Nie mogę nie dostrzec, jak penis obija mu się o udo. Siadamy na łóżku z kubkami do połowy napełnionymi mocną czarną kawą. Max wsypuje do obu cukier, po czym wypija swoją kawę w dwóch łykach.

– To taki kop energetyczny, no nie? – mówi. – Nie rozumiem tych, co piją herbatę.

Bawię się lokami na jego karku.

– Wiesz, zawsze uważałam, że masz śliczne włosy.

– I przez tyle lat ani razu mi tego nie powiedziałaś.

Ściska mi nogę; przyglądam się jego opalonej dłoni na mojej bladej skórze, świadoma iskier biegnących aż do mych stóp.

– Jestem pewna, że to zrobiłam... – Czuję, jak jego palce wędrują po moim udzie, gładząc je i zatrzymując się, zawracając. Przesuwam lekko nogę, aby mógł sięgnąć wyżej.

– Cóż, daruję ci to. Jest mnóstwo rzeczy, których ci dotąd nie mówiłem, ale chyba teraz już mogę – mruczy.

– Tak? Na przykład?

– Na przykład, że jesteś cudowna. – Patrzę w jego ciemne oczy, wędrujące po moim ciele. Całuje mnie w ucho. – Jak rozkosznie pachniesz. – Dreszczyk biegnie od mojej szyi w dół. Dłoń Maxa przesuwają się wyżej, na moje piersi. Wpatruje się w nie, a oczy ma czarne jak smoła. – Że jesteś piękna. – Leżę w bezruchu, ledwie oddychając z pożądania, mając nad sobą jego ciało, zdumiona tym, jak silnie na niego reaguję, jak natychmiast jestem gotowa. – Że wiele razy marzyłem o tym, by cię pieprzyć. – Rozsuwa mi nogi i czuję, jak wsuwa się we mnie powoli. – I że zawsze cię kochałem. I jak bardzo cię kocham, Vivienne Summers – mówi mi w szyję.

Stoję naga przed łazienkowym lustrem, oglądam swoje rozpustne ciało i wykonuję telefon. Włosy mam splątane i sterczące z tyłu, usta czerwone i spuchnięte, brodę podrapaną zarostem.

– Moja babcia jest bardzo chora – wyjaśniam pocztce głosowej Snotty – a nie ma nikogo oprócz mnie. Chyba będę potrzebować dwóch dni, ale jutro zadzwonię... Jeszcze raz przepraszam, dzięki, pa.

Wrzucam telefon do torby, czując się ciut nieswojo. Zastanawiam się, czy babci nic aby nie jest i czy to kłamstwo nie stanie się przypadkiem prorocstwem. Odkręcam kran i prysznic budzi się do życia, zapędzając do odpływu kręcone czarne włoski. Łazienka wypełnia się parą i wchodzę pod dudniące ustrojstwo, pozwalając, by woda smagała mi plecy. Odwracam się tak, że strumień obmywa mi twarz. Pluję wodą. Co ja wyprawiam? Daję drapaką z pracy, bzykam się z najlepszym przyjacielem, nie chcę wracać do siebie? Znajduję mały kawałek mydła i zmywam z podrażnionej skóry zapach seksu. Max powiedział, że mnie kocha, ale coś w jego słowach sprawia, że czuję się skrępowana. Nie potrafię myśleć teraz o miłości. Czuję się pełna życia i nieco zuchwała, a na mojej twarzy widnieje uśmiech, który Lucy nazwałaby „poorgazmowym”. Bzykałam się z Maxem! I kto by pomyślał, że seks z nim okaże się taki fantastyczny? Ale o miłości nie mogę myśleć. Chcę się po prostu świetnie czuć. Zasługuję na to, aby się świetnie czuć i nie myśleć o niczym innym, prawda? Wychodzę spod prysznicza i z tanich płytek na suficie skapuje mi na ramiona zimna woda. Owijam się czystym ręcznikiem i wracam do sypialni.

Max, nadal nagi, siedzi na brzegu łóżka i brzdąka na gitarze. Oczy ma przymknięte, a z ust zwisa mu papieros.

– O nie, tylko nie *All Along the Watchtower!* – pryham, przypominając sobie, jakie przeżył upokorzenie podczas uczelnianego konkursu talentów. Jaki był poważny. Publiczność rzucała w niego różnymi rzeczami.

– Możliwe, że to właśnie bym zagrał. Nie dowiesz się tego. – Kładzie gitarę na kolanach i gasi papierosa.

– To jedyne, co umiesz grać?

– Nie, znam jeszcze *Happy Birthday*.

Otwieram okno, żeby przegnać dym. Do pokoju wpada rześkie powietrze, słodkie i czyste pomimo londyńskiego ruchu. Słońce na tle białego nieba wygląda jak blade oko.

– Zapowiada się gorący dzień.

– I jak go spędzisz, panno Summers? – pyta.

Wyplątuję się z ręcznika i wycieram nim mokre włosy.

– Sądziłam, że z tobą.

– Ach. Zakładasz, że rzucę wszystko, ot tak, bo ty nie wiesz, co ze sobą począć? – Wzrokiem błądzi po moim ciele.

– Aha.

– No to tak zrobię.

Podchodzę do niego i całuję w usta.

– Bardzo ci dziękuję. I mam ochotę popatrzeć sobie na morze.

– No to tak zrobimy. – Nachyla się, aby mnie jeszcze raz pocałować, ale ja się uchylam.

– To pożycz mi jakieś ciuchy.

Przechadzamy się razem bulwarem nadmorskim w Brighton. Upał gładzi turkusowe morze, uspokajając je jak kota. Woda połyskuje, a raz na jakiś czas do brzegu dopływa niewielka fala, rozrzucając kamyki i sprawiając radość dzieciom. Mam na sobie

dżinsy Maxa i jego T-shirt, a do nich wczorajsze szpilki. Czuję się trochę głupio, kiedy mijamy odziane w bikini ślicznotki na rolkach. Zauważam, że Max nawet nie zerka w ich stronę. Nie mógł pożyczyć mi szortów, gdyż przyjechaliśmy tu na motorze.

– Chcę dziś wszystkiego, co kojarzy się z pobytem nad morzem – oświadczam.

– Na przykład małże sercówkowate i omułki, jeszcze żywe?
– Zatrzymuje się przy budce z małżami.

– Uch, nie, wyglądają jak genitalia.

– Ja je uwielbiam! – Kupuje porcję i drewnianym widelcem nabiera miękkie, żółtoszare ciałka. Macha mi jednym przed twarzą. – Mniem, rybkowate!

– Musimy zjeść zawiniętą w gazetę rybę z frytkami, wate cukrową i lody, a ty musisz coś dla mnie wygrać na molo.

– To twoja definicja pobytu nad morzem? – Śmieje się.

– A jaka jest twoja?

– Leżak na plaży, parę piw... i porcja genitaliów.

– Musimy znaleźć cukier na patyku.

– I sprośną pocztówkę.

Marszcząc brwi, patrzę na profil Maxa maszerującego w kurtce motorowej, z wiatrem we włosach.

– Co ci jest? – pytam, a on się śmieje i mnie obejmuje.

Schodzimy na plażę, płacimy za dwa leżaki i ustawiamy je frontem do słońca. Max rozsiada się wygodnie i unosi twarz ku niebu. Ja podwijam dżinsy i zastanawiam się, czy nie zdjąć T-shirta i czy mój stanik można od biedy uznać za górę od bikini. Obserwuję, jak pulchna pani w kostiumie z falbankami skacze po kamyczkach, a jej nogi wyglądają jak nierówno odlana rzeźba. Młodzi mężczyźni żartobliwie mocują się przed śliczną dziewczyną o urodzie Hiszpanki. Odwracam się, aby przyjrzeć się Maxowi, i serce mi drży. Duży, prosty nos i uśmiechnięte szerokie usta to zdecydowanie seksowne połączenie, ale chodzi nie tylko o to. Z nim czuję się tak swobodnie, w ogóle nie ma między nami skrępowania. Przesuwam palcami po kamyczkach i biorę jeden do ręki.

– O mój Boże, ten kamyczek wygląda dokładnie jak twoja głowa!

Otwiera oczy i mruży je.

– Jest znacznie przystojniejszy ode mnie. Ten kamyczek mógłby grać w filmach.

– Po prostu nigdy nie miał takich ambicji, a teraz proszę, jaki jest skończony.

– Zabawne! – Zamyka ponownie oczy.

Rzucam w niego garściami żwiru, za każdym razem chybiając. Obserwuję, jak fale obmywają kamyczki, pozwalając, by ten rytm mnie uspokajał. Po jakimś czasie do moich uszu dobiega ciche chrapanie.

– Max! Idź po rybę i frytki – jęczę.

Przeciąga się.

– Mam je przynieść tutaj?

Kiwam głową, ręką osłaniając oczy przed słońcem. Patrzę, jak komicznie wspina się po kamienistym nasypie, a potem schodkami idzie na ulicę, po czym skupiam się na połyskującym za molo horyzoncie. Zamykam oczy i wzdycham. Londyn i wszystkie wiążące się z nim kłopoty to zupełnie inny świat. Wiem, że będę musiała się z tym zmierzyć, ale nie dzisiaj. Myślę o Robie i czuję, jakbym wsuwała język w ranę po wyrwanym zębie. Boli, czuć, że czegoś brak, ale nie jest to już nic zagrażającego życiu.

Na strzelnicy na molo Max wygrywa jaskrawopomarańczowego orangutana. Na łapach ma rzepy, a kiedy odmawiam niesienia go, Max przytwierdza go do swego ciała tak, że małpa wygląda jak głupio szczerzące się dziecko. Nadaje mu imię Maurice i kupuje mu pączka. Siadamy w barze na końcu mola, pijemy piwo i patrzymy na morze. Wyczuwam na sobie jego spojrzenie, odwracam się i uśmiecham.

– No co?

– Bardzo bym chciał cię teraz narysować. – Patrzymy sobie w oczy, jakbyśmy grali w jakiejś banalnej scenie filmowej.

– Max, boję się ciebie zostawić – wyrzucam z siebie nagle, biorąc go za rękę. – Czuję się tak, jakbyś mnie ocalił. A jeśli dasz mi odejść, będę musiała zmierzyć się ze wszystkim.

– Nie dam ci odejść. – Ścisną mi dłoń. – To ty podejmiesz decyzję.

– Wiesz, że nigdy bym cię nie zraniła. Nie chcę... aby to, co się wydarzyło między nami, dla ciebie oznaczało cierpienie. – Nieoczekiwanie czuję pod powiekami łzy i kładę dłoń na karku

Maxa, przyciągając go bliżej, po czym przyciskam usta do jego warg. – Ale ja byłam... jestem nieco zagubiona.

– Viv, nie przejmuj się – mówi, ujmując moją dłoń. – Jest w porządku. Wiem, że nie podjęłaś decyzji. – Ściskam jego palce. – Nigdzie mi się nie spieszy. Kocham cię już tak długo... od chwili, kiedy się poznaliśmy.

– To dlatego, że tak naprawdę mnie nie znasz. – Robię minę kretynki.

– Znam cię.

Patrzy mi w oczy. Odwracam wzrok i opieram się o krzesło. Max bierze piwo. Odwracam się w jego stronę, a on kiwa głową, unosząc kufel.

Podczas jazdy do domu przytulam się mocno do jego odzianych w skórę pleców. Orangutana Maurice'a mam przytwierdzonego w pasie. Ogarnia mnie upojne poczucie wolności, dopóki zatłoczone ulice Londynu nie zaczynają zamykać się wokół nas jak pułapki. Max zatrzymuje się przed minimarketem, żeby kupić coś na kolację. Wchodzi do sklepu, a ja zostaję przy motorze. Po raz pierwszy od rana sprawdzam telefon. Dzwoniła Christie, babcia, Lucy i jeszcze raz Christie. Odsłuchuję wiadomości.

– Cześć, Viv! To tylko ja, Christie. Chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zajrzałam do twojego terminarza i miałaś na dzisiaj umówione spotkanie z dostawcami, więc je odwołałam. Daj mi znać, czy mam zrobić coś jeszcze. Pa!

Jasny gwint, zapomniałam o tym cholernym spotkaniu. Ale przełożę je. No bo przecież musiałabym to zrobić, gdybym była naprawdę chora, prawda?

Potem wiadomość od babci.

– Witaj, kochanie. Słuchaj, możliwe, że zrobiłam głupstwo. Przed chwilą dzwoniłam do ciebie, a że nie odebrałaś, to zadzwoniłam do twojej pracy. A tam byli przekonani, że jesteś ze mną z powodu mojej choroby! Nie byłam pewna, co powiedzieć, więc się po prostu rozłączyłam. Strasznie mi przykro, jeśli narobiłam ci kłopotów. Mogłabyś do mnie drydnąć, bo teraz się zastanawiam, gdzie się podziewasz...

Zadzwoiła do pracy! Nigdy tego nie robi. Ogarnia mnie znajome napięcie. Niedobrze. Mogę się spodziewać akcji odwetowej.

No i wiadomość od Lucy, która, jak słyhać, coś jednocześnie je.

– Cześć, tu Lucy. Słuchaj, zadzwoń do mnie. Chcę wiedzieć, jak poszło u Roba. Mam nadzieję, że zabrałaś swoje rzeczy i dałaś mu kopa w tyłek. Ja przed chwilą przeżyłam z Reubenem coś niesamowitego – zrobił to językiem i takim małym gumowym narzędziem, i... o mój Boże! No dobra, zadzwoń do mnie.

Zaglądam do sklepu – Max stoi w kolejce. Lucy i fantastyczny seks to żadna nowina. Jednak ja i fantastyczny seks... Przyglądam się, jak kładzie zakupy na ladzie przed wysoką dziewczyną, uśmiecha się i coś mówi. Dostrzegam, że ona przekręca głowę i bawi się kucykiem. Maxa można uznać za naprawdę niezłe ciacho i po tych wszystkich latach nagle niesamowicie mi się podoba.

I jeszcze raz Christie.

– Cześć, Viv, to znowu ja. Sorki, że zawracam ci głowę.

Chciałam dać ci jedynie znać, że dzwoniła jakaś stara prukwa, utrzymując, że jest twoją babcią. Powiedziałam, że to niemożliwe, gdyż twoja babcia leży w szpitalu i ty jesteś przy niej. Wtedy to bezczelne krówsko się rozłączyło! No więc nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Aha, a Snotty chodzi wściekła i chce wiedzieć, kiedy wrócisz. Zadzwoń do mnie!

Dzięki Bogu, że to Christie odebrała telefon – gdyby zrobił to ktoś inny, byłoby po mnie.

Dzwonię do babci. Włącza się automatyczna sekretarka. Na początku babcia mówi do kogoś obok:

– ...nie jestem pewna... Chwileczkę, chyba już nagrywa...
Halo? Halo, tu numer siedem jeden osiem dziewięć zero zero.
Nikogo nie ma w tej chwili w domu. Eee, to nagrana wiadomość.
Możesz zostawić swoje imię i numer, a ja oddzwonię, gdy wrócę...
To już? Nic nie piknęło...

Mówię sekretarce, aby przekazała babci, żeby się nie martwiła, że niedługo zadzwonię i wszystko wytłumaczę.

Ze sklepu wychodzi Max z reklamówką z zakupami.

– Mam kolację.

– To bataty.

– Aha, spodobały mi się. – Wrzuca reklamówkę do kufra. –
Co się stało? Wyglądasz, jakby tatuś nie zgodził się na kucyka. –
Zakłada kask.

Podnoszę do góry telefon.

– Po prostu... życie.

Bierze ode mnie telefon, wrzuca do kufra obok batatów i uruchamia silnik. Następnie wsiada na motor, wycofuje go za pomocą nóg i pokazuje mi głowę, abym też się usadowiła.

– No już, skarbie!

Mruży oczy. Siadam za nim, opieram głowę o jego plecy i odjeżdżamy, a moje zmartwienia fruną za nami jak wielkie czarne ptaki.

Kiedy wchodzimy do mieszkania Maxa, już zmierzcha. Z sofy mruga Dave, ale się nie rusza. Max zapala sfatygowaną lampkę i kilka świec, następnie ja udaję się do jego pracowni, gdy tymczasem on szykuje nam coś do picia. Na sztalugach ustawiony jest nowy obraz. Duży i frapujący, przedstawiający kobiece plecy i dużą pupę, w odważnych pociągnięciach pędzlem w odcieniach fioletu, złota i zieleni. Głowę ma zwróconą lekko w prawo i prosty nos stanowi kontrast ze zmysłowymi krągłościami. Widać także kawałek jednej piersi. Stoję urzeczona tym uosobieniem kobiecości i gracji.

W drzwiach zjawia się Max.

– Podoba ci się?

– Jest piękny. Dużo sprzedajesz?

Podaje mi kieliszek wina.

– Więcej niż kiedyś.

– No więc ile byś chciał za ten?

– Eee... dla ciebie dwa tysiąki.

– Dwa tysiąki? – Wpatruję się w kolory, zachodząc w głowę, jak mu się udało namalować światło.

– No dobrze, niech będzie tysiąc i obraz jest twój.

– Sądziłam, że wart jest więcej.

– Ach, jestem do dupy, jeśli chodzi o negocjacje.

– Skoro sprzedajesz więcej niż kiedyś, pewnie dobrze ci idzie.

– Cóż... Kiedyś nie sprzedawałem w ogóle.

Podchodzę do obrazu przedstawiającego Lulę, jej kremowe ciało i nieobecne spojrzenie. Max idzie za mną.

– Spałeś z nią.

– Nie.

– Widać to po niej. Jest zaspokojona.

– Nie przeze mnie.

– Nie wierzę ci. Uwodzisz wszystkie swoje modelki... To oczywiste. – Wcale mi się nie podoba, że zachowuję się jak zazdrosna gówniara.

Max kręci głową.

– Jest szalona.

– Ale szalona w fajny sposób? – Patrzę na pięknie wykrojone

usta.

– Bardziej szalona w stylu „odgryzę ci jaja”.

– A gdzie jest mój portret?

– Nie tutaj. Jest na wystawie.

– W Akademii? – Kiwa głową. – Max! – Uśmiecha się szeroko, a ręce wiszą mu swobodnie wzdłuż ciała. – To niesamowite!

– Aha.

– Jestem na wystawie!

– Owszem.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś ze mnie brzyduli.

– Jeśli mam być szczery, to tak naprawdę niewiele mogłem poprawić.

Zarzucam mu ramiona na szyję.

– A więc jednak nie jesteś ofiarą losu?

– A tak, pewnie, że jestem. – Uśmiecha się.

– No tak, jesteś. – Opiera czoło o moje. – Moje gratulacje. – Dotykam ustami jego warg.

– Czego mi gratulujesz? Załapania się na wystawę czy wyrwania ciebie?

– Eee, ty mnie nie „wyrwałeś”.

– Czyżby? – Ściska mi pośladek.

– Nie. To ja wyrwałam ciębie.

– Mniejsza z tym – mówi, a ja lekko go całuję. – Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Ze mną.

– No bo to rzeczywiście niewiarygodne... Szczęściarz z ciebie.

Całuję go, rozchylając nieco usta. Max unosi mój T-shirt, a ja pomagam mu ściągnąć mi go przez głowę i chwilę później stoję w samym staniku. Odwraca mnie plecami do siebie i rozpina go, opuszcza ramiączka i gdy opadają, całuje moje ramiona. Przesuwa dłońią po moim brzuchu. Przebiega mnie dreszcz. Max unosi mi włosy i całuje kark.

– Jesteś piękna – szepcze mi do ucha. Wsuwa mi dłoń w spodnie, jego palce eksplorują i odkrywają moją wilgoć. Mój oddech staje się urywany. – Moja piękna przyjaciółka – mruczy, rozpinając mi spodnie. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś moja.

Słyszę, jak zdejmuje koszulkę, a po chwili czuję na plecach ciepło jego torsu. Dłoń Maxa nie przestaje myszkować między moimi nogami, a ja dyszę, zalewana falami rozkoszy. Podnoszę wzrok na sztalugi: złotopurpurowe pośladki, sterczący sutek, tajemniczy uśmiech. Max nachyla się nade mną i przygryza mi ramię; popycha mnie i chwilę później jestem przy stole, opierając dłonie na blacie, między słoikami z pędzlami. Czuję, jak gładzi moje nagie pośladki, czuję na nich ciepło jego oddechu, delikatne pocałunki. Słyszę, jak odpina pasek i szybko zsuwa spodnie. Nie odzywa się ani słowem, kiedy staje za mną. Drzę z wyczekiwania i napieram pośladkami na niego, a on bierze mnie w swojej

pracowni, pod zazdrosnym spojrzeniem Luli.

Po wszystkim kładziemy się na zakurzonej podłodze. Drzę. On obejmuje mnie ramieniem, a drugą ręką zapala papierosa. W tym geście jest coś zbyt wyćwiczonego i nagle czuję się jak idiotka.

– Zawsze to robisz?

– Co?

– Palisz po seksie.

– Nie. – Całuje moje włosy. Próbuję się odsunąć, ale trzyma mnie mocno.

– Ile kobiet tu miałeś?

– Miliony. – Odwracam głowę, by na niego spojrzeć, ale on ma wzrok wbity w sufit. – Taa, wszystkie lecą na urok udręczonego artysty... Wyciągam kilka tanich obrazów i bum, padają jak muchy. – Znowu próbuję wydostać się z jego uścisku, ale on tuli mnie mocno. – Miałem chyba każdą osobę, która trafiła do tego studia, mężczyzn i kobiety.

Widzę jego uśmiech, kiedy wypuszcza obłok dymu. Walę go w klatkę piersiową, a on zaczyna kaszleć.

– Nie drażnij się ze mną.

– Viv, za kogo ty mnie masz?

– Nie wiem. Czuję się ciut bezbronna.

– No to nie czuj się tak. Nie mogę uwierzyć w swoje

szczęście.

Znowu się do niego przytulam i razem obserwujemy, jak gasną ostatki dnia. Max gładzi moje ramię. Jest ciepło, ale mam gęsią skórkę. Wstaje, zapala jeszcze kilka świeczek i okrywa nas pachnącą stęchlizną narzutą.

– Max?

– Taa?

– Masz coś do jedzenia?

Przeciąga się. Patrzę, jak się podnosi. Spogląda na mnie z góry i się uśmiecha.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wciąż owinięta narzutą przyglądam się memu coraz wyraźniejszemu odbiciu w ciemniejącym oknie. Jestem naga w pracowni Maxa i świetnie się bawię. A niech to!

Przynosi chleb i ser i wraca po wino. Urządza na podłodze mały piknik. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Kroi ser wielkim nożem do mięsa. Podnosi wzrok, a ja jestem świadoma tego, że uśmiecham się zachwycona, gotowa wysłuchać wszystkiego, co powie.

– Co się robi z batatów? – pyta. – Wiesz? – Kręcę głową, patrząc, jak kroi chleb. Kładzie przede mną kromkę, a na wierzch daje ser. Następnie nalewa mi wina do małego wazonu. – Twoje zdrowie – mówi z tym swoim miękkim irlandzkim akcentem i patrzy mi w oczy. Wydaje mi się teraz niesamowity, a światło świec sprawia, że jego nagie ciało wręcz promienieje. Spojrzenie ma pełne wesołości i seksu, i... życia. Nagle uświadamiam sobie,

że doszło do zmiany sił i że jego obojętność mogłaby mnie teraz zabić.

Posyła mi ten swój szeroki, seksowny uśmiech.

– Co się dzieje?

– Nic. Po prostu... ty.

– Ale co?

– Po prostu... Kto to wiedział?

– Ja. Ja wiedziałem. – Śmieje się.

– Przez cały ten czas...

– Ale ty nie wiedziałaś.

– Czemu więc mi nie powiedziałaś?

– Mówiłem, raz za razem.

Zastanawiam się nad tym i dociera do mnie, że zawsze wiedziałam, że mu się trochę podobam. Po prostu nigdy nie postrzegałam go w taki sposób. Artysta ledwie wiążący koniec z końcem nie stanowił w moim mniemaniu dobrej partii, a poza tym wiedziałam, jak traktuje kobiety, które dzwoniły i błagały go o ponowne spotkanie. Jak seks potrafi zmienić sposób postrzegania drugiej osoby... Nadal jest niechłujny i niezorganizowany, i... biedny, ale gdy patrzę na zarys jego ramion, na zagraconą pracownię, piękne obrazy, widzę tylko jego talent.

Rano budzę się wcześniej. Jest już jasno i ubieram się, gdy Max jeszcze drzemie. Przed wyjściem całuję go. On mruczy i

unoszą kołdrę.

– Zostań ze mną.

– Muszę jechać do pracy.

– Chodź tutaj. – Klepie łóżko.

– Muszę uciekać. Później wpadnę. – Gładzę go po torsie.

– Zostań ze mną.

– Coś nam ugotuję.

Obraca się na brzuch i kładzie dłonie za głowę. Szukam torebki.

– Nie idź. Ja umrę.

– Zadzwoń. – Uśmiecham się.

– Vivienne! – woła, kiedy wychodzę z sypialni. –
VIVIENNE!

Jego ryk sprawia, że Dave przestaje myć sobie tyłek. Siedzi obok porzuconego orangutana Maurice'a i mruga pogardliwie, gdy zamykam za sobą drzwi.

Letni ranek w północnym Londynie dopiero się zaczyna. Ludzie pędzą do metra, samochód dostawczy z tacami croissantów czeka przed jedną z kafejek. Myślę o pracy, układając sobie w głowie listę rzeczy do zrobienia i czekając na znajome uczucie paniki – ale ono się nie zjawia. Myślę o Robie i nadal zachowuję spokój. Wiem, że to banał, ale po raz pierwszy od miesiący idę sprężystym krokiem. Jestem upojona radością. Max obudził mnie z

koszmaru i uświadamiam sobie, że kiedy jestem z nim, wszystko wygląda tak, jak być powinno, wspaniale i kolorowo.

Czy do siebie pasujecie?

Czy autentycznie się lubicie i chętnie spędzacie czas w swoim towarzystwie?

Czy na zmianę odgrywacie rolę osoby kochającej i kochanej?

Czy oboje umiecie powiedzieć „przepraszam” i rozmawiać o przyszłości waszego związku?

Czy macie podobne poczucie humoru?

Czy potraficie rozmawiać o pieniądzach, nie kłócąc się przy tym?

Czy oboje wyrażacie chęć zmiany nawyków, które są denerwujące dla drugiej strony?

Czy macie podobne oczekiwania i plany na życie?

Czy stworzycie połączenie następujących znaków zodiaku: Lew + Baran, Byk + Panna, Bliźnięta + Waga lub Rak + Skorpion?

Odpowiedzi:

Większość „Tak” – pasujecie do siebie (hura)

Większość „Nie” – odpuśćcie sobie (buuu)

O ósmej siedzę już przy biurku. W biurze jest pusto. Nie było mnie tylko jeden dzień – coś niedobrego mogło się wydarzyć? Czytam e-maile. Żadnej wiadomości od Roba. Dwóch dostawców nie jest w stanie utrzymać obiecanych cen. Konkurencja wykupiła

cały dostępny na świecie materiał w szkocką kratę i Snotty chce się ze mną natychmiast widzieć. Nagrywam się na jej pocztę głosową, przede wszystkim dlatego, aby wiedziała, że już o ósmej byłam w pracy.

Nie mija wiele czasu, a przyłapuję się na wyglądaniu przez okno na błękitne niebo. Zerkam na telefon, czy nie przyszedł jakiś SMS od Maxa. Przyszedł. „Vivienne! Ty piękna bestio. Czuję cię na swej skórze. M x”. Moje ciało nie pozostaje obojętne, gdy odpisuję: „Weź prysznic! V xx”.

Otwieram arkusz kalkulacyjny i przyglądam się jednemu z kosztorysów, próbując wyliczyć, czy nadal możemy sobie pozwolić na daną linię produktów, ale myślami błędzę zupełnie gdzie indziej. Postanawiam obejrzeć swoją stronę internetową. Aż do teraz nie miałam ku temu okazji. Wstukuję adres, który podał mi Michael, i pojawia się strona główna – granatowy tytuł na jasnoszarym tle. Świetna strona z zakładkami. Klikam *Jak to zakończyć* i wyświetla się lista i forum, na którym można umieścić własną historię i rady. Klikam *Umów się z moim byłym* i pojawia się zdjęcie Michaela. Patrzy poważnie w aparat, przypominając mi któregoś z zabójców z liceum. Trudno mi uwierzyć, aby to jego była dziewczyna stworzyła ten profil: „Jeśli lubisz seks i dobrą zabawę, to facet dla ciebie. Fajnie spędza się z nim czas, no i jest naprawdę hojnie wyposażony przez naturę”. Przeglądam forum o zawodach miłosnych, gdzie znajdują się e-maile dotyczące rozstań. Jest też strona *Zapytaj Lucy* z moją historią w ramach przykładu. Z każdym kliknięciem rośnie we mnie ekscytacja. Wysyłam SMS-a do Michaela, dziękując mu i pytając, kiedy strona może zacząć działać. Odpowiada: „Teraz ;)”. Wpisuję adres i rzeczywiście!

Klikam w forum zatytułowane *Co ci chodzi po głowie?*, gdzie znajduje się otwarty wątek, i umieszczam wiadomość dla Maxa: „Minęły dwie godziny. Nie żyjesz?”. Przesyłam mu w SMS-ie adres strony i każę mu na nią zajrzeć.

Jest już dziewiąta i w biurze zaczyna się robić gwaro. Zamykam stronę, jakbym składała karteczkę z sekretną wiadomością, i wracam do sprawdzania skrzynki odbiorczej.

Mam nowy e-mail od Snotty. „Chcę cię natychmiast widzieć w swoim gabinecie, Vivienne”. Wysłała go o ósmej piętnaście.

Gdy podchodzę do szklanej ściany jej gabinetu, akurat rozmawia przez telefon, ale gestem pokazuje mi, abym weszła. Siadam na krześle naprzeciwko biurka, otwieram notatnik i wyglądam pierwszą kartkę, następnie trzymam długopis tuż nad nią, starając się wyglądać jak wydajny i mający wszystko pod kontrolą pracownik. Snotty siedzi ze splecionymi nogami. Wpadające przez panoramiczne okna promienie słoneczne podkreślają meszek na jej mocno upudrowanej twarzy. Zerkam na stopy Snotty; dzisiaj założyła hybrydę sandałów i botków do kostki, a do tego ciemnobieżowe podkolanówki ze szwem na palcach. Coś w nich przypomina mi babcię – w mojej głowie pojawia się wspomnienie zwiniętych w kłębek kolorowych podkolanówek, które miała w zwyczaju zostawiać dosłownie wszędzie.

Snotty patrzy na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu, a czerwone usta ma zaciśnięte w cienką linię, gdy słucha swego rozmówcy. Rozglądam się po schludnym gabinecie; zaskakuje mnie widok dwóch książek poświęconych asertywności, które stoją na półce. Za oknem budynki drgają w upale. Myślę o Maxie i nagle oczami wyobraźni widzę, jak się kochamy.

– Vivienne! – oświadcza Snotty, odkładając telefon. – Cieszę się, że mogłaś do nas dołączyć.

– Dzień dobry – uśmiecham się.

– Twoja babcia lepiej się już czuje?

– Znacznie lepiej, dzięki.

– Tak, wydawała się całkiem zdrowa, kiedy wczoraj dzwoniła. – Uśmiecha się, w oczach ma błysk.

Teraz to dopiero mam mętlik w głowie. Z kim, u licha, rozmawiała babcia?

– Dzwoniła tutaj?

– Owszem. Szukała cię.

– Cóż, czasami dopada ją... pewna dezorientacja.

Uśmiecha się ponownie i wygląda jak szalony kot. Kiedy się odzywa, głos ma komicznie niski:

– Vivienne, gdybym choć przez chwilę sądziła, że nie mówisz prawdy, już by cię tu nie było. Jest tylu ludzi, którzy byliby wdzięczni za twoją posadę, z kolei ty chyba sądzisz, że jest ci dana raz na zawsze. – Czuję się jak piętnastolatka na dywaniku w pokoju nauczycielskim. Płoną mi policzki. – Zauważyłam ostatnio znaczące pogorszenie twojej wydajności. Wiem, że życie osobiste mocno ci się skomplikowało... – Uśmiecha się protekcjonalnie. – No ale jednak...

I znowu ten uśmiech na nieruchomej twarzy. Dopiero po chwili dociera do mnie, że oczekuje, iż coś powiem.

– Rozumiem, o co ci chodzi...

– Chodzi mi o to, że to werbalne ostrzeżenie – warczy.

Otwieram i zamykam usta.

– Jasne, w porządku. Ale dlaczego? Z powodu tego, że wzięłam dzień wolnego, by zająć się babcią?

– Nie, z powodu tego, w jaki sposób wypełniasz swoje obowiązki.

– A mogłabyś, proszę, mówić konkretniej?

– Proszę bardzo. – Wyjmuje teczkę i odczytuje daty, a po nich stwierdzenia w rodzaju: „spóźniła się”, „zadzwoiła, że jest chora”, „wcześnie wyszła”, „zapomniała o zebraniu”. Mam kontynuować?

– Nie.

– Więc, aby mieć całkowitą jasność: to jest werbalne ostrzeżenie, po nim następuje pisemne ostrzeżenie, a potem będziemy mieć prawo rozwiązać z tobą umowę o pracę.

– Zamiast szukania oszczędności lepiej po prostu zwolnić pracownika? Taki sposób jest prostszy i tańszy, prawda?

– Vivienne, nie podoba mi się twój ton...

– Wiesz, że ciężko pracowałam na swoje stanowisko. Wiesz o tym.

– Chodzi mi o to, jak pracujesz ostatnio.

Wstaję.

– To śmierdzi. – Otwieram drzwi. – Śmierdzi – powtarzam, wychodząc z gabinetu Snotty.

Wzbiera we mnie wściekłość. Werbalne, kurwa, ostrzeżenie? Co się porobiło z tą firmą? Ile razy wpadłam na jakiś genialny pomysł, ratując reputację Snotty? Gdy przechodzę przez biuro, zza szarych przepierzeń wyskakują głowy, po czym chowają się ponownie jak króliki. Paul wystawia swoją szczurzą twarz.

– Dzień dobry, obiboku!

– Odpierdol się, Paul! – warczę, a on rechocze jak uczeń.

W końcu docieram do swojego biurka. Christie stuka w klawiaturę; włosy ma zaplecione w dwa sterczące nad uszami warkocze, a jej powieki zdobi srebrny eyeliner – to jej wersja kosmicznego szyku na miarę ery kosmicznej. Odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Co tu się, kurwa, wczoraj działo, Christie? – pytam ostro, a uśmiech znika z jej twarzy. – Bo właśnie otrzymałam werbalne ostrzeżenie.

Na jej twarzy maluje się najpierw konsternacja, chwilę później niepokój.

– Nic o tym nie wiedziałam! – Obraca się razem z krzesłem, kręcąc głową. – Wiem jednak, jak się czujesz, Viv, ja też dostałam werbalne ostrzeżenie.

– Wiem! To ja ci je przecież dałam!

– No to chyba można mówić o sprawiedliwości, no nie?

– Rozmawiałaś wczoraj z moją babcią?

– Nie.

– Tak, Christie! Zadzwoiła do biura, stara prukwa?

– Och, myślałam, że to nie ona.

– Cóż, to była ona. Skąd Snotty o tym wiedziała?

– Och! – Christie unosi palec w geście eureka. –
Prawdopodobnie stąd, że stała obok mnie, kiedy odebrałam ten telefon. Chyba uznała, że to naprawdę twoja babcia.

– Bo tak było! – Christie marszczy brwi. Siadam na swoim fotelu, a wściekłość ustępuje we mnie miejsca rozpaczy. – Nie przejmuj się tym, Christie – wzdycham.

– Okej. – Unosi ręce. – Tyle że ja wczoraj też wpadłam w tarapaty.

Opieram brodę na dłoniach i przyglądam się jej uważnie. Jej rzęsy mają srebrne końcówki. Ile czasu poświęciła dziś na makijaż?

– Zaprezentowałam nasze pomysły na tę serię z majtkami. Tamte slogany. Cóż, Snotty żaden się nie spodobał. Powiedziała, że są obraźliwe. Prawdę mówiąc, to nieźle się wkurzyła.

– Nasze pomysły?

– Cóż, wszystkie ci przedstawiłam, a „Skarby w galarecie” to był twój pomysł.

– Powiedz, że nie wyjechałaś do Snotty ze sloganem „Skarby w galarecie”.

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

Rozglądam się po biurze i widzę znajome głowy w dziale księgowości, buczące lampy i szumiący klimatyzator, następnie wracam spojrzeniem do bladej jak śmierć twarzy Christie. Myślę o tym, jak Snotty spokojnie wysłuchuje haseł reklamowych i zaczyna wzbierać we mnie histeria. Uśmiecham się, następnie śmieję, prycham i ledwie jestem w stanie mówić.

– Czy powiedziałaś... „Włochatych Świąt”? – piszczę.

– Przedstawiłam wszystkie hasła. – Minę ma śmiertelnie poważną. Trzymam się za brzuch, a do oczu napływają mi łzy, gdy sobie to wyobrażam. – No co? To nie jest śmieszne, Viv.

Kiwam głową, próbując złapać oddech. Wzdycham i wycieram oczy. Przez chwilę patrzę na nią z powagą.

– „Skarby w galarecie”! – wołam i wszystko zaczyna się od początku. Mija kilka dobrych minut, nim odwracam się z powrotem do Christie. Wygląda na zdenerwowaną. Otrząsam się. – Nic się nie stało – kłamię. – Obie sobie nagrabiłyśmy, ale ujdzie nam to na sucho. Nie przejmuj się, Christie. Dobrze? – Patrzy na mnie powątpiewająco. – Dobrze? – Kiwa głową. – Ty i ja to *dream team* naszego działu, a jeśli one tego nie widzą, cóż... – Nie bardzo wiem, jak zakończyć to zdanie. – Cóż, to ich problem!

– Okej. – Uśmiecha się.

Przybijamy piątkę, a ja przypominam sobie o faktach. Obie otrzymałyśmy ostrzeżenia. Firma dokonuje redukcji etatów. Ale ja jestem optymistką.

Biorę głęboki oddech i dzwonię do babci.

– Siedem jeden osiem dziewięć zero zero?

- Cześć, babciu.
- Skarbie! Słuchaj, przepraszam, że wczoraj zadzwoniłam do ciebie do pracy. Miałaś przeze mnie kłopoty?
- Raczej nie. Z kim rozmawiałaś? Pamiętasz?
- Dziewczyna, która odebrała telefon, wydała mi się głupiotka. – Zerkam na starannie rozdzielone włosy Christie i zalewa mnie fala czułości. – Zupełnie nie mogłyśmy dojść do porozumienia, a potem słuchawkę przejęła pewna lodowata pani i zaczęła mi zadawać różne pytania. – Pocieram czoło. – Jeśli mam być szczerą, to nie spodobała mi się.
- Nie. Cóż... Chyba lepiej, żebyś nie dzwoniła do biura.
- Zadzwoniłam na komórkę, kiedy jednak nie odbierałaś...
- Babciu, spędziłam cały dzień z Maxem. W pracy powiedziałam, że jestem z tobą, bo zachorowałaś – szepczę.
- Och! – odszeptuje babcia.
- Czemu dzwoniłaś? Wszystko dobrze?
- Och... Trochę bolało mnie w piersi i się przestraszyłam. Teraz już wszystko dobrze, nie ma się czym przejmować.
- Jesteś pewna? Dzwoniłaś po lekarza?
- Nie, nie. Zajrzał Reg, wypiliśmy po małej brandy i od razu poczułam się lepiej. No więc jak to się stało, że nie poszłaś do pracy, by spędzić dzień z Maxem? Ze szczegółami proszę.

- Długa historia. – Uśmiecham się.
- Przyjedźcie razem w niedzielę.
- Zobaczymy. Babciu, muszę kończyć. Odezwę się niedługo.

Odkładam telefon i opieram się wygodnie. Moje myśli biegną ku wczorajszemu dniu, ku pracowni Maxa. Przypomina mi się tamto pożądanie, na nowo przeżywam spędzone z nim chwile. Na myśl o nim serce wali mi tak, jakbym była zadurzona nastolatką – to szaleństwo. Otwieram moją stronę i klikam w *Co ci chodzi po głowie?*

Vivienne Summers,

Gdybym miał niebios wyszywaną szatę

Z nici złotego i srebrnego światła,

Ciemną i bladą, i błękitną szatę

Ze światła, mroku, półmroku, półświatła,

Rozpostarłbym ci tę szatę pod stopy,

Lecz biedny jestem: me skarby – w marzeniach,

Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy;

Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.^[1]

Pragnę ciebie. Zawsze pragnąłem i już nigdy nie chcę przestać cię pragnąć. M.

Zamykam szybko stronę, po czym otwieram ją i czytam

wiadomość raz jeszcze, a po moim ciele rozlewa się ciepło. Myślę o jego seksownych palcach wystukujących te słowa i wyobrażam sobie, że uciekam razem z nim do jakiegoś cygańskiego świata, gdzie zajmować nas będzie miłość i sztuka. Ale strasznie się boję w nim zakochać. Pamiętam ten krótki okres, kiedy mieszkałam z moją matką w koszarnej kawalerce, bez grosza przy duszy. Doskonale wiem, że miłością nie opłaci się czynszu i z całą pewnością to nie miłość sprawi, że będzie ci ciepło. Myślę o Robie i o życiu, jakie sobie zaplanowałam. Ból spowodowany utratą tej bezpiecznej przyszłości nadal jest obezwładniający. Jezu, ależ jestem żalosna, pozwalając, by zaślepiła mnie samotność i pożądanie.

Nie, fajnie by było dać się ponieść, ale poezja i marzenia nie są w stanie zastąpić bezpiecznej przyszłości, którą utraciłam. Teraz grozi mi utrata pracy. Mam po prostu mętlik w głowie i tyle. Dużo się ostatnio wydarzyło i najlepiej będzie zachować spokój i postarać się spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Potrzebny mi czas, abym mogła się zastanowić. Zamykam stronę, nie odpisując, i w końcu koncentruję się na swoich obowiązkach.

Jest szósta, kiedy wychodzę z pracy. Ulica wygląda jak szachownica złożona ze słońca i cienia. Daję nura do małych delikatesów obok stacji metra i wybieram prawdziwe pyszności: małe papryczki faszerowane kremowym serkiem, wypiekany na miejscu chleb, drogie salami i wino. Zawsze chciałam to robić – kupować seksowne jedzenie. Oczami wyobraźni widzę piknik z Maxem. Wiem, że powinnam zwolnić tempo i wszystko przemyśleć, ale robię przecież tylko małe zapasy, żeby być przygotowana. Nie działam pod wpływem impulsu. Prawdopodobnie odwołam dzisiejsze spotkanie i wieczór spędzę sama. Sporządzę listę moich życiowych celów i tabelkę z plusami i minusami bzykania się z najlepszym przyjacielem.

Kiedy jednak wyobrażam sobie jego nagie, opalone ciało w

moim łóżku i to, jak wyglądałby w wykrochmalonej białej pościeli, drzę i dosłownie nie mogę uwierzyć, jak ten facet na mnie działa.

Schodzę do metra i jadę ściśnięta między pulchną kobietą a drzwiami. Wyjmuję telefon i odczytuję wiadomości od Maxa: „O której godzinie mnie posiadasz, o pani? M xx”; „Co mi zrobiłaś, ty czarownico? Nie mogę pracować, nie mogę myśleć! M.”; „Vivienne! Moje serce! M.”; „Pragnę cię znowu smakować... M.”. Och, niektóre są nieco niegrzeczne. Gdy pociąg rusza ze stacji, podnoszę wzrok i widzę, że stojąca obok mnie kobieta ma różowe policzki. Jej spojrzenie odrywa się od mojego telefonu; unosi brew i uśmiecha się. Przetykam zawstydzona ślinę i przyglądam się tyłom mijanych posiadłości, myśląc o tym, do czego doprowadziłam, i pragnąc, aby to rozkoszne wyczekiwanie trwało wiecznie. Odpisuję mu: „Chyba powinnam spędzić wieczór sama – aby poukładać to, co się dzieje w mojej głowie. V.”. Krzywię się – jak prozaicznie to brzmi. „A co to za słowo «powinnam»? Nie ma takiego. Rób to, na co masz ochotę” – odpisuje. A po chwili: „Na co masz ochotę?”. Odpowiadam bez namysłu: „Na ciebie”.

– Udanego wieczoru – mówi kobieta z metra, gdy wysiadam. Potykam się, gdy pociąg odjeżdża, podnoszę wzrok i znowu napotykam jej spojrzenie. Mruga do mnie.

Przerażająco nad sobą nie panuję. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Czuję w brzuchu motylki. To z całą pewnością nie jest rozsądne. To tylko pożądanie i wszystko zakończy się jedną wielką katastrofą. Ale jestem bezsilna. Zamierzam pozwolić, by wydarzenia toczyły się swoim torem i później się przekonać, co czuję. Kilka metrów pokonuję biegiem, ślizgając się w butach na obcasach. Bocznymi uliczkami spieszę na skróty do domu. Najpierw wezmę prysznic, umyję włosy i użyję drogiego balsamu do ciała, który dostałam na gwiazdkę od Lucy. Założę długą letnią sukienkę – Max powiedział kiedyś, że mu się podoba. Jeszcze

jedna przecznica. Skręcam w boczną uliczkę i już widzę budynek, w którym mieszkam. Ktoś czeka pod drzwiami.

Opiera się swobodnie o ścianę. Światło odbija się od jego opalonych ramion i platynowego paska od zegarka. Jego profil jest niczym klasyczna rzeźba. Prosty nos, pełne usta i markowe okulary przeciwsłoneczne wyglądają niczym ze stron magazynu o modzie. Zatrzymuję się w pół kroku. Stoję i patrzę. Błyszczą pod moimi drzwiami jak złoto i boję się miecza, który musi chować. Przygotowuję się na świeży cios. Mężczyzna odwraca się, dostrzega mnie i się prostuje. Unosi rękę w geście powitania. Woła do mnie jak w moich marzeniach:

– Cześć, Viv! – Uśmiecha się w ten swój chłopięcy sposób.

– Rob! – mówię. – Co ty tu robisz?

^[1] W. B. Yeats, *Poeta pragnie szaty niebios*, przełożył Leszek Engelking.

Czego pragną kobiety*

Cóż, skoro pytacie... [bierze głęboki oddech] Śniadania do łóżka, weekendów za miastem, czystej pościeli, świec, seksu oralnego. Szpilek od Manolo Blahnika, telefonu, sprzątaczkę, czasu wolnego, przytulenia od tyłu, mężczyzny, który jest dobrym kierowcą i potrafi cofać z jedną ręką na kierownicy, mężczyzny, który potrafi naprawiać różne rzeczy i wie, jak zająć się małym dzieckiem, szerokich ramion, planu, kogoś posiadającego solidną wiedzę w kwestii kobiecej anatomii, szeptania sprośności podczas kolacji, kogoś zabawnego, świetnej książki, wygodnego stanika, listów miłosnych, kwiatów, kropli deszczu na różach i kocich wibryss.

*ważne tylko dzisiaj

Rob idzie powoli w moją stronę, wyciąga ręce i mnie obejmuje. Patrę ponad jego ramieniem, trzymając w górze torby z zakupami, aż zaczynają mnie boleć bicepsy. Rob oddycha mi we włosy. Odsuwam się.

– Boże, tęskniłem za tobą, Viv.

– Eee... – mówię. Próbuję go ignorować i otwieram kluczem drzwi, a serce czuję aż w gardle.

– Mogę wejść? – pyta.

Odwracam się. To zdecydowanie on. Jest tutaj. Chce wejść do mojego mieszkania. Co robić? Co robić?

– Okej – odpowiadam.

Gdy wchodzimy po schodach, na taniej wykładzinie słyszę

jego drogie półbuty. Czego on chce? Po co tu przyszedł? Czy mój tyłek nie wygląda na wielki? Otwieram drzwi, a on wchodzi do środka tak, jakby wkraczał do galerii, oglądając sanktuarium mojego życia. Następnie robi kilka dalszych kroków po drewnianej podłodze, pięta, palce, pięta, palce.

– Ładnie tu, Viv. Bardzo... W stylu sfatygowanie szykownym. – Tak brzmi jego nieproszony werdykt.

– Dzięki. – Patrzę mu w oczy, w ich błyszczące, błękitne głębie. Przygląda mi się uważnie. – Chciałeś czegoś konkretnego? – Mój głos wydaje się cichutki.

– Tak – odpowiada. – Ciebie. – Stawiam na podłodze torby, pocieram dłonie i czekam na cios i ból. – Uświadomiłem to sobie tamtego dnia, kiedy do mnie przysłaś. To było jak grom z jasnego nieba. Pragnę jej, pomyślałem. Nie potrafiłem przestać myśleć o tobie. Nie umiem bez ciebie żyć. Weźmy ślub, Viv!

Nagle pada na kolana i trzyma w dłoni mój dawny pierścionek zaręczynowy, a pojedynczy brylant odbija promienie światła. Zawsze uwielbiałam ten pierścionek i kiedy go teraz widzę, ogarnia mnie takie wrażenie, jakbym spotkała przyjaciela z dawnych lat. Mam ochotę go chwycić i dać drapaka jak Gollum. Rob zbliża się do mnie na kolanach. Zamykam oczy i chwilę później je otwieram. Klęczy przede mną, uśmiechając się, oślepiając mnie. Zastanawiam się, czy nie mam przypadkiem halucynacji, czy to nie udar słoneczny albo coś w tym rodzaju. Dotykam jego włosów. Są prawdziwe.

– Czy możesz wstać, Rob?

Stoi teraz, trzymając pierścionek jak hipnotyzer. Podchodzę do sofy i przysiadam na oparciu, żeby się nie przewrócić.

– A co z Sam?

– Między nami koniec. To ciebie pragnę. – Siada obok mnie i ujmuję moją dłoń. – Tak bardzo przepraszam cię za to, że przeze mnie cierpiałś.

Wpatruję się w jego przystojną twarz. Może wpadłam pod taksówkę i za dwadzieścia cztery godziny ocknę się w szpitalu. Może to jakiś kawał i Sam zanoszą się śmiechem, oglądając nas przez kamerkę internetową.

– To ma być żart?

– Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak poważny.

– Bo to wcale nie jest śmieszne. Nie pozwolę, byś robił sobie ze mnie jaja.

– Wyjdź za mnie, Vivienne.

Czeka.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz tak!

Jego twarz pała entuzjazmem, a te białe zęby i idealna żuchwa wytrącają mnie z równowagi. Przyglądam się twarzy, którą kochałam i za którą tak bardzo tęskniłam, i czuję, jak coś drga w moim sercu.

– To trochę nagłe... – mówię.

Wstaje i podchodzi do okna.

– Daj spokój, Viv! Czego ty chcesz? Mówiłaś, że chcesz, żebym wrócił. I proszę bardzo, oto jestem, klęcząc przed tobą! Naprawdę nie wiem, co jeszcze miałbym zrobić... – Opiera się o parapet, krzyżuje nogi.

– Nie możesz, ot tak, wejść tutaj i mówić, że chcesz się ze mną ożenić.

– Ale tak właśnie zrobiłem.

– Cóż, to tak nie działa.

Unosi głowę, patrzy na sufit, po czym wybucha śmiechem.

– W porządku, przepraszam, zrobię to jeszcze raz. Ty mi powiedz, moja kochana. Powiedz mi, jak to działa, Viv.

– Nie wiem. – Co tu się, u licha, wyprawia? Serce wali mi jak młotem.

– Chcesz, żebym błagał? Będę błagać. Odciałybym sobie jaja zardzewiałym nożem, gdybym sądził, że tego właśnie pragniesz.

– Nie! Nie ma takiej potrzeby. Nie wiem. Jeszcze przed chwilą próbowałam przeboleć utratę ciebie.

– Nie widzisz? Przepraszam. Przepraszam cię za wszystko i przyszedłem tu, aby wszystko naprawić.

– Ale ty nie możesz wszystkiego naprawić, nie tak. – Pstrykam palcami.

Rob się jedynie uśmiecha. Patrzę na niego, odwracam wzrok i znowu patrzę, i widzę wszystkie moje marzenia związane z życiem z tym mężczyzną. Widzę nas, kiedy się poznaliśmy, kiedy

nie był tym ważnym członkiem korporacji, ale po prostu Robem, moim Robem, noszącym dżinsy i trampki. Kiedyś był taki zabawny. Mieliśmy plany. Mieliśmy sprawić sobie psa. Wybraliśmy już imiona dla czwórki naszych dzieci (choć nie do końca byłam przekonana do Horatio). Planowaliśmy nauczyć się ogrodnictwa i hodować własną zieleninę. Zasadziliśmy nawet zioła na tarasie, ale wszystkie uschły. Gdzie się podział tamten facet? Patrzę teraz na Roba i ledwie go poznaję w tym markowym garniturze.

– Jestem prawdziwy. Jestem tutaj i nigdzie się nie wybieram
– oświadcza z mocą.

– Muszę się napić – mamrocze, właściwie do siebie samej.

Sięga do torby i wyjmuje butelkę bollingera.

– Otwórzmy to. Jest schłodzony... Wiedziałem, że powiesz tak. – Odkorkowuje go wprawnie i przypomina mi się, że potłukłam wszystkie kieliszki do szampana. Będą musiały wystarczyć te do wina.

Co tu się, do diaska, dzieje? Jeśli wypiję jego szampana, to znaczy, że przyjmuję oświadczenia? A co z Maxem? Stoję w kuchni i zamieram, ściskając w dłoniach kieliszki.

– Cholera – szepczę do zmywarki. – Co on tu robi? Jasny gwint!

W salonie Rob znacząco kaszle, więc wychodzę szybko z kuchni.

– Za nas – mówi, stukając się ze mną kieliszkiem.

Patrzę na musujący płyn, następnie w niezwykle oczy Roba.

– Uważasz, że tak po prostu możemy wrócić do miejsca, w którym byliśmy? – pytam.

Ujmuje moją dłoń i całuje ją delikatnie.

– Nie, nie tak, jak wcześniej. Wtedy nie kochałem cię tak, jak należy. Tym razem zamierzam uczynić cię najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Obiecuję, Viv. To, że niemal cię utraciłem, mnie zmieniło. Myliłem się i teraz to widzę. – Stoję w bezruchu, gdy przysuwa się do mnie i gładzi po włosach. – Naprawdę przepraszam.

Wyczuwam znajomy słony zapach jego skóry. Całuje moje powieki. Czuję na ustach jego ciepły oddech i sekundę później całuje mnie lekko, i jeszcze raz. Delikatne, czułe pocałunki. Pocałunki, o których tak marzyłam.

– Zraniłeś mnie. Nie wiem, czy...

– Nawzajem się zraniliśmy, mała. Zakochani tak już robią. – Całuje mnie jeszcze raz w usta i tym razem reaguję jak alkoholik, który odstawił wódkę. Całuję go, a mój żołądek ściska się tak, jakbym połknęła kwas. Ujmuje moją twarz. – Wyjedźmy gdzieś. Wsiądźmy do samolotu i polecimy.

– Gdzie, na przykład na Bali?

– Cóż, mam wolne dwa bilety w pierwszej klasie. Pięciogwiazdkowy hotel SPA, na dwa tygodnie, równie dobrze możemy to wykorzystać. – Uśmiecha się.

Dociera do mnie, że mówi poważnie.

– Chyba nie spodobałoby mi się na Bali, Rob.

– Nie. Pewnie nie. No cóż, nie musimy podejmować decyzji w tej chwili.

Robię krok w tył.

– Nie mów „my”. Zwolnij, dobrze?

– Przepraszam! Przepraszam, Viv. Masz rację, najpierw musimy wszystko przegadać. Wiem. Po prostu chcę wynagrodzić nam stracony czas. – Wpatruję się w ciemniejące okno. To jest surrealistyczne. Rob siada i podciąga nogi do góry. – Miałaś rację, że ode mnie odeszłaś, kochanie. To właśnie był bodziec, którego potrzebowałem.

Nie wierzę. Ileż razy wyobrażałam go sobie tutaj? Przeżywałam tę chwilę? A mimo to teraz czuję... lekką irytację.

– Idę do ubikacji – oświadczam i daję drapak. Przeszukuję torbę, w końcu znajduję komórkę i dzwonię do Maxa.

– Co tam, moja seksowna? – pyta.

– Max. Słuchaj, coś mi wypadło, więc nie przyjeżdżaj, dobrze?

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Na pewno? Wydajesz się trochę... dziwna.

– Nie, nie, wszystko w porządku, ja tylko... Słuchaj, później ci wyjaśnię. Nie przyjeżdżaj, nie będzie mnie w domu.

– Okej, skoro tak mówisz... Ale tęsknię za tobą. – Zaciskam powieki. Wszystko będzie dobrze, później to Maxowi wytłumaczę.

Rob stuka do drzwi.

– Viv! Z kim rozmawiasz? Chodź, mam dla ciebie niespodziankę!

Opieram się o ścianę.

– Ja też za tobą tęsknię – szepczę i się rozłączam, gdyż Rob stuka jeszcze głośniej.

– Viv! – woła. Otwieram drzwi. – Z kim rozmawiałaś, kochanie?

– Sama ze sobą.

Bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem do sofy. Delikatesowe jedzenie, które kupiłam, zdążył już poukładać na ławie, a do kieliszków dolał szampana. Obok mojego leży śliczne turkusowe pudełko przewiązane białą wstążką.

– Otwórz – mówi głosem nabrzmiałym emocjami.

Ręce mi drżą, kiedy rozwiązuję kokardę. Unoszę wieko i w środku znajduję miękką, ściąganą sznureczkiem sakiewkę. Zerkam na Roba – oczy mu błyszczą. Obserwuje, jak poluzowuję sznureczek. W moją dłoń wpada filigranowy łańcuszek z połyskującym diamentem.

– Załóż go – mówi uśmiechnięty Rob.

Rozpinam go i unoszę włosy, gdy tymczasem on zapina mi go na szyi. Diament opada mi ciężko na skórę. Rob przesuwa

spojrzenie z niego na moją twarz i przed oczami pojawia mi się obraz Maxa leżącego na mnie, jego ciemnych oczu i szerokich ramion.

– Nie mogę tego przyjąć...

– Musisz, kupiłem go dla ciebie. To jeden z plusów dobrych zarobków, mogę obsypywać moją dziewczynę klejnotami.

– Twoją dziewczynę?

– Tak. Będziesz znowu moją dziewczyną?

– Nie mogę. Nie wiem.

– Posłuchaj, tak czy inaczej zatrzymaj ten naszyjnik, jako dowód mego szacunku. Nalegam.

Wbijam wzrok w podłogę.

– Dziękuję, Rob, ale ja...

– Pocałuj – mówi, wydymając usta.

Nachylam się ku niemu, a on wpycha mi język do ust. Czuję, jak jego dłoń ściska mi pierś. Odsuwam się i prostuję, dotykając palcami chłodnego kamienia.

– Ten brylant ma cięcie szmaragdowe, prawda? – pytam i popijam łyk szampana.

– Możliwe.

– Jest śliczny.

– To dwa tysiące śliczności, Viv.

Przesuwam łańcuszek między palcami.

– I jesteś pewny, że chcesz, abym go zatrzymała?

– Przecież dlatego ci go dałem. – Ujmuje moją dłoń. – Viv, mogę zostać na noc? – Patrzy mi w oczy. – Bo widzisz, ona się właśnie wyprowadza i lepiej, żeby mnie tam nie było.

– Och.

Myślę o dniu, kiedy ja się wyprowadziłam, i niemal robi mi się jej żal. Spoglądam na tego oszałamiającego mężczyznę, którego mi zwrócono, i zaglądam w głąb swego serca, ważąc uczucia, zaklinając je, aby pozostały niezmienione. Ale Rob wydaje się mniejszy niż go zapamiętałam, jakiś taki słabszy. W moim sercu był bogiem, natomiast teraz to człowiek z krwi i kości, rozstający się z narzeczoną, jak nieznajomy z twarzą kogoś, kogo kochałam. Nie może być tak, że go nie Kocham... To po prostu szok – po tym wszystkim, co przeszliśmy.

– Prawdę mówiąc, to muszę się gdzieś zahaczyć na parę dni. W sumie mógłbym wynająć pokój w hotelu, ale... Viv, resztę życia pragnę spędzić z tobą, czemu więc nie zacząć od razu?

Patrzę na jego dłoń trzymającą moją i przypomina mi się, co czułam, kiedy po raz pierwszy mi się oświadczył. Szalałam z radości. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie byłam tak szczęśliwa. Ciekawe, czy mogłabym się tak jeszcze poczuć.

– Rob, oczywiście, że możesz zostać...

– Mój aniele!

Znowu mnie całuje. Staram się coś poczuć, całując go z otwartymi oczami, patrząc na doskonałość jego długich rzęs, czując, jak jego język napiera na mój... Ale myślę tylko o Maxie. Odsuwam się.

– No co?

– Nie chcę, żebyśmy się spieszyli. – Opuszcza głowę, a gardło ściska mi znajoma panika. On może odejść! Mogę go znowu stracić. – Ale cieszę się, że tu jesteś – dodaję cicho, a on się uśmiecha jak chłopiec, który jest pierwszy w kolejce do sklepiku szkolnego.

Jemy kolację z użyciem talerzy, noży i widelców. Z poczuciem winy myślę o seksownym pikniku, jaki zaplanowałam, i jakoś odechciewa mi się jeść. Rob włącza na komputerze jakieś piosenki o miłości, zapala kilka świec, jakby to było jego mieszkanie, i zaczyna mi opowiadać o Sam, jakbym była nieczującym bólu androidem. Przerywam mu. Nie chcę wiedzieć o tym, jak ją poznał tydzień po moim odejściu, jak zawróciła mu w głowie, nie interesuje mnie jej dieta na bazie fasoli mung ani jej głupi znajomi.

Opowiada mi o pracy – w tym roku ma zostać partnerem i zanoszą się na to, że będzie milionerem, nim stuknie mu czterdziestka. Obserwuję, jak za oknem zapada zmierzch, i czuję, że część mojej duszy frunie ponad dachami w stronę Maxa, jak przymocowany do niego latawiec. Dzwoni komórka Roba – brzmi to tak, jakby bzyczał komar.

– Przepraszam, powinienem odebrać – mówi, otwierając telefon, po czym wyćwiczonym gestem przykłada aparat do ucha. – Rob Waters. – Rozglądam się po ciemniejącym pokoju. On ścisza głos. – W porządku, uspokój się.

Wychodzi na korytarz. Sprzątam talerze i napełniam zlew wodą z płynem. Sprawdzam telefon. Mam SMS-a od Maxa: „Możesz do mnie zadzwonić? Wszystko dobrze? Czy przetrzymuje cię jakiś włochaty osiłek? Chyba powinienem przyjechać”. Szybko odpisuję: „Nic mi nie jest. Nie przyjeżdżaj, proszę. Jutro ci wszystko wytłumaczę”.

Wracam niespiesznie do salonu, gdzie z komputera sący się jakaś smętna muzyka, a kobieta śpiewa gardłowo o utraconym kochanku. Wyłączam ją i słyszę, jak Rob syczy coś gniewnie. Chyba: „Nawet, kurwa, nie próbuj!”, a potem: „Nie ośmieliłabyś się”. Chodzę powoli po pokoju, mrużąc pod nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że on tu jest! Chce, żebyśmy znowu byli razem!

Dotykam diamentowego wisiora i przesuwam go po łańcuszku. Mogłabym po prostu wrócić do życia, które sobie zaplanowałam, życia z poczuciem bezpieczeństwa, życia z przystojnym, bogatym mężem. Gdzieś tam, w olbrzymiej kuchni, urządzałabym wystawne kolacje. Byłyby dzieci i psy... i Max wpatrujący się we mnie z uwielbieniem... To znaczy Rob – Rob wpatrujący się we mnie z uwielbieniem. Na nowo odgrywam w głowie tę scenkę, zastępując dzieci innymi, gdyż uświadomiłam sobie, iż wcześniej wszystkie wyglądały jak małe kopie Maxa.

Wyglądam przez okno na ulicę. Widzę kota, który z tymi swoimi płowymi tygrysimi pręgami wygląda zupełnie jak Dave. Przechadza się po murze, po czym zatrzymuje się i patrzy prosto na mnie, z jego oczu emanuje przyprawiająca mnie o dreszcz energia, która sprawia, że nie mogę oderwać od niego wzroku. Po chwili znika. Co Max teraz robi? Myślami ciągle do niego wracam. Naprawdę mi go brakuje i z całą pewnością dzieje się tak z powodu obecnej sytuacji, prawda? Trudno ją nazwać zwyczajną. To mój ukochany przyjaciel i poszliśmy razem do łóżka.

Oczywiście, że dużo będę o nim myśleć. Ale jeśli chcę z powrotem swe dawne życie, powinnam się skoncentrować na Robie. A on po raz kolejny okrąża pokój; rozmawia z kimś ze zniecierpliwieniem: „Jeśli ona uważa...”.

Loguję się na nevergoogleheartbreak.com i kiedy pojawia się strona główna, od razu poprawia mi się nastrój. Rany, Michael wykonał naprawdę kawał świetnej roboty! Sprawdzam zakładkę *Co ci chodzi po głowie?* Nic nowego, ale czytam dwa razy słowa Maxa. Chyba mu odpiszę. Dzwoni mój telefon, a na wyświetlaczu pojawia się imię Lucy. Wraca Rob, wygląda na poirytowanego. Gestem pokazuje mi, abym się rozłączyła. Kręcę głową, a on przewraca oczami. Idę do sypialni.

- Halo? Halo?
- Jestem, Lucy.
- W mordę jeża, niełatwo się do ciebie dodzwonić, dziewczyno! Gdzie się podziewałaś?
- Nie uwierzyłybyś. Zgadnij, kogo mam teraz w drugim pokoju?
- Eee, Świętego Mikołaja? Jezusa?
- Roba!
- Och.
- Poprosił mnie o rękę!
- Dość oryginalne.
- Oszedł od Sam i kupił mi diamentowy naszyjnik. –

Urywam. Cisza. – Jestem więc lekko zaszokowana! I zupełnie nie wiem, co zrobić.

– Powiedz nie. On już miał swoją szansę. Wyrzuć go.

– Powiedziałam, że może się u mnie zatrzymać na czas jej wyprowadzki.

– Uch. Fatalnie.

– Właśnie to w tobie lubię – jesteś taka wspierająca i wyrozumiała.

– Sorki. Nie znoszę tego kolesia. To nie jest facet dla ciebie, mała.

– Poza tym przespałam się z Maxem.

– O kurwa!

– Parę razy. Konkretnie trzy.

– Poważnie? Ty i Max?

– Aha.

– No to puść farbę, jaki był?

– Jeśli chcesz wiedzieć, to bardzo dobry.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że ciągnie was ku sobie.

– Ale teraz wrócił Rob.

– Błagam, nie mów mi tylko, że w ogóle się zastanawiasz

nad powrotem do niego.

– Nie wiem, co zrobić.

– Daj spokój, dziewczyno, to oczywiste: pozbądź się Roba. To palant, a ty zawsze kochałaś Maxa. Od czasu studiów.

Gryzę kciuk, myśląc o tym, jakie to wszystko wydaje się proste w jej ustach. Bawię się nowym łańcuszkiem. Lucy zawsze się czepiała tego, ile zarabia Rob, twierdząc, że jest za tępy, by na to zasługiwać. Nagle robi mi się głupio, że rozmawiam z nią o tym teraz.

– Nie znasz tak naprawdę Roba.

– Znam. To kutas i tyle.

– No a tak w ogóle... – zmieniam temat – co u ciebie?

– Mój Boże! Reuben! Jest po prostu niesamowity.

– Naprawdę?

Do drzwi puka Rob.

– Co tam robisz, mała? – woła.

– Lucy, słuchaj, dasz radę wyskoczyć jutro na lunch? – pytam szeptem.

– Powiedz mu, że rozmawiasz przez telefon!

– Jutro do ciebie zadzwonię. Zjemy razem lunch, okej?

– Nie okej.

Słyszę kroki Roba, oddalają się od drzwi.

– Już w porządku, poszedł sobie – mówię jej. – To kontynuuj.
Reuben...

– Viv, to po prostu najlepszy kochanek...

– Cieszę się twoim szczęściem. Muszę kończyć. To do zobaczenia jutro?

W salonie Rob siedzi przy komputerze i coś pisze.
Wyczuwając moją obecność, szybko go zamyka, wstaje i bierze mnie w ramiona.

– Kto to był? – pyta i obsypuje mi szyję pocałunkami.

– Lucy.

– Nadal się z nią przyjaźnisz?

– Tak.

– Nie sądzisz, że jest trochę zdzirowata? Przystawiała się raz do mnie.

– Cóż, jest tylko człowiekiem. Widziałeś moją stronę? –
Kiwam głową w stronę komputera.

Rob puszcza mnie i siada na sofie.

– Nie. Twoją stronę? Sprawdzałem tylko kilka przepisów. –
Pociera nos i wzdycha.

– Praca?

– Nie, Sam się wydaje, że może położyć łapy na moich pieniądzach – mówi, zwracając się do stołu. – Jeśli ty i ja weźmiemy ślub, konieczne będzie spisanie intercyzy.

Patrzy przed siebie. Opieram się o ścianę i obserwuję go. Co to znaczy „jeśli”? Zaledwie kilka chwil temu nie mógł beze mnie żyć.

– A coś takiego nie jest dla gwiazd?

– Intercyza jest dla każdego, kto nie ma ochoty zostać puszczoneym z torbami.

– Och.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Chodź tutaj. – Uśmiecha się.

Siadam obok niego, a on ujmuje moje dłonie. Jego są chłodne i gładkie. Opuszczam wzrok na nasze stopy. Jego kaszmirowe skarpetki i mój kupiony okazyjnie lakier do paznokci. Nasze role są takie znajome. On ma być darzony uwielbieniem, jako że to on ma władzę, pieniądze i urodę, ja z kolei mam być szczęśliwa i pełna wdzięczności. Chyba taka właśnie byłam przez pięć ostatnich lat, a teraz... Cóż, z zaskoczeniem przekonuję się, że taka nie jestem. Po jakimś czasie on odsuwa mi z twarzy pasmo włosów.

– Viv?

– Hmm?

– Czy ty... byłaś z kimś innym?

– To znaczy od czasu, kiedy się rozstaliśmy, ty zamieszkałeś z Sam i lada moment miałeś zostać jej mężem?

Śmieje się, ale nie odrywa wzroku od mojej twarzy, czekając na odpowiedź.

– No co? – pytam.

– Muszę to wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo tak... Byłaś?

– Nie, każdego wieczoru siedziałam w domu, wyszywając na bieliźnie twoje imię.

Ściska mi palce.

– A Max?

– To znaczy? – Czuję, że na policzki wypełza mi rumieniec, jakbym została przyłapana na kradzieży w sklepie.

– Czy ty... no wiesz... z nim?...

Wstaję i robię kilka kroków, pozwalając, aby znalazła się między nami ława.

– Nie chcę o tym rozmawiać, Rob. Mówię poważnie, to nie jest twoja sprawa.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, to jest moja sprawa. Wracamy do siebie, więc...

– Spędziliśmy razem pięć lat, poprosiłeś mnie o rękę, następnie stwierdziłeś, że nie jesteś gotowy na małżeństwo i zaręczyłeś się z inną. Teraz twierdzisz, że znowu chcesz się ze mną ożenić. – Piorunuję go wzrokiem. – Bawiłeś się moim sercem jak balonikiem. Dopiero się przyzwyczajam do myśli, że tu jesteś. Nie zamierzam rozmawiać o tym, z kim się pieprzyłam albo i nie, kiedy ciebie przy mnie nie było, jasne?

– Jasne. – Śmieje się. – Ale myślę, że to zrobiłaś, skoro aż tak teraz wybuchłaś! – Patrzę na jego śnieżnobiały uśmiech. Opiera się wygodnie, nogi ma rozsunięte, dobrze się bawi. Mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu. – Jednak my do siebie wracamy, Viv. Ty to wiesz i ja to wiem. Nigdy nie potrafiłaś mi się oprzeć.

– Jesteś bardzo pewny siebie. – Podnoszę poduszkę i rzucam nią w niego. – I cieszę się, że tak ci wygodnie na tej sofie, ponieważ to na niej dzisiaj śpisz, słonko.

Dziesięć przykazań dla rozstających się

Będziesz stanowczy i sprawiedliwy.

Nie będziesz używał żadnych tandetnych bon motów.

Pamiętaj, aby uczynić to szybko.

Nie dopuścisz do tego, aby cię przyłapano z innym/inną.

Nie będziesz dzwonić (nie poprawisz tym sytuacji).

Pamiętaj, aby swe powody wyjaśnić w sposób uczciwy, ale nie daj się wciągnąć w dyskusje na ich temat... po raz kolejny.

Nie będziesz uprawiać seksu w imię dawnych czasów, a potem znowu się rozstawać.

Nie będziesz przyjmować prezentów/zaproszeń na kolację od kogoś, kogo porzucasz.

Pamiętaj, aby się nie uciekać do wyzwisk czy krzyków, bez względu na to, co usłyszysz. Pamiętaj, aby zachować spokój.

Pamiętaj, aby nie uderzyć kogoś butem na wysokim obcasie.

Wow. Pragnie mnie dwóch mężczyzn. Zawsze marzyłam o tym, aby znaleźć się w takiej właśnie sytuacji. Cóż, może nie dokładnie w takiej – w moich marzeniach pojawiali się rycerze i rywalizacja albo coś w ten deseń.

Wcale nie jest tak fajnie, jakby się można spodziewać. Sam pomysł jej ekscytujący, owszem, ale gdy dzieje się to naprawdę? To wszystko wydaje się po prostu beznadziejne i nieuczciwe, a ja

czuję się jak tchórz.

Max przysłał mi o północy SMS-a: „Jutrzejszy wieczór zarezerwuj dla mnie, moja piękna. Mam dla ciebie niespodziankę. Max”. Boże, muszę koniecznie jechać do Maxa i się z nim spotkać. Wyjaśnię mu wszystko, powiem, że potrzebuję czasu, aby dojść do porządku z własnymi uczuciami. On na pewno zrozumie. Będzie cierpliwy.

Rob rano zostawił przy drzwiach kartkę: „Dziś wieczorem zabieram cię na kolację. Załóż coś wyjątkowego”.

Kiedy się obudziłam, jego już dawno nie było. Obok zlewu znalazłam jego torbę na pranie, a przy drzwiach zostawił buty. Sądziłam, że gdyby wrócił, byłoby dokładnie tak, jak wcześniej, a nawet lepiej – teraz jednak kwestionuję powodzenie takiego planu. Nie jest tak samo i z całą pewnością nie lepiej – jest dziwnie.

Pewnie trochę będzie musiało potrwać, nim znowu nauczymy się być razem. Prawdę mówiąc, to powinniśmy być razem... Myślę o Maxie.

Jadę autobusem do pracy. Ulice Londynu migają mi przed oczami między przystankami. Niebo jest żółtawoszare, powietrze ciepłe i duszne, jak moja głowa. Czy udałoby się zrobić tak, abym wieczorem mogła się spotkać z jednym i z drugim? Na przykład najpierw z Robem, a potem jechać do Maxa? Dzwonię do Maxa, ale nie odbiera. Autobus toczy się wzdłuż zielonej połaci Regent's Parku. Oznaczonymi na żółto ścieżkami poruszają się ludzie uprawiający jogging, turyści stoją w kolejce do autobusu wycieczkowego. Przejeżdżamy przez Marylebone High Street. Liczę ferrari i myślę o Robie. Z sykiem skręcamy w Baker Street i na następnym przystanku wysiadam. Mijam Angelo's, nie wstępując na kawę – z samego rana mamy spotkanie z nabywcami – i przechodzę przez ulicę, by po chwili zniknąć w moim

biurowcu. W czarnych szklanych drzwiach zerkam na swoje odbicie – moim zamiarem był klasyczny szyk w stylu Audrey Hepburn, ale teraz tak sobie myślę, że może ciut przesadziłam z tą apaszką.

Do windy dobiegam, gdy drzwi już się zamykają, a ludzie w niej wzdychają. Mężczyzna o włosach jak szczotka naciska guzik „zamykanie drzwi”, jakby wypłacał forszę. Rozglądam się przepraszająco po zatłoczonym wnętrzu i dostrzegam Michaela. Uśmiecha się szeroko, kiwa głową i żuje gumę, wszystko w tym samym czasie. Stoi przyciśnięty do miękkiego, solidnego ramienia Mole. Gdy winda zatrzymuje się na jego piętrze, widzę, jak ściska jej udo. Kiwa mi głową, kiedy przeciska się obok w obłoku paczuli, a ja patrzę, dopóki drzwi się nie zamkną, jak dumnie kroczy korytarzem. Odwracam się do Mole. Uśmiecha się, na zębach ma szminkę w kolorze zakrzepłej krwi.

– Cześć, Viv. Dwunaste piętro, prawda?

Spojrzenia wszystkich kierują się na mnie.

– Zebranie? Tak.

Oczy obecnych kierują się na nią.

– Miejmy nadzieję, że dostaniemy śniadanie! – oświadcza dudniącym głosem.

Uśmiecham się i wbijam wzrok w światelko pokazujące, które mijamy piętro. Do dziesiątego w windzie robi się pusto. Na dwunastym razem wychodzimy i kierujemy się do sali konferencyjnej. Idzie szybko, choć ma zaskakująco małe stopy, a na nich czółenka z czerwonego aksamitu.

– Widzę, że znasz Michaela? – nie mogę się powstrzymać.

– Masz na myśli biblijne znaczenie tego słowa? – Śmieje się dźwięcznie. – Owszem, tak się akurat składa, że znam Michaela. Bardzo dobrze nawet. A ty?

– Trochę. – Mam ochotę zatkać sobie usta.

– Cóż, zdecydowanie jest wart poznania! – Ponownie się śmieje.

Oczami wyobraźni widzę niepokojącą scenkę: ich ciała się ze sobą splatają i tarzają się jak szczeniaki po satynowym łóżku, gdy tymczasem w tle słychać głos Barry'ego White'a.

Pomimo klimatyzacji w sali konferencyjnej panuje zaduch. Stoi w niej żałośnie wyglądający wózek na kółkach z rozpuszczalną kawą, gorącą wodą do herbaty i półmiskiem mało apetycznych ciastek. Mole nalewa sobie czarnej kawy, wkłada do ust ciastko z morelami i zasiada na krześle u szczytu owalnego stołu. Otwiera papierową teczkę i rzuca na stół plik wydrukowanych programów zebrania.

– Bądź tak dobra i porozkładaj je, dobrze?

Umieszczam po jednym arkuszu przed każdym krzesłem, zerkając jednocześnie na punkty. Pierwszy to „Cięcie kosztów”. Lepiej się dzisiaj nie wychylać. Christie i Snotty zjawiają się jedna po drugiej. Snotty, w szokującej sukience w małe żółte strzemiona, podkolanówkach w serduszka i zielonych zamszowych sandałkach, kiwa mi głową na powitanie. Christie w czarnej koszulce i satynowych szarawarach wygląda odjazdowo. Zajmuje miejsce obok mnie, roztaczając woń letnich kwiatów.

– Jak tam? – pyta szeptem.

Pokazuję na program. Christie się krzywi.

Pierwsza głos zabiera Mole:

– Poproszono nas o sporządzenie planu cięcia kosztów. Przechodzimy reorganizację i jest to niezbędne. To oznacza koniec z badaniami rynku, taksówkami na koszt firmy czy lunchami dla dostawców. Ilość produktów zmniejszymy o jedną trzecią i skupimy się na PR. Viv, zajmij się prasą. Chcę, żeby we wszystkich dodatkach niedzielnych i w co najmniej trzech magazynach pojawiła się wzmianka o choćby jednym naszym produkcie.

– Jak stoimy z darmowymi egzemplarzami? – pytam. Snotty coś sobie zapisuje, co napawa mnie niepokojem. – Chodzi mi o to, że oczekuje się tego od nas.

Mole kiwa głową.

– Rób to, co będzie trzeba.

Snotty coś podkreśla. Zdecydowanym gestem odkłada długopis i zaczyna omawiać produkt po produkcji, wyjaśniając, które linie będą musiały zniknąć:

– Jadalna bielizna... Zielone światło, ale nie z hasłami, które mi już przedstawiono. Viv, uważamy, że nawet jeśli to projekt Christie, ty powinnaś sprawować nadzór.

Kiwam głową, upokorzona w imieniu Christie. Zerkam w lewo, ale ona sprawia wrażenie niewzruszonej i do listy zakupów dopisuje właśnie samoopalacz i zmywacz do paznokci.

– Rezygnujemy ze świec w skandynawski wzór – kontynuuje Snotty, a Christie nagle się prostuje i pisze coś w moim notatniku.

„Zamówiłam dziesięć tysięcy!” Obok dorysowuje smutną buźkę.

Ściska mnie w żołądku, gdy odpisuję jej: „Sprawdziłaś kwestię więźniów?”

„Zapomniałam” – odpisuje i rysuje jeszcze jedną smutną buźkę.

O kurwa. Zaczyna mnie swędzieć skóra na karku.

„Anuluj zamówienie!” – piszę szybko.

„Już za późno!”

Biorę głęboki oddech, rozglądając się po sali. Patrzę na Snotty i myślę o werbalnym ostrzeżeniu. I nagle zachciewa mi się śmiać. Mam jej przerwać i spokojnie wyjaśnić, że po raz kolejny dałyśmy ciała i teraz dziesięć tysięcy nieetycznych świec jest już w drodze do naszego głównego magazynu? Odezwij się. Powiedz coś.

– Eee, jeśli chodzi o świece... – Snotty rzuca mi spojrzenie znad okularów. – Odniosłam wrażenie, że mamy zielone światło, więc zostały zamówione. – Uśmiecham się.

– No to anuluj zamówienie – warczy.

– Cóż, można by tak oczywiście zrobić, tyle że w House of Fraser szykują świetną ofertę ze świecami, pomyślałam więc, że my także powinniśmy je mieć. Nasze są lepsze... i tańsze.

– W House of Fraser?

– O tak – wtrąca Christie. – Z brokatem i świątecznymi przyprawami, tak że kiedy się palą, całe pomieszczenie zaczyna pachnieć Bożym Narodzeniem.

– Nasze świece są ponadto szykowne. Minimalistyczne, co się wpisuje w obowiązujące trendy z zakresu dekoracji wnętrz. Wydaje mi się, że pojawią się w następnym numerze „Living Today” – kłamię, ale rzeczywiście znam zastępcę wydawcy tego pisma.

Snotty patrzy na swój arkusz i coś notuje.

– W porządku, weźmiemy dwa tysiące i zobaczymy, jak się będą sprzedawać.

Jasny gwint, jesteśmy ugotowane.

Patrzę na Mole częstującą się trzecim ciastkiem. Christie gryzmoli w notesie spiralne wzorki. Wyglądam przez okno na skrawek błękitnego nieba. Na myśl o Maxie ogarnia mnie podekscytowanie, ale zaraz przypominam sobie o Robie. Rob, miłość mego życia, osoba, o której myślę bez przerwy od miesiący, chce zabrać mnie dzisiaj na kolację. Pójdę, oczywiście, że tak, ale... bardzo bym chciała spotkać się z Maxem. Ciekawe, jaką ma dla mnie niespodziankę... Snotty dalej gędzi, a ja próbuję wykrzesać z siebie entuzjazm w kwestii tego, w jaki sposób zapakujemy oprawione w skórę lusterka i które produkty znajdą się w serii „Trzy w cenie dwóch”, ale myślami błędzę daleko. Zastanawiam się, w co się ubrać na wieczorną randkę i zadręczam się tym, z kim się spotkam.

Telefony do prasy. Nie znoszę ich. Muszę się starać sprzedać historyjkę o naszych mizernych świątecznych produktach. Zuchwałość jadalnych majtek! Akcesoria w zgodzie z najnowszymi trendami mody! Nie mogę okazać desperacji, nawet

jeśli grozi nam pójście na dno jak Titanic. Mam listę magazynów i nazwisk i przeglądam ją, szukając kogoś znajomego. Chyba znam dziewczynę o imieniu Donna z „Sunday Read”. Czy to nie ona rozmawiała o ślubach razem ze swoim superprzystojnym chłopakiem podczas walentynkowej imprezy dla dziennikarzy? Zadzwonię najpierw do niej.

– Donna Hayes?

Zaskoczyła mnie. Spodziewałam się automatycznej sekretarki.

– Och, cześć, Donna. Z tej strony Vivienne Summers z Barnes and Worth.

– Cześć.

– Witam. Poznałyśmy się na imprezie walentynkowej B&W. Nie wiem, czy pamiętasz?

– O tak... To był niezły wieczór.

– Ktoś musiał przecież wypić tego całego różowego szampana, no nie?

– Hmm, było fajnie.

– A co tam u twojego przystojnego narzeczonego? – Cisza. Zastanawiam się, czy przypadkiem się nie rozłączyłam. – Kiedy wasz wielki dzień?

– On... eee... ja... eee. Nie jesteśmy już razem.

O cholera. Stawiam wykrzykniki obok jej nazwiska.

– Przykro mi – mówię.

– Taa, okazało się, że jednak nie chce się żenić.

– O nie. – Ta cała rozmowa nie tak miała wyglądać. Jak mam ją nakierować na jadalne majtki?

– Ale teraz żeni się z inną. Pięć miesięcy po naszym rozstaniu, rozumiesz? – W jej głosie słyszę napięcie.

– Dokładnie to samo przytrafiło się mnie!

Czterdzieści minut później Donna z „Sunday Read” zgodziła się zamieścić artykuł na temat nevergoogleheartbreak.com. Fantastyczna wiadomość! Ale niemająca związku z pracą. Jest już niemal pora lunchu, a ja notuję możliwe nagłówki: „W B&W tej zimy jest frywolnie”, „Żelki, majtki i B&W”. Dzwonię do Grahama z „Weekendu”. Jestem pewna, że zainteresuje go ten temat, zwłaszcza gdybyśmy zrobili sesję zdjęciową z modelami w samych slipkach.

– Graham Jackson...

– Cześć, Graham! Z tej strony Viv Summers z Barnes and Worth.

– ...nie może w tej chwili odebrać telefonu. Prosimy o pozostawienie wiadomości lub ponowny kontakt.

Zostawiam wiadomość dotyczącą dwóch potencjalnych artykułów, ale po rozłączeniu się dociera do mnie, że ponownie więcej mówiłam o swojej stronie niż o B&W. Zaczynam mieć obsesję. Myślę, że potrzebny jest wątek o umawianiu się z dwoma mężczyznami jednocześnie – może go nawet zacznę. Też wyskoczę na lunch, a po południu obdzwonię wszystkie gazety z

listy i na poważnie zajmę się produktami Barnes & Worth.

Dzwoni moja komórka. Lucy. Założę się, że wynalazła jakieś niesamowite miejsce na lunch.

– Hej, Viv. Nie masz nic przeciwko, jeśli na lunch wyskoczmy innym razem?

– Owszem, mam. Muszę z tobą pogadać.

– Ja po prostu... Mam kupę roboty, a dziś nie mogę dłużej zostać. Spotykam się z Bogiem Miłości.

– Więc własne seksualne spełnienie stawiasz przed naszą przyjaźnią?

– Na to wygląda... Sorki.

– Lipna z ciebie przyjaciółka.

– Wiem, lipna. Wynagrodzę ci to, a zresztą i tak chcesz porozmawiać ze mną o Robie, prawda?

– Prawda, no i?

– Cóż, jedyne, co bym ci doradziła, to abyś się pozbyła tego pacana. O czymś jeszcze?

– O Maxie.

– Zielone światło.

– Cóż, wobec tego dobrze. Wygląda na to, że przesadnie wszystko komplikuję.

– Nie bądź na mnie zła. Chyba jestem zakochana!

– Cieszę się razem z tobą.

– To coś poważnego! On jest niesamowity, Viv. W sensie seksualnym to męski odpowiednik mnie, tyle że ma lubrykant i pierścienie na fiutka.

– To super! No nie?

– Raz po raz potrafi doprowadzić człowieka do krawędzi, a kiedy się w końcu dochodzi, to jest jak trzęsienie ziemi. – Zaraz usłyszę pełne sprawozdanie i nie jestem pewna, czy to wytrzymam. – Robi taki numerek z językiem...

– Ty nie chcesz słuchać, jak opowiadam o Robie? Cóż, a ja nie chcę słuchać po raz kolejny o tym, jak i gdzie przeżyłaś wielokrotny orgazm. Mam gdzieś, co ten facet robi językiem ani jak wielkiego ma fiuta. To jest po prostu... nudne!

Cisza. Zastanawiam się, czy Lucy jeszcze tam jest.

– Nie. To ty jesteś nudna, Viv.

– Przechodzę właśnie poważny kryzys, a ciebie to najwyraźniej zupełnie nie obchodzi.

– Oczywiście, że obchodzi, Viv. Przez ostatnie miesiące staram się być dla ciebie wsparciem. Ale teraz w końcu kogoś znalazłam i chcę o tym porozmawiać. Ty zawsze przechodzisz cholerny kryzys!

– Wcale nie.

– Lubisz przechodzić kryzys.

– Odszczekaj to.

– Nie ma mowy.

– Boże. Straszna z ciebie egoistka! Wiem, że nie przepadasz za Robem, ale sądziłam, że przynajmniej mnie lubisz.

– Wiesz co? W tej akurat chwili nie lubię. – I rozłącza się.

Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła. Cholera, cholera, cholera! Chyba się zaraz rozpłaczę. Co za egoistka! Ale przecież o tym wiedziałam, prawda? Przez te wszystkie lata to zawsze ja dopasowywałam się do niej. To ona odnosi sukcesy w pracy. To jej życie uczuciowe jest ważniejsze. Moje problemy wydają jej się jedynie zabawne. Ona... Ona mnie deprecjonuje. Lekceważy moje uczucia, oto, co robi. Cóż, nie oddzwonię do niej. Zawsze przechodzę kryzys? Ja przynajmniej nie używam seksu jak jakiegoś narkotyku! Biorę torebkę, celowo zostawiając telefon, na wypadek, gdyby dzwoniła. Będzie mieć nauczkę. Nie odbiorę. Jadę windą na dół, przechodzę przez obrotowe drzwi i udaję się do flagowego sklepu Barnes and Worth.

Wałęsanie się po dziale z kosmetykami do makijażu od razu poprawia mi nastrój. Cholerna Lucy! Potrzebuję na wieczór nową szminkę i mam ochotę na coś ciut krzykliwego. Sprzedawca z niewiarygodnymi brwiami przy stoisku Chanel przekonuje mnie do purpurowej czerwieni i pasującego kolorystycznie lakieru do paznokci. Następnie dostrzegam wystawę bielizny. Jeden stanik z granatowej satyny z różowymi kokardkami i figami do kompletu później jestem gotowa na powrót do pracy. W windzie jadę z kobietą, która ma w sobie coś z mojej babci. Myślę o tym, czy nie porozmawiać z babcią o Maxie i Robie, ale wiem, co by powiedziała. A poza tym ostatnio niezbyt dobrze się czuje i nie chcę jej martwić. Właściwie to muszę do niej zadzwonić i

sprawdzić, jak się ma.

Siedzę znowu przy swoim biurku i na górze listy prasowej piszę: „Zadzwoń do babci”, po czym to podkreślam, kiedy dostaję SMS-a. To pewnie Lucy z przeprosinami.

„Cześć, Viv. Chyba w takim razie wieczór nieaktualny. M.”.

Dziwne. O co mu chodzi? Dzwonię do niego.

– Tu Max. Zostaw wiadomość.

– Cześć, Panie Tajemniczy. Nie rozumiem tego SMS-a. Gdzie jesteś?

Rozłączam się i dzwonię raz jeszcze, na wypadek, gdyby nie słyszał telefonu, tym razem jednak też nie odbiera. Wieczór nieaktualny? Nawet dzisiaj nie rozmawialiśmy. Dąsa się, bo w nocy nie odpisałam mu na SMS-a? Naprawdę chciałam się z nim spotkać i naprawdę musimy porozmawiać. Dzwonię po raz trzeci, ale od razu włącza się poczta głosowa. Rozłączam się. Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie. Zastanawiam się, czy wie o Robie... Nagrywam jeszcze jedną wiadomość.

– Max, zadzwoń do mnie. To pilne.

Siedzę przy biurku, wypróbuję na dłoni szminkę, kiedy wraca Christie. Na blacie stawia papierowy kubek z jakimś cuchnącym brązowym wywarem.

– Co to, u licha, jest? Wygląda jak woda z szamba.

– Aha! Zupa miso z wodorostami i galaretką z tofu. To jest taaaakie zdrowe.

– Przyprawia mnie o mdłości.

Siorbie z plastikowej łyżeczki i z jej ust zwisają błyszczące zielone wąsy. Wyglądam przez okno, martwiąc się Maxem. Mam nadzieję, że wszystko w porządku i że się na mnie nie wkurzył. Boże! Ta cała sytuacja jest do bani, a nie mam z kim porozmawiać. Odwracam się do Christie.

– Rob wrócił wczoraj wieczorem.

– O mój Boże! – Daje sobie spokój z łyżeczką i unosi do ust papierowy kubek, na chwilę zasłaniając twarz. Gdy go odsuwa, na nosie ma galaretowatą kreskę.

– Masz tam coś.

Wyciera nos chusteczką.

– Co się stało? Miał się żenić z tamtą modelką, no nie?

– Rozstali się. Chce, żebyśmy znowu byli razem.

– O mój Boże, a on jest naprawdę bogaty, prawda?

– Aha.

– I superprzystojny?

– Aha.

– Boże. Ale z ciebie szczęściara, Viv.

– Tak myślisz?

– No jasne. – Wyskrobuje z kubka resztki galaretki. –

Chciałabym znaleźć kogoś takiego. To w końcu marzenie każdej dziewczyny, no nie? – Uśmiecham się do niej. Wyjmuje lusterko i sprawdza, czy nie ma między zębami wodorostów. – No więc wracasz do niego?

– Nie wiem – wzdycham.

– O mój Boże, dałabym się za coś takiego pokroić! – Nakłada beżowy błyszczak, przez co jej usta wyglądają, jakby pokrywała je warstwa cukru. Zerka na mnie znad krawędzi lusterka.

– Poważnie?

– Pewnie! Nie ma się nad czym zastanawiać – odpowiada bez cienia ironii w głosie.

Mam na sobie nową obcisłą sukienkę z czarnego jerseyu, a do niej szpilki. Próbuję zapiąć łańcuszek z diamentem. Dźwięk domofonu sprawia, że podskakuję. To taksówkarz. Spokojnie, spokojnie. To tylko kolacja. No dobrze, sprawdzam, czy nie mam na zębach szminki, i zakładam żakiet, który nie jest na tyle długi, aby sięgać skraju sukienki. Nie, Robowi się nie spodoba – lepiej bez niego. Schodzę ostrożnie po schodach i moszczę się na tylnym siedzeniu czekającego pod domem mercedesa. Poprawiam klin nowych fig i pytam, dokąd jedziemy.

– Nie, nie, proszę pani! Powiedziano mi, że to ma być niespodzianka. – Uśmiecha się do lusterka wstecznego. Wisi tam małe drzewko wydzielające syntetyczny zapach środka do czyszczenia toalet. Dołączamy do sznura samochodów i ruszamy w stronę West Endu. – Ma pani dziś urodziny? – Uśmiecha się, pokazując nierówne zęby.

– Eee, nie.

– Wobec tego on chce pani zaimponować!

Próbuję sobie wyobrazić, że Rob gdzieś czeka, chcąc mi zaimponować, ale jakoś tego nie widzę. To jego druga natura. Nigdy nie wątpi w swoją zdolność imponowania innym. W mojej głowie pojawia się myśl, aby prosić taksówkarza, by pojechał do Maxa. To irytujące, że nie oddzwonił ani nie odpisał na SMS-y. Nigdy tak nie robi – jest zbyt ciekawski. Przygryzam kciuk i główkuję. Nie zrobiłam niczego, co by go mogło zdenerwować, więc w gruncie rzeczy zachowuje się cholernie niegrzecznie.

Skoncentruję się na Robie. Spróbuję się zrelaksować i cieszyć wieczorem w towarzystwie mężczyzny, którego kocham – cóż, którego kochałam i możliwe, że nadal kocham.

Samochód zatrzymuje się przed podwójnymi drzwiami jednej z restauracji w Soho. Drzwi otwiera ktoś w granitowym garniturze. Szukam portfela, aby zapłacić.

– Nie, proszę pani – mówi kierowca. – Wszystko zostało uregulowane.

– Och, no tak – mamroczę.

– Miłego wieczoru. – Uśmiecha się.

Wysiadam z auta i ktoś otwiera drzwi do restauracji. Wchodzę na pomost ze stali przemysłowej, z którego rozciąga się widok na olbrzymią salę pełną stolików, głosów i śmiechu. Ze ścian i sufitu zwisają długie podświetlane rury. W szatni uśmiecha się do mnie absurdalnie przystojny facet. Pomost skręca w prawo i przechodzi w balkon ciągnący się przez całą długość jednej ściany. Za barem z nierdzewnej stali stoi elegancki mężczyzna w białym uniformie. Przy jednym ze stolików siedzi Rob. Czuję przyływy

nerwowej energii, kiedy odstawia kieliszek i wstaje, aby się ze mną przywitać. Gdy całujemy się na powitanie, żałuję, że nie założyłam butów na niższym obcasie – jesteśmy krępująco równi wzrostem. Jak zwykle zaszokowana jestem jego urodą, kiedy rzuca mi spojrzenie spod tych swoich brwi, pełen chłopięcego uroku.

– Ślicznie wyglądasz – mówi, odsuwając dla mnie krzesło. – Dwa razy wódka z martini – rzuca do czekającego kelnera, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Właściwie to ja poproszę białe wino! – wołam do oddalających się pleców. – Mogę się napić białego wytrawnego wina? – pytam Roba.

– Nie. Nie jesteśmy w barze koło domu. Chcę, aby dzisiejszy wieczór był wyjątkowy. – Ujmuje moją dłoń i pociera kciukiem o palce. – Szkoda, że nie założyłaś pierścionka.

Zabieram rękę. Już zdążył mnie zbesztać.

– Nie mogę. – Widząc jego rozczarowanie, dodaję: – Założę... niedługo.

– Chcę, aby świat wiedział, że jesteś moja, Viv.

Ponownie bierze mnie za rękę i ją gładzi. Uśmiecham się. Jednak nie jestem jego, już nie – ta myśl napawa mnie tak wielkim smutkiem, że prędko ją od siebie odsuwam. Na to, abym go znowu kochała i mu ufała, trzeba trochę czasu, i tyle.

Spoglądam w dół na salę pełną gości. Pomiędzy stolikami a otwartą kuchnią biegają kelnerzy w białych marynarkach. Pośrodku znajduje się coś na kształt podium i stamtąd *maitre* wszystko nadzoruje.

– Niesamowite miejsce. Nigdy tu nie byłam.

– Tylko dla członków.

– No to już wiem dlaczego.

– Osiem patyków na rok.

– Wow. Kiedy się zapisałeś?

– Eee, ze dwa miesiące temu.

Pojawiają się nasze drinki w szklankach z grubego szkła. Kelner oprócz nich stawia na stole miseczki z solonymi migdałami i jakimiś powykręcanyimi herbatnikami.

– *Salud!* – mówi Rob, unosząc szklanę.

Sączę lodowato zimny płyn. Jego chemiczny zapach niemal zwała mnie z nóg, a czysty alkohol trafia mi do tchawicy. Biorę kilka ciastek, aby to jakoś zagryźć, ale okazuje się, że posypano je chili. Ze łzawiącymi oczami biorę łyk martini i przelykam tę ohydłą mieszankę. Uśmiecham się do Roba, a on wybucha śmiechem.

– To trzeba polubić, nie?

– Prawdę mówiąc, nawet mi smakuje.

Uśmiecham się i pociągam kolejny łyk martini, aby mu to zaprezentować. Mam wyrafinowane podniebienie – raz jadłam ostrygi. Przelykam, wzdrygając się. Rob ma rozbawienie w oczach; przesuwa w moją stronę miseczkę z ciastkami.

Zerkam na nią, teraz już widząc grubą warstwę czerwonego

proszku.

– Nie, dziękuję – uśmiecham się.

– Och, Viv, taka jesteś zabawna! – Bierze moją szklankę, patrzy mi w oczy i wypija wszystko jednym haustem. Drugą ręką przywołuje kelnera. Patrząc, jak idealna skóra na jego szyi napina się, kiedy przełyka. Oblizuje usta, spoglądając na mnie, po czym odwraca się, aby złożyć zamówienie. – Dla pani prosimy Sancerre.

– I szklankę wody! – dodaję.

Kelner kiwa głową i najpierw robi kilka kroków w tył, by dopiero wtedy się odwrócić. Rob patrzy na mnie i kręci głową.

– No co? – pytam.

Podnosi moją dłoń do ust, odwraca ją i wacha mi nadgarstek.

– Pachniesz niesamowicie – mruczy, a mnie chce się śmiać. Muszę się skupić. Bierze w palce diamentowy wisiołek. – Cudownie na tobie wygląda.

– Dziękuję. Dostałam go od dobrego przyjaciela – żartuję.

– To musi być bardzo, bardzo dobry przyjaciel – mówi śpiewnie, a ja się czuję dziwacznie zaszczuta.

Pojawia się wino i zostajemy sprowadzeni schodami na dół i przekazani *maître* 'owi, który najpierw mierzy mnie badawczym wzrokiem, po czym uśmiecha się znacząco do Roba.

– Dobry wieczór, panie Waters. Pański stolik, ten, co zwykle, jest już gotowy.

– Dzięki, Patrick.

Rob mruga i wciska mu w dłoń złożony banknot. Udajemy się za afektowanym kelnerem, który w końcu prezentuje nam boks na samym końcu sali. Rob siada naprzeciwko mnie na sofce obitej umiejętnie postarzaną skórą i od razu zamawia wino i przystawki dla nas obojga. Rozglądam się po przypominającym Koloseum wnętrzu, odczuwając lekką irytację. Wiem, że próbuje mi po prostu zaimponować, ale od kiedy należy do tego typu miejsca ze stolikiem „tym, co zwykle”?

– To świetny stolik – mówi, zamykając menu.

Uśmiecham się.

– Wygląda na to, że ten, co zwykle.

– Cóż, już ci mówiłem, że jestem członkiem, więc często tu bywam. W przeciwnym razie członkostwo nie miałoby sensu.

– A ja sądziłam, że zaprosiłeś mnie w jakieś wyjątkowe miejsce – śmieję się.

Przez jego twarz przemyka cień.

– To miejsce jest cholernie wyjątkowe, Viv. Miałaś okazję w takim być? – Na moim policzku ląduje kropelka jego śliny. Wycieram ją serwetką z adamaszku, a kiedy podnoszę wzrok, Rob znowu jest spokojny. Sięga pod stół i chwyta mnie za lewe kolano, jakby ogrzewał sobie dłonie. – Vivienne, musisz wiedzieć tylko tyle, że jesteś moją kobietą wymarzoną... Przyszłą żoną.

– To się nawet rymuje – mówię niemądrze.

Ręce zsuwają się z mojego kolana. Rob obrzuca spojrzeniem

restaurację i jego policzek drga.

– Viv, słuchaj, wybacz mi. Chyba po prostu próbuję się popisać. Widzę, że nie robi to na tobie wrażenia.

– Nie, robi. Naprawdę. Myślę, że tęsknię za tobą. Za dawnym tobą, z czasów sprzed... sukcesu i wszystkiego innego.

– Ale teraz odnoszę sukcesy. Taki już jestem.

– Wiem. – Wbijam wzrok w dłonie. – Pamiętasz czasy piwa i pasztecików?

– Nadal jestem tym samym człowiekiem.

– Carpaccio z ośmiornicy z jałowcem... Dla pani? – Kelner stawia talerz z artystycznie ułożoną przystawką. – Dla pana?

Rob zabiera serwetkę, aby zrobić miejsce na talerz. Bierze nóż i widelec i zabiera się za jedzenie czegoś, co wygląda jak cieniutko pokrojone flaki.

– Pyszne. – Pije łyk wina. – Sancerre idealnie do tego pasuje.

Opuszczam wzrok na swój talerz i czuję się wyczerpana.

Kolacja ciągnie się bez końca. Każde danie to test silnej woli, jako że Rob zamawia potrawy, które są egzotyczne albo surowe, albo i egzotyczne, i surowe jednocześnie. Kiedy dochodzimy do deseru, którym jest coś w rodzaju rzadkiej galaretki z żółtką, w żołądku wszystko mi się przewraca. W końcu Rob podpisuje rachunek i zostajemy odprowadzeni do czekającej na nas taksówki.

Spoglądam na niego. Tak bardzo się stara mi zaimponować; doskonale to widzę, a ja jestem cholernie zdeterminowana, aby się

dobrze bawić. Gdybyśmy oboje wyluzowali, możliwe, że odnaleźlibyśmy to, co nas łączyło.

Muszę przestać odpływać myślami do Maxa. Sprawdzałam telefon – nie dostałam od niego żadnej wiadomości. To dziwne uczucie przejmować się Maxem. W naszej relacji to zawsze ja rozdawałam karty, a teraz czekam rozpaczliwie na wiadomość, jak te wszystkie dziewczyny, z którymi był. Raz odebrałam telefon od jednej z nich – oświadczyła, że utopi się w morzu, jeśli z nią nie porozmawia. „Proszę bardzo” – powiedział, a kiedy zobaczył moją minę, dodał: „Nie robi tego”. Rozmawiałam z tą dziewczyną przez pół godziny, starając się, aby dotarło do niej, jaki z Maxa jest kutas. Teraz ja jestem taką dziewczyną...

Gdy siedzimy już w taksówce, Rob oświadcza, że ma dla mnie jeszcze jedną niespodziankę. Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy. Kiedy mijamy Picadilly Circus, ogarnia mnie podekscytowanie, jakie czuję zawsze, gdy jestem w centrum. W głowie szumi mi od wina. Rob siedzi rozparty na kanapie, a jego profil oświetlają jadące z naprzeciwka auta. Klepie mnie swobodnie w udo.

– Smakowała ci kolacja, kochanie? – pyta.

– Była pyszna – uśmiecham się.

– Nie zamierzasz mi podziękować?

Odwracam głowę, aby sprawdzić, czy nie żartuje.

– Słucham?

– Zapytałem, czy nie zamierzasz mi podziękować za kolację, za którą zapłaciłem?

Oblewam się rumieńcem.

– Nie zrobiłam tego w restauracji?

– Nie.

– Wobec tego dziękuję ci, Rob, za wspaniałą kolację.

– Grzeczna dziewczynka – mruczy.

Odwracam się z powrotem w stronę szyby. Jego dłoń leży na moim udzie jak tarantula. Taksówka skręca w lewo i wyskakuje ze sznura samochodów, mknąc przed siebie jak pocisk, a mnie prędkość wbija nagle w siedzenie. Rob spogląda na mój dekolt, na którym lekko podskakuje wisiorek, a kiedy napotyka moje spojrzenie, uśmiecha się. Ja także się uśmiecham, poprawiając sukienkę. Co się ze mną dzieje? Mam ochotę stąd uciec! To przecież mężczyzna, którego pragnęłam, mężczyzna, z którego powodu płaczę od miesiący. Teraz on robi dokładnie to, o czym marzyłam, a jedyne, co czuję, to irytacja. Taksówka się zatrzymuje. Dopiero po chwili dociera do mnie, gdzie jesteśmy. Rob bierze mnie pod ramię i razem wchodzimy na dziedziniec. Jest tutaj kiosk, w którym kupuje nam szampana, a potem dołączamy do tłumu ludzi przed wejściem do galerii. Dostrzegam plakaty reklamujące wystawę.

– Gdzie my jesteśmy, Rob? To Królewska Akademia?

– Letnia Wystawa. Chcę, abyś wybrała obraz, który ci kupię.

– O nie. Nie mogę tu wejść.

– Dużo ludzi, wiem. Wygląda na to, że dzisiaj jest ten wieczór zatytułowany *Poznaj artystę*. Pewnie mnóstwo tu celebrytów. Co mówiłaś?

– Jest mi niedobrze. Moglibyśmy się gdzie przejść?

– Nie bądź niemądra, Viv. Będziemy chodzić – po galerii. Wiem, jak kochasz sztukę, więc postanowiłem ci zrobić niespodziankę. – Klepie mnie w pupę.

– To chyba coś, co zjadłam. Gorąco mi.

– Chodź, zaraz poczujesz się lepiej. – Prowadzi mnie do pierwszej sali. – Tutaj będzie większość artystów. Warto zobaczyć, kto co zrobił.

Stajemy przed olbrzymim jajkiem z niebieskiego szkła.

Rozglądam się po sali w poszukiwaniu Maxa. To na pewno ta niespodzianka, o której pisał w SMS-ie. Zamierzał mnie tu przyprowadzić. Chciał, abym była przy nim, a ja mu nawet nie odpisałam. Cholera! Jak mogłam być taka głupia? To było dla niego takie ważne, a ja w ogóle nie miałam o tym pojęcia. I jeszcze zastanawiałam się, dlaczego nie odbiera moich telefonów. Serce wali mi jak młot. Cokolwiek by się działo, nie mogę na niego wpaść, gdy jestem w towarzystwie Roba.

Rozglądam się. Nie licząc dwóch obrazów w odcieniach żółci i błękitu, w sali znajdują się same rzeźby. Jeśli tu zostaniemy, możliwe, że uda mi się go nie spotkać.

– Boże, uwielbiam rzeźby. – Ściskam ramię Roba, sygnalizując mu, aby zwolnił. Zatrzymujemy się przed wysoką postacią z zardzewiałego metalu. Powykrzywiane ciało wygląda jakby się topiło, fałdowało i skapywało, tworząc solną kałużę. – Niesamowite – orzekam. – Myślę, że to komentarz na temat stanu, w jakim znajduje się ludzkość.

– Ale cholernie brzydkie. No bo czy chciałabyś coś takiego w swoim salonie?

– Nie wiem. Według mnie ta rzeźba jest piękna. –
Przeczesauję wzrokiem salę.

– Mówisz poważnie? – Patrzy na mnie. – Myślałem raczej o jakimś ładnym obrazie. Chodźmy tam. – Pokazuje kieliszkiem z szampanem na łukowate przejście do innej, pełnej ludzi sali.

Wachluję się broszurką opisującą wystawę.

– Słabo mi trochę. – Wokół nas wszędzie wiszą plakaty reklamujące wystawę *Poznaj artystę* i zdjęcia uśmiechniętych, przystojnych artystów. Modłę się, abyśmy nie natknęli się na pewnego malarza. Osuwam się na ławkę. – To pewnie alkohol.

Rob marszczy brwi.

– Co się dzieje, skarbie? Nie wypiałś aż tak dużo.

– Chyba potrzebuję świeżego powietrza – mówię.

Rozgląda się po galerii i dostrzega jeszcze jedne drzwi.

– Chodźmy tam, mniej ludzi. Chodź.

Pomaga mi wstać. Patrzę w stronę drzwi: przed wielkim płótnem stoi niewielka grupa kolekcjonerów i krytyków.

Idę niepewnie, podtrzymywana ręką Roba, która spoczywa na moich plecach. Gdy się zbliżamy do wejścia, lustruję wzrokiem obecnych tam ludzi. Mężczyzna w tweedowym garniturze robi krok w tył i boleśnie podskakuje mi serce, gdyż wydaje mi się, że widzę Maxa – wysoka postać w czarnych dżinsach i koszulce,

zaczęte do tyłu ciemne loki. Mężczyzna ponownie się przesuwa, zasłaniając mi widok. Zatrzymuję się.

– Och, nie wydaje mi się, abyśmy tu coś znaleźli – mówię. – To naprawdę nie nasz styl.

Rob chwyta mnie za ramię i popycha.

– No ale może jednak zerknijmy, dobrze?

– Au, to boli!

Puszcza moje ramię i zamiast tego obejmuje mnie w talii. Mężczyzna w tweedzie robi krok w bok. Max się odwraca, zerka w moją stronę, po czym odwraca wzrok. Dopiero po chwili dociera do niego, co zobaczył. Kiedy ponownie się odwraca, to, co widzę na jego twarzy, mnie dobija: udręka, cierpienie, rozczarowanie i w końcu wściekłość. Rusza w naszą stronę, przepychając się między ludźmi, aż staje przede mną. Mierzy mnie morderczym wzrokiem, a ja się czuję jak najpodlejsza osoba na ziemi.

– Max! – Wyciągam rękę, aby dotknąć jego twarzy, i czuję, jak Rob mocniej ściska mnie w talii.

– Jak śmiesz w ogóle na mnie patrzeć, Vivienne, kiedy jesteś z nim? – Wargi mu się wykrzywiają jak u warczącego wilka.

– To nie tak, jak myślisz, Max. Próbowałam się dzisiaj do ciebie dodzwonić...

– Co cię obchodzi, co ja myślę? Uważasz mnie za głupca?

Przemyka spojrzeniem po mojej twarzy. Dotykam jego ramienia, ale on strząsa moją dłoń.

– Nie mów tak do mojej narzeczonej! – oświadcza Rob.

– A ty się, koleś, przymknij, bo dostaniesz po mordzie. To sprawa między nią a mną. – Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym się nagle przemieniła w jakiegoś potwora.

– Co ja takiego zrobiłam? – Pod powiekami czuję piekące łzy.

– Zdradziłaś mnie – mówi cicho, patrząc to na Roba, to na mnie. – Życzę wam powodzenia.

W jego oczach dostrzegam ból. Odwraca się i przechodzi szybko przez tłum, a ja trzęsę się, zaszokowana.

– Cóż, trochę przesadził – uśmiecha się Rob. – Myślałem, że to twój przyjaciel.

Wyrywam mu się i próbuję dogonić Maxa. Mijani przeze mnie ludzie gapią się i cmokają.

– Max, zaczekaj! – wołam, ale już go nie widzę. Odwracam się, przeczesując wzrokiem salę wystawową. – Max! – wołam ponownie. Ale jego już nie ma.

Miłosne mikstury

Koktajl miłosny nr 1 – Sklejacz złamanych serc Wlej do szklanki jedną miarkę wódki, dodaj dwie łyżeczki cukru i świeżą miętę. Szklankę uzupełnij pokruszonym lodem i niewielką ilością wody gazowanej. Dodaj sok wyciśnięty z ćwiartki limonki i wstrząśnij. *Voilà*, i już po złamanym sercu!

Monique, Londyn

Koktajl miłosny nr 2 – Uwodzicielka Do wysokiej szklanki nalej jedną miarkę tequili. Szklankę uzupełnij lodem, piwem imbirowym i sokiem z limonki. Wymieszaj i zaserwuj swojej ofierze.

Lizzie, Braintree

Koktajl miłosny nr 3 – Seksbomba Wymieszaj dwie miarki Baileys Irish Cream z jedną miarką brandy i wlej to do szklanki z lodem. Ewentualnie siądź naga na krześle barowym ze szklaneczką whisky w dłoni i przekonaj się, co będzie dalej.

Caroline, Perth

Leżę skulona na sofie i fatalnie się czuję. Coś mi jeździ po żołądku – alkohol albo strach, a może jedno i drugie? Po raz enty odgrywam w głowie scenkę z galerii, próbując spojrzeć na wszystko z punktu widzenia Maxa. Chciał, żebym mu towarzyszyła podczas tego wieczoru, to oczywiste, a ja powinnam wiedzieć, że wystawa ma miejsce właśnie dzisiaj.

Może był zły, bo nie od razu odpowiedziałam na jego SMS-a, i dlatego właśnie napisał mi, że wieczór jest nieaktualny i nie odbierał moich telefonów. A potem pojawiłam się w galerii w

towarzystwie Roba... Coś mi tu jednak nie pasuje. Taka drażliwość nie jest w jego stylu.

Ostatecznie nie przychodzi mi do głowy powód, dla którego nie chciał nawet ze mną rozmawiać. No a jego reakcja, kiedy mnie zobaczył – zachowywał się tak, jakby mnie nienawidził! A teraz nie odbiera telefonu, więc chyba po prostu będę musiała poczekać, aż się uspokoi. Dowiem się, co takiego zrobiłam, i będę go przepraszać tak długo, aż zacznie ze mną rozmawiać.

Cholerny Rob Waters. Że też zmusił mnie do pójścia tam, choć przecież mówiłam, że tego nie chcę. A tak w ogóle to gdzie on jest? Na chwilę się zdrzemnę. Trochę mi niedobrze.

Wciąż wracam myślami do Maxa i bólu widocznego na jego twarzy, kiedy odchodził. I nienawidzę samej siebie. Z pewnością wydaje mu się, iż celowo przyszedłam tam razem z Robem. Na serio uważa, że mogłabym coś takiego zrobić. Naprawdę go zraniłam – oto, co zrobiłam. A nigdy, przenigdy nie miałam takiego zamiaru.

Pojawia się Rob i podaje mi brandy. Kręcę głową i pokój się przechyla. O rany, muszę być mocno pijana, choć czuję się trzeźwa. Siada obok mnie i gładzi po włosach.

– Dobrze się czujesz? – pyta miękko. Kiwam głową. – Złóżę na niego skargę. Każę usunąć z galerii jego główniane obrazy.

– Nie!

– Tak cię zdenerwował, i to tylko dlatego, że wróciliśmy do siebie.

– My nie... Nie chodziło o to.

– Ćśś, teraz jesteś tu ze mną. Już wszystko dobrze.

Zaopiekuję się tobą.

Jego piękna twarz znajduje się tak blisko mojej, jego oczy się uśmiechają, czuję delikatny zapach wody kolońskiej. Próbuję się skupić, ale bolą mnie wtedy oczy. Rob całuje mnie w policzek. Nie mogę dać po sobie znać, jak mocno zależy mi na Maxie, jak wielką mam ochotę stąd uciec i go odnaleźć. Nawet jeśli Max ma mnie gdzieś, muszę mu wytłumaczyć, jak doszło do tego, że zjawiłam się w galerii w towarzystwie Roba.

A jeśli Maxowi rzeczywiście na mnie nie zależy? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Oczywiście, że zależy. W takim razie dlaczego tak mnie potraktował? Może mimo wszystko miałam rację, nie wiążąc się z nim przez te wszystkie lata.

– Problem w tym, że on jest bardzo wybuchowy – mówię na głos, zaskakując samą siebie.

– Hmm, nie przejmuj się, Króliczku – szepcze Rob. Całuje mnie w szyję. Jego dłoń przesuwana powoli w górę mojej nogi, wślizguje pod sukienkę. Obserwuję tę dłoń, jakby dotykała kogoś innego. Opieram głowę na poduszce, ale ściany pokoju zaczynają na mnie napierać. Znowu ją unoszę. – Ależ jestem podniecony – mówi Rob do moich ud.

I po co Max opowiadał te bzdury, że mnie kocha? Wcale mnie nie kocha. Gdyby kochał, odebrałby dziś telefon i powiedział mi, dlaczego jest wkurzony. A on odwołał dzisiejszy wieczór jednym SMS-em! Nie tak zachowuje się ktoś, kto cię kocha.

Fuj, co za paskudny, kwaśny smak mam w ustach. Zaraz wstanę i pójdę po wodę. Rob zatacza małe kółka na różowych kokardkach z przodu moich nowych majteczek. Dobrze, że je kupiłam. Są takie ładne. No i mam dwudziestoprocentową zniżkę pracowniczą. Rob ma naprawdę piękne włosy, tak fajnie teraz

opadają. Całuje właśnie moją nogę. Wygląda trochę jak dziobiący ziarno ptak.

Zdradziłam go! Jak niby go zdradziłam? To on powiedział, że wieczór nieaktualny. To on mnie rzucił! I nie chcąc ze mną rozmawiać, zachował się naprawdę dziecinnie. Jeśli będę patrzeć w lewo i starać się nie myśleć o tej strasznej ośmiornicy, którą zjadłam, to może poczuje się lepiej. Rob klęczy między moimi nogami i rozpina spodnie. Ściąga białe bokserki. To całkiem przyjemny widok.

Dzwoni telefon i serce mi podskakuje. To na pewno Max! Świetnie – wyjaśnijmy sobie wszystko i oczyścimy atmosferę. Próbuję wstać, ale Rob mnie powstrzymuje. Pochyliła się nade mną i nagle dostrzegam, że w dłoni trzyma penisa.

– No już, Króliczku. Ssij – mruczy.

Zerkam na telefon, a potem znowu na Roba. Włącza się poczta głosowa.

Obiektywnie rzecz biorąc, Rob to mężczyzna o perfekcyjnym wyglądzie: ma opalone nogi i umięśniony brzuch. Mam wrażenie, jakbym się oglądała z pewnej odległości. Jestem zmęczona i bardzo smutna. On opiera dłoń na ścianie za sofą, a drugą kieruje penisa ku mojej twarzy. Patrzą prosto na niego. Już go nie rozpoznaję. Pachnie jakimś nowym mydłem. Drogim mydłem. I to chyba babcia pozostawia wiadomość, kiedy otwieram usta.

22
Mądrość

Zostałeś powalony na ziemię? I co z tego?

Wstań z uśmiechem na twarzy. Upadek to nic takiego, dopiero leżenie jest hańbą.

Edmund Vance Cooke

I nie marnuj czasu na szukanie czegoś, czego pragniesz, a czego nie da się znaleźć, skoro już wiesz, że możesz bez tego żyć i o tym nie myśleć.

Baloo, Niedźwiedź Mądry, *Księga dżungli*

Wymiotowanie w pracy to kiepski sposób na rozpoczęcie dnia. Siedzę w kabinie i sprawdzam, jak się czuję... W głowie mi pulsuje, struty żołądek boli, gałki oczne płoną i... czemu tu musi być tak gorąco?

Z Robem dobrze wychodzi mi tylko upijanie się do nieprzytomności. To jednak jego вина. Fuj... Nie potrafię o tym myśleć, nie mając od razu odruchu wymiotnego. Powinnam się wstydzić i tak właśnie jest. Strasznie mi wstyd. Co się ze mną dzieje? Czy to właśnie nazywa się „wykolejeniem”? Spuszczam wodę w toalecie, cofam się i opieram o drzwi. O Boże, nie ma papieru toaletowego. Może mam w torebce chusteczki. Z wewnętrznej kieszeni wydaję komórkę i sprawdzam wyświetlacz. Nigdy nie wiadomo, może Max dzwonił. Ale nie – nic. Telefonuję na jego numer domowy.

– Tu Max. Zostaw wiadomość.

– Proszę, Max, porozmawiaj ze mną. Strasznie się czuję... –

Czekam na wypadek, gdyby odebrał, ale po drugiej stronie panuje cisza. – Bardzo, ale to bardzo cię przepraszam. Chcę wszystko wytłumaczyć. Muszę się z tobą zobaczyć. Max... Ja... tęsknię za tobą. – Rozłączam się i wydmuchuję nos w stary paragon.

Dziś rano obudziłam się w swoim łóżku obok Roba. Nie pamiętam, jak się tam znalazł. Czy my?... Wpatruję się w kafelki, aż geometryczny wzór zaczyna się zlewać. Słyszę, jak ktoś wchodzi do toalety, stukając obcasami i cicho nucąc. Kabina cała drży, gdy ta osoba zatrzaskuje drzwi. Pod przepierzeniem widać marchewkową od samoopalacza kostkę i sandał z plecionych sznurków z drewnianą podeszwą.

– Christie?

– Halo, kto tam? – pyta śpiewnie.

– Pomocy.

Aspiryna rozpuszczona w lemoniadzie – oto lekarstwo Christie. Siedzę za biurkiem i żałośnie ją popijam, gdy tymczasem ona flirtuje z Paulem.

– Nie, nigdy nie miałam naszyjnika z pereł – oświadczam.

– Daj spokój, na pewno miałaś.

– Nie. Uważam perły za trochę staromodne, wiesz? Sądzę, że nie powinno się ich nosić, gdy ma się dwadzieścia kilka lat.

Paul purpurowieje na twarzy, próbując się nie śmiać.

– Christie. Ignoruj go. To zbok – wtrącam.

– Och. Nie rozumiem. – Przygląda mu się mocno

wymalowanymi oczami.

– No jasne, że nie. Później ci wytłumaczę. – Kładę głowę na chłodnym blacie.

– Vivienne! Nie rozumiem, o co ci chodzi. My rozmawiamy o biżuterii.

– Taa, a ja jestem dublerką Angeliny.

Ciekawe, czy jeśli zamknę oczy, to poczuję się lepiej? Uch, nie, nie. Koncentruję się na jednym punkcie.

– Widzę, że marnie się czujesz, Viv. Ciężka noc, co?

Zmuszam się do spojrzenia w jego stronę. Paul uśmiecha się szeroko, a z tą swoją małą głową, długą szyją i spadzistymi ramionami przypomina gronostaja.

– Pilnuj swojego nosa. – Uśmiecham się złośliwie.

– Obserwuj, Christie, do czego prowadzi nadużywanie alkoholu – ani to mądre, ani ładne.

– A ty co tu jeszcze robisz? Może zajmiesz się jakąś pracą? – chrypię.

Paul się śmieje, posyła Christie całusa i wraca do swojego biurka. Lemoniada i aspiryna mieszają się niebezpiecznie w moim żołądku. W szufladzie znajduję paczkę krakersów i skubię jednego, obserwując jednocześnie żeglarski strój Christie, która sprawdza właśnie pocztę.

– O nie. Mole chce się z nami natychmiast widzieć. – Odwraca się na fotelu. – Myślisz, że chodzi o te świece? Niedługo

je dostarczą.

Patrzę na nią, następnie wyglądam przez okno, zastanawiając się, czy przed pójściem nie powinnam wymiotować.

– Nie przejmuj się, Christie. Jaki może być najgorszy scenariusz? – Wstaję i zaczynam od razu iść, nim zdążę się przewrócić. – Chodźmy i przekonajmy się, czego od nas chce.

Mole ubrała się dzisiaj cała na zielono. Wygląda na zrelaksowaną, brodę opiera na dłoni i ogląda coś na monitorze. Przez chwilę stoimy w otwartych drzwiach jak idiotki, aż w końcu pukam.

– Wejdźcie! – woła.

Pokazuje tłustą ręką, abyśmy usiadły. Nie będę patrzeć na pieprzyk na jej szyi, nie będę. Gdy zajmujemy miejsca, przygląda się swoim palcom, następnie spojrzenie pełne wyważonej sympatii przenosi na nas i – proszę bardzo! – pieprzyk pojawia się w polu mojego widzenia jak kupa w morzu. Wpatruję się w wystające z niego włoski jak zahipnotyzowana, aż bliska jestem wymiotowania na stół. Poprawiam się na krześle i przełykam ślinę.

– No dobrze, wy dwie, chciałam się spotkać z wami razem, ponieważ tworzycie zespół, zgadza się? – Christie kiwa głową i uśmiecha się, jakby miała zaraz otrzymać nagrodę. – Chodzi o planowane redukcje etatów.

Serce boleśnie mi wali. Blade spojrzenie Mole przenosi się ze mnie na Christie, oczekując jakiejś reakcji. Wiśniowe usta wydają się zbyt małe w stosunku do jej twarzy i takie jakieś plastikowe.

– Ja chyba bym nie chciała. Nie odejdę z pracy na własną prośbę – wyrzuca z siebie Christie, zerkając na mnie.

Na skórze czuję swędzącą wilgoć i staram się koncentrować na krawędzi biurka Mole. Jeśli nie będę ruszać głową, może ominie mnie bieg do toalety.

Mole bierze łyk wody, przełyka wolno i przyciska dłoń do piersi, gdy tłumi kilka beknięć.

– Nie, kotku, nie odejdiesz. – Krzywi się, obrzuca spojrzeniem leżące na biurku dokumenty, po czym znowu patrzy na nas. – W tym przypadku nie ma mowy o odchodzeniu na własną prośbę...

– Och, co za ulga! Zdążyłam już zarezerwować wycieczkę do Tajlandii – wtrąca Christie piskliwym głosem.

– No dobrze... Nie będę owijać w bawełnę. Czy możecie mi podać choć jeden dobry powód, dla którego miałabym was nie zwalniać?

Wow. Tego to się akurat nie spodziewałam. Christie patrzy najpierw na mnie, po czym na Mole. Ja nie ruszam głową, gapiąc się prosto przed siebie.

– Co powiedziałaś? – Christie ściska palcami marynarski kołnierzyk swej bluzki.

– Wiecie, że firma pozbywa się balastu. – Mole patrzy na mnie pytająco, a ja obracam minimalnie głowę, aby na nią spojrzeć. W moim żołądku wszystko się przewraca. Przełykam ślinę i w ustach czuję paskudny smak lemoniady z aspiryną. – Cóż, was dwie można uznać za taki balast.

– My jesteśmy balastem? – pyta Christie.

– Tak.

– Jesteśmy balastem – powtarza, przetrawiając to. – Och.

– Przykro mi – oświadcza Mole. – Przeanalizowaliśmy wasze wyniki. Zamówienie zbyt dużej liczby świec – czuję na sobie spojrzenie Christie – głupie hasła reklamujące bieliznę, nieobecności... Mogłabym dalej wymieniać, powstrzymam się jednak. Obie otrzymujecie ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze jedna wpadka i wylatujecie.

– Nie sędzę, aby wolno im było to zrobić, Viv. Nie możecie tego zrobić!

– Możesz się oczywiście spotkać z kimś z kadr i rozwiązać wszelkie wątpliwości. – Przez jej twarz przemyka cień, kiedy przesuwa po biurku w naszą stronę dwie koperty. Wiem, że będzie niedobrze, jeśli nie pozostanę w całkowitym bezruchu. – A tymczasem macie tutaj też nasze warunki. – Przygląda mi się uważnie. – Chciałabyś coś powiedzieć, Vivienne?

– Chyba zaraz zwymiotuję. – Wstaję, zasłaniam usta dłonią i puszczam się biegiem do toalety.

Koperty z pisemnymi ostrzeżeniami leżą nieotwarte na naszych biurkach. Odwracam kosz do góry nogami i kładę na nim stopy. Czasami, kiedy się rzeczywiście zwymiotuje, czuje się znacznie lepiej. Teraz mogę nawet napić się herbaty.

– Nie mogę uwierzyć, że miała czelność nazwać nas balastem. No bo spójrz tylko na nią, grubą krowę...

– Ćśś!

– A co tam! A cała ta sprawa ze świecami to przecież moja wina. Czemu ty też dostałaś ostrzeżenie?

– Bo powinnam sprawować nad tobą nadzór. – Wzdycham i otwieram kopertę. Czemu byłam takim beznadziejnym pracownikiem? Czytam, że dalsze nieobecności usprawiedliwia wyłącznie zwolnienie lekarskie. Musimy wpaść na jakiś kreatywny pomysł sprzedaży świec przez cały rok. Mamy przygotować szczegółowe akta na temat wszystkich naszych produktów. Nie wygląda to dobrze. – Nie jest tak źle, przynajmniej nadal mamy pracę.

– Muszę zapłacić za Tajlandię.

– A ja opłacać czynsz.

– Ty dasz sobie radę, masz przecież bogatego narzeczonego.

Przez chwilę nie bardzo wiem, o czym ona mówi. Potem dociera do mnie, że ma na myśli Roba.

– Nie można być zależną od mężczyzny – mamroczę.

– Taa, ale założę się, że jesteś zadowolona z jego powrotu, no nie?

Myślę o wstrząsie, jaki przeżyłam, kiedy rano obudziłam się naga w łóżku z Robem. O tym, jak na paluszkach wymknęłam się do łazienki i założyłam piżamę. Przypomina mi się miska po płatkach, którą zostawił w zlewie, i zachlapany wodą dywanik w łazience. Jak do tego wszystkiego doszło? Zamykam oczy, nagle niewiarygodnie zmęczona.

– Viv?

– Co?

– Założę się, że dziękujesz swojej szczęśliwej gwiazdzie.

– Można tak powiedzieć...

Patrzę na pochylone głowy za szarymi przepierzeniami. Powinnam podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie. Zacząć to robić w tej chwili. Dziękować, że nie taka przyszłość mnie czeka, ponieważ w moim przypadku spełniło się marzenie każdej dziewczyny: jak Kopciuszek upolowałam bogatego, przystojnego mężczyznę, który mnie stąd zabierze. „Nie kochasz go!” – piszczy coś w mojej głowie, po czym zostaje obezwładnione jak porwany zakładnik. Nie. Kocham go. Kocham, a ogromnym plusem tego, że go kocham, jest fakt, że nie muszę się teraz martwić. A zresztą, czy ta robota i tak nie napawała mnie zniechęceniem? Nie byłam nią wręcz zażenowana i nie marzyłam o czymś innym? Cóż, proszę bardzo – bogaty narzeczonny... Wygrany los na loterii.

Ale... Nie ma żadnego „ale”.

Wyglądam przez okno i rozmyślam o tym wszystkim, kiedy leżąca na biurku komórka zaczyna wibrować. Nie znam tego numeru. Max! Może przecież dzwonić z budki.

– Cześć!

– Vivienne, z tej strony Reggie z naprzeciwka.

Nie mieszka naprzeciwko mnie. Co to za sposób przedstawiania się?

– Witam.

– Chodzi o twoją babcię, skarbie. – Po głosie słysząc, że to staruszek, palant jeden. – Dzwonię ze szpitala. Sądzę, że powinnaś tu przyjechać.

– Co się stało?

– Cóż... Ona... Nie jest dobrze.

– Nie jest dobrze?

– Tak, zostaje w szpitalu. Zapalenie płuc. Nie pozwoliła mi wezwać lekarza...

Pociąg do Kent strasznie trzęsie i zatrzymuje się na każdej smaganej wiatrem stacji. Po drodze mija zapuszczone ogrody i koślawe huśtawki, i dobudówki z tarasami.

Babcia wyzdrowieje. Jest twarda. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek była chora. Przewróciła się i wtedy się okazało, że cierpi na artretyzm, ale nic poza tym.

Ludzie umierają na zapalenie płuc. Zwłaszcza starsi ludzie. Idą do szpitala i już nie wracają.

Ale babcia nie jest stara. Dopiero co skończyła siedemdziesiąt lat. Podobno sześćdziesiąt to nowe czterdzieści, więc... I tylko raz w życiu zapaliła papierosa. Jej płuca są silne.

Ale jest taka chuda. Właściwie to waży za mało. Dużo ostatnio myślałam o tym, jak bardzo jest słaba. Myśl o życiu bez niej spływa na mnie jak potworny cień. Zawsze mogłam na nią liczyć. Moja matka zostawiła mnie u niej, kiedy miałam siedem lat, a ona wzięła mnie za rękę i już nigdy nie puściła, zawsze zapewniając wsparcie. Myślę o tym, jak spokojna i kochająca się okazała, kiedy jako szesnastolatka sądziłam, że jestem w ciąży.

Nawet po śmierci dziadka to ona pocieszała mnie. Zawsze mogłam liczyć na jej miłość i serdeczność. To najbardziej życzliwa osoba na ziemi. Wszyscy tak mówią. Zaczynam sobie przypominać miliony przykładów jej życzliwości; cofam się w czasie i zbieram je jak magiczne siły, czyniąc ją w moich myślach silniejszą i odsuwając od siebie ten cień. W końcu pociąg zatrzymuje się na mojej stacji.

W szpitalu Reggie obdarza mnie niedźwiedzim uściskiem. Czuję, jak strzela mi jakaś kość w kręgosłupie. Oczy mam na poziomie jego włochatego ucha. Płakał.

– Gdzie ona jest?

– Na oddziale dwunastym. – Szukam wzrokiem tablicy informacyjnej. – Jest nieprzytomna. – Jego mokre oczy otacza siateczka zmarszczek.

– Jak długo tu jest?

– Od wczorajszego wieczoru.

– Czemu wcześniej pan do mnie nie zadzwonił?

– Powiedziała, że zostawiła wiadomość. Kazała mi nie zawracać ci głowy, zwłaszcza w pracy.

Ruszam biegiem pastelowym korytarzem, kieruję się oznaczeniami prowadzącymi do oddziału dwunastego. Skręcam w lewo, wpadam na potężnego mężczyznę i jego bukiet smutnych chryzantem. Oddział jest zamknięty. Dwa razy próbuję otworzyć drzwi, po czym walę w nie i dopiero wtedy zauważam interkom. Wciskam guzik i odzywa się jakaś kobieta.

– Chciałabym zobaczyć się z moją babcią... Eve Summers,

leży tutaj?

Głos każe mi zaczekać. Kilka chwil później drzwi na oddział się otwierają i wychodzi do mnie ciemnowłosa pielęgniarka w niebieskim fartuchu. Spokojnie zamyka za mną drzwi.

– Witam. Vivienne? – pyta miękko.

– Tak. Moja babcia ma zapalenie płuc. Powiedziano mi, że leży na oddziale dwunastym. To tutaj? Jest tu moja babcia?

Pielęgniarka bierze mnie delikatnie za łokieć i prowadzi do niewielkiego stolika i krzesel, ustawionych niedaleko drzwi. Siadam i zaciskam dłonie na kolorowym siedzisku.

– Jestem Claire i mam tu dziś dyżur. Najpierw muszę z tobą chwilkę porozmawiać, Vivienne, a potem możesz zobaczyć się z babcią. – Próbuję się uśmiechnąć. Czuję się taka malutka i bezradna. Na korytarzu unosi się stołówkowy zapach gotowanej kapusty. – Dobrze się czujesz? – pyta.

– Po prostu chcę ją zobaczyć – odpowiadam, czując, że drżą mi wargi.

– Wiem. Muszę ci powiedzieć, że nie jest z nią zbyt dobrze. Leczymy ją antybiotykami, ma więc podłączoną kroplówkę. Druga kroplówka zapobiega odwodnieniu. – Przygląda mi się uważnie. Kiwam głową, ale nie jestem w stanie znieść jej współczującego wzroku. – Podajemy jej także tlen, aby wspomóc oddychanie, ma więc nałożoną maskę.

– Wyjdzie z tego?

– W tej chwili jej stan jest stabilny. Gdy zjawi się lekarz, poproszę, aby z tobą rozmawiał.

Ściska mi dłoń, która w porównaniu z moją wydaje się taka silna i zdecydowana. To bohaterska, użyteczna i mądra członkini społeczeństwa. Zalewa mnie fala wstydu, gdy myślę o minionych dwudziestu czterech godzinach mego życia.

– Nie śpi?

– Jest nieprzytomna. – Wbijam wzrok w błyszczącą różową podłogę. – No dobrze, musisz jeszcze odkazić ręce i będziemy mogły wejść.

Wystukuje na klawiaturze kod i drzwi się otwierają.

Oddział jest jasnozielony i obwieszony niebieskimi zasłonami. Czuć tu kupą i środkiem dezynfekującym. Po obu stronach poustawiane są łóżka, a każde zajmuje cień człowieka, jak coś, co utknęło w pajęczynie. Idąc, rozglądam się na prawo i lewo. Ci ludzie nie mają nic wspólnego z moją babcią – dlaczego ją tu położono?

Zatrzymujemy się obok wychudzonego mężczyzny, którego skóra jest tak brązowa, jakby go wydobyto z sarkofagu. Zerka złowrogo znad maski tlenowej. Patrząc w jego zażółcone oczy i próbuję zamaskować przerażenie uprzejmym uśmiechem. Kiwa głową. Pielęgniarka odsuwa wiszące wokół łóżka zasłony i oto ona. Moja babcia. Moja pełna energii, zbzikowana, zajęta babcia leży na plecach, a ręce ma wyciągnięte wzdłuż tułowia. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak nieruchomej. Oddech więźnie mi w gardle.

– Napijesz się herbaty? – Pielęgniarka dotyka mojego ramienia.

– Eee, tak, poproszę.

Czuję, jak po policzku spływa mi łza. Osuwam się na stojące przy łóżku krzesło i biorę ją za rękę. Płacząc cicho, pocieram kciukiem pokrytą plamami skórę. Biedne, dotknięte artretyzmem stawy. Paznokcie w kształcie migdałów wydają się dziwnie nagie bez któregoś z kolorowych lakierów, które uwielbia. To pierwszy raz, kiedy ściskam jej dłoń, a ona nie reaguje. Całuję ją, chłodną i gładką jak marmur. Łzy kapią mi z oczu i szybko je wycieram. Biała maska tlenowa zakrywa nos i usta babci, oczy ma zamknięte. Dotykam delikatnie jej policzka.

– Babciu. – Całuję ją w czoło, odsuwam na bok włosy i siadam, przyciskając jej dłoń do swojej twarzy. Obserwuję, jak pierś babci powoli unosi się i opada. Płyn skapuje bezgłośnie z kroplówki do igły wbitej w pergaminową skórę ramienia, gdzie już zaczyna się tworzyć siniak. Patrzą na opaskę na nadgarstku: „Eve Summers, ur. 7.05.42 r.”. Ta osoba, tak dla mnie ważna, ta Eve Summers to kotwica w moim świecie. – Dlaczego nie wezwałaś lekarza? – Ponownie wycieram oczy. – Reg powiedział, że mu na to nie pozwoliłaś. – Całuję knykcie jej dłoni. – A teraz popatrz, wylądowałaś tutaj.

Pielęgniarka przynosi mi papierowy kubek z herbatą.

– W porządku? – pyta.

– Kiedy się obudzi?

Patrzy na babcię z namysłem.

– Trudno powiedzieć. Jak tylko zjawi się lekarz, przyślę go tutaj.

Uśmiecha się i zasłona zasuwana się za nią. Respirator syczy i wzdycha, napełniając płuca babci powietrzem, ale nie ma ani śladu

jej ducha. Kładę głowę obok jej przykrytych kocem nóg i zamykam oczy.

– Wyzdrowiej. Wyzdrowiej, dobrze? – mówię jej. – Nie zostawiaj mnie. – Kardiomonitor cicho pika. – Nie zostawiaj mnie.

Jest ciemno, kiedy wychodzę ze szpitala. Ostatni odwiedzający rozpierzchają się po parkingu, silniki budzą się do życia, a światła omiatają chodnik, gdy ruszam w stronę stacji. Niechętnie ją opuszczam, ale nie pozwolono mi zostać. Świat zewnętrzny wydaje się wrogi i zimny.

Zaczynam myśleć o Maxie, żałując, że nie ma go tutaj, żałując, że nie przywiózł mnie na motorze i że nie czeka teraz z tym swoim szerokim uśmiechem. Wyjmuję z kieszeni telefon i włączam go. SMS od Roba: „Pracuję do późna, aniele. Nie rób kolacji”. Kasuję go i dzwonię do Maxa.

– Tu Max. Zostaw wiadomość.

– Max, to ja. Ja... dzwonię, żeby, no wiesz, powiedzieć cześć i sprawdzić, czy u ciebie wszystko dobrze... więc zadzwoń do mnie.

Co mam powiedzieć? Moja babcia jest w szpitalu. Pożałuj mnie, proszę? Rozłączam się i schodzę powoli schodami na wyludniony peron, gdzie wiatr porusza znakiem ze strzałką i napisem „Londyn”.

W mieszkaniu panuje ciemność. Jest po dziesiątej. Znajduję opakowanie zupy grzybowej i nastawiam wodę. Włączam laptop i wpisuję w wyszukiwarkę „zapalenie płuc”, po czym sporządzam listę pytań. Wygląda na to, że najgroźniejsza jest posocznica – jej ryzyko wzrasta dwukrotnie u osób powyżej sześćdziesiątego roku życia. Lekarz o tym nie wspominał. Może to dobry znak? Polewam

granulki gorącą wodą i mieszam. Na powierzchnię wypływają grzyby, wyglądają jak skórzane płatki. Wracam do laptopa i wpisuję adres swojej strony, zastanawiając się, czy Max nie kontaktował się ze mną w taki sposób. Klikam zakładkę *Co ci chodzi po głowie?* i sprawdzam aktywność czytelników. Ostatni komentarz zamieszczono wczoraj: „Zgadzam się, że to okrutne, ale nikt nie chce nieudacznika!”. Przewijam do góry, szukając imienia Maxa, ale muszę się cofnąć aż do jego wiersza. Pod spodem ktoś o nicku fajnakicia skomentował: „Piękny! Mój ulubiony wiersz”. Następnie ktoś odpisał: „Ten koleś to pośmiewisko! Jest biedny jak mysz kościelna i ma tylko marzenia. Zatrzymaj je, kotku, one nie opłacą czynszu! Jakie to żenujące i teatralne, cytowanie poezji! M – trzymaj się ode mnie z daleka, popełniłam błąd. Nie chcę ciebie ani twoich marzeń! Vivienne”.

Czytam raz jeszcze. Moje imię. Cała się trzęsę, patrząc na te słowa, próbując je zrozumieć. Mojego imienia mógł użyć tylko ktoś zalogowany jako ja. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam na stronie... Przeczytałam wiersz Maxa w pracy. Zostawiłam otwartą stronę? Czy to Michael? Mógł przecież zmienić hasło i zalogować się jako ja. Ale czemu miałyby to zrobić? Oczami wyobraźni widzę, jak Max to czyta, po czym odnajduję SMS-a, który mi wysłał. „Cześć, Viv. No to wieczór chyba nieaktualny. M.”

Piszę szybko, wręcz waląc w klawisze. „Max, nie ja to napisałam! Nie wiem, jak ani kto to zrobił, ale ktoś musiał się przede mną podszyć”. Cursor miga. Cokolwiek napiszę, zabrzmi żałośnie. Chwytam marynarkę i wybiegam z mieszkania.

Dzwonię do Maxa raz po raz, rozłączając się, kiedy uruchamia się poczta głosowa. Jadę do niego taksówką. Co on musi sobie myśleć? Najpierw mu mówię, żeby do mnie nie przyjeżdżał, potem odczytuje tamtą wiadomość, a jeszcze później zjawiam się w galerii razem z Robem. Mój kochany Max.

Wyglądał na potwornie zranionego. Wciąż od nowa odtwarzam w myślach tamtą scenę z galerii, za każdym razem czując ostry ból, aż taksówka się zatrzymuje.

Wyskakuję z auta bez płacenia, zostawiam otwarte drzwi. Silnik buczy leniwie, gdy naciskam guzik domofonu. I trzymam go długo. Wciskam rytmicznie. Wciskam i czekam. Nic. Biegnę na tył budynku i patrzę w okno w kuchni. Ciemno. Nie ma jego motoru. Wracam do drzwi i jeszcze raz dzwonię. Taksówkarz przechyla się nad fotelem pasażera.

– Hej, kotku. Licznik bije! Mam zaczekać?

Wpatruję się w ciemne, puste okna.

– Już idę – mówię.

Gdy taksówka zawraca, ja jeszcze raz patrzę w ciemne okno. Jest mi tak strasznie smutno. W mojej głowie pojawia się myśl, że Max może rzeczywiście wyjechał. Możliwe, że już go nie zobaczę. Wyobrażam sobie swoje życie bez niego i wiem, że będzie do bani.

Powrót do byłego faceta

Riri: Myślę o tym, aby zejść się z moim byłym chłopakiem. On ciągle mnie pyta, czy możemy się spotkać. Bez niego czuję się naprawdę samotna, ale martwię się, że to nie wypali. Jak nie dopuścić do ponownego zerwania?

Looneytunes: Zmień się w zupełnie inną osobę?

Spidercat: Nie piszesz, od jak dawna nie jesteście ze sobą, Riri. Jeśli minęło sporo czasu bez żadnego kontaktu, możliwe, że zaczniecie wszystko od nowa; jeśli jednak nie, skończy się to powielaniem dawnych błędów.

Debbo: Radziłabym uważać na to, czego się pragnie. Moja eks wróciła po sześciomiesięcznej rozłące. Po dwudziestu minutach dotarło do mnie, że nie mogę jej znieść.

Gringo: Myślałem, że jeśli zerwę z dziewczyną, to będę uprawiać seks z mnóstwem innych lasek. Kiedy tak się nie stało, wróciłem do swojej eks. To jednak nie jest związek na dłuższą metę.

Spidercat: To nie jest związek na dłuższą metę? Naprawdę? Ale z ciebie nieodpowiedzialny ciul, Gringo.

Gringo: Oj tam, oj tam.

Co to, do ciężkiej cholery, za okropne zawrodozenie? Siadam na łóżku – która godzina? Zegar pokazuje szóstą. Rob śpiewa pod prysznicem. Wstaję i dzwonię do szpitala. Bez zmian, babcia dalej jest nieprzytomna. Siadam na łóżku i patrzę przed siebie. Rob wyłania się z łazienki niczym reklama kremu do golenia, z ręcznikiem owiniętym w pasie, a za nim ciągnie się para i zapach żelu pod prysznic.

– Hej, Króliczku – mówi tubalnie. – Obudziłem cię?

Pocieram czoło.

– Rob, jak długo tu będziesz?

Przestaje się wycierać i marszcząc brwi, przygląda mi się z lekkim współczuciem, jakbym musiała być szalona, żeby zadawać takie pytanie. Siada obok mnie.

– O co chodzi, Króliczku? Jesteś zła, bo pracowałem do późna?

– Nie. – Próbuje mnie pocałować. Wstaję. – Uważam po prostu, że jest między nami sporo nierozwiązanych spraw. Nie wydaje mi się, abyśmy sobie z tym poradzili, kiedy ty tu mieszkasz. A tobie? – Spuszcza głowę. – Mówię poważnie, kiedy ona wyprowadza się od ciebie?

– Chciałem o tym z tobą porozmawiać – mówi, patrząc na mnie oczami szczeniaczka.

– Napisałeś coś na mojej stronie?

– Słucham?

– Na mojej stronie. Ktoś napisał coś, podając się za mnie. Zostawiłam ją otwartą tamtego wieczoru, kiedy wróciłeś. Mówiłeś, że jej nie oglądałeś, ale nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto mógłby to zrobić.

Przechyliła głowę. Na rzęsach ma kropelki wody. Skapują mu z włosów na opalony nagi tors. Oczy ma niewiarygodnie niebieskie.

– W porządku. Przyłapałaś mnie. – Unosi rękę.

– Co takiego?

– Zrobiłem to.

– Ty to zrobiłeś? – Nagle nie wiem, co powiedzieć. Mam ogromną ochotę uderzyć go w twarz. – Dlaczego? Czemu to zrobiłeś?

– Cóż, nie chcę, żeby ten Max do ciebie startował. Pisanie wierszy dla dziewczyny innego faceta... Tak być nie powinno. Za kogo on się uważa z tymi wszystkimi kwiecistymi słowami? Chcę cię całą dla siebie. Nie chcę mieć za rywala jakiegoś zadurzonego poety. – Posyła mi swój śnieżnobiały, oślepiający uśmiech.

Wpatruję się w niego.

– On nie napisał tego wiersza, cytował Yeatsa.

– Tak, dziękuję ci, wiedziałem o tym.

– Nie mogę w to uwierzyć! – wybucham. – Nie mogę uwierzyć, że tak się wtrącasz do mojego życia.

– Słuchaj, Króliczku, kocham cię. To proste. I pokonam każdego rywala. To tak jak z niedźwiedziami...

– Wcale nie tak jak z niedźwiedziami! Jak śmiałeś? – Przechodzi przez pokój i bierze mnie w ramiona. Odpycham go. Jego perfekcyjne bicepsy napinają się, gdy trzyma mnie jeszcze mocniej. – Puszczaj! – Uderzam go pięścią w ramię.

– Króliczku, daj spokój... Przepraszam! Przepraszam, okej? Kocham cię. Nie powinienem był tego robić. – Szamoczę się i ręcznik spada mu z bioder. Patrzę na jego ciało. Na ułamek sekundy mnie to rozprasza. Jest oszałamiająco przystojny i doskonale o tym wie. – Zachowałem się bardzo nieładnie. Teraz to

widzę.

– To było podle! Kiedy się taki stałeś? Jak mogłeś zachować się tak władczo i podle?

– Nie chcę być podły. – Udaje mu się wyglądać na zawstydzonego.

Okropna myśl wpada na swoje miejsce, jak moneta do otworu.

– Wiedziałeś, że będzie w Królewskiej Akademii? Dlatego właśnie tam poszliśmy? – Zasznurowuje usta i się uśmiecha. – Jezu, Rob!

– Przyznaję, że nie zachowałem się najładniej, okej? Wyguglowałem sobie kołesia i zobaczyłem, że będzie w galerii, i po prostu nie mogłem się oprzeć. Zrobiłem to dla nas. Czasami trzeba cię uratować przed tobą samą! – woła do moich pleców.

Wpadam do kuchni i nastawiam kawę, tak wściekła, że ledwie jestem w stanie oddychać. Jak mógł zrobić coś takiego i sądzić, że nie będę miała nic przeciwko? Podchodzę do laptopa i poruszam myszką. Nic. Ani słowa od Maxa.

Kawa bulgocze. Wracam wściekle do kuchni i nalewam sobie kubek. Pojawia się Rob, ubrany w liliową koszulę w kratkę i świetnie skrojone ciemnoszare spodnie. Staje blisko mnie, patrzy, nic nie mówi. Gotuję się z wściekłości i nie jestem w stanie na niego patrzeć. Chwilę później wybucham płaczem.

– Och, kochanie moje, nie płacz!

– To nie jest w porządku, Rob. – Wyjmuje mi z dłoni kubek z kawą, odstawia go i bierze mnie w ramiona. Beczę mu w kraciaste

ramię.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam. – Przytula mnie. – Co za palant ze mnie. Słuchaj, zadzwonię do koleśia. Powiem mu, że to byłem ja. – Odpycham go. – A niech tam, kupię nawet jeden z jego bohomazów, jeśli mi wybaczysz.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłeś, prawda?

Zerka na zegarek.

– Daj spokój, Viv.

– W ogóle nie wiesz, czym jest przyjaźń, zaufanie, miłość czy... inne dobre uczucia, no nie?

– Cóż, to trochę niesprawiedliwe, nie uważasz? Kocham cię.

– Nie kochasz, nie tak naprawdę.

– Viv, słuchaj, nic się nie stało. To nie rak, prawda? Wiem, że jesteś wkurzona, ale nic się nie stało. Jestem tu teraz...

– Stało się. Babcia jest w szpitalu, chyba wyrzucą mnie z pracy, a teraz przez ciebie straciłam najlepszego przyjaciela. Z całą pewnością dużo się stało.

– Jak to wyrzucą cię z pracy?

– Och, mogłam się domyślić, że tylko to usłyszysz.

Biegnę, aby się ubrać; szybko zakładam sukienkę i buty. Spinam włosy i przemywam wodą spuchnięte oczy. Ostatnie, czego mi trzeba, to jakaś głupia kłótnia. Muszę jechać do szpitala. Rob puka delikatnie do drzwi łazienki.

– Viv?

– Co?

– Możesz wyjść, proszę? – Otwieram gwałtownie drzwi, a on podskakuje. – Słuchaj, chcę z tobą porozmawiać. Dzwoniłem do pracy i mam pół godziny. – Prycham, ale jednak idę za nim na sofę. – No dobrze, wiem, że dużo musiałaś przeze mnie przejść, i przepraszam cię za to. Naprawdę bardzo przepraszam, Viv. Ale chcę być z tobą. Wiem, że źle się za to zabrałem, ale może nam się udać. – Ujmuję między palce luźne pasmo moich włosów i dołącza do spiętej reszty. – Może. – Patrzę na swoje zaciśnięte dłonie. – Skarbie? – Na otwartej dłoni Roba leży naszyjnik z diamentem. – Proszę, załóż to. – Zapina mi go na szyi jak obrozę przeciw pchłom. – Ceny nieruchomości gwałtownie spadają, zamierzam więc sprzedać swoje mieszkanie. – Wpatruję się w hipnotyzujący błękit jego oczu. – Chciałbym wprowadzić się do ciebie i ożenić się z tobą tak szybko, jak to możliwe. – Czuję, jak wzbiera we mnie krzyk „Nie!”, ale przecież właśnie o tym marzyłam. Jego głos jest kojący. Klepie mnie po brzuchu. – A potem możemy postarać się o dzidziusia, dobrze? I nic się nie przejmuj pracą, w końcu trudno to było nazwać karierą. No i nie będziesz musiała pracować... Chyba że będziesz chciała. Utrzymam nas oboje, Viv. Mogę nam zapewnić wygodne życie, nigdy ci niczego nie zabraknie. Będziemy mieć mnóstwo pieniędzy, a ty bardzo, bardzo szybko zajdziesz w ciążę. – Boże, jakie proste to wszystko się wydaje w jego ustach. Mogłabym się po prostu poddać i mieć wszystko, o czym marzyłam. Rob ściska mi udo.

– Nie... nie mogę o tym teraz rozmawiać. Muszę jechać do szpitala – mówię.

Spuszcza głowę.

– Tak. A ja do pracy. – Bierze z oparcia krzesła marynarkę i otwiera drzwi. – Przemyśl to, co powiedziałem, dobrze? – Wychodzi, po czym wraca. – I głowa do góry. Możesz na mnie liczyć. Pozdrów babcię ode mnie.

Drzwi zamykają się i słucham, jak zbiega po schodach.

Biorę do ręki kubek z niedopitą kawą i ciskam nim w drzwi – uderza w malowane drewno. Dwie porcelanowe połówki odbijają się, pozostawiając ociekającą plamę.

– Pozdrowiłabym, ale jest nieprzytomna – mówię cicho.

Siedzę przez chwilę i wyglądam na ulicę. Słońce odbija się od budynków, jakby to był jakiś kod. Jak mam sprawić, aby Max zobaczył, że nie miałam z tym nic wspólnego?

Ale... Ja jednak miałam z tym coś wspólnego. To ja ponoszę odpowiedzialność, prawda? Wpuściłam tu Roba. Mogłam go tamtego wieczoru odprawić, nie zrobiłam tego jednak i nadal tu jest. A więc to oczywiście moja wina. Max tego nie zrozumie. Sama ledwie jestem w stanie. Chodzę po pokoju, próbując wymyślić, jak zaradzić tej sytuacji. Przekonam go, żeby ze mną porozmawiał. Wyślę mu e-mail. Będę koczować pod jego domem. Wtedy dostrzegam migające światelko automatycznej sekretarki. Staję nad telefonem, mając nadzieję usłyszeć głos Maxa. Biorę głęboki oddech i wciskam „play”.

– Witaj, Viv, kochanie, to tylko babcia. Nie czuję się zbyt dobrze. Mam te okropne bóle w piersi i trochę kręci mi się w głowie. Reg uważa, że powinnam jechać do szpitala... Viv? Jesteś tam? Nie odbiera... Pa, mój skarbie... Buziaczki.

Słucham raz jeszcze, a oczy mam pełne łez. Oczywiście, wiadomość od babci. Próbowwała ze mną porozmawiać,

jednocześnie przerażona i odważna, próbowała prosić o pomoc, a co ja wtedy robiłam? Wzdrygam się na to wspomnienie i wychodzę, aby pojechać do szpitala.

24 Miłość

Jeśli miłość cię zawoła – podążaj za nią śmiało, choć jej drogi są trudne i strome. A gdy rozpostrze swe skrzydła – ulegnij, nawet jeśli miecz, który skrywają, miałyby cię zranić.

Kahlil Gibran

O miłości mówimy wtedy, gdy osoba, którą ktoś widzi w tobie, jest lepsza od osoby, którą jesteś, a ty naprawdę pragniesz jej dorównać.

Jem, lat 19, Poole

Staraj się nie przewidywać miłości; nigdy nie jest tak, jak ci się wydaje, że będzie. Kiedyś robiłam z niej przedstawienie. Ale przekonałam się, że miłość jest spokojna i łagodna, a namiętność cicha i głęboka. Szczęście płynie z pewności. Moja miłość to coś, na czym się mogę oprzeć po którejs z ciężkich życiowych wspinaczek. On jest nieodłączny i prawdziwy, szybko wybacza i przyjemnie się z nim przebywa. Jego uroda kryje się w jego poczuciu godności, jego wierze, męskości i tym, jak się porusza. Rozśmiesza mnie i śmieje się ze mną i ze mnie. To się nie zmienia, a trwa już od czterdziestu lat.

Rose, lat 62, Yorkshire

– Witam, z tej strony Vivienne Summers. Chciałam tylko powiedzieć, że nie będzie mnie dzisiaj...

– Witaj, Vivienne. – Snotty odbiera, przerywając nagrywanie wiadomości na pocztę głosową. Jasny gwint!

– Och, cześć. Dzień dobry, ja...

– Mówiłaś, że nie będzie cię dzisiaj? – warczy.

– Nie. Moja babcia jest w szpitalu.

– Naprawdę? A tym razem na co?

– Ma zapalenie płuc. – Wypowiedzenie tego na głos czyni to jeszcze bardziej rzeczywistym i w gardle tworzy mi się wielka gula.

– Naprawdę? – pyta ponownie znudzonym głosem.

– Muszę być przy niej.

– Chorowita kobieta z tej twojej babci, nie sądzisz?

– Więc dziś mnie nie będzie.

– W porządku! – mówi śpiewnie i nieco przerażająco, po czym się rozłącza.

Cóż, pracą będę się martwić później.

Rankiem na oddziale sporo się dzieje. Zasłony są poodsuwane. Pielęgniarki sprzątaję po nocnej zmianie. Widzę, że przebierają pościel na łóżku Pana z Sarkofagu i zastanawiam się, co się z nim dzieje. Przy łóżku babci siedzi Reg, trzymając ją za rękę. Przez chwilę czekam za nim.

– Myślałem o wycięciu rododendrona, ale w końcu tego nie zrobiłem. Wiem, jak lubisz te kwiaty, moja kochana. – Gładzi jej dłoń swoją dużą, szorstką łapą. Następnie zaczyna cicho śpiewać: – „Ta da dam... te spojrzenia... ta da dam, od niechcienia...”. Ten kot, którego dokarmiasz, wrócił dziś rano. Wygląda, jakby schudł z

pół kilo... Chyba mu coś wyniosę, jeśli później dalej tam będzie.

– Ona pana nie słyszy – oświadczam.

– Och, witaj, Viv. – Podnosi głowę. – Nie wiem... To chyba mnie pomaga myśl, że jednak może słyszy.

Uśmiecha się do mnie, odsłaniając poźółkłe od nikotyny zęby. Podchodzę do łóżka, poprawiam kołdrę i układam kwiaty. Całuję babcię w policzek – jej skóra jest sucha i ciepła.

– Długo pan tu jest?

– Jakąś godzinę.

– No to może pan już iść, jeśli chce. Ja z nią posiedzę.

Coś pojawia się w jego oczach i zerka na babcię.

– Nie, chyba zostanę jeszcze trochę. – Uśmiecha się. – Obiecałem jej to. Nie znosi szpitali.

– Tak, wiem. – Stoję nad nim. – W takim razie przyniosę drugie krzesło.

Gdy idę przez oddział, słyszę, jak znowu nuci. Czemu nie rozumie aluzji i nie zostawi mnie z babcią samej? Stawiam krzesło po drugiej stronie łóżka, biorę jej rękę i całuję. – Lekarz już był?

– Jeszcze nie. – Uśmiecha się ze smutkiem, jakbym to ja była intruzem.

– Dlaczego nie wezwał pan lekarza do domu, zanim się tak bardzo rozchorowała?

– Ach... Nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Powinien ją pan do tego zmusić – mamroczę, marszcząc brwi na widok fioletowego sińca wokół igły.

Ponownie się uśmiecha.

– Sama wiesz, że Eve nie da się do niczego zmusić.

– No to ją przekonać. Czy coś. Nie wiem. Ale nie powinna się tutaj znaleźć.

– Masz rację.

Pociera twardym kciukiem o nadgarstek babci i całuje jej dłoń. Nagle mam ochotę go stąd wygnać. To ja powinnam się nią opiekować.

– Proszę mi coś powiedzieć: czy pan i moja babcia spotykaliście się już za życia dziadka?

Prostuje się i wciąga głośno powietrze. Dobrze, jakaś reakcja.

– Zawsze ją kochałem, Viv. Odkąd tylko się poznaliśmy.

– Taa... Nie o to pytałam.

– Kochała twojego dziadka.

– Ale on często wyjeżdżał, prawda? To ułatwiało panu sprawę? Zaczekał pan, aż odeszła pańska Alice czy też nie miało to znaczenia?

Na jego skroni pojawia się mała pulsująca żyłka.

– To nie pora na taką rozmowę, Viv – niemal szepcze.

– Według mnie pora jest idealna. Siedzi pan tutaj, jakby to była miłość pana życia!

Respirator cichnie. Ktoś na oddziale kaszle głośno.

– Była... Jest. Przed tym wszystkim rozmawialiśmy o tym, żeby się pobrać.

– O Jezu! A to dopiero! Ale po co? – Prawie się śmieję.

Patrzy na nią tęsknie kaprawymi, starymi oczami.

– Cóż, Vivienne, skoro zadajesz takie pytanie, to znaczy, że nigdy nie byłaś zakochana – mówi cicho. – Ty nie wiesz. – Kręci głową i wstaje. – Nie wiesz. – Wychodzi.

Mam w końcu to, czego chciałam: jestem sama z babcią. Ale teraz przez tego głupiego człowieka fatalnie się czuję. Ślub! Powiedziałyby mi o tym. Próbuję strząsnąć z siebie nieprzyjemne uczucie, więc wstaję i czeszę babci włosy. Są tłuste. Chciałabym je umyć. Patrzą na jej jasne rzęsy i myślę, że kupię jej parę kosmetyków, żeby miała, kiedy się obudzi. Gdy wyglądam kołdrę i na jej szyję spada mokra kropla, dociera do mnie, że płaczę.

Wiem, co to miłość. Wiem, jak to jest kogoś kochać, wiem, jak to jest sądzić, że może się stracić ukochaną osobę.

Jakiś czas później, kierując się węchem, udaję się do szpitalnej stołówki. Chyba powinnam coś zjeść. Gorące dania są pozbawione kolorów i nieapetyczne. Wszędzie widać ludzi siorbiących zupę i stukających tacami. Można by sądzić, że szpitalna stołówka powinna być nieco weselsza. Nie powinna mieć pomarańczowych ścian i serwować świeżych i zdrowych dań? Nie

powinni dorzucać do każdego placka z lucerną gratisowego wywaru z perzu?

Decyduję się na kawę i kanapkę z jasnego pieczywa, znajduję wolny stolik i zaczynam znowu dzwonić do Maxa, i słuchać jego poczty głosowej. Za trzecim razem zostawiam wiadomość:

– Hej, Max, to ja. Wiem już, że nie chcesz ze mną rozmawiać, bystrzak ze mnie, co? Ale bardzo bym chciała, żebyś pozwolił mi wszystko wyjaśnić. Poza tym sporo się wydarzyło i... cóż, przydałby mi się przyjaciel, a ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. Zakładam, że nadal interesuje cię ta posada? Ha, ha, eee... Proszę, Max, zadzwoń do mnie.

Gdy chowam telefon, coś przykuwa moją uwagę jak łabędź na powierzchni stawu: pięknie skrojona sukienka z pomarańczowego jedwabiu, długie opalone nogi i lśniące włosy. Czeka przy kasie, aby zapłacić. Odwraca się – to Sam, była dziewczyna Roba.

O kurwa. Spuszczam głowę, mając nadzieję, że mnie nie zauważy, kątem oka jednak widzę, że idzie w moją stronę. Kołysze biodrami, zostawiając za sobą szczyptę magii i rumieńce na policzkach panów będących już jedną nogą w grobie. Nie zdziwiłabym się, gdyby za nią kroczyły jelonki Bambi i frunęły ptaki. Słyszę stukot jej obcasów, gdy uważnie czytam naklejkę ze składnikami kanapki. Klik, klik, klik. Idź dalej. Idź sobie, siostró! Zatrzymuje się. Czekam.

– Vivienne, prawda?

Przywołuję na twarz minę przyjemnego zaskoczenia, po czym podnoszę głowę.

– Słucham? – pytam. Jakbym jej nie pamiętała!

– Sam. Łączy nas Rob Waters. Obie jesteśmy jego byłymi dziewczynami.

– Ach tak! Tyle że ja nie jestem jego byłą dziewczyną... Wróciliśmy do siebie. – Boże, to takie słodkie! Delektuję się widokiem małej zmarszczki, która pojawia się między jej brwiami.

– Taak, chyba w końcu dotarło do niego, że nie potrafi beze mnie żyć... Prawdopodobnie potrzebował prawdziwej kobiety, więc... – Czemu, ach, czemu nie założyłam pierścionka zaręczynowego?

– Mówisz poważnie?

– Aha. Widzisz, można uznać, że w ogóle się nie rozstaliśmy. Przykro mi jednak, no wiesz, że wam nie wyszło. – Uśmiecham się współczująco.

– Niepotrzebnie – odpowiada. – Nie wiem, co ci naopowiadał, ale to ja z nim zerwałam. – Stawia na stole sałatkę z jajkiem i ogląda uważnie idealny paznokieć. – Ciężko to zniósł, biedaczek, ale widzisz, zakochałam się po uszy w moim ginekologu. – Pokazuje na stołówkową ladę, przy której stoi piękny mężczyzna w lekarskim fartuchu, a skórę ma tak czarną, że aż wpadającą w granat, jakby był wyciosany z mahoni.

– Och.

– Zabawne, że akurat tu musiałyśmy na siebie wpaść. To klinika i Troy ma tu dziś rano wykład; a potem wybieramy się do Francji na długi weekend.

– Och, Troy. – Dlaczego się po prostu nie odpiardoli?

– I zamierzałam ci coś wyznać, choć teraz już pewnie nie

powinnam... Rob to najbardziej nieprzyjemny facet, jakiego znam. I pomyśleć, że musiałam mu dziękować za każdym razem, kiedy mnie zabrał na kolację!

Śmieje się dźwięcznie. Podchodzi do nas jej lekarz. Każdy jego ruch emanuje seksem. A uśmiech ma po prostu oszałamiający. Obejmuje ramieniem Sam, jego ciemna dłoń pojawia się na jej biodrze i nagle wyobrażam sobie, jak uprawiają seks. Jest bardzo pięknie i erotycznie, i egzotycznie... i tak dalej.

– Witam. – Głos ma tak radiowy, że chętnie bym go nagrała, jak wypowiada moje imię, i odtwarzała to bez końca.

– Hej.

Lekko macham na powitanie, starając się zachowywać swobodnie, ale rumienię się po korzonki włosów. Sam nie przedstawia nas sobie, a jedynie uśmiecha się i zabiera ze stołu sałatkę.

– A tak na marginesie, jeśli chodzi o ten naszyjnik, który masz na szyi... Rob mi go dał. Nie miałam serca go zatrzymać, więc mu zwróciłam, kiedy odeszłam. Tobie w nim jednak całkiem do twarzy.

Dotykam diamentowego wisiora, kiedy oboje – perfekcyjni, zakochani ludzie – znikają za rogiem.

– Co za zdzira! – burczę.

W mojej głowie rozpoczyna się szaleńczy wyścig myśli. Czuję się, jakby ktoś wpychał mi coś do tchawicy. To ona zakończyła związek z Robem! Więc został nagle sam i uznał, że wróci do mnie z podkulonym ogonem, racząc bzdetami w stylu „nie mogę bez ciebie żyć” i „nigdy nie przestałem o tobie myśleć”.

Wyprowadziła się już? Założę się, że zrobiła to dawno temu, a on tylko wykorzystuje ją jako pretekst, aby zakraść się z powrotem do mojego życia. Najgorsze jest to, że mu uwierzyłam. Znowu wystrychnął mnie na dudka. Zdejmuję naszyjnik i zastanawiam się, czy go nie wyrzucić, ale to nie jest film. Nie mogę, ot tak, wyrzucić porządnej biżuterii. Na myśl o Robie robi mi się niedobrze.

Chwileczkę, a jeśli to ona kłamie? Boże – jakże szybko mi poszło zmieszanie z błotem Roba! Oczywiście, że to ona kłamie. Prędzej by umarła niż przyznała, że wygrałam. Mam mężczyznę, którego pragnęła, i nie może mi go odebrać. Ha! Przez chwilę triumfuję, ale potem wyobrażam sobie Roba stojącego obok doktora Adonisa i już nie jestem taka pewna.

Odrywam skórkę od chleba. Gdybym musiała na kogoś postawić, rzekłabym, że to Rob prawdopodobnie kłamał. Ale czy to naprawdę ważne, kto rzucił kogo? Nie jesteśmy w przedszkolu. Wrócił do mnie, tak jak tego chciałam, i tak jak powiedział, mając go przy boku, nie muszę się przejmować utratą pracy. Mogę robić to, na co tylko mam ochotę. Mogłabym spędzać więcej czasu z babcią. Rob i ja bierzemy ślub. Tego właśnie pragnęłam, czyż nie? Powiedział, że ślub odbędzie się niedługo. Ale nie będzie taki, jaki miał być ostatnim razem – nie, tym razem chcę kameralnej, eleganckiej uroczystości. Pewnie i tak będę już w ciąży. Już nigdy nie musiałabym się martwić o pieniądze. Byłabym jak te mamuśki z Chelsea z diamentowymi kolczykami, blokujące przejście w Starbucks swoimi wózkami Bugaboo... A może nie taka jak one, ale moje dziecko miałoby wszystko.

Próbuję wyobrazić sobie dziecko ze ślicznymi błękitnymi oczami Roba, ale jakoś mi nie wychodzi. Kładę głowę na stoliku.

Idę przez irlandzkie pola, a w nosidełku z owczej skóry niosę dziecko Maxa. To śliczny chłopiec, ma dołeczki w policzkach,

smagłą cerę i niesforne czarne włosy swego ojca...

A później budzi mnie Reg...

Kiedyś uważałam, że wszyscy lekarze są seksowni z racji tego, że ratują ludzkie życie, ale akurat ten, z ogromnym czerwonym nosem i oddechem przesiąkniętym kawą, i jego stażysta, przygarbiony i z trzęsącymi się dłońmi, zdecydowanie temu przeczą. Mówią o babci tak, jakby jej stan był jakąś straszną tajemnicą, a oni dawali nam wskazówki, byśmy mogli ją odkryć. Wspominają o badaniach krwi i wysiękowym zapaleniu opłucnej.

– Co nam chcecie powiedzieć? – przerywam.

– Cóż, nie bardzo lubimy mówić: „Proszę się przygotować na najgorsze”, ale istnieje duże ryzyko wystąpienia posocznicy.

– Czy ona umiera?

– Posocznica, zwana potocznie sepsą, jako powikłanie po zapaleniu płuc występuje częściej u osób starszych i osiemdziesiąt procent chorych przegrywa walkę z tą chorobą... – Stażysta recytuje tekst ze swego podręcznika.

– Czy ona umrze?

– W tej chwili nie jesteśmy w stanie tego powiedzieć. Możliwe jednak, że konieczna okaże się transfuzja krwi i potrzebna nam pisemna zgoda na jej wykonanie.

– Cokolwiek uzna pan za konieczne, doktorze... – Głos Rega się łamie, gdy starszy pan sięga po długopis.

– Ja jestem jej najbliższą krewną – ofukuję go. – Co to znaczy, że nie jesteście w stanie powiedzieć?

– Panno Summers, pani babcia jest poważnie chora. Najbliższe dni okażą się krytyczne.

– Ale w dzisiejszych czasach nie umiera się na zapalenie płuc. Musicie robić coś nie tak. – Wymieniają spojrzenie w stylu „znalazła się znawczyni”. – Wyguglowałam to. Wiem.

– Panno Summers, ja też to wyguglowałem, oprócz tego zaś siedem lat studiowałem medycynę, a od dziesięciu pracuję jako lekarz. Może pani być spokojna, robimy, co w naszej mocy. Będziemy informować panią na bieżąco – oświadcza Wielki Nos i po tych słowach obaj znikają niczym duchy za zasłoną.

Reg ma wilgotne oczy i zero z niego pożytku. Patrzę na babcię. Jej blada skóra ma niebieskawy odcień, nawet powieki mają podobny kolor. Dotykam twarzą jej policzka i szepczę we włosy.

– Zaczekaj – mówię jej. – Nigdzie nie odchodź, babciu. Musisz ze mną zostać. Naprawdę cię potrzebuję. – Nie walczę ze łzami. Próbuję siłą woli sprawić, aby poczuła się lepiej. Zaledwie jeden krótki tydzień temu jej obecność w moim życiu brałam za pewnik.

Czuję na ramieniu rękę Rega.

– Będzie dobrze – mówi. – Ona się nigdzie nie wybiera. Zakazujemy jej, prawda? – Przyciąga mnie do piersi. Jego koszula pachnie mydłem, a serce bije mu miarowo. – Dobrze, już dobrze.

Gładzi mnie po plecach, a ja mam ochotę wtulić się w niego i płakać, zamiast tego jednak sztywnieję i odsuwam się, wycierając twarz.

– Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Chyba pójde zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Viv, masz kogoś, kto się tobą zaopiekuje? – Jego psie oczy pełne są niepokoju.

– Jestem dorosła. Nie potrzebuję opieki – prychem.

Jakie to przestarzałe. Zaopiekowanie się! Odchodzę gniewnie, a smutek powiewa wokół mnie jak poły rozpiętego płaszcza.

Na przedmieściach zdążył zapaść wilgotny zmierzch. Ciemne chmury są nabrzmiące deszczem. Asfalt już nim pachnie. Ruszam w stronę stacji – przebywanie w szpitalu źle na mnie działa, zwłaszcza w towarzystwie Rega. Nie, muszę stąd uciec. Muszę pomyśleć. Wiem, że ostatnio zaniedbywałam babcię. W sumie Rob nigdy się nią nie interesował, a odkąd się rozstaliśmy, pochłaniało mnie to bez reszty. Dużo myślałam o stronie. Z zawodu miłosnego i cierpienia uczyniłam swoisty projekt: szukałam informacji, pisałam i oddawałam się temu. Starłam się to uczynić czymś bardziej banalnym, a nawet zabawnym. Ale taka jest właśnie natura zawodu miłosnego, prawda? Każdy cierpi w zupełnie inny sposób.

Teraz grozi mi utrata babci. Teraz już wiem, jak to jest: chłód zakrada się do mego serca i sadowi się w nim jak mgła. Wszystko się pogmatwało, mam nieprzyjemne uczucie, że to tylko i wyłącznie moja wina. Nie jestem pewna, jak mi się udało tego dokonać, ale wygląda na to, że popsułam wszystko, co w moim życiu było dobre. Szkoda, że nie mogę zobaczyć się z Maxem. Szkoda, że nie mam przyjaciela ani kariery zawodowej, ani czegoś znaczącego. Szukam w myślach czegokolwiek i do głowy przychodzi mi tylko „ślub”.

Ale przecież wychodzę za mąż. Nie powinnam użalać się nad sobą. Wychodzę za mąż! Tego właśnie pragnęłam. Nie sądziłam jednak, że tak się będę czuć. Mam wrażenie, że poświęciłam całe swoje życie spełnieniu tego jednego życzenia, a teraz czuję się tak jak wtedy, kiedy uświadamiasz sobie, że coś drogiego, na co się długo oszczędzało, dzisiaj jest dostępne na wyprzedazy za grosze.

Nie mogę jednak pozwalać sobie na to, aby czuć się tak fatalnie – powinnam mieć więcej wiary. Wychodzę za mąż. Kocham Roba. Babcia wyzdrowieje, na pewno. Max mi wybaczy i Lucy także. W pracy będę się bardziej starać, dostanę nawet awans czy coś w tym rodzaju i wszystko będzie dobrze. Będzie. Będzie.

Z domów położonych w pobliżu stacji dochodzą mnie zapachy jedzenia. Zaglądam do ogrodu, gdzie dwoje dzieci porzuca brodzik i biegnie przez wysuszony trawnik, a do ich stóp przyklejają się źdźbła trawy. Zatrzymuję się, aby popatrzeć. Ich matka napotyka moje spojrzenie, uśmiecha się i kręci głową, po czym schyla się, aby pozbierać zabawki. Może zakłada, że ja też jestem matką, myśli, że wiem, jak to jest sprzątać po dzieciach. Wyglądam, jakbym powinna wiedzieć, ale nagle dociera do mnie przebłysk przerażającej prawdy: wieki całe dziela mnie od posiadania dzieci, a wzięcie ślubu z Robem oddali mnie od tego jeszcze bardziej... Cały czas poświęcałabym na naprawianie naszych relacji i troszczenie się o niego. Boże! A jeśli bycie mamą to moje największe marzenie?

Do Londynu dojeżdżam w fatalnym nastroju. W końcu zaczyna padać deszcz. Wielkie krople rozpryskują się o chodnik i nie mija kilka sekund, a robi się bardzo ślisko. Na stacji Victoria wsiadam w autobus, po to tylko, aby pomyśleć spokojnie podczas jazdy. Okej, pora zmierzyć się ze strachem. A jeśli moja cudowna, serdeczna, zabawna babcia umrze? Zostawi mnie z wyrzutami sumienia za ten milion razy, kiedy brałam ją za pewnik, kiedy na nią warczałam albo się jej wstydziłam. Nigdy już nie będę mogła

powiedzieć jej, że ją kocham, ani zobaczyć jej uśmiechu. Ona nie może umrzeć, prawda? Nie moja babcia! Czuję, że wzbiera we mnie szloch i odwracam się do szyby, aby uniknąć spojrzeń pasażerów. Autobus przejeżdża przez plac Wiktorii i zbliża się do Hyde Parku. Jeśli babcia się obudzi, będę lepszą wnuczką. Częściej ją będę odwiedzać. Będę miłsza.

Zostawiamy za sobą stację Green Park, gdzie na mokrym worku siedzi włóczęga. Przechodnie omijają jego kapelusz na jałmużnę. Boże, Londyn to takie bezlitosne miasto. Jeśli nie jest się silnym, ma się przekichane. Biorę głęboki, drżący oddech i wydmuchuję nos. Muszę wziąć się w garść i przestać płakać. Jedziemy teraz powoli przez Piccadilly, tkwiąc w korku. Po obu stronach przesuwają się sklepowe wystawy. Mijamy Królewską Akademię i ponownie kierujemy się ku Piccadilly Circus.

Królewska Akademia! Zrywam się z miejsca, gorączkowo wciskam guzik i autobus zjeżdża na następny przystanek. Wsiadam i deszcz sprawia, że niemal natychmiast włosy przyklejają mi się do twarzy. Sukienka oblepia mi ciało, buty ciemnieją. Wracam biegiem do galerii, torując sobie drogę między przechodniami; zimna woda z jednej z mijanych parasolek spływa mi prosto na szyję. Jeśli zobaczę jego obrazy, poczuję, że jest blisko mnie! A jeśli tam jest? To całkiem możliwe! Mógł przecież zajrzeć, żeby na przykład sprawdzić, czy się sprzedały, i wtedy wpadniemy na siebie, i... przekona się, że go potrzebuję. Przed wejściem wyciskam włosy z wody i próbuję wyobrazić sobie Maxa w środku. Turyści mijają mnie i zbijają się w małe grupki. Nagle ogarnia mnie pewność, że jeśli pójdę tam, gdzie widziałam go po raz ostatni, będzie na mnie czekał, jak w jakimś filmie.

Ślizgam się na mokrej posadzce. To chyba tutaj, tak, to właśnie ta sala. Rozglądam się i moje spojrzenie zatrzymuje się na czymś znajomym. Patrzę jeszcze raz. Portret Luli. Czuję ból w sercu, gdy przypomina mi się, jak po raz pierwszy zobaczyłam go

w pracowni Maxa. Staję tuż przed obrazem, przyglądając się uważnie pociągnięciom pędzla, wyobrażając sobie jego dłonie. Na tabliczce obok obrazu napisano: „*Zazdrość*, farba olejna i akrylowa. Max Kelly”. Zapiera dech w piersiach, nawet na sali pełnej pięknych eksponatów. Naklejka informuje, że obraz został sprzedany. Cieszę się w jego imieniu. Przesuwam palcem po jego wydrukowanym nazwisku: Max Kelly. Inteligentny, utalentowany, seksowny Max Kelly. A potem przesuwam spojrzenie na inny obraz i nagle wpatruję się we własną twarz. To ja, tamtego dnia po ślubie Jane, w T-shircie Arsenalu.

Siedzę skulona na fotelu, lekko nadąsana i śliczna, z potarganymi włosami i rozmazanymi oczami. Namalował światło w moich oczach, więc wyglądam tak, jakbym już-już miała się roześmiać. Jestem zachwycona. Ależ bym chciała tak wyglądać. To by dopiero było. Tak właśnie chciałabym wyglądać przez cały czas. Stoję, wpatrując się we własną twarz i zaglądając sobie w oczy, i zalewa mnie fala nadziei. Max namalował mnie taką, jaką mnie widzi. Tak się czuję, kiedy jestem z nim. Nazwał ten obraz *Miłość*. Kapie ze mnie na podłogę galerii, kiedy patrzę na ten obraz. Ledwie jestem w stanie oddychać. Przyglądam się bez końca stopom, włosom, załamaniom czerwonej tkaniny. Jest tak, jakby Max dosięgnął mego serca i zapalił w nim światło. Wpatruję się w obraz. Ludzie mnie mijają. Deszcz przestaje padać. Wszystko wskakuje na swoje miejsce.

Jak przeprosić

Musisz rzeczywiście żałować. Nigdy nie przepraszaj, jeśli wcale nie czujesz, że jest ci przykro.

Przeproś osobiście.

Bierz pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Nie zrzucaj winy na drugą osobę ani nie szukaj dla siebie usprawiedliwień.

Nie spodziewaj się w zamian przeprosin czy wybaczenia.

Jeśli mówisz: „Przepraszam, ale...” albo: „Przykro mi, że tak się czujesz...”, wtedy tak naprawdę nie jest ci przykro.

Prawdziwe przeprosiny sprawią, że i ty, i ta druga osoba poczujecie się lepiej.

Jestem w domu. Drzwi zamykają się za mną.

– Halo? – wołam, tak na wszelki wypadek. Cisza. Pozbywam się mokrych ciuchów i wchodzę pod prysznic, gdzie pozwalam gorącej wodzie smagać mi ramiona. Odchylam głowę i myję włosy. Łazienkę wypełnia para. Unoszę ręce i obracam się pod strumieniem wody, myśląc o obrazie. Jeśli potrafię być taka jak ta rozbawiona, seksowna dziewczyna, w takim razie jest nadzieja. Ona mi się podoba. Taka właśnie chcę być przez resztę życia i to malarz sprawia, że tak się czuję. Żaden mężczyzna nie mógłby namalować takiej dziewczyny, a potem ją zostawić, więc go znajdę.

Ale najpierw muszę się pozbyć Roba, ot co. Trochę jest mi go nawet szkoda, więc przypominam sobie kilka z dawnych rozczarowań – że ani razu nie przyniósł mi kwiatów, nigdy nie

przygotował kolacji, nigdy nie zaserwował masażu... ani porządnego orgazmu, jeśli się nad tym zastanowić. Zachowuje się tak, jakbym miała szczęście, że go znam, a ja wierzyłam, że tak właśnie jest. Gdy zakręcę kran, ze słuchawki prysznicza kapie jeszcze woda. Wychodzę z kabiny, owijam się ręcznikiem i przecieram lustro. Patrzę sobie prosto w oczy. Jestem zupełnie spokojna. Zakładam dzinsy oraz czarną tunikę i rozczesuję włosy. Z kosmetyczki wydaję czarny eyeliner. Czytałam, że makijaż daje siłę. Właśnie nakładam na rzęsy drugą warstwę tuszu, kiedy słyszę jego klucz w zamku. Dociera do mnie, że wstrzymuję oddech.

– Króliczku! Jesteś?

– Tutaj.

Staje w drzwiach i opiera się o futrynę. Przechyla głowę i patrzy na mnie tymi oczami pełnymi własnej wersji empatii.

– Jak ci minął dzień? – pyta.

– Spędziłam go w szpitalu, więc jak ci się wydaje?

– Okej. – Zdejmuje marynarkę i odwraca się w stronę kuchni.

– Spotkałam tam twoją przyjaciółkę.

Te słowa przywołują go z powrotem.

– Ach tak?

– Tak. Sam. – Spogląda na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu. – No wiesz, Sam. Kobieta, z którą zamierzałeś się ożenić...

– Och. – Na jego twarzy maluje się nieufność. –
Rozmawiałaś z nią?

– Ucięłyśmy sobie małą pogawędkę.

– I co mówiła?

– Och, opowiadała o tobie w samych superlatywach. –
Wygląda jednocześnie na uspokojonego i skonsternowanego i
zaczyna się bawić włosami. – To ona cię rzuciła, prawda? – Patrzę
na niego w lustrze. – Poznała kogoś innego. – Rob wbija wzrok w
swoje markowe półbuty. Maluję usta błyszczkiem.

– Tak ci właśnie powiedziała?

– Tak właśnie było? – Patrzę na niego i jest tak, jakby czoło
miał przezroczyste, jakby odsłaniało cały jego mechanizm
zegarowy. Lucy ma rację: to tępak.

Pociera koniec nosa.

– Cóż, niezupełnie. Ja...

– Wiesz co, nie wyjaśniaj. Nie chcę wiedzieć.

– Wydaje mi się, że poznała go na krótko przed tym, kiedy
zaczęliśmy mieć problemy, ale nie wiedziałem, że zostawiła mnie
dla niego.

– Och, a kogo to obchodzi, Rob? – Wstaję i udaję się do
szafy, szukając najwyższych szpilek. – Nie wierzę w ani jedno
twoje słowo. Przez chwilę nawet ci się udało. Gotowa byłam
uwierzyć, że chcesz mnie z powrotem, że zostawiłeś ją dla mnie.

– Ja...

– I pomyśleć, że rzeczywiście sądziłam, że mnie kochasz i chcesz się ze mną ożenić, i mieć dzieci! – Lekko drży mi głos. Oddychaj. Kontroluj się. Jeśli się rozpłaczesz, on zakradnie się z powrotem do twojego życia. Rzucam na łóżko diamentowy naszyjnik. – Kupiłeś to dla niej, prawda?

Przenosi spojrzenie z naszyjnika na mnie i kiwa głową. Nawet nie zaprzecza. Otrząsam się z szoku i zakładam buty. Opieram się o okno i patrzę na Roba. On patrzy na mnie. Jest bardzo, bardzo cicho.

– Widzę, że wychodzisz? – Spogląda na moje buty.

– Tak.

Nasze spojrzenia się krzyżują, a między nami wirują niewypowiedziane uczucia i niedokończone kłótnie. Odwracam wzrok. Nie chce mi się nawet kłócić.

– Co więc chcesz zrobić? – pyta cicho.

– Z czym?

– Z nami.

– Z nami? Nie ma czegoś takiego jak „my”. – Biorę do ręki torebkę. – Chyba po prostu chcę, żebyś sobie poszedł.

Rob spuszcza wzrok. Nie przebiega to tak, jak zaplanowałam. Sądziłam, że będę jak Scarlett z *Przeminęło z wiatrem*, prawa i silna, ale jest mi jedynie smutno i trochę mi go żal.

– Wiem, że nie wygląda to dobrze, ale naprawdę cię kocham.

– Bierze z łóżka naszyjnik. Oczy mu błyszczą.

– A ja kiedyś w to wierzyłam. Dopiero niedawno dotarło do mnie, że nie kochasz nikogo oprócz siebie.

– Króliczku, nie mów tak! – Mój Boże, on płacze. Płacze i przełyka łzy. Myślę, że coś takiego swego czasu by zadziało. Nie zniósłabym widoku jego łez. Teraz wiem, że oglądam jedynie kolejne świetne przedstawienie. Rusza w moją stronę, wyciągając ręce jak małe dziecko. – Przepraszam! – Pociąga nosem. – Przepraszam, Króliczku! Możliwe, że nie do końca byłem z tobą szczerzy. Porozmawiajmy o tym. Kocham cię. Ty kochasz mnie. Dobrze nam razem.

– Nie, widzisz, wcale nie.

– Mogę się zmienić... Naprawdę.

– Rob, nie chcę, żebyś się zmieniał. Nic już nie możesz zrobić. Jest za późno. Po prostu już cię nie kocham.

Płacze głośno jak dziecko, kręcąc głową. Cieknie mu z nosa.

– Nie rób tego.

– Wychodzę teraz – mówię cicho – a kiedy wrócę, chcę, żeby już cię tu nie było. Zostaw swoje klucze, dobrze?

Po jego twarzy płyną strumienie łez. Robi mi się trochę niedobrze.

– K-króliczku!

Wyciąga do mnie ramiona, ale wymijam go i biorę do ręki żakiet.

– Dobrze? – powtarzam. Kiwa powoli głową, nie przestając zanosić się płaczem. – Przykro mi – dodaję, czując lekkie wyrzuty sumienia. – Żegnaj, Rob. – Odwracam się i wychodzę, pozwalając, by drzwi zatrzęsnęły się za mną.

Biegnę do końca ulicy i dopiero tam oglądam się za siebie. Rob nie wyszedł za mną i nagle dociera do mnie, że nigdy tak nie robi. Nigdy, ale to nigdy nie wyszedł za mną po kłótni. Nie mogę w to uwierzyć. Pięć lat, a on nigdy tego nie zrobił. I nie będę się czuć fatalnie z jego powodu. To on to zrobił. On odwołał nasz ślub. On przez cały czas kłamał. Czuję przyływ energii; w końcu się od niego uwolniłam, od niego i od tego czaru, który na mnie rzucił.

Biorę głęboki oddech. Czuję się taka silna, że aż chce mi się krzyczeć. Mijam Hinduskę i uśmiecham się. Ona odpowiada mi uśmiechem. Czuję ogromną ulgę. Zza rogu wyłania się taksówka i nagle postanawiam ją zatrzymać. Wskakuję do samochodu, a kierowca po chwili zawraca i kieruje się w stronę mieszkania Lucy.

Lucy uchyla drzwi, widzi, że to ja, i krzywi się, ale jednak wychodzi do mnie.

– Patrzcie tylko, kto...

– Przepraszam – wyrzucam z siebie. Krzyżuje ręce na piersi i przechyla głowę, przysłuchując mi się. – Masz rację, jestem nudna. Ciągle przechodzę jakiś kryzys i możliwe, że trochę się nad sobą rozczulam.

– Możliwe?

– No dobra, to pewne. Rozczulam się nad sobą... i ciągle o tym nawijam. – Patrę na nią, ale z jej twarzy nie da się niczego

wyczytać i przez chwilę mam paskudne uczucie, że mi nie wybaczysz. – Naprawdę beznadziejna ze mnie przyjaciółka – mówię cicho. – Tęsknię za tobą.

Mija chwila. Stoimy na górnym schodku, patrząc na siebie. Wtedy ona się uśmiecha.

– Nie, to ja przepraszam. To ja jestem beznadziejną przyjaciółką.

– Nie, ja. Ciągłe nawijam o Robie i cię nudzę.

– Nie, to ja przez cały czas mówię o seksie.

– Wcale nie! Cóż, to znaczy nie przez cały czas.

– Och, chodź tutaj. – Rozwiera ramiona i w następnej chwili znajduję się w wyperfumowanym uścisku. – Chcesz poznać najnowsze wieści? – piszczy mi do ucha.

– Jasne.

Puszcza mnie.

– Nie uwierzysz! – woła piskliwie.

– Okej, teraz słyszają cię tylko psy.

– To zbyt ekscytujące!

– Ale co?

Wyciąga lewą dłoń i oto moim oczom ukazuje się brylant. Jej twarz zamiera w milczącym krzyku. Czeka na moją reakcję. Wygląda tak niedorzecznie, że aż wybucham śmiechem.

– Lucy! Moje gratulacje.

– Reuben, koleś od bzykanka, zostanie Reubenem, mężem od bzykanka!

– Gratuluje! – Ściskam ją. – Nie przypuszczałam, że dożyję tego dnia!

– Wiem!

– To niewiarygodna wiadomość...

– On tu jest! Chodź.

Biegnie radośnie korytarzem. Udaję się za nią do urządzonej na biało kuchni. Jakie to dziwne – bierze ślub z kimś, kogo nawet nie znam. Słysząc latynoską muzykę, a Reuben szykuje drinki przy kuchennym blacie. Jest niski i szczupły w biodrach jak chłopiec, ma krótko przycięte i zaczesane do przodu czarne włosy, do tego piękną cerę w orzechowym odcieniu i śnieżnobiałe zęby. Lucy podchodzi do niego, on obejmuje ją w talii i razem wykonują kilka kroków salsy. Zaczynam się czuć tak, jakbym powinna wyjść. Reuben puszcza Lucy i robią taneczną kanapkę ze mną w roli nadzienia. Stoję zakłopotana; nie bardzo wiem, co się dzieje. Wyślizguję się im, a oni tańczą dalej.

– Hej, długo już tak świętujecie?

– Cały cholerny dzień! – woła Lucy.

– Viv, masz ochotę na caipirinhę? – pyta Reuben, zonglując dwiema limonkami.

– Pewnie – uśmiecham się.

– Chodź tutaj, chodź tutaj. – Lucy zaciąga mnie do salonu i obie padamy na sofę. – Strasznie cię przepraszam za wszystko. Okropnie było nie widywać się z tobą. Opowiadaj. – Ściska moją dłoń.

– Och, wiesz, sporo się wydarzyło. Babcia jest w szpitalu.

– O nie! Co się stało?

– Zapalenie płuc.

– Och, Viv, przykro mi.

– Tak, więc jest... ciężko, ale wiem, że wyzdrowieje. Da radę.
– Powstrzymuję się przed dalszymi wyjaśnieniami. Nie chcę psuć im radosnego dnia. Ujmuję jej dłoń. – Śliczny pierścionek.

– Prawda? Ja i ślub – to czyste szaleństwo. Ale jestem taka szczęśliwa! – woła w stronę sufitu, bębniąc palcami o sofę.

Reuben podchodzi do nas z drinkami. Całuje Lucy i podaje jej szklanekę. Dostrzegam jego język i odwracam wzrok.

– Vivienne! Tyle o tobie słyszałem! Co słyhać u tego patafiana Roba? – pyta, klękając na podłodze i wręczając mi szklanekę.

– Ach, nic wielkiego...

– I dobrze. Wywal tego dupka ze swojego życia!

Unosi szklanekę, aby wznieść toast. Uśmiecham się do Lucy, która wzrusza ramionami.

– Wiesz co, Reuben? Masz stuprocentową rację! Wypijmy za to! – Piję do dna.

– Masz zamiar go rzucić? – pyta z nadzieją Lucy.

– Już to zrobiłam. Koniec z nim. To już historia. – Patrzą na mnie, a ja macham ręką. – *Adios* – dodaję z myślą o Reubenie.

– Och, dzięki Bogu! – ryczy Lucy. – Nie znosiłam tego gościa!

– Wiem, często mi to mówiłaś.

– Tyle lat! Przez cały czas czekałaś, aż się zdecyduje. To nie było w twoim stylu, Viv. On ci zabrał cały blask.

– Cóż, teraz go odzyskuję – oświadczam głosem bohaterki.

– Hura! – woła. – Chcę zatańczyć. Zaśpiewajmy coś!

– Ding dong, wiedźma nie żyje... – intonuję, ale ona majstruje już przy iPodzie i ściąga mnie z sofy. To Goldfrapp, *Rocket*. Przyłączamy się do refrenu, a Reuben klaszcze.

– Viv potrzebuje następnego drinka! – woła Lucy.

– *Amor*, nic się nie martw, zrobiłem dwa dzbanki.

Salsa to niesamowity taniec. Naprawdę, wystarczy powłóczyć nogami, kołysać biodrami i to wszystko! Reuben to fantastyczny nauczyciel. Lucy wykonała salsę na rurze bez rury, a on ją sfilmował. Następnie ja wpadłam na pomysł, że będę rurą, więc sfilmował nas obie. Osobiście nie pociągają mnie trójkąty, ale gdyby miało być inaczej, myślę, że mogłabym trafić znacznie gorzej. Chyba zaraz pójdę i im to powiem. Spuszczam wodę w

toalecie i strącam jakąś ozdóbkę z suszonych kwiatów. Wpada do muszli. Próbuję ją splukać, ale ciągle wypływa na powierzchnię, jak uschnięta dłoń.

Wracam do salonu. Zdążyli przyciszyć muzykę i siedzą na sofie. Przysiadam się do nich. Reuben to bardzo, ale to bardzo miły mężczyzna. Gładzi kolano Lucy – och! – moje także.

– Kiedy więc zamierzacie to zrobić? – pytam.

– Robimy to cały dzień – odpowiada Reuben żartobliwie.

Uderzam go w nogę.

– Ślub! – Boże, jest taki zabawny.

– W przyszłym miesiącu – odpowiada. – Nim skończy się lato.

– Motywem przewodnim będzie seks – oświadcza mi Lucy. – A konkretnie biała sukienka tutu, gorset, białe kabaretki.

– Fajnie. Z klasą.

– A dla mnie nic oprócz muchy i uśmiechu – wtrąca Reuben.

Milczymy, wyobrażając to sobie. Muszę przyznać, że nie wypadłoby to tak źle.

– Może jeszcze skarpetka na fiutku? – sugeruje Lucy.

– Albo spodnie? – pytam.

– Taa, załóż spodnie, Reub – zgadza się Lucy.

– W porządku. Superkrótkie szorty. – Ściska mi kolano. – I ty także szorty.

– Ja? Nie. Nie wyglądałoby to dobrze.

– Białe szorty i kozaczki dla Viv! – śmieje się Lucy.

– Nigdy w życiu. A zresztą nie możesz dyktować gościom, w co się mają ubrać.

– Ale, Viv, ty nie jesteś zwykłym gościem. – Nagle prostuje się i patrzy mi w oczy. – Viv, przez te wszystkie lata byłaś dla mnie taką superprzyjaciółką...

– Dzięki ci, dobra kobieto, a ty byłaś dobrą przyjaciółką dla mnie. – Ujmuję jej dłoń.

– Vivienne Summers, byłaś ze mną na dobre i na złe – oświadcza z powagą.

– Tego złego aż tak dużo nie było – stwierdzam.

– Cóż, a pamiętasz, jak się spiknęłaś z Julie...

– No tak... I jeszcze ta twoja draka z deportacją w Hiszpanii.

– Przymknij się, próbuję wygłosić mowę! Chodzi o to, że jesteś oddaną przyjaciółką...

– Jak pies – wtrąca Reuben.

– Jak bardzo, bardzo, bardzo wierny pies, tak. – Uśmiecha się do Reubena. – Chciałabym cię więc prosić o to, abyś była moim drużbą... cóż, moją drużką.

– Albo honorowym psem! – wykrzykuje Reuben.

– Tak, w porządku, Reub... Zgodzisz się, Viv? Proszę? –
Pociąga nosem i oczy zaczynają jej błyszczeć.

– Lucy... To dla mnie zaszczyć być twoją drużką. – Ściska
mnie w gardle z emocji. Zarzucam jej ręce na szyję.

– Kocham cię – szepcze mi we włosy.

– No to wznieśmy toast! – woła Reuben, zrywając się z sofy.
– Za wspaniałych przyjaciół!

Myślę o Maxie. Widzę jego uśmiech, kiedy zamykam oczy i
dopijam drinka.

– Za wspaniałych przyjaciół – mówię.

I za to, żebym go odnalazła.

26
Wiersz na dziś

Towarzystwo Miłośników Poezji

Och, Max, gdybyś wiedział , że

To są kłamstwa, a tamto nie

To byś wrócił i całował mnie.

Powiedz, że brak ci mnie.

Bo mnie, Max, brak Ciebie jak diabli.

Vivienne Summers

Jest już po północy i wiem, że węszenie pod domem Maxa wygląda trochę dziwnie, ale jako że nie odpowiada na e-maile i telefony, nie bardzo wiem, od czego innego miałabym zacząć. Czy coś takiego można zakwalifikować jako *stalking*?

Spoglądam w jego okno. Ciemno. Przenoszę wzrok na chodnik. Motoru brak. Chwieję się w nocnym wietrze, patrząc do góry jak Romeo. Rzucam kamyk. Chybiam, ale za to zaczyna szczeekać jakiś pies.

– Gdzie ty się, do licha, podziewasz? – mruczę pod nosem i nasłuchuję, jakbym miała usłyszeć odpowiedź. Z klubu usytuowanego za rogiem dobiega dudnienie *Disco Inferno*. Niedaleko koszy z hałasem upada puszka, a ja podskakuję. Odwracam się i wpatruję w ciemność z upiorną pewnością, że ktoś tam jest. – Halo? – Przez moją głowę przelatują wszystkie horrory, jakie miałam okazję oglądać, i mam już pewność, że zaraz z ciemności wyskoczy jakaś kukła z nożami zamiast palców.

Wyteżam słuch i słyszę wysokie, chrapliwe skrzypnięcie – coś się porusza. W chwili, gdy już-już mam puścić się biegiem, krzyząc: „W studzienkach mieszkają nikczemni klauni!”, z ciemności wyłania się nieduży kot z uniesionym ogonem. Podchodzi do moich nóg i owija się wokół nich jak wstążka. Z ulgą przykładam dłoń do piersi, częściowo dlatego, aby się uspokoić, a częściowo z tego względu, że tak się robi w horrorach.

– Dave! – Nachylam się, aby podrapać go pod bródką. Mruczy jak motorówka. Biorę go na ręce, a on przymyka oczy. – Biedny, mały Dave. Biedny kiciuś. Zostawił cię!

Drzwi otwierają się i w progu pojawia się kobieta w nocnej koszuli z wizerunkiem Minnie Mouse. Dave wyskakuje z moich objęć i znika w drzwiach. Kobieta przez chwilę patrzy w moim kierunku, mrużąc oczy, po czym zaczyna zamykać drzwi.

– Eee, hej, przepraszam! – Robię krok w przód, kobieta pozostawia lekko uchylone drzwi. – Szukam Maxa Kelly’ego. Nie wie pani może, gdzie on jest... To jest kot...

– Ha! Czyż wszyscy nie szukamy Maxa Kelly’ego?

– Tak? Zna go pani?

– Poprosił mnie o opiekę nad kotem, dał mi sto funtów i powiedział, że wyjeżdża na jakiś czas.

– A nie powiedział dokąd?

– Nie. Gdybym wiedziała, wysłałabym tam tego cholernego kota. To wrzód na tyłku.

– Kiedy wyjechał?

– Czy jest pani winien pieniądze?

– Nie. To mój przyjaciel. – Na ramieniu dostrzegam ślad po kocim pazurze, linię krwawych punkcików.

– Wyjechał w środę. Skoro to pani przyjaciel, może pani wziąć kota?

sierpnia, 01:07

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: [brak]

A więc wyjechałeś. Mocno to dramatyczne. Kiedy wracasz?

Uściski od Dave'a.

9 sierpnia, 14:22

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Max,

Nie odzywając się, dałeś jasno do zrozumienia, co na mój temat sądzisz. Jak możemy to rozwiązać? To kompletnie nie do pojęcia, abyśmy ty i ja nie byli przyjaciółmi.

V x

PS. W załączniku album z naszymi zdjęciami. Szczególnie

lubię fotki z wręczania dyplomów. Co ty wtedy zrobiłeś z włosami? No i ta marynarka – zawsze był z ciebie ciółek, wiesz?

9 sierpnia, 14:37

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Max,

Jeśli zadzwonisz do mnie w ciągu pięciu minut, zabiorę cię na kolację do chińskiej restauracji, gdzie możesz jeść, ile dusza zapragnie. Ja stawiam. Możesz także zamówić jeden z tych czerwonych drinków z parasolką. V x

9 sierpnia, 14:46

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Mogę wytłumaczyć... wszystko. x

9 sierpnia, 15:07

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Proszę, Max. Spotkałbyś się ze mną chociaż na pół godziny?

x

9 sierpnia, 15:28

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Nie bądź ciołkiem. Tęsknię. x

9 sierpnia, 15:41

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Mam dać Ci spokój? W porządku, wobec tego to moja ostatnia wiadomość.

Żegnaj.

dramatyczna pauza

Żegnaj, Max.

9 sierpnia, 16:09

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

Straszny z ciebie uparciuch. To wcale nie jest atrakcyjne.

9 sierpnia, 16:17

Nadawca: Vivienne Summers
Adresat: Max Kelly
Temat: Odp:

I początki włosków w uszach.

Sygnal wywoławczy w Irlandii jest dziwny. Czy ich numer jest permanentnie zajęty? Jeśli nie, to strasznie długo trwa, nim ktoś odbierze. Co za dom muszą mieć, skoro dojdzie do telefonu zajmuje im tyle czasu? Jestem w Londynie, słuchając pulsującego sygnału, gdy tymczasem gdzieś w Irlandii jest sobie zamek i starodawny aparat dzwoniący w pustym pokoju...

- Halo? – pyta zniecierpliwiony głos.
- Witam, czy to pani Kelly?
- A czy to znowu Ubezpieczenia Sun Life? Mówiłam wam, że nie miewam wypadków!
- Nie. Jestem przyjaciółką Maxa. Nazywam się Vivienne Summers... Czy to pani, pani Kelly?
- Możliwe.

– Cóż, nie wiem, czy mnie pani pamięta... – Cisza. –
Poznałyśmy się, kiedy odwiedziła pani Maxa na studiach... –
Cisza. – Raz spędziliśmy razem sylwestra... – Boże, trudne to jest.

– Jak mówiłaś, że masz na imię?

– Vivienne.

– Nie, nie, nic mi to nie mówi.

– Och. Nie wspominał o mnie? Przyjaźnimy się od lat.

– Nie.

– Okej. No cóż, chodzi o to, że szukam Maxa. Zostawił swoje mieszkanie i gdzieś wyjechał. Zastanawiałam się, czy może nie kontaktował się z panią. – Żadnej odpowiedzi. Boże, jakbym wrywała zęby. Może się rozłączyła. – Halo?

– Tak.

– Więc jeśli Max się odezwie, powie mu pani tylko, że dzwoniła Viv?

– Ach, chwileczkę, Viv. Tak, znam cię.

– Tak. Witam.

– To ty jesteś tą brunetką, o której się zawsze wyraża z takim uznaniem?

– Tak! Naprawdę?

– Często o tobie mówi.

– Więc pani z nim rozmawiała?

– Nie w tym tygodniu. Mówię ci, jest tak, jakby nie wiedział, do czego służy telefon. Kazałam mu dzwonić przynajmniej raz na tydzień. I w ogóle nas nie odwiedza. Widzieliśmy go rok temu w lipcu, przyjechał na ślub Siobhan. Wyszła za kuzyna naszych sąsiadów...

I tak dalej przez bite dwadzieścia minut: lista dolegliwości jego ciotki Hildy; kręgosłup jego najstarszej siostry nie jest już taki, jak kiedyś, odkąd miała cesarkę; strasznie go kochają; tęsknią za nim jak szaleni. Tak jak ja.

Grupa na Facebooku – „Gdzie jest Max?”

Podstawowe informacje: Poszukiwania zaginionego kochanka

Kategoria: Miłość, zawód miłosny

Opis: Lepiej jest kochać i utracić? Nie wydaje mi się. Nazywam się Vivienne Summers i utraciłam swoją miłość, ponieważ nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mam. Wynikło nieporozumienie; on uważa, że go zdradziłam, no i gdzieś zniknął. Muszę go odnaleźć. Jeśli go znacie, widzieliście czy go spotkacie, powiedzcie mu, że przepraszam i że go kocham.

Profil:

Imię i nazwisko: Max Kelly

Płeć: męczyzna

Narodowość: Irlandczyk

Data urodzin: 5 kwietnia 1980 r.

Miejsce zamieszkania: Londyn

Opis: ok. metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne kręcone włosy, niechlujny wygląd

Strój: zwyczajny – dżinsy, spodnie dresowe, T-shirty

Zainteresowania: poezja, malarstwo, motory, gitara, opowiadanie długich, często bezsensownych historii

Ulubione słowo: otwór

Ulubiony kolor: cynober

W pozbawionej powietrza sali konferencyjnej na trzynastym piętrze strzela guma balonowa Christie. Bierze między palce różowo-szarą masę i ciągnie ją, tworząc cienki pasek, po czym wkłada z powrotem do ust.

– Podoba mi się twoja fryzura – stwierdza. – Robiłaś coś z włosami?

– Wieki temu.

Obchodzi moje krzesło.

– No tak. – Ponownie strzela gumą.

– Możesz tego nie robić? – Przyklepuję włosy z tyłu głowy.

– To wersja chryzantemy?

– Nie mam pojęcia, czego to „wersja”.

– Hmm. – Wzdycha i siada na krześle. Wyciąga ręce na stole.

– No więc, Christie, zastanówmy się. Jak zamierzamy sprzedać dziesięć tysięcy nieetycznych świec?

– To niemożliwe. Jesteśmy udupione.

– Mam tak wobec tego napisać w raporcie dla Mole? – Udaję, że piszę. – Jesteśmy udupione.

– Czemu wszystko musi być etyczne? W dzisiejszych czasach nic już takie nie jest. Nikogo to nie obchodzi.

– Z wyjątkiem wykonujących niewolniczą pracę dzieci, dwadzieścia godzin na dobę przyszywających ręcznie guziki.

– No tak, ale my mówimy o więźniach robiących świece. Przecież i tak nie mają innego życia.

– To także mam zapisać?

Christie przewraca oczami.

– To Barnes and Worth, tu wszystko robi się jak należy, pamiętasz? Tak czy inaczej Snotty i Mole jeszcze nie wiedzą o tej nieetyczności. – Zerkam na notatki. – Ani o dziesięciu tysiącach, jeśli mam być szczerą.

– Och. – Christie zaczyna zeskubywać lakier z paznokci.

– Christie! One się tu zjawiają za pół godziny. To nasza ostatnia szansa na pokazanie, że nie jesteśmy do dupy.

– O Boże... Nie wiem. Nie wiem. Może po prostu jesteśmy do dupy – mówi, pocierając twarz.

– Moglibyśmy przenieść ten towar do magazynu internetowego, wtedy można sprzedawać go online właściwie bez końca. Wobec tego musimy im jedynie powiedzieć, gdzie je wyprodukowano.

– Tak zrobimy! – piszczy, uderzając ręką w stół. – Genialny pomysł!

– W porządku, zadzwonię do IT i sprawdzę, co musimy zrobić.

Dziesięć minut później pojawia się Michael, jest ubrany w

fioletową jedwabną koszulę i spodnie rurki z gniecionego aksamitu. Przedstawiam mu Christie – spojrzeniem znawcy przesuwa po jej tyłku jak Cygan na końskim targu. Siada obok mnie. Nogi ma skrzyżowane w kostkach, jego stopy jak zwykle są w ciągłym ruchu. Salę wypełnia jego piżmowy zapach. Bierze mój laptop i otwiera stronę ze sklepem internetowym.

– Gdzie mam je umieścić?

– Nie wiem, w dziale „Boże Narodzenie”?

– Chyba że chcecie je sprzedawać przez cały rok... – Odchyła się i splata ręce za głowę. Jego kolana zaczynają podskakiwać jak łokcie dobosza. – W takim przypadku powinny się znaleźć w artykułach domowych.

– Och, no tak, wobec tego artykuły domowe.

Jego palce tańczą nad klawiaturą.

– Potrzebne mi zdjęcie – mówi.

– Prześlę ci mailem.

– No dobrze, *c'est possible*. To jednak ryzykowne; będę musiał zasugerować, że to błąd IT, a my nie popełniamy błędów. Robię to tylko dla ciebie.

– Dzięki, Michael. Jestem twoją dłużniczką. – Uśmiecham się. – To znaczy, jestem ci winna drinka – dodaję, dostrzegając, że przesuwa językiem po ustach.

Idzie do drzwi.

– Nic z tego, Vivienne. Akurat ta okazja cię ominęła. –

Przesuwa dłońmi po swoim ciele.

– Naprawdę?

– Aha. Czasy włóczenia się i rozrzucania nasienia przez tego faceta dobiegają końca.

– Jaka szkoda.

– Zgadza się, Viv. Szkoda dla tych wszystkich dziewczyn, z którymi nie miałem do czynienia. – Patrzy na mnie znacząco.

– Jesteś w takim razie zajęty? – pyta Christie.

– W rzeczy samej, młoda Christie, i myślę, że dobrze znasz królową mego serca i lędźwi.

– Słucham?

– Jestem zaręczony z Marion Harrison.

To oświadczenie wisi w powietrzu, a Christie patrzy bezmyślnie, dopóki w końcu to do niej nie dociera.

– O mój Boże! Masz na myśli Mole! – piszczy.

Michael przestaje podrygiwać, analizując to przezwisko.

– Gratulacje, Michael! Nie miałam pojęcia, że wy dwoje...
uch... – mówię.

– Zabawiamy się? Taa, już od kilku lat, z przerwami. – Patrzy w dal. – Zabawne, jak to się wszystko układa. Nieważne, dokąd się udaję, i tak wracam do tej słodkiej...

– Dobrze, dobrze! Gratuluję... raz jeszcze. – Wstaję i odprowadzam go do drzwi.

– Narazka.

Robi z palców pistolet i celuje nim najpierw we mnie, a potem w Christie. Gdy próbuję zamknąć za nim drzwi, bierze mnie za rękę.

– Jesteś zaproszona na imprezę zaręczynową, laleczko – mówi i mruga.

– Wielkie dzięki, Michael.

Uśmiecham się, stojąc w drzwiach, dopóki nie wsiada do windy. Następnie próbujemy przewietrzyć salę, podkreślając klimatyzację. Na trzynastym piętrze okna się nie otwierają, na ewentualność prób samobójczych.

– Nie mogę uwierzyć. Mole wychodzi za mąż! – mówi Christie.

– Wiem.

– Musi być z dziesięć lat starsza od niego.

– Każda potwora itd.

– Viv, skoro ona może wyjść za mąż, dla ciebie też jest nadzieja.

– Dzięki, Christie. – Uśmiecham się, wracając na swoje miejsce. – Słuchaj, będą tu za dziesięć minut. Najpierw prześlemy im aktualne dane na temat wszystkich produktów, a to o świecach wtrącimy na końcu.

– Dobrze.

– Przejrzyjmy w takim razie foldery.

Zdążyliśmy dotrzeć do połowy, kiedy w sali zjawiają się Snotty i Mole. Mole uśmiecha się i w milczeniu siadają u szczytu stołu. Snotty ma na nogach jakieś znośne fioletowe kozaczki na koturnach w stylu lat siedemdziesiątych. Patrzy na mnie chłodno.

– Vivienne. – Kiwa głową. – Christine. – Zauważam, że na pulchnym palcu Mole brak pierścionka zaręczynowego, postanawiam więc nie wyrywać się z gratulacjami. –
Chciałybyśmy, żebyście zaczęły od tych skandynawskich świec – kontynuuje Snotty.

Zamiera mi serce. Doskonale znam to uczucie. Biorę głęboki oddech.

– Skandynawskie świece? – bąkam.

– Tak. – Podnosi wzrok. Światło odbija się od jej okularów i wwierca w moje oczy.

Przyznaj się, myślę. Powiedz prawdę. Wyśpiewaj wszystko jak kanarek.

– W magazynie jest ich dziesięć tysięcy.

Mole podnosi gwałtownie głowę.

– Dziesięć tysięcy? – pyta.

– Tak. Zgadza się. – Udaję, że sprawdzam w notatkach. – Są produkowane przez norweskich więźniów.

– Więźniów? – pyta Mole.

– Tak.

– Więźniów? – powtarza jak echo Snotty. Co im jest? Mają problemy ze słuchem?

– Więźniów odsiadujących wyroki za drobne przestępstwa, nie przez morderców czy gwałcicieli – wyjaśniam. Patrzą na mnie nieufnie. – Wydaje mi się, że to drobne złodziejaski sklepowe i może kilku przestępców podatkowych... Tak to więc wygląda. – Nagle czuję się wyzwolona. Napotykam ich spojrzenia i uśmiecham się.

– Wiedziałaś o tym.

– Wiedziałam. – Boże, jakie to oczyszczające! Prawda, cóż za nowość.

– Ale zamówiłaś dziesięć tysięcy?

– Prawdę mówiąc, zrobiłam to ja – przyznaje się Christie. – Miałam sprawdzić tę kwestię więźniów. Zamówiłam dziesięć tysięcy. – Wygląda, jakby się miała rozplakać.

– A ja miałam wszystko nadzorować, więc to także i moja wina. – Uśmiecham się, zaczynając rozumieć, dlaczego katolicy chodzą do spowiedzi.

Zapada cisza, podczas której uszy Snotty nabierają intensywnej czerwonej barwy.

– No cóż. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Macie świadomość swojego położenia? Po tych wszystkich

ostrzeżeniach? – pyta.

– Tak, mamy świadomość. Tak mi się wydaje. Ty masz, Christie?

Christie kiwa głową. Wtedy Snotty pokazuje na nią dramatycznie palcem.

– Christie, jesteś zwolniona – oznajmia.

Christie łapie powietrze, jakby otrzymała cios.

– Och, bardzo dobrze. Bardzo dobrze. – Klaszczę. – Założę się, że nie mogłaś się doczekać, aby to powiedzieć. – Wstaję. W mojej głowie odzywa się cichy dzwonek ostrzegawczy. – Cóż, mnie tego nie powiesz, ponieważ składam rezygnację. – Gapią się na mnie jak żaby. – Tak, odchodzę! – Przerzucam torebkę przez ramię. – Jeśli chcecie wiedzieć, to Christie i mnie wielokrotnie próbowała zwerbować konkurencja. Jesteśmy znane w tej branży jako *dream team*. Nie musimy więc siedzieć tutaj i dawać się tyranizować. Chodź, Christie. – Waha się, po czym zaczyna zbierać swoje rzeczy i powoli wkładać je do torby. Ja stoję, patrząc w pełne wyczekiwania twarze Snotty i Mole. – Chodź, Christie. Poszukajmy bardziej przyjaznego nieba. – Nie jestem pewna, skąd to ostatnie zdanie, chyba z *Nędzników*, ale jest w nim dokładnie taki poziom godności, jakiego mi trzeba. W końcu obchodzi stół i staje przy mnie, po czym razem opuszczamy salę.

Później siedzimy przygnębione w „Koronie”, świętując butelką chardonnay. Wino jest ciepłe i żółtawe jak siki.

– No ale skoro nas werbowano... – zaczyna Christie. Wygląda jak zagubiony jelonek.

– Nie werbowano. Tylko tak powiedziałam.

– Och. Więc... żaden z nas *dream team*?

– Na to wygląda. – Pociągam spory łyk wina. Jest jak płynny ból głowy.

Christie splata i rozplata leżące na kolanach dłonie.

– Nie musiałaś tego robić – mówi. Czekam, aż mi podziękuję za mój akt altruizmu. – Chodzi mi o to, że teraz dostaniemy główniane referencje, no nie?

Nie pomyślałam o referencjach. Siedzimy obok siebie, obserwując klientów tego dużego pubu. Starszy pan przy barze co chwila woła: „Wygraliśmy Puchar!” i wznosi w toaście kufel z porterem. Patrzę, aż już nie mogę więcej znieść.

– Posłuchaj, Christie, niepotrzebne nam referencje. – Odwracam się do niej. – Założymy własną firmę. Dream Team PR!

Na jej twarzy widać powątpiewanie.

– Ale jak, tylko ty i ja?

– Czemu nie? Mamy wiedzę i kontakty. Możemy promować cokolwiek. Możemy sprzedawać jadalne majtki.

– Może mogłybyśmy zgłosić się do Ann Summers – mówi.

– Dobry pomysł! Możemy stworzyć całą serię pikantnych akcesoriów.

– Aha.

– I będziemy w tym lepsze niż do tej pory, ponieważ

będziemy tylko ty i ja. – Unoszę kieliszek. – No to za Dream Team PR.

– Za nas!

Stukamy się kieliszkami, po czym siedzimy i wszystko przetrawiamy. Trochę to przerażające.

– Mam pomysł na nasz pierwszy projekt. To kampania PR. – Odwracam się do Christie. – Muszę kogoś znaleźć.

Jest już późno, kiedy wychodzimy z pubu. Dzwonię do szpitala i rozmawiam z pielęgniarką, która uważa, że babci nie ma na jej oddziale. Pytam, czy mogłabym prosić do telefonu Rega, ale ona na to, że go nie widziała. Dziwna sprawa. Postanawiam, że zadzwonię później i może wtedy uda mi się porozmawiać z osobą, która zna się na tym, co robi. Chcę po prostu jechać do domu. Wczorajszego wieczoru, kiedy wróciłam, taszcząc Dave'a, pięć puszek Whiskasa i kuwetę, byłam taka padnięta, że od razu położyłam się spać. Nie mogę się doczekać, aż posiedzę trochę sama w miejscu należącym tylko do mnie. Przekręcam klucz w zamku z olbrzymim uczuciem ulgi. W mieszkaniu panuje cisza. Zaglądam do salonu.

– Dave! Gdzie jesteś, kiciusiu?

Na ławie leży złożona kartka papieru. Rzucam torbę na sofę i biorę kartkę do ręki, rozpoznając pismo Roba.

Viv,

Chcę, abyś wiedziała, że popełniłaś wielki błąd. Bardzo niemądra dziewczyna z ciebie. Jestem najlepszym, co ci się przytrafiło lub przytrafi. Chcę, abyś wiedziała dwie rzeczy:

Nigdy nie znajdziesz mężczyzny takiego jak ja – takiego, który był gotów dać ci wszystko.

To ostateczne pożegnanie. Nie myśl, że wrócę – ty to zaprzepaściłaś. To koniec.

Nie próbuj do mnie wracać. Wszystkiego najlepszego w dalszym życiu. Kiedy będziesz o mnie myśleć, pamiętaj, że to ja cię kochałem, a to ty wszystko odrzuciłaś!

Rob

Odchylam głowę na oparcie sofy i spoglądam na smugi ulicznego światła sączące się przez żaluzje. Wchodzi Dave i siada mi przy nogach, ogon zawija sobie grzecznie wokół łap, mruga i zaczyna mruczeć.

– Bardzo jesteś z siebie zadowolony. Co robiłeś przez cały dzień?

Zgniatam list w kulkę i rzucam ją na drugi koniec pokoju. Dave nagle daje za nią nura, przewraca się na bok i przednią łapą wsuwa ją pod ławę. Dzwoni telefon i włącza się automatyczna sekretarka.

– Viv? Tu Rob. Słuchaj, Króliczku, musimy porozmawiać. Zadzwoń do mnie.

Dave mruga.

– Wiem... Tragedia – mówię.

Kot przeciąga się i zahacza o sofę białymi pazurami. Spycham go na podłogę, ale on natychmiast wraca, rytmicznie drapiąc skórę.

– Nie rób tak. – Przerywa, jakby się zastanawiał, po czym wraca do poprzedniego zajęcia. – Nie możesz sobie iść i lizać tyłka czy coś? – Zrzucam go i idę się przebrać.

To, co zastaję w sypialni, to masakra: poduszka z pierzem została rozorana jak ptasi brzuch, a jedwabny szlafrok o kroju kimona podarty jest na strzępy. Dave wchodzi po cichu za mną. Siada u mych stóp. Minę ma zdziwioną. Podnoszę resztki kimona.

– Jasna cholera, Dave! To kosztowało prawie sto funtów! – Spojrzenie żółtych oczu wędruje za powiewającymi skrawkami jedwabiu. – Jak mi za to zapłacisz, co? – Kopię poduszkę. – A to była moja ulubiona poduszka. – Atakuje unoszące się piórko, gdy klękam na łóżku, aby sprzątnąć to, co zostało z poduszki. – Słuchaj, głupi kocie, nie możesz się tak zachowywać, okej? – Piórko przykleja mu się do pyszczka i próbuje je zjeść. – Potrzebujesz drapaczki czy co? – Zastanawiam się, jak najlepiej to posprzątać, i postanawiam wrzucić cały bajzel do worka na śmieci. – A sio! – przeganiem go; ucieka z podkulonym ogonem i chowa się pod ławą.

Obchodzę mieszkanie w poszukiwaniu śladów Roba. Czuję niewyobrażalną ulgę, że się go pozbyłam. Aż trudno mi w to uwierzyć. Kochałam go... Nie, miałam na jego punkcie obsesję. Myślałam, że będę zdenerwowana, zmartwiona przyszłością. Przyszłością, która w tej chwili nie wygląda różowo: nie mam pracy, jestem singielką, niedługo zostanę bez grosza i prawie bez przyjaciół. Dopuszczam do myśli określenie „stara panna” i je przetrawiam... Nie, nadal ogromna ulga. Prawdę mówiąc, bardziej samotnym jest się w związku z niewłaściwą osobą niż w pojedynkę. No bo w tym drugim przypadku ma się nadzieję i spokój. Wtedy wszystko może się zdarzyć, jest się kierowcą swojego życia: można nauczyć się występów na trapezie, przekłuć nos, pojechać vanem do Gwatemali, zjeść na kolację kanapkę z

paluszkami rybnymi.

Idę do lodówki, eksperymentując z myślami, sprawdzając, czy mnie zaboli. Rob z inną kobietą... Nic. Pchający dziecięcy wózek? Boże, byłby koszmarnym ojcem! Wpadam na Roba, jestem singielką, towarzyszy mu jakaś supermodelka i ich dziecko, a ze mnie leje się pot po wizycie w siłowni? Nalewam sobie szklankę wody. Au, owszem, coś w tym scenariuszu boli, ale tylko trochę; bez tego fragmentu z potem jest już okej. Pojawia się Dave, zerkając z nadzieją na lodówkę. Białe przednie łapy ma grzecznie złożone.

– No co? Nie rozmawiam z tobą. – Piorunuję go wzrokiem, a on wydaje ciche miauknięcie. Wykładam kocie żarcie na talerzyk, a on mruczy i wyciąga kawałki mięsa na podłogę. – Zero dobrych manier – oświadczam mu. – Jak twój właściciel.

Twój przystojny, seksowny właściciel. Jak to by było stracić Maxa? Wpaść na niego, gdy jest w towarzystwie innej kobiety? Druzgocące. Niewyobrażalne. Cóż, nie zamierzam go stracić. Udaję się pospiesznie do laptopa, otwieram stronę i zaczynam do niego pisać.

Kiedy kończę stukać w klawiaturę, oczy mam mokre od łez. Gdyby on tutaj był, wszystko wyglądałoby inaczej. Publikuję wpis na blogu i czekam. Ale czego się spodziewam? Jakichś czarów? Nie zjawi się przecież w moich drzwiach z wielkim bukietem róż. Włączam telewizor, aby zagłuszyć milczący telefon, i idę do kuchni po jakieś przekąski. Znajduję przeterminowane krakersy serowe i paczkę paluszków i kładę się na sofie, skacząc po kanałach. Dave sadowi się na moim brzuchu. Czuję, że się odprężam, gdy głaszczę jego łebek. I zaczyna nas wciągać program o krępującym owłosieniu, kiedy dzwoni telefon. Zamieram. Czy to może być Max? Może. Przeczytał wiadomość i wraca. Szybko odbieram.

– Vivienne? – odzywa się znajomy głos.

– Babcia!

– Witaj, skarbie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. A co u ciebie, kochanie? – Głos ma słaby.

– Tak się cieszę, że cię słyszę. – Babcia się śmieje, ale śmiech szybko przechodzi w kaszel. – Kiedy się obudziłaś? Chciałam być wtedy przy tobie.

– Dziś rano. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Musieli porobić mi jakieś badania, przerzucano mnie więc z miejsca na miejsce. Leżę teraz na innym oddziale. Trochę tu przyjemniej, nie tak dużo starych dziadków, wiesz?

– Nie mogę uwierzyć, że to ty. Tak bardzo się martwiłam.

– Wiem. Przepraszam, skarbie.

– Nie, nie, chodziło mi... To nie twoja wina. Och, nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Możliwe, że jutro wypuszczą mnie do domu.

– Naprawdę? A to nie trochę za szybko?

– Boże, nie. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę, a zresztą łóżka są potrzebne dla tych wszystkich ramoli. Budzisz się i chwilę później cię wypraszają. – Brzmi jak dawna babcia, tyle że z nieco większą chrypką. Chce mi się płakać z ulgi.

– Cóż, skoro uważasz, że jesteś wystarczająco silna... Ale jakiś lekarz powinien mieć cię chyba na oku?

– Doktora Begga mam naprawdę niemal po sąsiedzku.

– A zadzwonisz do niego, jeśli go będziesz potrzebować? Reg mówił, że poprzednio nie pozwoliłaś mu wezwać lekarza.

– O tak, chyba dostałam wystarczającą nauzkę.

– To dobrze, nie ma sensu być uparciuchem. Kiedy jest się chorym, to jest się chorym i już.

– Viv?

– Tak.

– Muszę ci coś powiedzieć i nie chcę, żebyś się złościła.

– W porządku. – Co ona zrobiła? Zapisła w spadku swój dom schronisku dla kotów?

– W sobotę wychodzę za mąż.

BLOG DLA MAXA # 1 – GDZIE JESTEŚ?

To już cztery godziny i cztery dni. Pamiętasz, jak powiedziałeś kiedyś, że jeśli jedno z nas nie skontaktuje się z drugim przez dwadzieścia cztery godziny, to będzie znaczyło, że nie żyje i że ta druga osoba powinna wtedy iść i wyważyć drzwi? Cóż, byłam u ciebie, ale drzwi są z ciężkiego metalu z podwójnymi zamkami, a ja miałam ze sobą tylko pilniczek do paznokci, zresztą twój motor zniknął, więc wiem, że żyjesz. Gdzie jesteś? Ta niewiedza mnie dobija. A jeśli umrę, to kto wyważy moje drzwi?

Zapełniłam twoją pocztę głosową... i twoją skrzynkę mailową. Zadzwoiłam do twojej matki. Tak na marginesie, mówi, żebyś się z nią skontaktował. Masz własną grupę na Facebooku! Wiem, że to ci się strasznie nie spodoba, kiedy więc wrócisz, to ją skasuję. Porwałam Dave'a i już tego żałuję – to na wpół zdziczały diabeł wcielony. Może po prostu tęskni za tobą. Ja tęsknię tak bardzo, że zrobiłabym wszystko, byle tylko usłyszeć twój głos. Zjadłabym wątróbkę. Publicznie bym zaśpiewała.

Jeśli to czytasz, popatrz, jak bardzo się staram! Opuścisz mi? A jeśli nie potrafisz wybaczyć, może mógłbyś zadzwonić i na mnie pokrzyczeć? Tylko, proszę, nie odbieraj mi w ten sposób swojej miłości. Kocham cię. Teraz to wiem i przepraszam, że wcześniej nie miałam o tym pojęcia. Na prawdę bardzo cię kocham, Max.

V x

Wcześniej docieram do domu babci. Na ulicy jest jeszcze

chłodno i cicho. Pukam kilka razy i łapię za klamkę; nie są zamknięte, więc wchodzę do środka.

– To tylko ja! – Przeglądam się w wiszącym w korytarzu lustrze i przyglądam włosy. To sprawka mojej wyobraźni czy ten dom nabrał tego charakterystycznego zapachu starości – połączenia środka dezynfekującego i pleśni? Wyjmuję z torebki czekoladki i siatkę pomarańczy, gotowa, aby podarować je babci. – Halo? – Zaczynam schodzić do kuchni i w połowie schodów spotykam się z Regiem. Zakłopotani, oboje robimy krok w bok.

– Zatańczymy? – pyta.

– No ale nie na schodach, co?

Odwraca się i schodzi ostrożniej niż mogłabym to uznać za konieczne. Patrzę na poraną zmarszczkami skórę na jego karku i nagle ten człowiek wydaje mi się bezbronny. Czuję ukłucie wstydu na wspomnienie tego, jak go potraktowałam.

– Jest w ogrodzie – mówi, gdy docieramy do kuchni. – Może wezmę to od ciebie?

Waham się, nie mając pewności, co powiedzieć.

– Czy ona... dobrze się czuje?

– Jest zdrowa jak ryba. I jeszcze bardziej się rządzi niż zazwyczaj! – Śmieje się i nasze spojrzenia się krzyżują; patrzy na mnie ostrożnie.

– Moje gratulacje – mówię.

– Dziękuję, Vivienne. – Unosi brodę, jakby czekał na cios.

– Mówię poważnie. Bardzo się cieszę waszym szczęściem.

– Dziękuję ci. To dużo dla niej znaczy. – Patrzy mi prosto w oczy i zauważam, że jego są w ślicznym ciemnoniebieskim kolorze.

– I chciałam powiedzieć... Przepraszam. Wtedy w szpitalu, wiem, że nie byłam dla pana miła. Chyba to przez ten, no wie pan, szok...

Klepie mnie w ramię.

– Nie musisz się tłumaczyć. No to chodźmy. Eve już się nie może doczekać, kiedy cię zobaczy.

Od tamtego lipcowego gorącego dnia, kiedy Max i ja byliśmy tu po raz ostatni, ogród przeszedł sporą transformację. Taras jest zamieciony, trawnik skoszony, a róże znajdują się teraz w pełnym rozkwicie. Wzdłuż starannie utrzymanych krawędzi trawnika posadzono nowe kwiaty i krzewy w różnych kolorach tęczy. Nad tarasem zbudowano nowy trejaż, po którym pną się róże. Nawet kamienny anioł jest czyściutki. Reggie miał pełne ręce roboty. Zatrzymuję się w drzwiach, a mój wzrok przyzwyczajają się do słońca. I wtedy ją dostrzegam: drobną, chudziutką postać na wózku inwalidzkim w cieniu gruszy. W moim gardle tworzy się gęstwa, gdy przypomina mi się ostatni raz – ona i Max, ich koktajle i nedorzeczne nakrycia głowy. Podchodzę do niej, starając się, by na mojej twarzy nie malowały się gwałtowne uczucia. Jej skurczone, kruche ciało na tle tego tętniącego życiem ogrodu potęguje jeszcze wstrząs; wygląda jak suchy liść zdmuchnięty na nowy trawnik. Zwracam uwagę na jej zakrzywione palce i przerzedzone włosy. Pomimo gorąca jej nogi zakrywa kolorowa szydełkowana narzuta.

– Babciu.

Odwraca się, a twarz ma woskową jak mydło.

– Viv!

Klękam przed nią i ujmuję jej dłonie.

– Witaj.

Uśmiecha się i odsuwa mi z twarzy kosmyk włosów. Nie wiem, jak się przy niej zachowywać. Klepię oparcie wózka.

– No a co to takiego?

– Och, wiem. Nie do końca ostatni krzyk mody dla przyszłych panien młodych, co?

– Jakoś damy radę.

Uśmiecha się i mierzy mnie wzrokiem.

– Schudłaś – stwierdza.

– Nie tak bardzo jak ty. – Jej nadgarstek mieści się między moim kciukiem a palcem wskazującym.

– Nie. Cóż...

Nachylam się i całuję ją w delikatną skórę policzka.

– Witaj w domu, babciu. I moje gratulacje.

– Dziękuję. – Pauza. – Cieszę się, że jesteś zadowolona, Viv.
– Patrzą jej w oczy i dostrzegam w nich wesoły błysk. – Wiem, że wszystko stało się tak nagle, ale...

– Cóż, czasem trzeba, aby coś cię porządnie nastraszyło i dało kopniaka w tyłek.

– Na to wygląda.

Przez taras idzie Reg, niesie tacę z drinkami. Stawia ją na schodkach i trochę się sprzecniają o to, czy przynieść stolik. W końcu odchodzi po niego, mamrocząc pod nosem. Babcia zauważa, że mu się przyglądam.

– To dobry człowiek. Serdeczny. – Uśmiecham się do niej. – I sporo jeszcze życia przed nim.

– O niego się nie martwię. – Ściskam jej dłoń.

– I o mnie też się nie martw – mówi z pewną dozą oburzenia, jakby nigdy w życiu nie była chora.

– W porządku, skoro tak mówisz, to nie będę. Tyle że sądziłam, że to ja wyjdę za mąż pierwsza, nie ty.

– Cóż. Tak. Jakieś wieści w związku z Robem?

– Nie, to temat zakończony.

Uśmiecham się do Rega, który wraca, taszcząc mały stolik do gry w karty. Stawia go obok wózka babci i wraca po tacę.

– Nie ten stół, Reg! Miałam na myśli ten z kuchni.

Przewraca oczami, spoglądając na mnie.

– Kto ma ochotę na owocowy poncz? – pyta, podnosząc dzbanek.

– To przypadkiem nie pimm’s? – pyta babcia.

– Nie, moja kochana, ty masz zakaz picia alkoholu i doskonale o tym wiesz.

Babcia pociąga nosem i patrzy na trawnik.

– Popatrzcie na te śliwki! – Odwracamy się, aby zobaczyć, co pokazuje. – To drzewo wręcz się pod nimi ugina.

Wstaję, biorę szklankę od Rega i podaję ją babci.

– Chciałabym wznieść toast – oświadczam. – Za ciebie, babciu, i za pana, Reg, i za miłość. – Patrzą na siebie i uśmiechają się, a w tym uśmiechu dostrzegam przebłysk prawdziwej przyjaźni i zrozumienia. Unoszę szklankę. – I za mnie, abym odnalazła ukochanego... gdziekolwiek jest.

Pijemy.

– Nie taki zły ten poncz – stwierdza babcia. – Choć odrobina ginu by nie zawadziła.

– A jeśli chodzi o ślub – mówię – to zarezerwowałaś już balon?

– Ach! – Śmieje się. – Obawiam się, że ten wózek jest trochę za ciężki.

– Więc gdzie się odbędzie?

– Cóż, kwestie formalne załatwimy w urzędzie stanu cywilnego, ale prawdziwa ceremonia odbędzie się tutaj. To nasza katedra. – Reg zatacza ręką krąg wokół ogrodu. – Pod trejażem

wymienimy się przysięgami, tutaj w dwóch rzędach postawi się krzesła dla gości.

– Doskonale.

– Viv, poprowadzisz mnie do ołtarza, co? – pyta babcia.

– Naturalnie.

– Obawiam się, że będziesz musiała pchać wózek.

– Dam sobie radę. Poćwiczymy? – Chwytam rączki wózka i zaczynam ją wozić po tarasie. Jest lżejszy niż się spodziewałam i w pierwszej chwili używam zbyt dużo siły. – Mogę ci też pomóc podczas pierwszego tańca, jeśli chcesz. – Kołyszę wózek na boki. – A co zrobimy, jeśli obleci cię strach? Mogłybyśmy uzgodnić jakiś sygnał, na przykład uniesiesz bukiet, a ja wtedy zawrócę i damy drapaką...

– To nie będzie konieczne! – woła i zaczyna kaszleć. Reg podaje jej chusteczkę, a ona trzyma ją przy twarzy, po czym starannie coś w nią zawija.

– Jak długo będziesz na wózku?

– Tylko do czasu, aż znowu nabiorę sił.

– W takim razie niedługo – mówię.

– O tak, bardzo niedługo – uśmiecha się.

Późnym popołudniem otwieram drzwi swojego mieszkania. Rano wcześniej wyszłam, żeby jechać do babci, i zasłony są jeszcze zasunięte. Pachnie tu kotem. Przybiega Dave i czmycha między moimi nogami. Łapię go na klatce i wnoszę z powrotem. Kuweta

jest do sprzątnięcia. W zlewie zalegają naczynia.

Rozsuwam zasłony w sypialni i przez zakurzone szyby do pokoju wlewa się słońce. Wygląda na to, że dzisiaj nic nie ucierpiało. Irytuje mnie to miejsce. Kosz na pranie z niepasującą pokrywą, pozbawiona okna łazienka i ciekący prysznic. To mieszkanie wcale nie jest takie złe; chodzi po prostu o to, że zamierzałam mieszkać w zupełnie innym miejscu. Wyobrażałam sobie wielką kwadratową kuchnię z dużym stołem i dziećmi, i psami. Cóż, wyobrażałam to sobie z Robem. Teraz, gdy wiem, że kocham Maxa, życie wydaje się piękne i ekscytujące, długie i pełne możliwości. Gdybym tylko mogła go znaleźć i jeśli on nadal mnie kocha... Przysiadam na oparciu sofy.

A jeśli już mnie nie kocha? Wracam myślami do ostatniego razu, kiedy się widzieliśmy – nie w galerii, ale wcześniej, kiedy wszystko było jeszcze dobrze. Powiedział, że zawsze będzie mnie kochał. Ale kiedy przypomina mi się jego twarz w galerii, ogarniają mnie piekące wyrzuty sumienia. Zraniłam go. W żadnym razie tego nie chciałam. Ogarnia mnie nienawiść do samej siebie. Rozglądam się po panującym w mieszkaniu umiarkowanym bałaganie i podnoszę z podłogi opakowania po chipsach. Nigdy nie przypuszczałam, że będę wydawać za mąż własną babcie – no ale czy ma znaczenie, co myślałam? Myślałam, że pragnę Roba. Myślałam, że Max to splukana ofiara losu. Myślałam, że to mieszkanie jest modne i fajne. Na nodze od krzesła dostrzegam zadrapania. Myślałam, że fajnie by było mieć kota. To oczywiste, że nie mogę ufać temu, co myślę.

Idę do kuchni. Nie znoszę tego, że nigdy nie mam w domu nic do jedzenia. Otwieram lodówkę i wydaję puszkę czegoś, co kiedyś mogło być kremową pastą z ikry. Unoszę minimalnie wieczko i uwalniam nieziemski smród. Wyrzucam puszkę do worka na śmieci, a potem obchodzę mieszkanie i dokładam także inne rzeczy, na koniec rozprawiając się z zawartością kuwety.

Biorę portfel i taszcze worek na dół, gdzie wyrzucam go do kontenera na śmieci. Udaję się do pobliskiego minimarketu i pakuję do wózka kawę, mleko, herbatniki, marchewkę, pomidory, cokolwiek, co tylko zobaczę, a z czego da się przygotować posiłek. Pora dorosnąć, pora zacząć troszczyć się o samą siebie. Wybieram porządne wino, nie najtańsze, jakie znajduję. Dorzucam jakieś środki czystości z napisem „Bang” na etykiecie. Tego dokładnie mi trzeba. Biorę z półki jeszcze kilka druciaków i idę do kasy.

Czekam, gdy tymczasem młoda kobieta z wygolonymi po bokach włosami i tatuażem na szyi powoli skanuje każdy produkt.

– Razem dziewięćdziesiąt dwa funty dwadzieścia pensów – mamrocze, nie podnosząc głowy.

– O rany, drogie te środki czystości, co? – mówię i nagle robi mi się gorąco.

Kobieta żuje gumę, gdy wkładam kartę do czytnika i wstukuję PIN, próbując oszacować, czy mam na koncie wystarczającą ilość pieniędzy. „PIN zgodny” – pojawia się informacja. – „Proszę zabrać kartę”.

Taszcze zakupy do domu, nastawiam czajnik z wodą i zabieram się za sprzątanie. Przejmuję teraz kontrolę nad sytuacją, więc wszystko się ułoży. Ściele łóżko i wlewam bang do toalety, a od oparów łzawią mi oczy. Mam kontrolę. Znajdę go. Szafki w kuchni zapelniam torebkami i puszkami. Parzę herbatę i włączam laptopa, aby sprawdzić, co na Facebooku. Grupa „Gdzie jest Max?” ma już stu dwóch fanów! Głównie romantyków, którzy uważają, że jestem słodka, i życzą mi powodzenia.

Zaglądam na swój profil na Facebooku. Otrzymałam zaproszenie na przyjęcie zaręczynowe Michaela. Nie mogę tam iść i stanąć twarzą w twarz z Mole, nie po moim dramatycznym

odejściu z pracy, prawda? Ale dziwna lojalność wobec Michaela każe mi zaakceptować zaproszenie. Sprawdzam skrzynkę odbiorczą – żadnej wiadomości od Maxa. Jeśli wybrał się w jakąś podróż śladami dzieł sztuki, nadąsany i obrażony, możliwe, że nie widział mojego bloga ani strony na Facebooku i nie wie, że go kocham. Zresztą jest mocno na bakier z Facebookiem, a wątpię, żeby wszedł jeszcze na moją stronę po tym, co się stało. Potrzebuję czegoś jeszcze, czegoś większego. Dzwonię do Christie i umawiamy się na spotkanie w znanej jej herbaciarni.

Wygląda na to, że kolorowe makaroniki przeżywają renesans. Na wystawie stoi staromodna szklana patera, a na niej warstwy pastelowych ciasteczek. W środku znajdują się stoliki przykryte ceratami w kwiatki i drewniane krzesła z oparciami z wyciętymi serduszkami. Herbaciarnia nazywa się „Szalony Kapelusznik”. Wszystkie imbryki są ponadnaturalnych rozmiarów. Pełno tu kobiet tego samego typu, lekko zblizowanych i dziewczęcych. Pośród nich siedzi Christie w obciętych dżinsach, wyszywanej cekinami długiej kamizelce i butach przypominających boksy. Włosy ma zebrane na czubku głowy i owinięte czymś, co wygląda jak pomarańczowy bandaż.

– Christie, naprawdę musisz przestać czytać „Vogue’a”.

– Och, cześć! Cześć. – Cmoka mnie w policzki, a raczej powietrze obok nich. – Nie, Viv, prawdopodobnie nie rozumiesz tego stylu, pochodzi prosto z wybiegu. Pamiętasz mojego kolegę Nigela? – Myślę o zniszczonej sukience z piór, którą do końca życia będę spłacać w ratach. – No więc przygotowuje w szkole pokaz i to jeden z jego zestawów.

– Hmm, cóż, w takim razie pewnie wyprzedzasz modę. To znaczy, że za rok ja też będę to nosić? – Mierzę wzrokiem pomarańczowy turban.

– Może. W znacznie łagodniejszej wersji. W każdym razie na te pokazy chodzą wszyscy nabywcy. U Nigela byli z Topshopu... Ooch, zamówię ci coś.

Zrywa się z krzesła i obserwuję, jak z ożywieniem składa zamówienie. Inni także się jej przyglądają. Christie ma umiejętność przyciągania uwagi, gdziekolwiek by się znalazła. To ładna dziewczyna, ale nie chodzi tylko o urodę... Zaskakuje ludzi, po prostu się jej nie spodziewają. Ciekawe, czy można by jakoś wykorzystać ten talent. To oczywiste, że zauważył go ten projektant Nigel, dając jej swoje kreacje do noszenia. Cekiny na kamizelce migoczą, kiedy razem z tacą z absurdalnym dzbankiem w grochy wraca do stolika.

– Te cekiny... powinny coś mówić – stwierdzam.

– Mówią: „Migoczemy!”.

– Uważam, że powinny mówić coś w naszym imieniu, zabrać głos w kampanii na rzecz odnalezienia Maxa.

– „Poszukiwany... wysoki Irlandczyk” – zastanawia się.

– Tak, albo coś prostego, na przykład: „Gdzie jest Max?”.

– Że niby co? Nosimy designerskie kamizelki za osiemset funtów z cekinami układającymi się w napis „Gdzie jest Max?”. Super.

– Nie. Cekiny nie, coś innego.

– Są ręcznie przyszywane. – Pociąga za luźną nitkę i materiał połyskuje jak rybie łuski.

W mojej głowie pomysł goni pomysł. Myślę o potężnej

kampanii, pokazie mody, relacji w telewizji... ale za darmo.
Christie nalewa herbatę.

– T-shirty.

– Tak.

– T-shirty z logo „Gdzie jest Max?”. Nie cekiny, ale coś błyszczącego. Twój kumpel Nigel mógłby to dla nas zrobić i zaprezentować podczas swojego pokazu.

– Hmm... Ciekawe, czy by to zrobił.

– Wtedy Topshop je kupi i kampania stanie się potężna.

– Czemu Topshop miałby je kupić?

– Przecież mówiłaś, że twój kumpel robi pokazy mody dla Topshopu?

– Tak, ale...

– A oni zawsze wybierają jakiś nowy talent.

– Cóż, mogłabym go zapytać.

– Ubłagaj go, Christie. Idź z nim do łóżka.

– To gej.

– Niech twój współlokator się z nim prześpi.

– On nie jest gejem.

– Och, no to nie wiem, po prostu... wymyśl coś! To za dobry

pomysł, żeby go nie wykorzystać.

– W porządku.

Wyjmuje z torebki notes Hello Kitty w komplecie z długopisem i zaczyna pisać. Główna Hello Kitty zapala się za każdym razem, gdy zaczyna nowe słowo. Siedzę i patrzę zdumiona.

– Fajny długopis.

– Och, po prostu kocham takie rzeczy, a te z Hello Kitty są po prostu urocze! – Marszczy brwi. – Tylko „Gdzie jest Max?”. To wszystko, co ma być napisane?

– Z tyłu można by umieścić nazwę naszej firmy albo same inicjały DTPR?

Marszczy nos.

– Trochę to brzmi jak jakaś choroba.

– Okej, no to nie.

Zamyka notes i lekko gładzi okładkę. Pijemy herbatę, a Christie zabiera się za cytrynową babeczkę.

– No dobrze, następnie musimy dotrzeć do niedzielnych gazet i namówić je do napisania o poszukiwaniach, kiedy będą zamieszczać wzmiankę o nevergoogleheartbreak.com... Ja się tym zajmę. – Wyjmuję telefon i wpisuję notatkę. Następnie wyglądam przez okno „Szalonego Kapelusznika” i skupiam się na facecie na dworze. Ogarnia mnie podekscytowanie. Jest wysoki, ma ciemne kręcone włosy i ogląda wystawę sklepu naprzeciwko. Wyblakłe dzinsy, stare buty... Dokładnie jak Max. Mówiąc precyzyjniej, to

jest Max. Czy to możliwe? Staję w oknie. Tak... Szerokie ramiona, sposób, w jaki stawia stopy. Boże, to on. Walę w szybę. – Max! – wołam. – Max!

Walę raz, dwa, trzy razy i pędzę w stronę drzwi, roztrzając po drodze krzesła. Wtedy facet się odwraca i z uśmiechem bierze za rękę małą dziewczynkę, która wychodzi ze sklepu. Zerka w moją stronę, nieco zdezorientowany, najwyraźniej zastanawiając się, czy mi odmachać. Postanawia tego nie robić, skoro mnie nie zna, i oddalają się, ja tymczasem zostaję z obiema dłońmi na szybie jak jakiś obłąkany mim.

Powoli się odwracam, w końcu będąc w stanie mówić. Kiwam głową stojącej za ladą kobiecie w fartuszku z falbankami.

– Przepraszam, ja... myślałam, że go znam. – Uśmiecha się z udawanym współczuciem. Dwie kobiety przy stoliku pod oknem gapią się na mnie. – Okej, koniec przedstawienia. Wracajcie do swoich muffinek – warchę i wracam do swego stolika.

– No dobrze – mówi Christie. – Widzę, że naprawdę musimy znaleźć tego twojego mężczyznę.

BLOG DLA MAXA #2 – MYŚLAŁAM, ŻE TO TY

Dni od ostatniego spotkania: 26.

Wczoraj myślałam, że cię widzę. Jakiś facet miał styl podobny do twojego. To by sugerowało, że masz jakiś styl, a przecież oboje wiemy, że tak nie jest. Ale coś w nim przypominało mi ciebie i zrobiłam z siebie idiotkę w kafejce, wykrzykując twoje imię. A kiedy się odwrócił i okazało się, że to nie ty, byłam zdruzgotana.

Muszę się z tobą spotkać. Masz ochotę na wypad do pubu? Moglibyśmy raczyć się ginem z tonikiem i chipsami. Albo zostać w... Nieważne. Chcę robić z tobą wszystko, ale wystarczyłoby mi usłyszenie twojego głosu. Może mógłbyś zadzwonić? Nie uwierzysz, ale babcia bierze ślub z Reggie. Jesteś zaproszony. To już w najbliższą sobotę.

Wiesz, że nie przyjmuję odpowiedzi odmownych i że to właśnie we mnie kochasz? Cóż, rozpoczynam kampanię mającą na celu odnalezienie cię. Wiem, że brzmi to melodramatycznie, jak kawałek z kiepskiego romansu, ale muszę coś zrobić. Muszę doprowadzić do tego, abyś poznał prawdę. Powiedziałeś, że zawsze będziesz mnie kochał i że to ja podejmę decyzję, ale to nieprawda. Ty to zrobisz. To będziesz ty, Max. Kocham Cię.

V x

PS. Masz pięciuset fanów na Facebooku.

Lucy w sukience ślubnej bez ramiączek stoi przed olbrzymim lustrem w złoczonej ramie. Ja siedzę na szeszlony z naszą butelką

gratisowego szampana – cóż, niezupełnie gratisowego, skoro za wizytę tutaj zapłaciłyśmy dwadzieścia funtów. W tle Shania Twain śpiewa *You're Still the One*.

– Sądziłam, że szukamy gorsetu i białych kabaretek – zauważam.

Lucy odwraca się i patrzy przez ramię w lustro. Tył sukni jest sznurowany satynową wstążką. Unosi włosy i robi tę swoją „lustrzaną” minę. Pulchna kobieta w granatowej garsonce podbiega do niej i poprawia spódnicę.

– To śliczna suknia – mówi Lucy.

– Zgadza się – przyznaję. – Chcesz szampana?

Przygląda się swemu odbiciu, wyraźnie zadowolona. Ręce trzyma z dala od ciała, jak balerina.

– Z czego ją uszyto? Ten materiał jest cudowny.

– To chyba jedwab albo satyna, co?

– On tak jakby błyszczący, nie sądzisz? A jaki to według ciebie kolor? Coś jak skorupka jajka. – Wygląda fałdy sukni.

– Skorupka jajka? A co to takiego, rodzaj zgaszonej bieli?

– Co się z tobą dzieje? – Marszczy brwi.

– Nic. A co z pomysłem na gorset?

Pulchna Pani wróciła z perłową tiarą i welonem, a Lucy schyla się lekko, aby je mogła nałożyć. Z głowy zwisa jej teraz sztywna koronka, która wygląda jak otwarta do połowy parasolka.

Muska opuszkami palców jej krawędzie. Pulchna Pani wchodzi na coś w rodzaju obitego wykładziną podium i układa welon. Lucy podchodzi do lustra, a spódnicę trzeba ponownie odpowiednio ułożyć.

– Przepraszam – mówię. – Mogłybyśmy przymierzyć nieco bardziej błyszczącą tiarę?

Pulchna Pani oddała się do pokoju z akcesoriami.

– Myślisz, że to konieczne? – pyta Lucy.

– Nie, chciałam jedynie pozbyć się jej na chwilę. Musi być wykończona tym poprawianiem sukni. – Lucy zerka na mnie przez welon. – Widzisz coś? – pytam.

– Popatrz, do tej koronki przyszywano maleńkie perły z konchy.

– Aha. Co to są perły z konchy?

– Bo ja wiem. Ale welon jest śliczny, prawda? Podoba ci się?

– Mają tu ślubne gorsety?

– Viv! Skończ z tym gorsetem, dobrze?

– Próbuję ci tylko przypomnieć, jakie miałaś plany.

– Byliśmy na bani, kiedy to mówiliśmy! Naprawdę myślisz, że Reuben założy szorty?

– Bo ja wiem, tak naprawdę go nie znam. Ja je sobie jednak kupiłam. I kozaczki też.

Zaczyna się śmiać.

– Chryste, zdejmij mi z głowy to ustrojstwo!

Kiedy Pulchna Pani wraca, ja stoję na podeście i próbuję wyplatać tiarę z włosów Lucy. Ekspedientka przejmuje dowodzenie i głowa Lucy w końcu się wyłania. Jest trochę zła i czerwona na twarzy, a włosy ma potargane.

– Viv, proszę cię, czy możesz się skoncentrować? Wiem, że bycie w takim miejscu musi być dla ciebie trudne, ponieważ zostałam porzucona... – Zerkam na Pulchną Panią. Wygląda na ucieszoną. – Ale to nie dotyczy ciebie, a ty masz mi przecież pomagać. – Lucy wygląda, jakby się miała zaraz rozplakać, a mnie się nagle robi głupio.

– Przepraszam. To pewnie dlatego, że jestem starą panną. Niezbyt dobrze się odnajdujemy w ślubnych imperiach.

– Wiem, że jesteś starą panną!

– No dobrze. Trochę ciszej.

– Ale nie mogłabyś na pół godziny odłożyć uzalanie się nad sobą? Naprawdę potrzebna mi twoja opinia.

Podnoszę się z szeszlona i staję przed lustrem obok niej.

– Chcesz poznać moją opinię? – W duchu cieszy mnie fakt, że Lucy liczy się z moim zdaniem; w gorszych momentach zastanawiałam się, czy nie zaprosiła mnie po to, aby utrzcć mi nosa.

– Dlatego właśnie chciałam, żebyś przyszła tu ze mną.

– Cóż, kiedy włosy masz potargane, tak jak teraz, sukienka wygląda niesamowicie. Jeśli się zdecydujesz na welon, to suknię powinnaś według mnie wybrać nieco odważniejszą.

Zbiera włosy z tyłu głowy.

– Masz rację. – Robi półobrót i przegląda się w lustrze. – Jak już ty coś powiesz...

Lustruję ją z góry na dół i kiwam głową.

– Wyglądasz pięknie i seksownie, ale nie tak, jakbyś włożyła w to mnóstwo wysiłku.

– To jest ta sukienka, prawda?

– Patrząc na ciebie teraz, myślę, że tak.

Jej oczy wypełniają się łzami.

– O mój Boże! – woła. – To jest ta sukienka!

Wyczuwając prowizję, Pulchna Pani podbiega do Lucy. Zastłania dłonią jej oczy.

– Proszę sobie wyobrazić dzień swego ślubu... – szemrze z lekkim amerykańskim akcentem. – Najważniejszy dzień w pani życiu. Fryzura i makijaż są perfekcyjne, wygląda pani pięknie i pachnie ulubionymi perfumami. – W tym momencie psika na Lucy odrobiną czegoś. – W rękach ma pani cudowny bukiet i stoi przed wejściem do kościoła. – Dostrzegam w lustrze, że mam rozdziawione usta, wracam więc na szezlong i dopijam szampana. – W środku jest już pani przyszły mąż; nie może się doczekać, kiedy panią poślubi, i nerwowo zerka w stronę drzwi. Te drzwi otwierają się teraz i oto, co widzi.

Teatralnym gestem odsuwa dłoń i osłupiała Lucy przygląda się swemu odbiciu.

– Biorę ją – wyrzuca z siebie.

I *voilà!* Dwa tysiące funtów później staje się dumną posiadaczką pięknej sukni ślubnej od Very Wang.

– Skoczmy na drinka, aby to uczcić? – pyta. – W lokalu po drugiej stronie ulicy, tym z naprawdę długim barem, robią niesamowitą arbuzową margaritę! – dodaje, jakby to właśnie na to czekała całe życie.

– W takim razie chodźmy! – Biorę ją pod ramię.

Sadowimy się na końcu bardzo długiego metalowego baru. Wystrój lokalu to głównie jasne drewno i postarzone skórzane kanapy. Nasze drinki, ozdobione jagodami i ustawione na srebrnych papierowych podkładkach, wyglądają jak dzieła sztuki.

– Wyobrażasz sobie wymagania dla osób szukających tutaj pracy? – dumam. – Wszyscy są tacy przystojni. Poszukiwani byli modele do pracy za bardzo długim barem. Nie wolno im się uśmiechać.

– Muszą umieć robić koktajle – dodaje Lucy.

– Coś takiego znajdowałoby się w rzeczywistym opisie posady.

– Wiem.

Patrzę na nią przez chwilę, po czym postanawiam zmienić temat.

- Myślisz, że Reubenowi spodoba się twoja suknia?
- Och, będzie zachwycony.
- W takim razie nie będzie motywu seksu?
- Będzie, ale bardziej stonowany niż ten, który wtedy omawialiśmy.
- Na przykład co, tort w kształcie fallusa?
- Dokładnie! – śmieje się.
- A może majtki ze sprośnymi sloganami?
- Fajny pomysł. Z Barnes and Worth?
- Nie, ale mogłabym ci kilka załatwić.
- Z jakimi sloganami?
- Jakimi tylko chcesz. Mogłyby wchodzić w skład prezentów dla gości.
- Aha, majtki zamiast czapek i może odrobina lubrykantu.
- Albo zabawny kondom.
- Albo seks-zabawka.

Śmiejemy się i pijemy margarity. Zaczynam analizować potencjalną rentowność seksownych prezentów dla gości weselnych. Mogłaby to być pierwsza kampania wprowadzająca produkt na rynek, którą zająłby się Dream Team. Na początek

można je dostarczyć na wesele Lucy, a potem próbować wejść na cały rynek ślubny.

– Chyba przydałoby się także coś związanego z miłością... Paczuszki cukierków Love Hearts albo małe ciasteczka z wróżbą w kształcie serc – sugeruję.

– O tak, miłość, zdecydowanie...

– Okej. – Już się zastanawiam nad dostawcami, obliczając w myślach koszty i realistyczną cenę upominków dla gości. Dociera do mnie, że nie usłyszałam czegoś, co Lucy mówiła o swoim ślubie.

– ... zgadza się? – kończy.

– Oczywiście. – Uśmiecham się.

– No to wypijmy za to.

Stukamy się szklankami. Niespokojnie dopijam drinka i dostrzegam na ścianie wielki zegar. Jest już ósma, a o siódmej zaczęła się impreza zaręczynowa Michaela. Może nie pójdę. Lucy czyta na BlackBerry SMS-a.

– Reuben tu jedzie. – Uśmiecha się, a ja myślę, jaka jest śliczna. – Nie mów mu o sukni.

– Oczywiście. Poczekam z tobą do czasu, aż się zjawi, a potem muszę lecieć. Przyjęcie zaręczynowe... Znajomy z pracy.

Do baru „Ga Ga” prowadzą ostatnie drzwi na niewielkiej uliczce w Soho. To tego rodzaju miejsce, gdzie trzeba zapukać w specjalny sposób, żeby się dostać do środka. Dzisiejszego wieczoru jest tu raczej pustawo. Michael siedzi przy głównym

barze, dramatycznie oświetlony fioletowymi reflektorami punktowymi. Nad niewielkim parkietem wisi baner: „Gratulacje dla M. i M.!”.

Coś mi się tutaj nie podoba. Dlaczego nie gra muzyka? Gdzie jest Mole? Przy stołach z przekąskami siedzi kilka niewielkich grupiek gości, z których część to z całą pewnością koledzy z pracy Michaela w strojach z *Nocy żywych trupów*. Odwracają się i patrzą, jak zbliżam się do baru. Michael wciąż stoi tyłem do mnie. Wyjmuję z torby prezent i kładę go przed nim.

– Gratulacje z okazji zaręczyn – mówię.

Odwraca się, a dłonie trzyma w gotowości, jakby miał wykonać cios jujitsu.

– Odpierdol się, co... Och, to ty.

Ponownie się garbi. Czekam, ale on milczy, więc przysuwam sobie taboret.

– Co słyhać? – Robi z palców trójkąt i opiera o niego czubek nosa, po czym powoli kręci głową. – Aż tak dobrze? Mogę ci kupić drinka?

– Bar jest za *free*. – Zerka na plastikowy zegarek. – Do dziewiątej.

Zamawiam wino u barmanki z asymetrycznym paziem w kolorze platynowego blondu.

– Fajne miejsce.

Rozglądam się. Ludzie wychodzą. Michael się nagle prostuje, po czym kołysze w tył i na boki. Chwyta się baru, aby

utrzymać równowagę. Przysuwa sobie mój prezent i jak podekscytowane dziecko zabiera się za jego rozpakowywanie. Pod warstwą papieru kryje się kartonowe pudełko. Michael się waha, po czym otwiera je z chichotem i wyjmuje małego metalowego osiołka z sakwami. Stawia go na barze.

– To solniczka i pieprzniczka. Do jednej sakwy sypie się sól, do drugiej pieprz.

– Kurde, niesamowite.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Odwraca głowę i patrzy na mnie pijackim wzrokiem.

– Co?

– Michael, wszystko dobrze?

– Ona nie przyjdzie. Zostawiła mnie. – Zagryza dolną wargę i bardzo powoli mruga.

– Och. Przykro mi.

– Nie twoja wina!

Słysząc szuranie krzeseł, a kiedy się odwracam, widzę, że ostatni goście kierują się w stronę drzwi.

– Narazka, stary! – woła jeden z nich.

Michael unosi rękę, nie odwracając się, ale kiedy drzwi się zamykają, rzuca w nie osiołkiem. Ląduje na betonowym schodku i leży na boku.

– Dzięki, że wpadłaś – mówi Michael.

– No dobrze, wystarczy, on już wystarczająco dużo wypił – oświadcza barmanka.

– Ten pieprzony bar jest za *free*!

– Już nie. Nie, skoro zaczyna pan rzucać rzeczami. Pora się zbierać.

– Co? To moja impreza zaręczynowa!

– No już, słonko...

– Zabiorę go do domu – odzywam się. – Proszę tylko dać nam chwilę, dobrze? – Michael opiera głowę o bar. Barmanka patrzy na niego z takim pogardliwym obrzydzeniem, że zaczynam marzyć o dniu, w którym ktoś złamie jej to platynowe serce. – Michael? – mówię łagodnie. – Michael?

Odwraca głowę; oczy ma zamknięte.

– Kocham cię – mamrocze.

– Michael, idziemy?

– Hmmmm?

– Chodźmy, co?

Szturcham go lekko w łokieć, a on zaczyna się zsuwać ze stołka, aż w końcu stoi, zarzuciwszy mi ręce na szyję.

– Zatańcz ze mną, Marion.

– Jestem Vivienne.

Otwiera jedno oko.

– Zatańcz ze mną. – Ciągnie mnie na parkiet. – Ty, muzyka. – Barmanka przewraca oczami i włącza „play” na iPodzie. W pustej sali rozlega się głos Herba Alperta. „Ten facet jest w tobie zakochany” – śpiewa Herb. Przepływamy z nogi na nogę w niezgrabnym tańcu, gdy tymczasem barmanka bierze się za sprzątanie. – Ona to uwielbia – mamrocze Michael. – Marion!

– Chodźmy. Jadłeś coś? – Udaje mi się skierować go w stronę drzwi.

– Chwila, chwila! – Schyla się, żeby podnieść osiołka, a ja wyciągam go na ulicę, gdzie twarze omiata nam chłodne powietrze. – Marion, Marion – powtarza raz za razem.

Ruszamy w stronę głównej ulicy.

– Posłuchaj, spróbuję złapać dla ciebie transport. – Unoszę rękę na widok taksówki, ale kierowca obrzuca spojrzeniem chwiejącego się Michaela i jedzie dalej. Michael próbuje zejść na ulicę i samemu zatrzymać samochód, ale ja wciągam go z powrotem na chodnik, gdzie stoi, cicho płacząc i ściskając w dłoni osiołka. – Nie płacz, Michael. – Przytulam go.

– Zostawiła mnie.

– Wiem.

– Nie chce za mnie wyjść.

– Tego nie wiesz. Może jedynie obleciał ją strach czy coś w tym rodzaju.

– Przysłała SMS-a. Chcesz zobaczyć?

– Niekoniecznie.

– Rzuciła mnie za pomocą SMS-a! – woła do grupki przechodzących dziewcząt, a one chichoczą.

– Och, daj spokój, Michael. Wiesz co, teraz najlepiej będzie wrócić do domu. – Ponownie go obejmuję.

– Odeszła.

– Wiem.

– Odeszła. – Płacze teraz całkiem głośno. – Moja Marion.

– Wiem, chodź. Naprawdę wiem, jak to boli. Ale dojdiesz do siebie.

– I nic nie mam – szlocha. – Nic. Z wyjątkiem tego gównianego osiołka.

W mojej głowie pojawia się myśl, że być może to mój prezent zaręczynowy doprowadził Michaela do ostateczności. Stoimy na wietrze, on cicho płacze, a ja go podtrzymuję, rozpaczliwie próbując złapać taksówkę.

W końcu mi się udaje i płacę kierowcy, aby zawiózł Michaela do domu. Ten próbuje wejść do auta, ale nagle staje, przytrzymując się drzwi. – Vivienne, podejrzewam, że ty nie... pomogłabyś mi przetrwać tej nocy? – Pokazuje gestem, abym wsiadła.

– Nie, Michaelu. – Patrzy na mnie oczami pełnymi łez. – To

wspaniała propozycja, ale nie, to by nie było właściwe. Dobranoc – mówię, a on kiwa głową i w końcu wsiada do samochodu.

Gdy taksówka skręca i już nie widzę jego kucyka, myślę, że to prawda, co mówi tekst pewnej piosenki: każdy czasami cierpi.

BLOG DLA MAXA # 3 – ROZSTANIA INNYCH LUDZI

Dni od ostatniego spotkania: 27.

Zaczynam się zastanawiać, czy to całe zamieszanie związane ze ślubem nie komplikuje miłości. Wiem, że taka opinia w ustach osoby mojego pokroju – osoby, która była posiadaczką trzech sukien ślubnych i trzyletniej prenumeraty magazynu „Panna Młoda” – to nie byle co. Ale naprawdę, skąd się to wzięło, że wszyscy spodziewamy się, iż ta druga osoba odda nam całe swoje życie, a potem praktycznie sprzeda duszę, byle stworzyć jeden idealny dzień, i to tylko po to, by mogli popodziwiać nas nasi znajomi? Dlaczego nie możemy się po prostu kochać, dopóki miłość trwa i nieważne, czy rozdzieli nas śmierć, czy instruktor fitnessu? Sorki, wiem, że to pokręcone, ale miałam trudny wieczór.

Kocham cię miłością czystą i prostą i niepotrzebne mi żadne dodatki i bajery.

V x

PS. Twoja grupa na Facebooku liczy już ośmiuset fanów.

Jest trzydziesty sierpnia, dzień ślubu babci, a ja budzę się w wąskim łóżku z czasów dzieciństwa. Co prawda ścian nie pokrywają już plakaty Take That, ale kolekcja miniaturowych glinianych zwierzątek pozostaje na swoim miejscu i, Boże, nadal strasznie mi się podoba ta wiewiórka.

Zakładam wczorajsze džinsy i T-shirt i otwieram okno. Jest

jeden z tych obiecujących poranków – mgliście błękitne niebo i odrobina chłodu, którą słońce wkrótce przegoni. Na podjeździe stoi samochód dostawczy, to ekipa z „Catering na wyjątkowe dni”. Schodzę na dół i zastaję ich w kuchni, dowodzonych przez niską kobietę w białych dżinsowych rybaczkach i koszuli w paski z uniesionym kołnierzykiem. Przeciskam się, aby zaparzyć kawę.

– Skrzydełka kurczaka, Dominic! – woła do młodego chłopaka i przewraca oczami. Uśmiecham się. – Mój syn – mówi.

– Nie wygląda pani tak, jakby miała dorosłego syna – odpowiadam grzecznie. Ile musiałaby mieć lat, czterdzieści pięć?

– Mam trzydzieści siedem lat – mówi.

Chryste! Tylko pięć lat starsza ode mnie i ma dorosłego syna. Prawdę mówiąc, to po dokładniejszych oględzinach uważam, że jak na trzydzieści siedem lat to wygląda tak sobie. Ma worki pod oczami – cóż, większe niż ja. Uświadamiam sobie, że czeka, aż coś powiem.

– Cóż, brawo! – Kiwam głową w przyjaznym geście, przynajmniej mam taką nadzieję, i zabieram kawę do ogrodu.

Podjeżdżam, że tak naprawdę to mnie, a nie tę kobietę, należy uznać za dziwadło – w wieku trzydziestu dwóch lat nie mam męża ani dzieci. Jestem „nienormalna”. Przechodzę przez trawnik do anioła i myślę o tym, że mama urodziła mnie jako siedemnastolatka. To było z jej strony bardzo odważne, naprawdę, nawet jeśli nie potrafiła skończyć tego, co zaczęła. Posiadanie matki nastolatki prawdopodobnie w jakimś stopniu mnie wypaczyło. Pewnie podświadomie odpycham od siebie miłość. Jestem pewna, że czytałam o czymś takim w *Pójdź własną drogą, bądź wolny*. Dotykam skrzydeł anioła. Moja matka podobno podróżuje właśnie po Ameryce Południowej, więc nie zjawi się

dzisiaj. Tak naprawdę czuję ulgę, ponieważ z całą pewnością urządziłaby jakąś scenę i wszystko popsuła. Piję kawę i nagle zalewa mnie fala wielkoduszności, jak nigdy dotąd. Co ona wiedziała w wieku siedemnastu lat? Co w takim wieku wie ktokolwiek z nas?

Odwracam się w stronę domu. Krzesła już ustawiono na tarasie – proste, drewniane, z oparciami przewiązanymi satynową wstążką, tak jak planowałyśmy. Idę powoli między nimi i stoję pod trejazem obrośniętym różami. Poprosiłam florystkę, aby razem z bukietem dostarczyła kilka dodatkowych róż. W ramach niespodzianki chcę przystroić nimi jej wózek, ale najpierw muszę mieć do niego swobodny dostęp. Patrząc na skąpany w słońcu dom z pnącymi się po murach wiciokrzewami. W oknie na piętrze pojawia się babcia. Wygląda na ogród.

- Dzień dobry! – wołam, a ona macha.
- Przywieziono już stoły?
- Jeszcze nie. Ale w kuchni praca wre.
- Powinny już tu być. Chcę, żeby ustawiono je pod jabłoniami.
- Jest dopiero dziewiąta.
- Nic nie mogę zrobić, przykuta do tego wózka.
- Zaczekaj chwilkę. Już do ciebie idę. – W kuchni toruję sobie drogę pośród zapachu pieczonego kurczaka i czosnku i wchodzę krętymi schodami na piętro. Różowa, wyblakła od słońca wykładzina jest przetarta na skraju każdego stopnia. Zastaję babcię w jej małej łazience. Siedząc na wózku, próbuje zatkać wannę. – Co robisz? Pomogę ci.

– Do diaska! Z kulami też tego nie mogę zrobić, nie potrafię się wystarczająco nisko schylić.

Wkładam zatyczkę i odkręcam wodę.

– Dodasz mi trochę tego olejku?

Odkręcam butelkę i nalewam go, a pomieszczenie wypełnia słodki zapach ziemi. Pcham wózek z babcią do lustra.

– Śliczny dzień na ślub.

– No ale popatrz na pannę młodą: chuda staruszka na wózku.

– Nie mów tak. – Zaczynam szczotkować jej włosy, aby przed kąpielą nawinąć je na wałki.

– Au, ciągniesz!

– Przepraszam – mówię, gdy się krzywi. – Przepraszam.

– Nie chcę mieć z tyłu tapiru. Nie chcę wyglądać jak emerytka na sofie.

– Nie będziesz. Będziesz ślicznie wyglądać.

– Kiedyś przy odrobinie wysiłku potrafiłam ślicznie wyglądać. Teraz już nie.

– Zawsze będziesz piękna, spójrz tylko na te kości policzkowe.

– Tak sobie teraz myślę, że ta suknia jest zbyt strojna.

Patrzę na powieszoną na drzwiach szafy suknię. Jest długa, prosto skrojona, w kolorze perłowym, z rękawami do łokci, a z tyłu lekko udrapowana. Idealna.

– Wcale nie jest zbyt strojna. Co ty mówisz?

– Trochę za młodzieżowa?

– Nie. A skąd nagle ten kryzys wiary w siebie?

– Nerwy... i to cholerne unieruchomienie. Doprowadza mnie to do szału. I nie znoszę tego paskudnego wózka! – Do oczu napływają jej łzy. Przestaję nakręcać włosy na wałek i kładę dłoń na ramieniu babci. – To może wydać się dziwne, bo przecież wychodzę za Reggiego i w ogóle, ale strasznie dziś tęsknię za twoim dziadkiem. – Głos jej drży.

– Wiem.

– Sądziłam, że już przestałam pragnąć dzielić z nim wszystko. – Siadam obok babci i biorę ją za rękę. – Wiem, że odszedł i pogodziłam się z tym... Tyle że czasem o tym zapominam i robię mu herbatę albo myślę, że opowiem mu o tym czy owym, a potem znowu przeżywam wstrząs, kiedy sobie przypominam, że już go nie ma. – Wydmuchuje nos, a ja przytulam ją lekko, walcząc ze łzami. Nigdy tak naprawdę mi o tym nie mówiła. Ostatnią rzeczą, jakiej jej teraz trzeba, jest moje mazanie się, ale jednak to dostrzega. – Tylko nie zaczynaj!

– Nic na to nie poradzę. – Teraz obie szlochamy jak para zagubionych dzieci.

– Wiesz, budzę się, a moja świadomość jest nadal zaprogramowana na życie z nim, więc przez ułamek sekundy sądzę, że nadal żyje. Potem dociera do mnie prawda, bo robię coś

tak kompletnie nieoczekiwanego.

– Co, na przykład ślub z Reggie?

– Tak! – Śmieje się i wyciera oczy. Patrzymy na siebie.

– Jesteś z nim jednak szczęśliwa, prawda?

– Tak, naprawdę jestem.

– To dobrze, ponieważ chcę, żebyś była szczęśliwa. I dziadek też by tego chciał.

– Wiem.

Nachyla się i mnie przytula. Wącha moje włosy, po czym robi wdech i wydech. Czuję, jak zbiera się w sobie, i kiedy ponownie na mnie patrzy, po kruchości nie ma już śladu. Puszcza moją dłoń.

– Już mi lepiej. No ale co u ciebie, Vivienne? I gdzie jest Max?

Na dźwięk jego imienia czuję dreszczyk ekscytacji.

– Cóż, oto jest pytanie.

– Tak, czytałam.

– Czytałaś?

– W „Gazette”. – Pokazuje na toaletkę. – Wygląda na to, że twoje facebookowe poszukiwania nie przeszły bez echa.

Gazeta leży otwarta na stronie siódmej. Na samym dole

widać niewielką rubrykę. Zerkam na nagłówek:

„Zakochana do szaleństwa kobieta za pomocą Facebooka próbuje odnaleźć swego mężczyznę”. Jest tam zdjęcie Maxa, obejmującego mnie na ślubie Jane, a pod nim fragment mojego bloga. Czytam na głos:

– „Poszukiwania Maxa Kelly’ego rozpały wyobraźnię ludzi aż z Australii i Meksyku. Grupa «Gdzie jest Max?» ma już tysiąc fanów, a liczba ta stale się powiększa...”. Wow.

– Zdziwiłam się, widząc w gazecie twoją twarz.

– Ja też się dziwię. Nic o tym nie wiedziałam. – Czeka na wyjaśnienia. – Prowadzę coś w rodzaju kampanii, której celem jest odnalezienie Maxa, i rozesłałam informację o tym do prasy, ale nawet mi się nie śniło, że tak szybko to opublikują. – Strasznie jestem podekscytowana tym, że tę historię opisała gazeta. Zainteresowanie mediów! Max się dowie i przekona, jak bardzo go kocham, a potem odpłyniemy razem w stronę zachodzącego słońca.

Babcia uśmiecha się i spuszcza wzrok na dłonie.

– Kampania?

– Cóż, komunikat prasowy. A parę niedzielnych gazet obiecało zamieścić wzmiankę o założonej przeze mnie stronie internetowej, więc opowiedziałam im także o poszukiwaniu Maxa. No i zaprojektowano dla nas także T-shirty z napisem „Gdzie jest Max?”. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to niedługo będzie je można kupić w Topshopie.

– W Topshopie. O rety.

- No co?
- Myślisz, że spodoba mu się to całe zamieszanie? Może po prostu zrobił sobie wakacje.
- Spaliśmy ze sobą.
- Naturalnie.
- Powiedział, że mnie kocha. Potem na jego wystawie *Poznaj artystę* pojawiłam się w towarzystwie Roba.
- Ojej, sporo mnie ominęło przez ten szpital, prawda?
- I, babciu, ja go kocham. Bardzo. Ale on uważa, że go zdradziłam. Nie zdradziłam. Nigdy bym go nie zraniła, a teraz on zniknął. Chcę go jedynie odnaleźć. – Macham gazetą. Babcia kiwa powoli głową, jakbym miała sześć lat i właśnie zaprezentowała przedstawienie lalkowe. – No co?
- Nic. Jesteś po prostu tak dramatyczna. Podziwiam cię.
- Nie uważam siebie za dramatyczną.
- Większość ludzi przyjmuje rzeczy takimi, jakie są, ale nie ty. Zawsze czegoś szukasz... Już jako mała dziewczynka pragnęłaś zmienić świat – mówi, częściowo do siebie, a mnie te słowa godzą prosto w serce.
- Cóż, może pewnego dnia znajdę to, czego szukam.
- A może po prostu przestaniesz szukać i pozwolisz, by to cię odnalazło.

Przygląda się uważnie mojej twarzy. Przez chwilę żadna z

nas się nie odzywa.

– Ale prawdopodobnie nie – śmieję się, żeby zostawić już ten temat. – No ale dość o mnie. To przecież ty się dzisiaj hajtasz, co?

Uśmiecha się. Jej twarz otacza aureola z wałków.

– Ja – odpowiada. – Ja.

Zawożę ją z powrotem do łazienki i następuje niezręczny moment, kiedy pomagam jej wejść do wanny. Twoja babcia nago to nie jest widok, który spodziewasz się zobaczyć. Trzyma się mojej szyi, kiedy dosłownie na samym końcu zdejmuję z niej szlafrok, starając się nie patrzeć na wystające kości biodrowe i obojczyki. Zanurza się w pianie i obie czujemy ulgę.

– No to ja pójde sprawdzic, jak wszystko idzie – mówię i czmycham z łazienki.

W sypialni raczę się szampanem i raz jeszcze czytam ten krótki artykuł w gazecie. Czy zachowuję się dramatycznie? Czy ta cała kampania mająca na celu odnalezienie Maxa może wszystko tylko pogorszyć? Patrzę na jego zdjęcie, na śmiejące się oczy. Nie wiem, co innego mogłabym zrobić oprócz szukania go. A gdybym nic nie zrobiła i żałowała tego do końca życia?

– Viv? – woła babcia z łazienki. – Sprawdziłabyś, czy przywieźli stoły?

– Dobrze.

Wracam do swojego pokoju, zabierając ze sobą wózek. Udekoruję go różami i wstążkami teraz, kiedy babcia spokojnie leży w wannie.

BLOG DLA MAXA #4 – ŚLUB BABCI

Dni od ostatniego spotkania: 28.

Pamiętasz, jak udawaliśmy, że bierzemy ślub? Wprawdzie stało się to po tym, jak naszykowałeś pierwszego skręta, wykorzystasteś całą paczkę trawy i uważałeś, że zszywacz to diabelski wynalazek, ale wydaje mi się, że to i tak się liczy. Obrączka z kółka do otwierania puszek? Ślubne śniadanie w postaci ryby z frytkami? Jednodniowa podróż poślubna do Stockport? Żałuję teraz, że nie dałam ci się pocałować na tamtym promie.

No więc co by ci powiedzieć? Dzisiaj wydałam babcię za „Reggiego z naprzeciwka”. Pogodziłam się z tym, bo ona jest szczęśliwa. Popłakałam się jednak, kiedy wypowiadała srole="small"łowa przysięgi. Chyba wtedy, gdy powiedziała: „Każdego dnia miej pewność, że cię kocham”. To mnie rozwaliło. Nie sądzisz, że to piękne słowa? A potem, po obiedzie, wygłosiła mowę o miłości i wzniosła toast za dziadka, i wszyscy płakali. Był też mały zespół jazzowy i tort kokosowy, no i całe morze szampana. To akurat by ci się spodobało. To był naprawdę idealny dzień, z wyjątkiem tego, że nie było przy mnie ciebie.

Rano wyjeżdżają na kilka tygodni do Hiszpanii i poprosiłam babcię, żeby się za tobą rozglądała na wypadek, gdybyś tam właśnie był. Prawdopodobnie siedzisz właśnie w kafejce na jednym z tych hiszpańskich placów, myśląc, że wyglądasz interesująco, zamawiając café solo w małej filizance. Założę się, że udajesz, że czytasz Jean-Paula Sartre’a. Bardziej prawdopodobne jest to, że malujesz karykatury turystów dla pieniędzy.

Tak czy inaczej, niefajnie jest tak znikać.

Możesz wrócić? Tęsknię za Tobą, Max.

V x

PS. Już tysiąc fanów.

– Halo?

– Halo, panna Summers?

– Tak? – Chryste, która godzina?

– Witam, nazywam się Ruby North. Jestem researcherem w Radiu Romans.

Siadam na łóżku – jest już jasno.

– Witam.

– Zainteresowały nas pani poszukiwania Maxa Kelly’ego.

– Och.

– Czytałam pani artykuł w „Sunday Read” i uważam, że ta historia mogłaby zainteresować naszych słuchaczy. – „Sunday Read”? Biorę ze stolika nocnego komórkę. Jest ósma rano i mamy niedzielę. Stałam się aż tak popularna? – Przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze, ale jestem przekonana, że będzie dziś pani miała sporo telefonów z mediów, dlatego chciałam się pospieszyć i umówić z panią na wywiad dla naszej stacji.

– Wywiad?

– Tak, kilka pytań dotyczących Maxa, w ramach naszego cyklu *Utracona miłość*. Znalazła już pani Maxa?

– Nie.

– Uff, to dobrze. Zechciałaby pani przyjść do nas i opowiedzieć o nim naszym słuchaczom?

Czuję przyływ adrenaliny i serce zaczyna mi bić szybciej. Pewnie, przyda się każda reklama. Radio jest w porządku. Radia słucha się praktycznie wszędzie. Max także może go słuchać i wtedy mówiłabym bezpośrednio do niego.

– Okej, tak, chętnie.

– Super!

Zapisuję szczegóły – Radio Romans, Love Lane, Battersea, jutro o pierwszej, Ruby North – i rozłączam się. O w mordę! Co ja zapoczątkowałam? Wstaję i zakładam leżące na podłodze ciuchy: dżinsy i koszulę, na której spał Dave, sądząc po obecności kociej sierści. Do tego okulary przeciwsłoneczne i wychodzę po gazety.

Dziesięć minut później wracam z kawą i egzemplarzem „Sunday Read”. Wyjmuję dodatek niedzielny i otwieram go na stronie Donny Hayes. Tytuł głosi: *Co się dzieje z tymi, co mają złamane serca?* Jest tu małe zdjęcie Donny – ma rozwiane włosy i wygląda znacznie lepiej niż w rzeczywistości. Artykuł jest dwustronicowy i szybko czytam:

Nie jest łatwo być osobą niedawno porzuconą i przeżywającą zawód miłosny. Spojrzenia przyjaciół i rodziny zaczynają się robić szkliste, współpracownicy cię unikają, zaproszenia przestają napływać. Okazuje się, że nikt nie lubi

cierpienia. Gdzie więc szukać pociechy, kiedy minęły tygodnie, miesiące czy nawet lata, a ty nadal nie jesteś w stanie myśleć o swoim byłym partnerze, nie roniąc przy tym łez? Możesz o tym poczytać, zapisać się na kurs budowania poczucia własnej wartości, a nawet wyrzucić tego mężczyznę ze swych myśli za pomocą hipnozy (patrz niżej). Jednak od teraz cierpiących z powodu zawodu miłosnego przyjaciół będę kierować na www.nevergoogleheartbreak.com, duchowe schronienie dla zagubionych i samotnych. Można tam ponarzekać w gronie innych porzuconych, dołączyć do forów dyskusyjnych, poczytać mrożące krew w żyłach historie z życia wzięte i zapoznać się z „gorącymi radami”, na przykład: jak zadbać o swój busz? Ta strona gwarantuje poprawę nastroju i jest nie tyle adresem internetowym, ile klubem – a jeśli to ty kogoś porzuciłeś, ucisz wyrzuty sumienia, dając wysokie noty swemu byłemu partnerowi w dziale „Umów się z moim byłym”. Strona jest zabawna, ma intuicyjną nawigację i, co najważniejsze, buzuje z niej nadzieja.

Pssst! Jeśli bajkowe romanse to coś, co lubisz, zajrzyj na blog założycielki strony, Vivienne Summers, przeznaczony dla jej utraconej miłości, albo „polub” na Facebooku grupę „Gdzie jest Max?” – zrobiły to już tysiące...

Brawo, Donna Hayes! Wzięła i to zrobiła, tak jak obiecała. A niech mnie. Nie mogę w to uwierzyć – moja strona i mój blog w niedzielnych gazetach! Sprawdzam Facebooka. „Gdzie jest Max?” ma tysiąc stu fanów. To dopiero coś.

Dzwoni moja komórka. Christie.

– Widziałaś gazetę? – pytam.

– Jaką gazetę?

– „Sunday Read”. Jestem tam! Cóż, nie ja, ale moja strona i

jest tam wzmianka o „Gdzie jest Max?”.

– Nie, nie widziałam.

– Sorki, sądziłam, że dlatego dzwoniisz.

– Nie. – Zapada cisza. Już myślę, że się rozłączyła, ale wtedy słyszę jej oddech.

– No więc co mogę zrobić dla ciebie w ten piękny poranek, Christie?

– Chciałam ci jedynie powiedzieć, że Nigel stworzył dwa projekty i wydrukował je na kilku T-shirtach.

– Super! A więc się zgodził?

– Tak. – Jej głos wydaje się odległy.

– No dobrze, więc musimy wybrać jeden?

– Nie.

Czekam na wyjaśnienie. I czekam.

– Christie? Wszystko dobrze?

– Taa, jestem... Sorki, właśnie maluję paznokcie u nóg.

– No więc w kwestii projektów?...

– Tak, Nige przygotował dwa i mnie się spodobał jeden, ale jego wszyscy znajomi ze świata mody zaczęli nosić ten drugi.

– Jaki jest?

– O rany, Nige to czasem prawdziwy palant. On to napisał po francusku!

– Po francusku.

– Wiem! To po prostu słowa, tylko „*Où est Max?*”. Takimi dużymi, kwadratowymi literami na białym T-shircie. Nie sądzę, aby ci się to spodobało, Viv... Ten drugi projekt jest znacznie lepszy, bardziej wymyślny, a do tego w języku, którego używamy w tym kraju! W każdym razie Nige kumpluje się z tą modelką, no wiesz, Betty George...

– Tak? – Z krótkowłosą, niemożliwie wysoką, niesamowicie nadąsaną *model du jour* Betty George?

– Ten głupek dał jej jeden T-shirt i paparazzi zrobili jej w nim zdjęcia, więc teraz będziemy musieli realizować ten właśnie projekt.

– Sfotografowano Betty George w T-shircie z „*Où est Max?*”?

– Aha... I tak sobie pomyślałam, że ty się przecież nie zgodziłaś na taki projekt.

– Jest genialny! Gdzie zdjęcie?

– W „Post”.

– Oddzwonię.

O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże. Biegnę ulicą po „Post”. Cholerna Betty George!

To szaleństwo! Oto ona, pod rękę z jakimś innym olśniewającym osobnikiem, ubrana właśnie w przepasany paskiem T-shirt – a na tym T-shircie widnieje imię mojej miłości. Przez krótką chwilę niepokoi mnie nieco fakt, że imię Maxa znajduje się tak blisko piersi Betty George, ale szybko biorę się w garść. To jest takie super, że aż niewiarygodne. Sprawdzam stronę na Facebooku; już dwa tysiące fanów. Blog ma nagle tysiąc subskrybentów. Dzwonię do Christie.

- Jest świetny, Christie. Lepszy być nie mógł.
- Francuski to obcy język, wiesz, Viv.
- Dodaje szczypty tajemnicy. To jest niesamowite. Nigel jest niesamowity.
- Och, cóż, skoro uważasz, że jest w porządku... Ulżyło mi.
- Chcę taki T-shirt. Chcę go jutro założyć. Wybieram się do radia, Christie!
- W radiu ludzie cię nie widzą.
- Po prostu chcę go założyć i już! – Mam ochotę wyściskać ją i wycalować Nigela.

Umawiamy się na spotkanie w barze w Smithfield i mówi, że postara się przyprowadzić także Nigela. Strasznie jestem tym podekscytowana. Wybieram się do modnego baru w Smithfield, aby poznać dobrze się zapowiadającego projektanta. Projektanta, który zna Betty George. Boże, ależ bym chciała, żeby Max tu był! Ale przy takim nagłośnieniu tej sprawy możliwe, że wkrótce się zjawi...

Mam poważny kryzys odzieżowy. Myślałam o czarnych

dżinsach rurkach, zapominając, że moje nogi w obcisłych dżinsach wyglądają jak dwa pasternaki. Teraz nie przychodzi mi do głowy ani jedna rzecz, która jest wystarczająco *cool* na spotkanie z projektantem mody. Dzwoni domofon. To nie może być Max. To nie będzie Max. A może? Serce wali mi jak młotem. Wciskam guzik.

– Halo?

– Cześć – odzywa się męski głos.

– Halo? – powtarzam.

– Viv, to ja... Rob.

Puszczam przycisk. Co on tu robi? Nie powiedziałam mu, aby więcej tu nie przychodził? Znowu domofon. O cholera! Nie wiem, co zrobić. Wciskam ponownie guzik.

– Rob, czy mógłbyś się odzepić? To nie jest odpowiednia pora.

– Masz tam kogoś?

– Co? Nie.

– Bo jeśli masz, to przysięgam, że...

– Czego chcesz?

– Zobaczyć się z tobą.

– W tej chwili to niemożliwe.

– Muszę się z tobą zobaczyć, Viv.

– Rozłączam się, Rob. Pójdiesz sobie?

– Nie... – zaczyna, ale ja unoszę palec i zapada cisza. Kilka sekund później znowu zaczyna dzwonić. Biegnę do sypialni i próbuję zagłuszyć ten dźwięk suszarką do włosów. Kiedy wydaje mi się, że sobie poszedł, wyłączam suszarkę i nasłuchuję. Cisza. Dzięki Bogu. Ostatnie, czego mi trzeba, to scena z Robem.

Decyduję się na czarną sukienkę. Zakładam ją i zapinam zamek, ale wygląda to tak nudnie, że dodaję do tego legginsy. Przytrzymuję z tyłu włosy; chyba lepiej będę dziś wyglądać ze spiętymi. Wtedy domofon znowu się odzywa, tym razem rytmicznie, brzmi to jak Beethoven. Aaach! To jest nie do zniesienia. Pędzę do drzwi.

– No co?

– Nie pójdę, dopóki się z tobą nie zobaczę. Przyniosłem ci kwiaty.

– Wychodzę.

– Pozwól mi po prostu dać ci kwiaty.

– Kupiłeś je na stacji benzynowej?

– Nie, to drogie róże. Tuzin. Różowe.

– I rzeczywiście je kupiłeś z myślą o mnie?

– Och, daj spokój, Viv!

– Cóż, jestem zajęta szykowaniem się do wyjścia.

– Zaczekam.

Kuźwa. Nie mogę mu zabronić czekania na ulicy, no nie?

– Jak sobie chcesz. Ale szybko to ja nie zejdem.

Ależ mnie dręczy. Próbuję zgrabnie upiąć włosy, ale to zbyt trudne: tył jest taki krótki. Ostatecznie zostawiam je rozpuszczone. Teraz buty... Szpilki będą dowodem na to, że za bardzo się starałam? Decyduję się na czółenka na płaskim obcasie. Kreska na powiekach, błyszczczyk i jestem gotowa. Telefon i portfel wrzucam do dużej zielonej torby na zakupy – mam nadzieję, że jest wystarczająco *cool*. Z okna w kuchni próbuję wypatrzeć Roba. Nie widzę go. Na blat wskakuje Dave i ociera się ogonem o moją rękę.

– Hej, już ci mówiłam, nie wchodzi tutaj, tak? – Ociera się pyszczkiem o moją skórę i mruczy. Ściągam go na podłogę i z puszki wykładam mu na talerzyk jakąś paskudnie wyglądającą papkę rybną. Bierze się od razu za jedzenie. – No dobra, bądź grzeczny i do zobaczenia. – Biorę klucze i zamykam za sobą drzwi.

Jest bardziej gorąco niż mi się wydawało. Niepotrzebnie zakładałam te legginsy. Gdy tylko zamykają się za mną drzwi do budynku, pojawia się Rob z pięknym bukietem.

– Witaj, Viv – mówi bardzo poważnie.

Jak zawsze jest niesamowicie przystojny i ma na twarzy uśmiech mówiący „wybacz mi”, jak w jakiejś reklamie perfum. Najpewniej powinnam zarzucić mu ręce na szyję, a on pozwoliłby wtedy spaść kwiatom na ziemię; następnie zbliżenie na flakon z perfumami i migawka, jak się całujemy. No i jeszcze głos z offu: „Wybacz, nowy zapach od...”. W każdym razie nic takiego się nie dzieje. Dzieje się natomiast to, że stoimy, patrząc na siebie, a ja się

zastanawiam, jak się go pozbyć.

– Co u ciebie? – pyta.

– W porządku.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

– Tak. – Wpatruję się w ulicę.

– To dla ciebie.

– Nie mogę ich przyjąć.

Wygląda na zaskoczonego i autentycznie zasmuconego.

– Okej. Nie, to... Rozumiem.

Kiwam głową i wbijam wzrok w czubki swoich butów.

– Co zrobiłaś z włosami?

– Muszę iść – mówię, ale on łapie mnie za ramię.

– Nie, Viv, nie idź. – Odsuwam się. – Nie możesz mi poświęcić dziesięciu minut? Nie możemy iść na kawę?

Przypominają mi się te wszystkie razy, kiedy błagałam go o spotkanie, a on okazywał chłód.

– Rob, czy możesz mnie puścić?

Uwalnia moją rękę.

– Przepraszam – mówi, klepiąc ją teraz. – Przepraszam,

przepraszam.

– W porządku. – Zaczynam iść, ale on dotrzymuje mi kroku.

– Vivienne, proszę! Mieliśmy spędzić ze sobą resztę życia, jakie znaczenie ma dziesięć dodatkowych minut?

– Nie mogę. Jestem zajęta.

– Ale Viv – jęczy. W jego oczach pojawiają się łzy, a ja zatrzymuję się w pół kroku. Nie znoszę, jak facet płacze.

– Na litość boską, nie płacz! – wołam.

– Będę płakać, Viv. Będę za tobą szedł i płakał, jeśli nie zgodzisz się wypić ze mną kawy!

Ostatecznie lądujemy w kafejce obok stacji metra, on z latte z odtłuszczonym mlekiem, ja z cappuccino. Patrzy, jak wrzucam do swojej kawy dwie saszetki cukru.

– Więc uważasz, że jesteś zakochana w Maxie – mówi w końcu.

– Jestem.

– Wobec tego, co go czyni Panem Idealnym?

– Wiele rzeczy. – Przez chwilę się zastanawiam, czy mu o nich nie opowiedzieć, ale postanawiam, że lepiej nie. – Nie chcesz wiedzieć.

– Nie – przyznaje, rozglądając się. – Piszą o tobie w gazecie.

– Aha. – Iskra podekscytowania.

– Pewnie rzeczywiście kochasz tego koleśia, skoro piszesz ten blog i w ogóle.

– Tak myślę. A po co ty czytasz mój blog?

– Nie zamierzam sabotować twoich poczynań, nic z tych rzeczy. Chciałem ci tylko o tym powiedzieć.

– Jakie to z twojej strony wielkoduszne.

– Hmm. – Przeliyka kilka łyków kawy i wyciera mleko znad górnej wargi. – Myślisz, że on wróci?

– Nie wiem. Taką mam nadzieję.

– Ja też mógłbym zapoczątkować wielką kampanię medialną, aby cię odzyskać – stwierdza.

– Ale tego nie zrobisz.

– Nie – przyznaje.

Uśmiecham się i on także, i to się wydaje naprawdę dorosłe, że tak potrafimy razem siedzieć po tym wszystkim, co miało miejsce. Nagle w geście wspaniałomyślności ujmuję jego dłoń i lekko ściskam.

– Dasz sobie radę, Rob.

– O tak, ja owszem. Ale ciebie najpewniej czeka samotność. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Powiedz.

– Nie masz pojęcia, o co ci chodzi. – Kończę kawę, żeby nie widział mojego uśmiechu. – Ale chcę złożyć ci teraz pewną propozycję – oświadcza. – Zgadzam się poczekać na ciebie przez miesiąc, aż ucichnie ta cała sprawa z Maxem, ale potem, Viv, zamierzam zająć się własnym życiem.

– W porządku, Rob. – Wstaję i zakładam torbę na ramię. – No to ja już muszę iść. Nie czekaj na mnie, proszę, tego miesiąca. Ja nie będę na ciebie marnować już ani minuty.

– Nie przyjmuję tego jako ostatecznej odpowiedzi – mówi, gdy obchodzę jego krzesło. – To pewnie napięcie przedmiesiączkowe czy coś w tym rodzaju, niski poziom estrogenów! – Idę w stronę drzwi. – Przemyśl to, co powiedziałem! – woła.

– Pa, Rob.

Gdy mijam szybę kafejki, zerkam na niego: wyjątkowo przystojny mężczyzna z bukietem róż, który już szuka w telefonie numeru kolejnej ofiary. Mimo wszystko czuję w sercu ukłucie. Pomyśleć, że to on przysporzył mi tyle cierpienia. Pomyśleć, że to on mógł być powodem utraty najlepszego przyjaciela i miłości mego życia. Ale ja do tego nie dopuszczę. Schodzę na stację i wsiadam do metra jadącego w kierunku Farringdon.

Umówiłam się z Christie w barze niedaleko targu mięsnego w Smithfield i oto czekam przed wielką, ozdobną bramą. To jeden z prawdziwych londyńskich targów. Teraz jest zamknięty, ale wokół widać dowody, że handluje się tu mięsem każdego dnia – gołębie skubiące jakiś ochłap mięsa, różowa kałuża przy kratce ściekowej, zabłąkane oko obok mojego buta. Okej, to oko akurat zmyśliłam. Smagana wiatrem ulica jest wyludniona jak plan filmowy po zakończeniu zdjęć. Szukam baru wzdłuż linii niewysokich budynków naprzeciwko i dostrzegam Christie

siedzącą przy oknie pod szyldem z zardzewiałej blachy z różowym napisem „zoo”. Przechodzę przez ulicę i popycham ciężkie drzwi. W środku wszystko jest pomalowane na czarno, nawet betonowa podłoga. Stoją tu wielkie stoły i ławy obite czarnym plastikiem. Jedna ściana wygląda jak pokryta graffiti, ale po chwili orientuję się, że to menu z pozycjami takimi jak jajko z frytkami czy kanapka z szynką. Fluorescencyjne oświetlenie wzdłuż listew podłogowych rzuca długie cienie, a klubowa, chilloutowa muzyka sprawia, że ma się wrażenie, jakby było już po imprezie. Kelnerka w ogrodniczkach z podwiniętą jedną nogawką wita mnie entuzjastycznie.

– Spotykam się tu ze znajomymi – mówię zadowolona, a Christie macha do mnie.

Gdy dochodzę do stolika, Christie wstaje i cmokamy się na powitanie. Ma na sobie coś w rodzaju jednoczęściowego wdzianka z mocno spranego dżinsu i błyszczące różowe adidas. Głowę ma obandażowaną na czarno, a jej włosy w odcieniu jasnego blondu wystają u góry jak liście jukki.

– Viv. Za nic w świecie nie wspominaj o sukni, którą ci pożyczył – szepcze mi do ucha. Zerkam ponad jej ramieniem na Nigela. On uśmiecha się i unosi rękę, wykonując coś na kształt machnięcia. Christie nas sobie przedstawia. – To jest Nige, Nige, to Viv.

– Miło cię poznać – mówię pogodnie.

Muszę przyznać, że spodziewałam się kogoś zupełnie innego. Ma na sobie niechlujny T-shirt z Iron Maiden i spodnie w prążki, które wyglądają, jakby stanowiły część starego garnituru z Oxfamu. Rudawozłote włosy ma obcięte na jeża, chyba po to, aby ukryć powiększające się zakola, a na jego nosie tkwią okulary w okrągłych metalowych oprawkach. Dociera do mnie, że w ogóle

nie mam pojęcia o modzie i o tym, co jest *cool*. Nie łapię tego i nagle czuję się obnażona, ponieważ tak bardzo starałam się ładnie wyglądać. Próbowałam dopasowywać akcesoria, lecz zupełnie mi to nie wyszło. Nie mogę dopuścić do tego, aby Nigel się przekonał, jaki to ze mnie fan mainstreamu.

– Coś do picia? – pyta.

Zerkam na ich szklanki z czymś czerwonym. Co to może być? Czerwony drink w niedzielny ranek?

– Poproszę Krwawą Mary. – Uśmiecham się i siadam między nimi.

– Retro – orzeka, grasejując przy „r”.

Proszę Christie wzrokiem o pomoc i zauważam biały tusz na jej rzęsach i brokatową szminkę na ustach. Uśmiecha się pokrzepiająco.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłam – mówię.

Nigel kręci głową. Patrzą to na jedno, to na drugie: wygląda to tak, jakby on oglądał bardzo wciągającą operę mydlaną, a ona była wielbiącą go przyjaciółką. Kiedy podchodzi do nas kelnerka, zamawiam drinka.

– Jeszcze soku arbuzowego? – pyta Nigela, ale on dziękuje machnięciem ręki.

Siedzimy w milczeniu. Christie uśmiecha się i zerka na mnie. Powinam zagaić rozmowę? Siedzą tu i zastanawiają się, czemu poprosiłam o to spotkanie?

– No więc... – zaczynam. Oboje z lekkim zdziwieniem

odwracają głowy w moją stronę. – Nigel, jestem zachwycona tym, że zgodziłeś się zaprojektować coś dla nas. Rano widziałam gazety i strasznie mi się podoba to, co zrobiłeś. To jest naprawdę... eee... genialne. – Nigel zwrócony jest do mnie profilem. Kiwa głową. – Mogę zobaczyć ten T-shirt?

– No jasne. – Sięga do plecaka i kładzie na stoliku białą koszulkę. Przód zakrywają wielkie litery. Dotykam imienia Maxa.

– Super – mówię szczerze.

– Aha, myślę, że można stworzyć całą linię – odpowiada Nigel. Wyjmuje z plecaka inne rzeczy i do T-shirtu dokłada opaskę na czoło i czapczkę z takim samym logo.

– Markę?

– Myślę o wielu innych produktach. To logo naprawdę rzuca się w oczy, jest mocne.

– Tylko to sobie wyobraź, Viv: „*Où est Max?*”. Wszędzie! – W głosie Christie słychać podekscytowanie.

– Wyobrażam sobie... Ale co będzie, kiedy wróci? Poszukiwania się zakończą i jak to wtedy będzie działać? Zwłaszcza jeśli myślisz o stworzeniu całej linii.

– Jest osadzona w rzeczywistości, ale nie połączona z jedną, konkretną osobą – oświadcza Nigel.

– Chyba jednak jest, bo widnieje tu jego imię – zauważam.

– To imię jest uniwersalne.

– Och.

– Może być wielokierunkowe. Może oznaczać ostateczność, jak w *Gdzie jest Maks?*

– Ale napis to jednak „Gdzie jest Max?”, konkretna osoba, Max.

– Wielkimi literami. Ludzie mogą temu nadać własne znaczenie. Wcale niekoniecznie musi chodzić o twojego przyjaciela, mimo że tobie chodzi właśnie o niego. To słowo może zacząć żyć własnym życiem.

Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, o czym on, u licha, gada, i czuję się trochę tak, jakbym traciła kontrolę nad sytuacją. Pociągam łyk Krwawej Mary. Czemu ją zamówiłam? Nie znoszę soku pomidorowego.

– Hmm, no tak. A ty co o tym sądzisz, Christie? – pytam.

– Rozumiem, o co ci chodzi, Viv. Naprawdę. Ale podoba mi się egzystencjalizm – odpowiada z rozmarzeniem.

– Och, naprawdę? Mogłabyś mi to wyjaśnić?

– Nie w tej chwili, Viv. – Posyła mi znaczące spojrzenie.

– To znaczy, sam projekt jest fantastyczny. Dziękuję, że to zrobiłaś. – Nigel kiwa głową. – Mogę go sobie wziąć? – Biorę T-shirt ze stołu.

– Jasne – odpowiada.

– Jest super. I to niesamowite, że założyła go Betty George! – Nie ekscytuj się. Nie ekscytuj.

– Aha. – Nigel kiwa głową.

– No ale mimo wszystko chodzi przede wszystkim o znalezienie Maxa – upieram się.

– Jasna sprawa. – Uśmiecha się.

No to co w takim razie to wszystko znaczy? Znowu zapada cisza.

– Hmmm – mówi Christie, kryjąc uśmiech.

Zerkam na Nigela, czekając na wyjaśnienia.

– To ty zaprojektowałeś dzisiejszy strój Christie? – pytam, żeby tylko coś powiedzieć.

– Nie. Jaki styl dzisiaj prezentujesz, Christie? Fitness z lat osiemdziesiątych?

– Fitness z lat osiemdziesiątych kontra kosmos – wyjaśnia.

– Super – orzeka.

– No więc Betty George to twoja przyjaciółka? – Odczuwam przymus zadania tego pytania.

– To głupia krowa – oświadcza, odwraca się w moją stronę i śmieje się.

Christie także się śmieje i ja też, i wszyscy śmiejemy się bez powodu.

– No dobra... – mówię. – Taaaak. – Robię z siebie kompletną kretynkę i nawet nie zdaję sobie z tego sprawy. Czy to on, król

luzu, i dlatego nie jestem go godna? A może jest po prostu trochę niegrzeczny?

– No więc Topshop na początek zamówił tysiąc T-shirtów – wypala Nigel. – Ale chcą je na wyłączność. Tobie to pasuje?

– Czy mi pasuje? Oczywiście!

– Nie chcę od ciebie zapłaty za projekt, więc moje jest ryzyko i zyski.

– Chyba... tak może być. Może? – Marszczę brwi i patrzę na Christie.

– No bo widzisz, jeśli ta linia okaże się niewypałem, Viv, wtedy reputacja Nigela może mocno ucierpieć – wyjaśnia. – Tak ci mówiłam, prawda, Nige? Mówiłam, że Viv nie będą interesować pieniądze. Jej chodzi tylko o miłość.

I coś takiego wypływa z ust mojej partnerki biznesowej. To grząski teren. Słyszałam o prawnych zatargach dotyczących tego typu kwestii.

– Cóż, szukam swojej miłości, owszem. Ale potrzebuję przecież pieniędzy! – Śmieję się. Oni nie. – Przecież wszyscy ich potrzebujemy, prawda?

– Hmm – mówi Christie, patrząc na Nigela, który trze piścią brodę.

– Wiem, że to twój projekt, Nige, ale pomysł należy do mnie. Więc... – zaczynam.

Przygląda mi się uważnie, a małe oczy ma żywe i bystre.

– Mogę zapłacić ci za pomysł, jeśli chcesz, jednorazową kwotę. Jakoś się dogadamy – mówi lekko.

– Ale ty przecież wiesz Nige’owi kasę – wtrąca Christie, otwierając szeroko oczy. – Za tę zniszczoną suknię z piór.

– Tę, o której mieliśmy nie wspominać? – Boże, po czyjej ona jest stronie?

– To może zrobimy tak: dla mnie będą wszystkie zyski z linii „*Où est Max?*”, a ty możesz zatrzymać tę suknię – proponuje Nigel.

– Nie mam sukni, jest zniszczona.

– A może uszyjesz jej inną suknię? – pyta Christie.

Nigel wzdycha i rozwala się na krześle.

– Niepotrzebna mi inna suknia, Christie... No bo jakim powodzeniem będzie się cieszyć linia Maxa? Jestem przekonana, że nie chcesz mnie okantować, ale...

– W porządku – wtrąca Nigel. – Ostateczna propozycja. Dla ciebie uszyję jedną suknię *couture*, jaką tylko będziesz chciała, a obu wam załatwię bilety w pierwszym rzędzie na mój pokaz podczas Londyńskiego Tygodnia Mody.

Christie patrzy na mnie błagalnie, najpewniej oczami wyobraźni widząc nas już na tym pokazie. Kiwa powoli głową, rzucając mi spojrzenie mówiące: „teraz uważaj”.

– I do tego tyle szampana podczas pokazu, na ile tylko będziemy miały ochotę – oświadcza triumfalnie.

Nigel się zgadza i dobijamy targu. Wychodzę, pewna, że zostałam oskubana. Ale mało mnie to martwi.

Później, kiedy już siedzę w wagonie metra, zaglądam do torby. Patrzę na imię Maxa i choć jestem absolutnie podekscytowana tą całą sprawą z Topshopem, dopadają mnie też wątpliwości. Czy przypadkiem przesadnie się nie obnażyłam? Co Max sobie pomyśli? Sprzedałam nas? Zamieniłam naszą miłość w coś na kształt cyrku? Odsuwam od siebie tę myśl i koncentruję się na pierwotnym celu. Najważniejsze jest odnalezienie Maxa. I muszę go znaleźć, prawda? Używając do tego wszelkich możliwych środków.

BLOG DLA MAXA #5 – JESTEŚMY SŁAWNI

Dni od ostatniego spotkania: 29.

Chyba wszyscy kochają romantyzm. Rozpętało się istne szaleństwo. Wkrótce w sprzedaży pojawią się T-shirty z twoim imieniem. Szybko stajesz się marką, która zawładnie światem. Ha!

Szczerze mówiąc, ciut wymknęło się to spod kontroli – wszyscy cię szukają. Piszą o tym w gazecie. Jutro wybieram się do Radia Romans. Ja! W Radiu Romans, w audycji Stuarta Hilla.

Byłoby fantastycznie, gdybyś zadzwonił, kiedy będę na antenie, i poprosił mnie o rękę. Zgodziłabym się. Prawdopodobnie musielibyśmy wziąć ślub w telewizji czy jakoś tak, więc w sumie byłoby do kitu.

Ale naprawdę strasznie by było, gdybyś już nigdy nie wrócił. Stałabym się tą smutną dziewczyną, która publicznie nie odnalazła swego mężczyzny. Poza tym już zawsze byłabym sama, ponieważ to ty jesteś tym jedynym. Nie zdradziłam cię, Max, i marzę choćby o tym, abyś to wiedział.

Nie będę już więcej pisać o liczbie fanów na Facebooku. Nie chcę cię przerazić.

V x

– Słuchacie Stuarta Hilla w Radiu Romans na sto jeden FM. Jest tu ze mną Vivienne Summers, która opowie nam za chwilę o swoich poszukiwaniach utraconej miłości. To nastąpi zaraz po

Michaelu Bublé i *Haven't Met You Yet...*

Stuart Hill zdejmuje słuchawki i opiera łokieć o oddzielający nas od siebie panel z przyciskami. W radiu może jest fajny, ale w prawdziwym życiu chyba byłby lekko szalony, taki Willy Wonka eteru. Siedzę tu w swoim T-shircie „*Où est Max?*” i się rozglądam. Studio jest nieco zdezelowane i obwieszane wyblakłymi plakatami gwiazd pop z lat osiemdziesiątych, takimi jak Belinda Carlisle i Debbie Gibson. Czuć tu starym jedzeniem i bąkami i miliony lat świetlnych dzieli ją od eleganckiej kabiny, którą sobie wyobrażałam, ale i tak cała jestem rozgorączkowana. Mam nadzieję, że sobie poradzę; generalnie nie znoszę słuchać nagrań ze swoim głosem, zawsze mi się wydaje, że mówię strasznie wolno.

– Jesteś gotowa, ty oszalała z miłości dziewczyno? – pyta Stuart, a oczy mu błyszczą. Zastanawiam się, czy czegoś nie wziął.
– Po tej piosence, moja kochana, zakładasz słuchawki, a ja zasypuję cię pytaniami! – Posyła mi uśmiech w stylu Kota Prota. – Okej?

– Okej! – odpowiadam z równym entuzjazmem.

Przez chwilę przygląda mi się uważnie.

– A więc bardzo chcesz odnaleźć tego całego Maxa, co?

– Tak, ja...

– I myślisz, że ot tak do ciebie przybiegnie, co? Cóż, powodzenia! – Zaczynam coś mówić, ale on unosi rękę i zakłada słuchawki. – Nazywam się Stuart Hill, a ze mną w studiu jest czarująca młoda dama, Vivienne Summers. Witaj, Vivienne.

– Hej, Stuart!

- No dobrze, Viv, szukasz utraconej miłości, zgadza się?
- Zgadza, Stuart. Szukam przyjaciela i miłości mego życia. Ma na imię... Mam powiedzieć, jak się nazywa?
- Ja bym powiedział.
- Max. Max Kelly.
- Och, znam go, dopiero co widziałem się z nim w pubie.
- Co takiego?
- Żartuję, kochana. Mów dalej.
- No więc próbuję go odnaleźć i założyłam na Facebooku grupę o nazwie „Gdzie jest Max?”.
- I rozpętało się szaleństwo, zgadza się?
- Tak – śmieję się.
- No dobrze, a co każe ci sądzić, że ten Max Kelly chce zostać odnaleziony?
- Cóż, właśnie zaczynaliśmy ze sobą być i powiedział, że mnie kocha, mam więc nadzieję, że kiedy się dowie, jak bardzo ja kocham jego, zrozumie, że my...
- Kochasz go?
- Z całego serca. Ogromnie. Bardzo.
- Jak to jest czuć taką miłość?

- Super. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby tu rzeczywiście był.
- Czy to jak latanie bez skrzydeł?
- Latanie bez skrzydeł?
- Czy on cię dopełnia?
- Tak, wydaje mi się, że tak. Gdybyśmy byli razem, to z całą pewnością!
- Widzę, że twoje poszukiwania opisało parę gazet, a dzisiaj masz na sobie stanowiący część kampanii T-shirt. Co masz napisane na piersi?
- „Gdzie jest Max?”.
- Hej, to wcale nie taki napis.
- No bo to jest po francusku, więc „*Où est Max?*”.
- Max jest Francuzem?
- Nie, Irlandczykiem.
- Mam nadzieję, że za tym nadążacie! Ha, ha, ha! – Śmieje się, a mnie się robi trochę głupio. – Dopisało ci więc szczęście. Odezwał się do ciebie ten cały Max?
- Na razie nie, ale jest nadzieja! Jest nadzieja! – rechoczę.
- Opowiedz nam o swoim blogu, Vivienne. Nie sądzisz, że dosłownie umieściłaś swoje serce online?
- Cóż, tak, chyba tak. Piszę ten blog dla Maxa, żeby mógł,

eee... żeby wiedział, iż nie ma dnia, abym o nim nie myślała. – O nie, nagle zaczyna mnie ścisnąć w gardle... Nie mogę się rozpłakać!

– I czy twój Max choć raz odpowiedział?

Próbuję wziąć się w garść.

– Nie. Nie odpowiedział.

– Więc może, Viv, i nie chcę być wobec ciebie okrutny, kiedy to mówię, ale może on wcale nie chce zostać znaleziony. Przyszła ci do głowy taka ewentualność?

Zaczynam zwracać uwagę na smutną muzykę w tle.

– Chyba po prostu mam nadzieję, że chce.

– Oczywiście, że tak, moja droga. Możesz nam powiedzieć, dlaczego w ogóle zniknął? – pyta łagodnie.

– Tak. Ja... W wyniku nieporozumienia on uważa, że byłam z kimś innym, ale nie jestem i nie byłam.

– Gdybym był na twoim miejscu, ale, uwaga, ja jestem trochę staromodny, po prostu bym do niego zadzwonił. Po co ta cała wielka kampania?

– Nie odbierał ode mnie telefonów. To mój sposób na pokazanie mu tego, co czuję i... – Smutna muzyka jest coraz smutniejsza.

– Bo może być po prostu tak, że on chce od ciebie uciec, słonko. Nie chcę wyjść na gburę, po prostu ciekawi mnie, czy brałaś coś takiego pod uwagę.

– Nie wierzę w to. – Nagle oczami wyobraźni widzę, jak siedzę w tym nędznym studiu w swoim T-shircie i z głupimi słuchawkami na uszach, i mam ochotę stąd uciec. Wiem, że znajdę Maxa. Ale nie w taki sposób – pozwalając publicznie upokarzać siebie czy Maxa. Nie tak to sobie wyobrażałam. Nie wiem, co sobie myślałam. Próbuję wyjaśnić temu całemu Stuartowi coś tak osobistego, ale to się wydaje beznadziejne i niemądre.

– Cóż, wygląda na to, że wielu ludzi interesują poszukiwania Maxa, w końcu grupa na Facebooku liczy już ponad dziesięć tysięcy fanów. A ja jestem jednym z nich! Dlaczego tak się według ciebie dzieje?

– Myślę, że ma to związek z tym, że ludzie chcą wierzyć w miłość.

– A chcą? Czyż w naszym cynicznym i materialistycznym świecie miłość nie traci na znaczeniu?

– Nie dla mnie... I nie dla wielu innych osób.

– I nie dla mnie. My w nią wierzymy, prawda, Vivienne? Wierzymy w siłę miłości.

– Ja chcę jedynie odnaleźć mojego przyjaciela. To wszystko.

– No dobrze! Co dalej, Vivienne, jeśli nie znajdziesz swego mężczyzny?

– Jeśli nie znajdę?

– Tak... Wyobraźmy sobie, że on czyta wszystkie twoje wpisy na blogu i Facebooku, a nawet słucha nas teraz, myśląc – tu Stuart przyjmuje irlandzki akcent – „Na litość boską, kobieto, czy dasz

mi w końcu, do cholery, spokój?”.

I wtedy po raz pierwszy zaczynam się nad tym zastanawiać. A jeśli on rzeczywiście tak myśli? Robię to wszystko po to, aby mu pokazać, że go kocham, ale jeśli on mnie za to nienawidzi? Wracam myślami do rozmowy z babcią. „Zawsze czegoś szukasz” – tak powiedziała. „Chcesz zmieniać świat”. Nagle widzę siebie nie jako kochankę wysyłającą wiadomości w świat, ale jako arogancką egoistkę, która nie pozwala odejść komuś, kogo zraniła.

– Co wtedy zrobisz, Vivienne?

– Nie wybiegałam myślami tak daleko. – Próbuję się uśmiechnąć. W ogóle o tym nie myślałam. Jak zawsze parłam do przodu, na nic nie zważając. Myślałam, że będzie fajnie. Myślałam, że Max się do mnie odezwie. To przecież Max, mój kochany, lojalny przyjaciel. A ja przekształcam wszystko w cyrk. Czuję ucisk w piersi. Źle to wszystko rozegrałam. Jak to możliwe, że znowu wszystko opacznie zrozumiałam? – Prawdę mówiąc, Stuart... Czy mogę coś powiedzieć? – wyrzucam z siebie.

– Jesteś na antenie Radia Romans, my tu uwielbiamy rozmawiać.

– No więc tak, chciałabym zakończyć poszukiwania Maxa.

– Chcesz je zakończyć? – Smutna muzyka cichnie.

– Chcę to odwołać. – Czeka, patrząc na panel z przyciskami. W słuchawkach słyszę szum. Czy to właśnie radiowa cisza? Niedobrze. To moja wina? – Chcę przestać szukać Maxa – powtarzam, aby wypełnić tę ciszę, zerkając rozpaczliwie na ptasie gniazdo z siwych włosów na pochylonej głowie Stuarta. Nic nie mówi. – Ja... ja już go nie szukam. Myślę, że teraz chciałabym uszanować jego prywatność. Najwyraźniej nie chce dać się

znaleźć. – Stuart unosi głowę, w jego oczach pojawia się triumfalny błysk. Kiwa mądrze głową. – Przepraszam więc wszystkich fanów grupy „Gdzie jest Max?”. Odpuszczam sobie, więc czy cała reszta mogłaby zrobić to samo? – Zdejmuję słuchawki, a potem T-shirt. Składam go i chowam do torby i siedzę w samym podkoszulku. Stuart rzuca się do panelu i wciska guziki.

– No i, drodzy słuchacze, tak to już jest! To była wyjątkowo urocza i być może nieco skonfundowana Vivienne Summers, która chce odwołać poszukiwania Maxa Kelly’ego. I w sumie uważam, że ma rację, ponieważ nie da się zmusić nikogo do miłości i nie da się jej także poganiać, o czym wszyscy doskonale wiemy! Hej, dowiedzieliście się tego pierwsi, w wywiadzie na wyłączność w Radiu Romans.

Puszcza dzingiel, który płynnie miesza się z Adele i *Someone Like You*. Zsuwa słuchawki i szczypie się w czubek nosa, wygląda na nieco przybitego. Wpada Ruby, aby wyprowadzić mnie ze studia. Oglądam się przez ramię na Stuarta. Oczywiście ma zamknięte.

– Nic mu nie jest? – pytam.

– Nie, skąd. Będzie się teraz przygotowywał do kolejnego wejścia.

– Przepraszam. Chyba nie tego się spodziewał. – Ruby się jedynie uśmiecha. – Dziękuję za gościnę – mówię jak dziecko na końcu przyjęcia.

– Ach, nie ma za co!

Odprowadza mnie do drzwi, a ja schodzę brudnymi schodkami na ulicę, nieco oszołomiona. Idę pod wiatr i myślę, a im dłużej myślę o odwołaniu poszukiwań Maxa, tym bardziej jestem

pewna, że robię to, co należy. Z każdym krokiem ogarnia mnie coraz większy spokój.

W domu biorę długą, gorącą kąpiel. Leżę w parującej wodzie, pozwalając, by marszczyła mi się skóra na palcach. Ludzie potrafią się zmienić. Ja się zmienię. Będę poważna, spokojna, jak osoby, które zawsze podziwiałam. Nie będę szukać wiatru w polu. Koniec z zabawnymi pomysłami. Koniec z imprezowaniem. Nie będę nawet czytać wierszy. Wiersze, też coś! Dokąd mnie one zaprowadziły?

Kiedy woda zaczyna stygnąć, wychodzę z wanny i otulam się puszystym szlafrokiem, tym, który sięga mi do kostek. Jedyńm, który mam, odkąd Dave rozprawił się z tym seksownym jedwabnym. No ale nie będzie mi przecież potrzebna seksowna podomka, prawda? Włączam laptopa w salonie i zaczynam pisać.

BLOG DLA MAXA #6 – TO KONIEC

Dni od ostatniego spotkania: 30.

O Boże, koszmarnie mi dzisiaj poszło w radiu. Zaczęło się całkiem dobrze i byłam naprawdę podekscytowana. A potem Stuart Hill zaczął mnie pytać: „Co każe ci sądzić, że Max chce zostać znaleziony?” i pomyślałam: cóż, to oczywiste – kochamy się. Ale prawda jest taka, że nie wiem już, co czujesz. Zakładam, że mogę cię odzyskać, ale co, jeśli zbyt mocno cię zraniłam? Jeśli już nie chcesz mnie więcej widzieć? Ta myśl jest nieznośna. To cholernie boli, ale może muszę zmierzyć się z faktem, że gdybyś chciał zostać znaleziony, to już byś tu był.

No więc tak, Max.

Chcę cię przeprosić. Chcę ci powiedzieć, że kiedy zobaczyłeś mnie tamtego dnia z Robem, było inaczej niż myślisz. Chcę ci powiedzieć, że wiem, jaka ze mnie głupia oślica. I chcę powiedzieć, że to mój ostatni wpis na tym blogu.

Zawszę będę mieć nadzieję, że się znajdziesz i będę cię szukać i kochać, ale odwołuję te wielkie, szalone poszukiwania. Ta kampania dobiegła końca, a jeśli mnie zechcesz... Cóż, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

V x

Wpatruję się w migający kursor, aż zaczynają mi łzawić oczy. Właśnie to jednak powinnam zrobić. Pora, abym zamilkła i przestała szukać, tak jak mówiła babcia. Będę spokojna. Pogodna.

Zduszam cichy szloch.

Odczytuję kilka wiadomości pozostawionych przez subskrybentów. Chyba powinnam zamieścić krótkie podziękowania, należycie to wszystko zakończyć. Wyglądam przez okno na ciemniejące niebo. Wieczór zapada już coraz wcześniej, robi się chłodno, a moje szalone lato dobiegło końca. Wracam myślami do tych kilku gorących dni spędzonych z Maxem. Chyba straciłam swoją szansę na miłość. Patrzę z powrotem na ekran, biorę chusteczkę i wydmuchuję nos. Przychodzi Dave i ociera mi się o nogi. Pojawia się nowa wiadomość.

Hej V, to ja. M x

Serce podchodzi mi do gardła, ale potem dociera do mnie, że to jakiś żartowniś. Kilku już podawało się za niego. Zignoruję to. Patrzę na te słowa... A jeśli to rzeczywiście on i znowu stracę swoją szansę? Ale to nie może być on – Max by zadzwonił, prawda? To pewnie jakiś wariat.

Jeśli to ty, Max, zadzwoń za pięć minut. V x

Czekam. Nic. Czekam jeszcze trochę. Kogo próbuję oszukać? Idę do kuchni i nalewam sobie sok pomarańczowy. Koniec z alkoholem. Zmieniam tryb życia. Wracam do salonu, celowo unikając wzrokiem ekranu laptopa. Siadam na sofie i przeglądam gazetę. Dave zaczyna miauczeć i drapać nogę krzesła. Cholerny kot.

– Przestań, bo dam cię wypchać. – Wskakuje na krzesło, a z niego na stół, po czym zaczyna ocierać się pyszczkiem o laptopa i mruczeć. – Ja nie żartuję – rzucam ostrzegawczo, ale potem uświadamiam sobie, że Dave może próbuje mi coś powiedzieć, tak jak Lassie. – Co się dzieje, stary? Wiadomość od twojego

właściciela? Utknął w studni? – Dave tylko na mnie patrzy. I mruga. Idę sprawdzić.

W Hiszpanii. Wysokie góry. Brak zasięgu. M x

Nie zamierzam się tym zaraz podniecać. To oczywiste, że jakiś idiota uważa się za zabawnego. Ale...

Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę ty? V

Czekam, drapiąc łeppek Dave'a. Mruczy jak traktor. Pojawia się wiadomość.

O co ci chodzi? To ja, patrz! M x

Wpatruję się w ekran. Nie śmiem mieć nadziei. Moje serce i tak jest już w strzępach; jeśli to żart, trudno mi się będzie pozbierać.

Udowodnij. V

Nie mogę tak siedzieć i czekać. Chodzę trochę po mieszkaniu, po czym sprawdzam. Nic. Widzicie? To nie Max. Otulam się ciaśniej szlafrokiem i zakładam włosy za uszy. Nic. Patrzę na siedzącego obok laptopa Dave'a. Nadal mruczy.

– To nie on. Nie rób sobie nadziei – mówię i zanoszę szklankę do kuchni.

Gdy wracam, sprawdzam. Dalej nic.

NIEKTÓRE Z RZECZY, KTÓRE WIEM O VIVIENNE SUMMERS

Max Kelly

Na prawym pośladku ma znamię w kształcie Irlandii. Ma najbardziej sprośny śmiech, jaki słyszałem. Jest uparta jak osioł. Nie lubi motorów ani Arsenalu, ani tatuaży, ale lubi mnie, swoją szaloną babcię i angielskie róże. Rano lubi herbatę, po lunchu kawę, a wytrawne białe wino zawsze i wszędzie. Zawsze była beznadziejna w pisaniu wierszy i nie umie rysować. Najbardziej mi się podoba, kiedy się uśmiecha. Po pijaku się nie kontroluje. Jej ulubiony kolor to różowy, ale ona uważa, że niebieski. Jest władcza i niecierpliwa, ale serdeczna i urocza. Mało nie pękło mi serce, kiedy weszła do tamtej galerii z kimś innym, ale nie mogę bez niej żyć. To najseksowniejsza kobieta, jaką znam. Jest moją piękną, zabawną, mądrą przyjaciółką. Lubię spędzać z nią czas. Obiło mi się o uszy, że mnie szuka, i tak się zastanawiałem, czy by nie chciała przyjechać na trochę do Hiszpanii. Teraz mi wierzysz?
M x

To ty! V x

No więc jak będzie? M x

35
Adios, Amigos

1 września, 19:14

Nadawca: Ryanair.com
Adresat: Vivienne Summers
Temat: Potwierdzenie rezerwacji

Dziękujemy za wybranie ryanair.com.

Niniejsza wiadomość nie upoważnia do wejścia na pokład.

Bilet zostanie przesłany e-mailem na podany przez panią /
pana adres.

Proszę o sprawdzenie poniższych danych i ich
zaakceptowanie.

Imię i nazwisko pasażera: Vivienne Summers
Data lotu: 2 września 2012
Wylot: London Stansted, UK
Przylot: Barcelona (Girona), Hiszpania
Rodzaj biletu: w jedną stronę

Klik.

Podziękowania

Dziękuję ci, Stevie Garcia, za to, że nieustrudzenie jesteś moją muzą i kazałeś mi napisać tę książkę.

Jestem bezgranicznie wdzięczna mojej agentce Madeleine Milburn za te wszystkie słowa zachęty i knowania. Dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Hodder, zwłaszcza Isobel Akenhead za wszystkowiedzące oko redaktora i jej uroczej asystentce Harriet Bourton, która ani trochę nie przypomina Christie. Dziękuję Charlotte Maslen, Tessie Ditner i Danielle Shaw za wielokrotne czytanie tego, co napisałam, i za to, że były takie fajne, mądre i szczerze. Dziękuję wszystkim, którzy złamali mi w przeszłości serce, a przepraszam zabawnych przyjaciół, od których przejęłam śmieszne powiedzonka. Dzięki, mamó i tato, za wszystko.

E. H.

